И(пол)
S-58
010472

Поверніть книгу не пізніше зазначеного терміну

190	16 -	Ясон		

OGNIEM i MIECZEM

Tom II.

Warszawa.—Druk Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

K II(nov.)
S 58

Wydanie Jubileuszowe.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA.

010472

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

TOM II.

Z księgozbioru [illegible]
Miejska Biblioteka

WARSZAWA.
NAKŁAD HIPOLITA WAWELBERGA.
1897.

Дозволено Цензурою.

Варшава 7 Марта 1897 года.

ROZDZIAŁ I.

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładynki, posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców, złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przedzie, o kilkadziesiąt kroków przed innymi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do strażowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali z sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę — i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

— Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku, zaledwie posuwając się naprzód.

Nakoniec wysunąwszy się z za wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów szedł na przestwór oblany światłem księżyca, i wtedy można było zrozumieć ostrożność pochodu: oto w środku karawany, idące obok siebie dwa konie dźwigały przywiązaną do siodełek kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bladą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali sią niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt końskich i wołanie jednego z dwóch jadących na przedzie jeźdźców, który kiedy niekiedy powtarzał swą przestrogę:

— Pomału! ostrożnie!

Nakoniec zwrócił się do swego towarzysza:

— Horpyna, daleko jeszcze? — spytał.

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewką, popatrzał w gwieździste niebo i odrzekł:

— Niedaleko. Będziemy przed północą. Miniemy Wraże Uroczyszcze, miniemy Tatarski Rozłóg, a tam już zaraz Czortowy Jar. Oj, źleby tam przejeżdżać po północku, nim kur zapieje! Mnie można, ale źleby było, źle!

Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

— Wiem ja — rzekł — że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

— Czort nie czort, a sposobu niema — odparła Horpyna. — Żeby ty, sokole, na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, toby ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północku nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka, póki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani Lachy, ani Tatary, ani nikt, nikt. Czortowy Jar straszny, sam zobaczysz.

— Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

— Byleś w dzień przychodził.

— Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

— Ej, Bohun! Bohun!

— Ej, Dońcówna! Dońcówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort, czy nie weźmie, to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swoimi czortami jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ani czorty, ani upiory nie wydrą!

— Raz mnie już topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę golił, a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźni dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

— A ty sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu hukała nad uchem: „Lach przy niej! Lach przy niej?!“

— To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powróżę na wodzie w kole młyńskiem. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzeć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies: powiedzieć ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz.

Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy dochodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić; podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— Czego?

— Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka, czy jak?

— Lubystka. Ale na twoją biedę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała, to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz co się stanie?

— Co?

— To jeszcze bardziej tego innego pokocha!

— Przepadnij-że ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

— To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się go napije, dwa dni i dwie nocy jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja ci ziela dam — a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwił w czarownicy swe świecące w ciemności oczy.

— Co ty kraczesz? — spytał.

— Taj hodi! — zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia klaczy śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogiem echem w rozpadlinach jarów.

— Suko! — rzekł watażka.

Potem oczy jego gasły stopniowo, popadł znów w zamyślenie, nakoniec począł mówić, jakby sam do siebie:

— Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i łeb strzaskać każdemu, ktoby się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła — i teraz o Bożym świecie nie wie. Dotknę jej ręką, to się znów pchnie, albo do rzeki skoczy — nie upilnujesz nieszczęsny!!

— Ty w duszy Lach, nie kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

— Żeby ja był Lach! — zawołał Bohun — żeby ja był Lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

— Musiała cię urzec ta Laszka — mruknęła Horpyna.

— Ej, chyba urzekła—odrzekł żałośnie.—Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce!

— Durny! — zawołała z gniewem Horpyna — toć ty ją masz!

— Stul-że ty pysk! — zawołał ze wściekłością kozak.—A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, łeb o kamień rozbiję, ludzi będę gryzł jak pies. Jaby duszę za nią oddał, sławę kozacką oddał, uciekłby za Jahorlik, hen! od pułków za świat, aby z nią, żyć, przy niej zdychać... Ot co! A ona się nożem pchnęła, i przez kogo? przeze mnie! Nożem się pchnęła!! słyszysz?

— Nic jej nie będzie. Nie umrze.

— Jakby umarła, to jaby ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

— Mocy ty żadnej nad nią nie masz!

— Nie mam, nie mam. Jaby wolał, żeby ona mnie nożem pchnęła — niechby i zabiła, byłoby lepiej.

— Głupia Laszka. Ot-by po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

— Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugi. My w Barze wzięli łupu nie mało i przedtem brali.

— Ty bogaty, jak kniaź Jarema, i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

— Co mnie z tego, koły serdcie bołyt...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki stawał się coraz dzikszy, pustszy. Białe światło księżyca nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Nakoniec Horpyna rzekła:

— Tu Wraże Uroczyszcze. Trzeba razem jechać.

— Czemu?

— Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z nimi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

— Spyt? — spytał.

— Spyt — odpowiedział stary kozak — sładko jak detyna.

— Ja jej na sen dała — odrzekła wiedźma.

— Pomału, ostorożno! — mówił Bohun, wlepiając oczy w uśpioną — szczoby wy jej nie rozbudyły. Misiac jej prosto w łyczko zahladaje, serdeńku mojemu.

— Tycho swityt, ne rozbudyt — szepnął jeden z mołojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli nad Wraże Uroczyszcze. Było to wzgórze, leżące tuż przy rzece, nizkie i obłe, jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświecając białe, porozrzucane po całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieniegdzie leżały one pojedynczo, gdzieniegdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakich budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne, pozasadzane końcem w ziemi, nakształt nagrobków na cmentarzyskach. Całe wzgórze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiełłowych, krzewiło się tu życie ludzkie — dziś wzgórze owo i cała okolica, aż pod Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, a nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiął się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew zmienił się w prawdziwy wicher, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posępnym, złowróżbnym świstem, i wówczas mołojcom wydało się, że między owemi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie westchnienia, jakby wychodzące z ugniecionych piersi jakieś żałosne jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenia dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnymi głosami. Z za kamieni zdawały się wyglądać wysokie, ciemne postacie, cienie dziwacznych kształtów prześlizgiwały się cicho między głazami, w dali, w pomroce błyskały jakieś światełka, podobne do oczu wilczych, nakoniec z drugiego końca wzgórza, z pomiędzy

najgęstszych kup i zwalisk, ozwało się nizkie gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

— Siromachy? — szepnął młody kozak, zwracając się do starego esauła.

— Nie, to upiory — odpowiedział esauł jeszcze ciszej.

— O, Hospody pomyłuj! — zawołali z przerażeniem inni, zdejmując czapki i żegnając się pobożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna, jadąca na czele orszaku, mruczała półgłosem niezrozumiałe słowa, jak gdyby pacierz dyabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła:

— No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zaklęciem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun z Horpyną wysunęli się znów naprzód, a mołojcy, którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

— Żeby nie Horpyna, to myby nie przeszli — mówił jeden.

— Mocna wid'ma.

— A nasz ataman i did'ka nie boitsia. Nie patrzał, nie słuchał, jeno się na swoją mołodycię oglądał

— Żeby jemu się to zdarzyło, co mnie, toby nie był taki bezpieczny — rzekł stary esauł.

— A co wam się zdarzyło, ojcze Owsiwuju?

— Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulajpola, a jechał nocą koło mogił. Wtem baczu, hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko—sineńkie, bladeńkie!... Widno Tatary z matką w jasyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu goreją jak świeczki, i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O, Hospody! upior... Alem to na Wołoszy długo sługiwał, gdzie upiorów więcej niż ludzi i tam są na nie sposoby. Zeskoczyłem z konia i gindżałem w ziemię: „Zgiń! przepadnij!"—a ono jęknęło, chwyciło się za głownię od gindżała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

— To na Wołoszy tyle upiorów, ojcze?

— Co drugi Wołoch, to po śmierci będzie upiór i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukołaki.

— A kto mocniejszy, ojcze: did'ko czy upior?

— Did'ko mocniejszy, ale upior zawziętszy. Did'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczego, tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze did'ko nad nimi ataman.

— A Horpyna nad did'kami reimentaruje.

— Pewnie, że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad nimi władzy, toby jej ataman swojej zazuli nie oddał, brukołaki na dziewczyńską krew najłakomsze.

— A ja słyszał, że one do duszy niewinnej nie mają przystępu.

— Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

— Oj, szkodaby krasawicy! Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko, co w Barze brać!

Owsiwuj językiem mlasnął.

— Niema co mówić. Zołotaja Laszka...

— A mnie jej, ojcze, żal — mówił młody kozak. — Jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosyła i prosyła: ubij, każe, ne huby, każe, nieszczastływoj!

— Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horpyny.

— Hej, mołojcy,—rzekła wiedźma—to Tatarski Rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy jar i mój futor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru, biegnącego prostopadle od rzeki, a tak wązkiego, że ledwie czterech konnych mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica, mieniąc się w świetle księżycowem jak wąż i biegąc wartko do rzeki. Ale w miarę jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg, wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieniegdzie pokryty był wysokiemi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie, czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżyca świeciły mocno jakieś białe, okrągłe, lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc kiedy niekiedy krzyżami piersi i czoła. Wtem w dali błysło z pomiędzy drzew światełko, a jednocześnie nadbiegły dwa psy straszne, ogromne, czarne, ze świecącemi oczyma, szczekając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać około jeźdźców, chrapiąc przytem i charcząc ze zdyszenia.

— Nesamowite—szeptali mołojcy.

— To nie psy—mruknął stary Owsiwuj głosem, zdradzającym głębokie przekonanie.

Tymczasem z za drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata napozór była porządna i duża; w oknach jej błyszczało światło.

— To moja sadyba — rzekła do Bohuna Horpyna — a tam to młyn, co zboża nie miele, jeno nasze, ale ja worożycha, z wody na kole wróżę. Powróżę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać:

— Czeremis, huku! huku! Czeremis!

Jakaś postać z pękiem zapalonego łuczywa w ręku wyszła przed chatę i wzniósłszy ogień w górę, poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Był to stary człek, potwornie szpetny, mały, karzeł, z płaską kwadratową twarzą i skośnemi, podobnemi do szczelin oczyma.

— Co ty za czort?—spytał go Bohun.

— Ty jego nie pytaj — rzekła olbrzymka — on ma język obcięty.

— Pójdź tu bliżej.

— Słuchaj! — mówiła dalej dziewka — a możeby mołodycię do młyna zanieść? Tu mołojcy będą przybierać świetlicę i ćwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy, zsiadłszy z koni, poczęli odwiązywać ostrożnie kołyskę. Sam Bohun czuwał nad wszystkiem z największą troskliwością i sam dźwigał w głowach kołyskę, gdy przenoszono ją do młyna. Karzeł, idąc naprzód, świecił łuczywem. Kniaziówna, napojona przez Horpynę odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła łuczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołysały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu, podobnego do pogrzebu. Bohun patrzał na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. „Myłeńka moja, zazula moja!“—szeptał cicho—i groźne choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stepy.

Idąc obok Horpyna mówiła:

— Gdy się z tego snu rozbudzi, zdrowa będzie. Rana się jej goi, zdrowa będzie...

— Sława Bohu! sława Bohu!—odpowiadał watażka.

Tymczasem mołojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyładowywać zdobycz wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień, i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, inni przystosowywali je do drewnianych ścian izby. Bohun nietylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, by ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznośna. Wkrótce też naszedł z młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słychać jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Nakoniec, gdy już ściany były obwieszone, a tok wymoszczony, przyniesiono napowrót senną kniaziównę i złożono ją na miękkich wezgłowiach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu, podobne do końskiego rżenia—to młoda wiedźma, baraszkując na sianie z mołojcami, rozdawała im kułaki i całusy.

ROZDZIAŁ II.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy nazajutrz kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo, poczem obiegł całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się wzięła i w czyjej jest mocy? Co znaczy ten przepych, który ją otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili straszne sceny wzięcia Baru stanęły nagle przed nią, jakby żywe. Przypomniała sobie wszystko: rzeź tysięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic i dzieci, pomazane krwią twarze czerni, szyje i głowy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane wrzaski, ów sądny dzień wycinanego w pień miasta—nakoniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypomniała sobie i to, jak w chwili rozpaczy padła na nóż nastawiony własną ręką—zimny pot operlił teraz jej skronie. Widać nóż ześliznął się jej po ramieniu, bo czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje, że wraca jej siła i zdrowie, pamięta wreszcie, że długo, długo wieziono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej, jak w chacie chłopskiej, małe, kwadratowe i świata przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłażby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu, zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżyce, ściany niezbyt przestronne, ale całkiem przybrane w makaty; na podłodze leży różnowzory kobierzec, jak żywymi kwiatami usłany. Okap na kominie okryty perskim tyftykiem; wszędy złote frendzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian, pułapu, aż do poduszek, na których spoczywa jej głowa. Jasne światło dzienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu, tworząc jakąś uroczą tęczową pomrokę. Kniaziówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

— Święta Przeczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukaże, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę doszły do niej płynące zdaleka dźwięki teorbanu i jednocześnie głos jakiś począł nucić do wtóru znaną pieśń:

„Oj cei lubosti
„Hirsze od słabosti!
„Słabost' perebudu,
„Zdorow-że ja budu,
„Wirnoho kochania
„Po wik ne zabudu."

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę, jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia—wreszcie krzyknęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściała i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbielałe i trzęsące się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował niejedne oczy dziewczęce, bo aż łuna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Dyamentowe guzy jego żupana migotały, jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz podwoiły piękność jego smagłego oblicza, i tak stał przed nią wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone, jakby gwiazdy tumanem przysłonione, i patrzał na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić nizkim i smutnym głosem:

— Nie bój się, kniaziówno!

— Gdziem jest? gdziem jest? — pytała, poglądając na niego przez palce.

— W bezpiecznem miejscu, daleko od wojny. Nie bój się, duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi, albo od wojny. Już tam nikogo w Barze nie żywili kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

— Co tu waćpan robisz? dla czego mnie prześladujesz?

— Ja ciebie prześladuję! Mój Boże miły! — i watażka ręce rozłożył i począł głową kiwać, jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

— Ja się waćpana boję okrutnie.

— I czemu się boisz? jeśli każesz, ode drzwi się nie ruszę — ja rab twój. Mnie tu na progu siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła nie chcę; co ty mnie nienawidzisz? Hej Boże miły! ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno znała i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Blade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

— Bom wolała śmierć niż hańbę — rzekła — i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień — i widział watażka, że niema co żartować z tą krwią Kurcewiczowską, książęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego, czem grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Bądź ty spokojna—rzekł.—Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu, jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić! Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palonki.

Kniaziówna milczała.

— Popatrzę na cię, — mówił dalej — oczy krasnem liczkiem ucieszę, taj pójdę.

— Wróć mi wolność—rzekła dziewczyna.

— Albo ty w niewoli? ty tu pani. I dokąd chcesz wracać? Kurcewiczowie wyginęli, ogień pożarł wsie i grody, kniazia w Łubniach niema, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno kozaków, i ordyńców, i żołnierstwa. Kto cię uszanuje, kto się ciebie użali, kto cię obroni, jeśli nie ja?

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspomniała, że przecie jest ktoś na świecie, ktoby przygarnął i użalił się, i bronił— ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić— jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, do którego tęskni jej dusza? Będąc w Barze, wiedziała, że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło do jej uszu nazwisko Skrzetuskiego, razem z wieściami o zwycięstwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć bitew, ile dosięgnąć go niebezpieczeństw! Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki.

— Zali mam więźniem tu pozostać?—pytała z jękiem. — Co ja waćpanu uczyniła, że chodzisz za mną, jak nieszczęście?

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słychać:

— Co ty mnie uczyniła — ne znaju, ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Gdyby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny, jak wiatr w polu i na sercu swobodny, i na duszy swobodny, a sławny, jak sam Konaszewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ani mnie wola miła, ani sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła? Raz ja wziął galerę z najkraśniejszemi mołodyciami, bo je sułtanowi wieźli — i żadna serca nie zabrała. Poigrały kozaki-braty, a potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic — wojną na pogan chodził, łup brał — i jak kniaź w zamku, tak ja

był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu — i rab, o dobre słowo u ciebie żebrzę, i wyżebrać nie mogę—i nie słyszał go nigdy, nawet i wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj żeby ty dziewczyno była dla mnie inna, żeby ty była inna, nie stałoby się to, co się stało, nie byłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał; ale przez ciebie ja rozum stracił. Tyby mnie gdzie chciała zawiodła — jaby ci krew oddał, duszęby oddał. Ja teraz ot cały we krwi szlacheckiej ubroczon, ale dawniej ja tylko Tatarów bił, a tobie łup przywoził—żeby ty w złocie i klejnotach chodziła jak cheruwym Bożyj — czemu ty mnie wtedy nie kochała? Oj ciężko, oj ciężko! żal sercu mojemu... Ni z tobą żyć, ni bez ciebie, ni zdala, ni zblizka — ni na górze, ni na dolinie — hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No, daruj ty mnie, że ja przyszedł do Rozłogów po kozacku, z szablą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił—zbój nieszczęsny! A potem, jak ty mi uciekła, tak ja poprostu jak pies wył, i rany bolały, i jeść nie chciał i śmierci-matki prosił, żeby zabrała—a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię na nowo—hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladła. Im więcej niezmiernej miłości było w słowach Bohuna, tem większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

— Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana — to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł—proś czego chcesz—złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość, i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje, i Krzywonos nie pożałuje; ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję — bo choć ja kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, pode mną dziesięć tysięcy mołojców chodzi, więcej, niż pod kniaziem Jaremą. Proś czego chcesz, byleś nie chciała uciekać ode mnie — byleś została ze mną, hołubko, a pokochała!

Kniaziówna podniosła się na poduszkach bardzo blada — ale jej słodka, przecudna twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejszą była w tej chwili do orlęcia.

— Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz — rzekła — to wiedz, iż choćbym miała wiek w twojej niewoli przejęczeć, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

— Ty mi takich rzeczy nie mów—rzekł chrapliwym głosem.

— Ty mi o swem kochaniu nie mów, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

— A dla kogoż ty, kniaziówno Kurcewiczówno? a czyjaby ty była w Barze, gdyby nie ja?

— Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i niewolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

— I ty myślisz, żeby cię chłopy zabiły? Strach myśleć!...

— Nóżby mnie zabił, tyś mi go wydarł.

— I nie oddam, bo ty musisz być moja—wybuchnął kozak.

— Nigdy! wolę śmierć.

— Musisz i będziesz.

— Nigdy!

— No, żeby ty nie była ranna, to po tem, co ty rzekła, jaby dziś jeszcze pchnął mołojców do Raszkowa i mnicha za łeb kazał przyprowadzić, a jutro jaby był twój mąż. Taj co? męża grzech nie kochać i nie przyhołubić. Hej! ty panno wielmożna, tobie miłość kozacka obraza i gniew. A kto ty taka, że ja dla ciebie chłop? Gdzie twoje zamki, i bojary, i wojska? Czemu tobie gniew? czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął, ty branka. Oj, żeby ja był chłop, jaby cię nahajem po białych plecach rozumu nauczył i bez księdzaby się twoją krasą nasycił—żeby ja był chłop, nie rycerz!

— Anieli niebiescy, ratujcie mnie!—szepnęła kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała na twarzy kozaka i gniew chwytał go za włosy.

— Ja wiem — mówił — czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna! Dla innego chowasz swój wstyd dziewiczy—ale nic z tego, jakom żyw, jakom kozak! Szlachcic hołota! oczajdusza Lach nieszczery! Na pohybel-że jemu! Ledwie spojrzał, ledwie w tańcu zakręcił, i całą wziął, a ty, kozacze, cierp, łbem tłucz! Ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzeć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na Lachów, a ja idę z nim — i twego hołubka odnajdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażą jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany, wzruszenie, przestrach, zbawiły ją sił—słabość niezmierna rozeszła się po wszystkich jej członkach, oczy i myśli jej zgasły — i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś blady z gniewu, z pianą na ustach — wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie, i z ust jego wyrwał się ryk prawie nieludzki.

— Wże po nej! Horpyna! Horpyna! Horpyna!

I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co duch do świetlicy.

— Szczo s toboju!

— Ratuj! Ratuj!—wołał Bohun.—Zabił ja-ją... duszu moju, świtło moje.

— Szczo ty zduriw?

— Zabił, zabił!—jęczał watażka i ręce nad głową łamał.

Ale Horpyna, zbliżywszy się do kniaziówny, wnet poznała, że to nie śmierć, jeno omdlenie ciężkie i wyprawiwszy za drzwi Bohuna, zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

— No, doniu, nic ci—mówiła czarownica.— Ty się widać jego przelękła i pomroka cię chwyciła—ale pomroka przejdzie, a zdrowie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze na świecie żyć i szczęścia używać.

— Ktoś ty jest?—spytała słabym głosem kniaziówna.

— Ja? sługa twoja—bo on tak kazał.

— Gdzie ja jestem?

— W Czortowym Jarze. Szczera tu pustynia, nikogo tu nie zobaczysz, prócz niego.

— Czy i ty tu mieszkasz?

— Tu nasz futor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę — i będę ciebie pilnowała, w tej komnacie złocistej. Z chaty terem! aż łuna bije! to on dla ciebie wszystko to przywiózł.

Helena patrzała w hożą twarz dziewki i twarz ta wydała jej się pełną szczerości.

— A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłysły w uśmiechu.

— Będę. Zaś-bym nie była!—rzekła—ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, w końcu wybuchnęła śmiechem.

— Precz!—krzyknęła kniaziówna.

ROZDZIAŁ III.

Rankiem, we dwa dni później, Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą, wedle młyńskiego koła, i patrzali na pieniącą się na niem wodę.

— Będziesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, żeby nigdy z jaru nie wychodziła—mówił Bohun.

— U jaru ku rzece wązka szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

— Czem wy tu żyjecie?

— Czeremis pod skałami kukurydzę sadzi, wino sadzi i ptaki w sidła łapie. Z tem, co ty przywiózł, nie będzie niczego jej brakowało, chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie, i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

— Ja im kazał przysiądz. Oni wierni mołojcy, nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła, że tu ludzie przychodzą do ciebie, jako do worożychy.

— Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem jak zasłyszą, to i Bóg wie skąd. Ale zostają przy rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

— Ty ich wymordowała?

— Kto mordował, to mordował! Chce kto wróżby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzała, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

— Byleś co złego nie zobaczyła.

— Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. I takbyś lepiej nie jechał.

— Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do Baru pisał, żeby ja wracał, i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą, więc i my musimy do kupy.

— A kiedy wrócisz?

— Ne znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo Lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli my pobijemy—to wrócę po moją zazulę i do Kijowa z nią pojadę.

— A jak zginiesz?

— Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

— A jak zginiesz?

— Raz maty rodyła.

— Ba! A co ja mam z dziewczyną wtedy robić? Głowę jej ukręcić, czy jak?

— Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec.

Watażka zamyślił się ponuro.

— Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyła.

— Hej, newdiaczna to Laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, jaby ci nie była oporna— hu! hu!

To mówiąc, Horpyna trąciła po dwakroć kułakiem w bok watażkę i pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

— Idź-że ty do czorta!—rzekł kozak.

— No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole, jakby sam chciał sobie wróżyć.

— Horpyna!—rzekł po chwili.

— A co?

— Jak ja pojadę, czy ona będzie po mnie tużyła?

— Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić, to może i lepiej, że sobie pojedziesz.

— Ne choczu, ne mohu, ne smiju! Ja wiem, że onaby umarła.

— To może lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię widzi, nie chce ciebie i znać, ale jak posiedzi ze mną i z Czeremisem miesiąc, dwa— będziesz jej zaraz milszy.

— Gdyby ona była zdrowa, tak wiem, coby ja zrobił. Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub dać, ale teraz się boję, bo jak się przelęknie—duszę odda. Samaś widziała.

— Daj-że ty pokój. A poco tobie pop i ślub? Nie szczery ty kozak — nie! Ja tu nie chcę ani popa, ani księdza. W Raszkowie stoją Tatarzy dobrudzcy, jeszczeby ty ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak tyleby widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło? Jedź-że sobie i wracaj!

— A ty patrz w wodę i mów, co ujrzysz. Mów prawdę, a nie łżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrzała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i podniosła drugą zastawę, wstrzymującą wodę krynicznego wodospadu; wnet wartka fala popłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybcej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę piana kłębiła się pod kołem, jak ukrop.

Wiedźma wpiła swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

— Huku! huku! pokaż się! W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty, czy dobry, pokaż się!

Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

— Widzę!—krzyknęła wiedźma.

— Co widzisz?

— Śmierć mojego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

— Do czorta z twoim bratem! — mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słychać było tylko turkot koła, obracającego się jakby ze wściekłością.

— Sina u mego brata głowa, sineńka, kruki go dziobią!—rzekła wiedźma.

— Co więcej widzisz?

— Nic. O, jaki siny! Huku! huku! w kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, pokaż się! Widzę!

— A co?

— Bitwa! Lachy uciekają przed mołojcami.

— A ja gonię?

— Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hur! hur! hur! Ty się małego rycerza strzeż!

— A kniaziówna?

— Niema jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczery.

Bohun pożerał oczyma to piany, to Horpynę — i jednocześnie pracował głową, by pomódz wróżbom.

— Jaki druh?

— Nie widzę. Nie wiem, stary czy młody.

— Stary! pewno stary!

— Może i stary.

— To wiem, kto on. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białem okiem. Na pohybel-że jemu! Ale on mnie nie druh.

— On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czekaj! jest i kniaziówna! jest, w wianku rucianym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

— To ja.

— Może i ty. Jastrząb... czy sokół? Jastrząb!

— To ja.

— Czekaj. Już nie widać... W kole dębowem, w pianie białej... O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo! jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkimi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

— A kniaziówna przy mnie?

— Niema jej; ty w obozie.

Znowu nastała chwila milczenia. Koło huczało, aż się cały młyn trząsł.

— Hej, co tu krwi! co tu krwi! co trupów! wilcy nad nimi! krucy nad nimi! — zaraza nad nimi! Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy! nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwiał tuman z koła — a jednocześnie wyżej, nad młynem, ukazał się potworny Czeremis, z wiązką drzewa na plecach.

— Czeremis, załóż stawidło! — zawołała dziewka.

To rzekłszy, poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamyślony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

— Ty nic więcej nie widziała? — spytał ją.

— Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

— A nie łżesz?

— Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą, wołami za nogi naciągną. Mnie jego żal. Hej, nie jemu jednemu śmierć pisana! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam; będzie wielka wojna na świecie.

— A ty ją widziała z jastrzębiem nad głową?

— Tak jest.

— I ona była w wianku?

— W wianeczku i w białej sukni.

— A skąd ty wiesz, że ten jastrząb to ja? Ja tobie o tym Lachu szlachcicu powiadał; może to on?

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

— Nie! — rzekła po chwili, wstrząsając głową — kołyby buw Lach, toby buw oreł.

— Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

— Taki koniecznie pojedziesz?

— Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze w piśmie od Chmiela czytał.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego, bo nie chciał za prostaka uchodzić.

— To i jedź! — rzekła wiedźma. — Ty szczęśliwy, hetmanem zostaniesz, ja ot tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę.

— I hetmanem zostanę i kniaziównę za żynku wezmę, mnie nie chłopkę brać.

— Z chłopką tyby inaczej gadał, ale tej cię wstyd. Ty powinien być Lachem.

— Ja-że ne hirszy.

To rzekłszy, Bohun poszedł do stajni, do mołojców, a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce nie sporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców w świetlicy, z teorbanem w ręku i patrzał na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunąwszy się w drugi kąt izby, odmawiała cicho różaniec, nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak, jakby go wcale w świetlicy nie było. On, przeciwnie, śledził z pod ściany oczyma każdy jej ruch, łowił uszami każde westchnienie — i sam nie wiedział, co z sobą zrobić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę, i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmielała go twarz blada, milcząca, z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimowoli przypomniał sobie podobne wieczory w Rozłogach, i stanęły mu w myśli jakoby żywe, jako siadali on i Kurcewicze naokół dębowego stołu. Stara kniahyni łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka — on wpatrywał się w śliczną kniaziównę, tak, jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas, gdy opowiadał swe wyprawy z siczowymi — ona słuchała — i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchylone usta malinowe świadczyły, z jakiem słuchała zajęciem. Teraz ani spojrzała. Wówczas bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała, i patrzała, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica — może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższym jej i równiejszym stanem. — Kurcewicze byli jego bracia, więc ona, ich siostra, była mu nietylko zazulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemiłosierna. Ej, gniew w nim wrze. Pokazałby on jej, co to kozaka poniewierać, ale on tę niemiłosierną panią kocha — krew za nią wytoczył, a ile razy gniew go za piersi pochwyci — to jakby jakaś niewidzialna ręka chwyta go za czub, jakiś głos huknie w ucho: „stój!“ Zresztą, ot, wybuchał już jak płomień i potem łbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się kozaczysko, bo czuje, iż on jej ciężky w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała — to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swą zgryzotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Gdyby to on jej dawniej nie znał, gdyby to

Дніпропетровська
ОБЛАСНА БІБЛІОТЕКА

była Laszka, wzięta z pierwszego szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości — ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi, i wszystko co miał, chciał oddać. Tem mu większy wstyd chłopem być przy niej, tem mniej do niej śmiały.

Czas upływa, a z przed chaty dochodzi szmer rozmów mołojców, którzy pewnie już na kulbakach siedzą i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień łuczywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban — a ona, żeby choć spojrzała! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno, i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiegoby z duszy pragnął, boi się, że odjedzie z goryczą, z gniewem, z bólem.

Ej! gdyby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tem milsza!...

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

— Kniaziówno! — rzekł — już mnie czas w drogę.

Helena milczała.

— A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

— Jedź waćpan z Bogiem! — rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to, czego chciał, ale on chciał inaczej.

— No, wiem ja — rzekł,— że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszyby był dla ciebie ode mnie. Ja cię tu przywiózł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodził się z tobą, jak się godziło, jak z korolewną? Sama powiedz. Czy to ja już taki zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

— W Bożej jestem mocy — rzekła z tą samą jak i poprzednio powagą, — ale że waćpan się przy mnie hamujesz, dziękuję i za to.

— To już pojadę, chociaż z takiem słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

— Żal mi cię tu samą zostawić — mówił Bohun, — żal odjeżdżać, ale mus. Lepiejby było, żeby ty się uśmiechnęła, żeby krzyżyk ze szczerego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

— Wróć mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści, i ja ci odpuszczę, i błogosławić ci będę.

— No, może jeszcze będziesz — rzekł kozak,— może ty jeszcze pożałujesz, żeś taka dla mnie sroga.

Bohun chciał kupić chwilę pożegnania, choćby za pół obietnicę, której dotrzymać nie myślał — i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość z jej twarzy znikła. Splotła dłonie przy piersiach i utkwiła w niego wzrok jasny.

— Byłżebyś ty...

— No, ne znaju — rzekł cicho kozak, bo go i wstyd i litość chwyciły jednocześnie za gardło.— Teraz ja nie mogę, nie mogę— orda w Dzikich Polach leży, czambuły wszędy chodzą — od Raszkowa dobrudzcy Tatarzy idą — ne mohu, bo strach, ale jak wrócę... Ja przy tobie detyna. Ty ze mną co chcesz zrobisz. Ne znaju... ne znaju!...

— Niech cię Bóg natchnie, niechże cię Święta Przeczysta natchnie... Jedź z Bogiem!

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpił w nią wargi — nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny — i rękę puścił. Natomiast, cofając się ku drzwiom, bił pokłony w pas po kozacku, bił jeszcze we drzwiach i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar rozmowy, brzęk broni, a później słowa pieśni, połamanej na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna
Pomeż kozakami,
Pomeż druhami,
Na dowhija lita,
Do kińca wika...

Głosy i tętent oddalały się i cichły coraz bardziej.

ROZDZIAŁ IV.

— Cud jawny już Pan Bóg raz nad nią okazał — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbipięty, siedząc w kwaterze Skrzetuskiego — cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzedz; ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szepce, że on ją znowu porwał. Bo uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Pułjanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został — żeby go dyabli sprawili! — a więc przy wzięciu Baru musiał być.

— Mógł jej nie odnaleźć w owym tłumie nieszczęsnych; przecie tam na dwadzieścia tysięcy ludu wycięto — rzecze pan Wołodyjowski.

— To jego waść nie znasz. A jabym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóż nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował i gdzieś wywiózł.

— Niewielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych ręku zostawać.

— I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohańbiona..

— Desperacya! — rzecze Wołodyjowski.

— Och, desperacya! — powtórzył Longinus.

Zagłoba począł szarpać wąs i brodę, nakoniec wybuchnął:

— Żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcypieski! żeby z ich bebechów poganie cięciwy pokręcili! Bóg stworzył wszystkie nacye, ale ich dyabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiały!

— Nie znałem ja tej słodkiej panny — mówił smutnie Wołodyjowski—ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościgło.

— Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy wspomnę, z żalu żyć hadko! — rzekł pan Longinus.

— To wam — wołał pan Zagłoba,— a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował i z toni takiej wyprowadził—cóż mnie?

— A cóż panu Skrzetuskiemu? — pytał Wołodyjowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pogrążyli się w milczeniu.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

— Zali już niema rady? — spytał.

— Jeśli rady niema, to obowiązek jest pomścić — odpowiedział Wołodyjowski.

— Oby Bóg dał prędzej walną bitwę! — westchnął pan Longinus.— Mówią o Tatarach, że już się przeprawili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

— Nie może być, abyśmy ją niebogę tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie przedsiębiorąc. Dość ja już po świecie starych kości natłukłem, lepiejby mi teraz gdzie w spokoju, w jakiej piekarni dla ciepła legiwać, ale dla tej niebogi pójdę jeszcze choćby do Stambułu, choćbym nanowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorban wziąć, na który bez abominacyi spojrzeć nie mogę.

— Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co — rzekł pan Podbipięta.

— Siła mi już sposobów przez głowę przechodziło. Gdyby choć połowę takich miał książę Dominik, toby już Chmielnicki wypatroszony za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówiłem już o tem i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Boleść się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomieszał. Często się trafia, że od wielkich smutków mens poczyna robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

— Bywa to, bywa! — rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał:

— Jakież są tedy waści sposoby?

— Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona nieboga najmilsza — niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego! — żywa jeszcze, a dowiedzieć się możem dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcymi kozakami ludzi wiernych i pe-

wnych, którzy się podejmą niby to do kozaków uciec, pomieszać się między Bohunowymi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć...

— Ja mam dragonów Rusinów! — przerwał Wołodyjowski — ja takich ludzi znajdę.

— Czekaj waść... albo złapać języka z tych hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego dyabelska fantazya podoba: pieśni o nim śpiewają — żeby im gardziele poropiały! — i jeden drugiemu bają o tem co zrobił i o tem czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed nimi nie ukryło.

— To można i ludzi posłać swoją drogą, i o języka się starać swoją drogą — zauważył pan Podbipięta.

— Trafiłeś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje — to jest najgłówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerem sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej eksperyencyi. Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył — a jak raz będziem wiedzieli, to już głowa moja w tem, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał—no, toby nas matki rodzone potem nie poznały, ale waszmościów obydwóch nie widział.

— Mnie widział — rzekł pan Podbipięta — ale mniejsza z tem.

— Może też jego Pan Bóg poda w nasze ręce! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Już ja go tam nie chcę widzieć — mówił dalej Zagłoba. — Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział, a już to ręczę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

— Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą. Jeśli tylko książę pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

— Książę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię. Posłuchajcie waszmościowie: przychodzi mi do głowy i drugi sposób, oto abyśmy zamiast ludzi wysyłać, albo języków łapać, sami poprzebierali się po chłopsku i ruszyli, nie mieszkając.

— O, nie może to być! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Czemu nie może być?

— To chyba waść służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie nemine excepto stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzysz ci nie pójdzie wtedy permisyi odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest największy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po bitwie walnej, gdy nieprzyjaciel rozproszon, można, ale nie przedtem. I uważ waść: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać, i lecieć i ratować, a ani pary nie puścił. Reputacyę on już ma, książę go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak tam gdzieindziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody niebywała rzecz

permisya przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycyą do księcia.

— Rzymianin on jest i rygorysta, wiem—mówił pan Zagłoba — ale żeby tak kto księciu podszepnął, możeby jemu i waszmościom z własnej woli dał permisyę.

— Ale to jemu w umyśle nie postoi. Książę całą Rzeczpospolitą ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się walą, całego narodu tyczące—żeby on się czyjąś prywatą zajmował? A choćby też, co jest niepodobne, nieproszony permisyę dał, tedy jak Bóg na niebie, niktby z nas teraz z obozu nie wyruszył, bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

— Wiem ci ja o tem, wiem, i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, niewielebyśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigani, gdy własne gardła będą tylko ratowali, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy, i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jaknajprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czołhańskim Kamieniem zamartwimy. Żeby tak przy naszym księciu była komenda, jużbyśmy ruszali, ale książę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd niema.

— We trzech dniach już się go spodziewają.

— Dajże go Boże jak najprędzej! Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

— Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł pan Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś, boleść z kamienia wykowała, taki bił od niej chłód i spokój.

Dziwno było patrzeć na tę twarz młodą, a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie postał—i zgadłbyś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do wpół piersi, a w tej brodzie, śród czarnego jak krucze pióra włosa, wiły się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przytomny, napozór spokojny, w służbie swej żołnierskiej jeszcze prawie niż zwykle pilniejszy i cały blizką wojną zajęty.

— Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jest i nasze—rzekł pan Zagłoba—gdyż Bóg świadkiem, niczem się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment, gdybyśmy waćpanu łzy jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

— Bóg zapłać!—rzecze pan Skrzetuski.

— Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego —mówił pan Wołodyjowski, poglądając niespokojnie na przyjaciela.

— Bóg zapłać!—powtórzył pan Jan.

— Wiemy — mówił Zagłoba — żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski, siadłszy na ławie, oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic, aż złość porwała Zagłobę.

— Żaliby on miał zamiar jej zaniechać?—pomyślał.—Jeśli tak, niech-że mu Bóg sekunduje! Niemasz widzę ani wdzięczności, ani pamięci na świecie. Ale znajdą się tacy, którzy będą ją jeszcze ratowali, chybabym wprzód ostatnią parę wypuścił.

W izbie zapanowało milczenie, przerywane tylko westchnieniami pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię:

— Skąd wracasz?—rzekł.

— Od księcia.

— I co?

— Wychodzę na noc z podjazdem.

— Daleko?

— A pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga.

Wołodyjowski spojrzał na Zagłobę i zrozumieli się odrazu.

— To ku Barowi?—mruknął Zagłoba.

— Pójdziemy z tobą.

— Musisz iść po permisyę i spytać, jeśli książę innej roboty ci nie przeznaczył.

— To chodźmy razem. Mam też i o coś innego spytać.

— I my z wami—rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera książęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali już pełno oficerów z pod różnych chorągwi, bo wojska zewsząd nadciągały do Czołhańskiego Kamienia, wszyscy zaś biegli służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim razem z panem Podbipiętą przed obliczem pańskiem stanąć mogli, ale za to książę odrazu pozwolił, i samym jechać, i dragonów Rusinów kilku wysłać, którzyby, zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do Bohunowych kozaków i tam się o kniaziównę wypytywali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

— Sam ja funkcye różne Skrzetuskiemu wynajduję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nic-że on wam o niej nie mówił?

— Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między kozaków naoślep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie n e m i n e e x c e p t o stoją, i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkiem ratować trzeba, i dlatego u waszej książęcej mości wcale nie był. Bóg jeden wie co się w nim dzieje.

— I doświadcza go też ciężko. Czuwajże wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nizko i poszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia wojewoda kijowski z panem starostą stobnickim, z panem Denhofem, starostą sokalskim, i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

— I cóż?—spytał go Skrzetuski.

— Jadę z tobą, jeno wpierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

— Chodźmy razem.

Wyszli, a z nimi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego, spotkali pana Łaszcza, idącego, a raczej taczającego się, na czele kilkunastu szlachty, gdyż i on i towarzysze byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem koronnym z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne, jak dwie krople wody. Pan Łaszcz bowiem, choć rycerz straszliwy, dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, który czas, od bitew, modlitw, zajazdów i zabijatyk wolny, lubił nadewszystko spędzać w kole takich ludzi, jak pan Zagłoba, pić na umór i krotochwil słuchać. Był to warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju, tyle razy przeciw prawu wykroczył, że w każdem innem państwie byłby dawno głową nałożył. Ciążyła też na nim niejedna kondemnata, ale on nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tembardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był pod Rosołowcami i niemałe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu, stał się prawie nieznośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą niktby nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał, z wielką uciechą gospodarza, który też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba sposępniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet p. Łaszcz, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu ręce i rzekł:

— Witam-że waćpana! czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

— Panu Skrzetuskiemu towarzyszę—odparł posępnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie w Zbarażu, w czasie której wieść przyszła o wzięciu Baru. Ale jako z natury człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i schwyciwszy porucznika za guz od żupana, spytał:

— To acpan po pannie płaczesz? a gładka była? co?

— Puść mnie waszmość pan!—rzekł Skrzetuski.

— Czekaj!

— Za służbą idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana powolny.

— Czekaj!—mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka.— Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazania nie ma!

Potem zniżywszy głes, powtórzył pytanie:

— A gładka była, co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

— Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiejby nie tykać.

— Nie tykać? Nie bój się! Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego, powlokła się śmiertelną bladością, ale się pohamował i rzekł:

— Mości panie... bym nie zapomniał, z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

— Co to? grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki?

— Ruszaj-że, mości strażniku, w swoją drogę! — huknął, trzęsąc się ze złości, stary Zaćwilichowski.

— A wy chłystki, szaraki, sługusy! — wrzeszczał strażnik. — Mości panowie do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył nią do Skrzetuskiego, ale w temże mgnieniu oka żelazo świsnęło w ręku pana Jana, i szabla strażnika furknęła, jak ptak w powietrzu, on sam zaś zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię.

Pan Skrzetuski nie dobijał, jeno stał blady jak trup, jakby odurzony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: „Bij! bij!“ Wielu nadlatywało, nie wiedząc o co idzie. Szable poczęły szczękać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście, towarzysze Łaszcza, widząc, iż coraz przybywało Wiśniowieczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić.

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innem, mniej karnem wojskiem, byliby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwilichowski, oprzytomniawszy, krzyknął tylko: „Stój!“ i szable schowały się do pochew.

Niemniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza, iż pan Kuszel będący na służbie, wpadł do izby, w której książę z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował—i krzyknął:

— Mości książę, żołnierze szablami się sieką!

W tej chwili pan strażnik koronny, blady i bezprzytomny ze wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

— Mości książę, sprawiedliwości!—wołał.— W tym obozie jak u Chmielnickiego, ani na krew, ani na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych sieką! Jeśli wasza książęca mość sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skażesz, to ja sam sobie ją wymierzę!

Książę porwał się z za stołu.

— Co się stało? kto waszmości pana napastował?

— Twój oficer Skrzetuski!

Prawdziwe zdumienie odbiło się na twarzy księcia.

— Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwilichowski.

— Mości książę, ja byłem świadkiem—rzekł.

— Ja tu nie racye dawać przyszedłem, jeno kary żądać! — zawołał Łaszcz.

Książę zwrócił się ku niemu i utkwił w niego oczy:

— Powoli, powoli!—rzekł z cicha i z przyciskiem.

Było coś tak straszliwego w oczach i przyciszonym głosie, że strażnik, choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił, a panowie aż przybledli.

— Mów waść!—rzekł książę do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym, nietylko dygnitarza, ale i szlachcica sentymentem powodowany pan strażnik, począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił; jaką moderacyę, jego wiekowi prawdziwie niezwyczajną, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręża poprzestając;—nakoniec staruszek tak skończył:

— A jako mnie wasza książęca mość zna, iż do siedmdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalało i póki żyw będę nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacyi mojej zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przytem zbyt dobrze znał Łaszcza. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy, spojrzał na pana strażnika.

— Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona — rzekł.

Pan strażnik usta otworzył i chciał coś mówić, ale słowa mu jakoś nie dopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

— Żeleński — rzekł książę — oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco, widząc książęcego pacholika, był bowiem pewien, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list i nic nie mówiąc, wyszedł, a Skrzetuski przeczytawszy go, podał przyjacielowi.

— Czytaj! — rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrzał i wykrzyknął:

— Nominacya na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego, ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikowstwo w husarskiej chorągwi było niemal dygnitaryatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmitrzem był sam książę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już stary i dawno z czynnej służby wybyły. Pan Jan oddawna sprawował de facto obowiązki jednego i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w których dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytularnemi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrzem królewskiej chorągwi bywał sam król,

prymasowskiej prymas, porucznikami w obudwóch wysocy dygnitarze dworscy, sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu w zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwano. Takim faktycznym porucznikiem vel pułkownikiem był pan Jan. Ale między faktycznem sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną, była jednak wielka różnica. Obecnie, na mocy nominacyi, pan Skrzetuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozpływali się z radości, winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę i pozostała tak samo surową i kamienną, bo już nie było takich godności a dostojeństw na świecie, któreby mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwaterze, zacierając ręce.

— No, no!—mówił—porucznik nominowany w husarskiej chorągwi! W takich młodych leciech, jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

— Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście!—rzekł Zagłoba.

— Ot co jest! ot co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

— Wolałby on się tego zrzec—rzekł pan Longinus.

— Mości panie! — westchnął Zagłoba — cóż dziwnego! Jabym oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem nimi chorągiew zdobył!

— Tak to, tak!

— Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć? — zauważył Wołodyjowski.

— Pewnie że umarł.

— Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcyę sprawuje.

Pytanie to pozostało nierozstrzygnięte, ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

— Mości panie!—rzekł do pana Podbipięty — książę mianował waści namiestnikiem.

— O Boże! Boże!—jęknął pan Longinus, składając jak do modlitwy ręce.

— Tak samo mógłby jego inflancką kobyłę mianować—mruknął Zagłoba.

— No, a podjazd?—spytał pan Wołodyjowski.

— Jedziemy, nie mieszkając—odpowiedział pan Skrzetuski.

— Siła kazał książę ludzi wziąć?

— Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięciuset ludzi.

— Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę!

— W drogę, w drogę! — powtórzył pan Zagłoba. — Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniem.

We dwie godziny później, równo z zachodem słońca, czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czołhańskiego Kamienia ku południowi, prawie zaś jednocześnie opuszczał obóz razem ze swymi ludźmi pan

strażnik koronny. Patrzało na ten odjazd mnóstwo rycerstwa z pod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i urągań; oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, który opowiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło.

— Ja mu nosiłem rozkaz księcia—mówił pan Kuszel — i wierzajcie waszmościowie, iż periculosa to była misya, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczeć, jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziaka porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał Niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę, i moich dragonów z bandoletami w ręku. Dopiero wziął krzyczeć: „Dobrze! dobrze, odejdę, kiedy mnie wypędzają! Pójdę do księcia Dominika, który mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomszczę (krzyczał), jakem Łaszcz! jakem Łaszcz!—i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcyę!“ Myślałem, że go jad zaleje—a stół to dziobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, żem nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem niema żartów. Zawzięty to jest człek i dumny, który jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, odważny i przytem dygnitarz.

— Co się zaś ma Skrzetuskiemu trafić sub tutela księcia pana!—rzekł jeden z oficerów. — I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik, nie wiedząc nic o ślubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, oddalał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ożygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień powarzył liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła jak w lipcu, bo taki to już był cały ów rok, w którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat legiwał jeszcze głęboki śnieg na stepach. Po dość mokrem lecie, pierwsze miesiące jesieni nastały suche a łagodne, o bladych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze, nie strażując zbytecznie, bo byli jeszcze zbyt blizko obozu, aby jaki napad miał grozić — jechali żwawo: namiestnik z kilkunastu końmi na przedzie a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

— Obaczcie-no waszmościowie, jako się światło miesiąca kładzie na owem wzgórzu — szeptał pan Zagłoba — przysiągłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze, wyszłe z ciał, łbów sobie nie rozbijały pociemku o drzewa, jako wróble w stodole o krokwie, i łatwiej drogę znalazły. Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

— Ześmy to już przecie wyjechali i jakowyś ratunek przedsiębierzem—to grunt! rzecze Wołodyjowski.

— Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć — mówił dalej Zagłoba—gdy na koń siędziesz, zaraz ci desperacya od trzęsienia się coraz niżej zlatuje, aż ją w końcu i zgoła wytrzęsiesz.

— Nie wierzę ja — szepnął Wołodyjowski—aby tak wszystko można wytrząść — exemplum: afekt, który się niby kleszcz w serce wpija.

— Gdy jest szczery — rzecze pan Longinus — to choćbyś się z nim, jako z niedźwiedziem borykał, zmoże cię.

To rzekłszy, pan Longinus ulżył wezbranej piersi westchnieniem, podobnem do sapnięcia miecha kowalskiego, zaś mały Wołodyjowski podniósł oczy ku niebu, jakby szukał między gwiazdami tej, która księżniczce Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocztowi odpowiadali im: „Zdrów! zdrów!“ — potem uciszyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos począł śpiewać w tylnych szeregach:

„Jedziesz na wojnę, nieboże,
Jedziesz na wojnę!
Noce ci będą na dworze,
A dzionki znojne...“

. . . . . .

— Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze prychają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk jeszcze powiadał — rzekł Wołodyjowski.

— Coś mnie jakoby w ucho szepce, że nie napróżno jedziemy—odpowiedział Zagłoba.

— Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otucha w serce wstąpiła—westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić, jak człowiek, który z jakąś myślą się nie może uporać, a nakoniec ozwał się:

— Całkiem mnie co innego w głowie siedzi, i muszę się już chyba przed waćpanami z tej myśli spuścić, gdyż mi jest wcale nieznośna: oto czyście waściowie nie zauważyli, że od niejakiego czasu Skrzetuski — nie wiem — może dysymuluje — ale taki jakby najmniej z nas wszystkich o salwowaniu onej niebogi myślał.

— Gdzie zaś! — odpowiedział Wołodyjowski: — humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wyznać. Nigdy on nie był inny.

— To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przypomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazywali, mówił: „Bóg zapłać!“ i mnie i waćpanu, tak negligenter, jakby o lada jaką sprawę chodziło, a Bóg widzi, czarnaby to była z jego strony niewdzięczność, bo co się ta nieboga po nim napłakała i natęskniła, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrząsnął głową.

— Nie może to być, aby on jej zaniechał — rzekł — choć prawda, że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozłogów ów dyabeł porwał, desperował tak, iżeśmy się o jego mentem obawiali, a teraz daleko więcej okazał upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał, to i lepiej. Jako szczerzy przyjaciele, powinniśmy się z tego cieszyć.

To rzekłszy, Wołodyjowski konia spiął i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu wedle pana Podbipięty.

— Czy wasze nie tego mniemania, co i ja, że gdyby nie amory, siła złego nie stałoby się na świecie?

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie — odparł Litwin.

— A waćpan to nigdy k'rzeczy nie odpowiesz. To inna sprawa, a to inna. Przez co Troja zburzona? hę? Albo to i ta wojna nie o ryżą kosę? Zachciało się Chmielowi Czaplińskiej, czy też Czaplińskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręcimy.

— Bo to niepoczciwe amory, ale są i zacne od których chwała Boża się przymnaża.

— Teraześ waćpan lepiej utrafił. A prędkoż sam w onej winnicy pracować poczniesz? Słyszałem, żeć szarfą na wojnę przewiązano.

— Braciaszku!... Braciaszku!...

— Ale trzy głowy na zawadzie stoją, co?

— Ach! tak ono i jest!

— To ci powiem: machnij dobrze i utnij odrazu: Chmielnickiemu, chanowi i Bohunowi.

— Żeby się to tylko chcieli ustawić!—odrzekł rozrzewnionym głosem pan Longin, wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu z pod hełmu na jego martwą twarz, aż wreszcie trącił strzemieniem w jego strzemię.

— Janie!—rzekł—źle, że się zapamiętywasz.

— Ja się nie zapamiętywam, jeno się modlę — odpowiedział Skrzetuski.

— Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił zwolna swoją męczeńską twarz ku Wołodyjowskiemu i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacyi głosom:

— Powiedz-że, Michale, co mnie pozostaje więcej prócz habitu?...

— Pozostaje ci ją ratować—odpowiedział Wołodyjowski.

— Tak też i uczynię, do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie za późno? Strzeż mnie Boże, bo o wszystkiem mogę myśleć, tylko nie o tem, strzeż Boże rozumu mojego! Już ja niczego więcej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli Bożej nie było... Daj mnie się modlić, Michale, a krwawiącej rany nie tykaj...

Wołodyjowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze było pocieszać, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło i jechali dalej w głuchem milczeniu, tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał wi-

docznie myśli okropne odpędzić, a małego rycerza, gdy spojrzał przy świetle księżyca na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędzniała, przez posty i umartwienia.

„Znajdziesz po wojnie, nieboże,
Znajdziesz po wojnie,
Pustki z powrotem w komorze,
Ran w skórze hojnie.“

ROZDZIAŁ V.

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając straże, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przedewszystkiem zbierał wieści o nieprzyjacielu, poczem wychodził, nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś, zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swymi czterdziestu tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też rzuciwszy bezowocne oblężenie, idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej co robią dobrudzcy Tatarzy? — czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzywonosem, czy z tamtej strony jeszcze leżą? Ważne to były dla obozu polskiego wiadomości, i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom do głowy, przeto książę wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeliby bowiem pokazało się, że Krzywonos razem z białogrodzkimi i dobrudzkimi hordami zaniechał niezdobytego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył—tedy należało jak najprędzej na tego ostatniego uderzać, nimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem generał-regimentarz, książę Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się w chwili wyjazdu Skrzetuskiego; dopiero za dwa, lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie ucztował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijała najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego i książę Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzoną będzie, to nietylko Krzywonos i ordy zadniestrzńskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam chan na czele wszystkich perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że chan już Dniepr przebył i że dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książę Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszem, że wojska stojące pod Czołhańskim Kamieniem muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą—i że w razie klęski regimentarzy, nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej, pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tem był niebezpieczniejszy, że na wypadek, gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on idąc z pod Kamieńca wprost na północ, aż pod Konstantynów, mógł im zagrodzić odwrót, a w każdym razie wówczas byliby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nietylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go i powstrzymać. Przejęty ważnością swego zadania, od którego spełnienia los całego wojska w części zależał, ważył porucznik chętnie życie swoje i swoich żołnierzy; jednakże przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywane byćby mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępnym bojem w pięciuset ludzi powstrzymać czterdziestotysięczną Krzywonosową watahę, posiłkowaną przez białogrodzkie i dobrudzkie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać i wiedział doskonale, że w razie bitwy, w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszów—chwycił się więc innych środków. Oto naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizyi strasznego księcia, i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich futorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotrycza, Studzienicy, Uszki, Kałusiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocimiu, i Zaporożcy w Jampolu, i Tatarzy w Raszkowie. I znowu rozległ się ów znany okrzyk: „Jarema idzie!“ od którego zamierały serca zbuntowanego ludu: drżał on z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił o prawdzie wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jeremа na Krzywonosa—to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni i większe siły, a jednak zostali pobici, zdziesiątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego mołojcy będą się bili jak wściekli przeciw każdym innym wojskom Rzeczypospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale za zbliżeniem się Jeremy, pierzchną jak stado łabędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen ku Bracławowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kołując na czas nie zdąży, ale przynajmniej na czas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit — puszczał je, jak i poprzednie, umyślnie pan Skrzetuski; wówczas, w pierwszej chwili, nie wiedział już nieszczęsny watażka co począć.

Następnie postanowił tembardziej na wschód ruszyć, jak najdalej się w stepy posunąć — może też spotka Tatarów i przy nich się schroni.

Ale przedewszystkiem chciał się upewnić; dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogoby znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło, i trzeba było koniecznie znaleźć takiego człowieka, któryby na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela, ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni łamany kołem, nie wydał planu ucieczki.

Nakoniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohuna i rzekł mu:

— Słyszysz, Jurku, mój przyjacielu! idzie na nas Jarema z potęgą wielką — zginąć przyjdzie nieszczęsnym!

— Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami, bat'ku, o tem mówili — ale czemu nam ginąć?

— Ne zderżymo. Innemuby zdzierżyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

— A ja się jego nie boję — ja mu pułk w Wasilówce na Zadnieprzu wyciął.

— Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka, mołojecka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kiścieni rzucali, że ich na rzeź chcę prowadzić.

— To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

— Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

— Temu ja nie wierzę, ojcze Maksymie. Chmiel lis, bez Tatarów nie uderzy na Lachów.

— Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedyby my wrażego Jaremę obeszli i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, jaby mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

— Ja pójdę, ojcze Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojeckiej!

— Ty drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będziesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad kozakami, nad dobrymi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idźże ty, sokole, a potem czego chcesz żądaj. No, ja ci powiem, żeby ty nie poszedł, to jaby poszedł sam, ale mnie nie można.

— Nie można, bo jakbyście wy, ojcze, wyszli, takby mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójdę, tak im serca przybędzie.

— A siła komunika ci dać?

— Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść — ale z pięciuset dobrych mołojców dajcie, a moja głowa, że wam języków przywiozę i nie pocztowych, ale towarzyszów, od których się wszystkiego dowiecie.

— Jedźże zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spasenie Lacham, a na pohybel nam niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Mołojcy jego, jako nieodmiennie bywało w takich okazyach, pili na zabój, „nim śmierć matka przytuli," on zaś pił z nimi, aż parskał gorzałką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegciu zatoczyć, i jak był w altembasach i sajetach, rzucił się w nią we wszystkiem, zanurzył się raz, drugi, razem z głową — i wykrzyknął:

— Czarny ja teraz, jak noc matka, lackie oczy nie dojrzą!

I wytarzawszy się na perskich kobiercach zdobycznych, skoczył na koń, i pojechał, a za nim poczłapali, śród pomroki nocnej, wierni mołojcy, przeprowadzani okrzykiem:

— Na sławu! na szczastie!

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarmoliniec; tam trafiwszy na opór, sprawił krwawy chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz kniaź Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudzonym koniom i żołnierzom.

Potem zebrawszy na naradę towarzyszów — rzekł im:

— Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgoła mają nas za przednią straż książęcą i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie opatrzyli, widząc, iż jedna kupa wszędzie chodzi.

— A długoż my tak będziem chodzili? — spytał pan Zagłoba.

— Póki o Krzywonosie nie będziem wiedzieli, co postanowił.

— Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

— Być to może — odrzekł pan Skrzetuski.

— Mości panie, wielcem z tego nierad — rzekł szlachcic. — Zaprawiło się trocha ręce na hultajstwie pod Konstantynowem, zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha! palce świerzbią...

— Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz— odparł odważnie pan Skrzetuski.

— O! a to quo modo? — pytał dość niespokojnie Zagłoba.

— Bo lada dzień możem się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagrodzić, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materyi: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku miejscach na raz o nas wiedziano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

— Tak i ja mniemam — rzecze Wołodyjowski — będziem im się w oczach mnożyć i ci, którzy uciekną do Krzywonosa, o krociach będą gadali.

— Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź— rzekł Podbipięta.

— Pójdę ja na Zinków, ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to i dalej — mówił Skrzetuski,— waćpan mości namiestniku Podbi-

pięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom — ty, Michale, pojedź pod Kupin, a pan Zagłoba dotrze do Zbrucza koło Satanowa.

— Ja? — rzecze pan Zagłoba.

— Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, to czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

— Weźmie, ale pod moją komendą — zawołał Zagłoba, którego nagle olśniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału.—Jeślim się pytał dlaczego, to że mi się żal było z wami rozłączać.

— Czy jeno masz waćpan eksperyencyę w rzeczach wojskowych? — spytał Wołodyjowski.

— Czy mam eksperyencyę? Jeszcze żaden bocian nie myślał o tem, aby z waści prezent ojcu i matce zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotądbym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata siedział. Musiałem za bezoarem do Galaty jeździć, o której peregrynacyi szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

— Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puszczaj, że Chmielnicki już pobit i że książę Płoskirów już minął — rzekł pan Skrzetuski.— Ladajakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy z pod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzyby o Krzywonosie mogli dać wiadomości, bo ci, których mamy, dają relacye sprzeczne.

— Obym samego Krzywonosa napotkał! niechby mu przyszła chętka na podjazd wyjechać, zadałżebym mu pieprzu z imbirem! Nie bójcie się waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać — ba, nawet i tańcować!

— We trzech dniach zjedziem się napowrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę — rzekł Skrzetuski.— A ludzi proszę waszmościów oszczędzać!

— We trzech dniach w Jarmolińcach! — powtórzyli: Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

ROZDZIAŁ VI.

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam, na czele swego oddziału, zrobiło mu się jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno, i dużo byłby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał,

i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męstwo.

Jechał więc z początku dość posępnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć i mruczał:

— Zawsze raźniejby było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego stworzył, a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy dzbanie, albo rybom we wodzie. W to im graj! Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie i wiem jako jest peritus. Tak on trzepie ludzi, jako mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów Litwin, co własnej głowy nie ma, a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi być nielada, miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał — osa to musi być! Szczęściem, niedaleko on ode mnie ciągnie, i myślę, że najlepiej zrobię, jeśli się z nim połączę, bo jeśli wiem dokąd iść, to niech mnie kaczki zdepczą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie — aż się sam swej samotności użalił.

— Tak to, tak! — mruczał.— Każdy ma się na kogoś obejrzeć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki. Sierotam jest—i kwita!

W tej chwili wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu:

— Mości komendancie, dokąd idziemy?

— Dokąd idziemy? — powtórzył pan Zagłoba — co?

Nagle wyprostował się w siodle i wąs pokręcił.

— Do Kamieńca, jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu?

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruczał dalej:

— Jeśli do Kamieńca pójdę, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty, turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie, więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolałbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz za dużo nas, by fortelami wojować, a za mało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przyszła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I dokąd ja pójdę? Wiem co za mną, ale kto mi powie, co przede mną, i kto mi zaręczy, czy dyabli tam jakiej pułapki nie nastawili? Krzywonos i Bohun. Dobra sfora. Żeby ich dyabli obłuszczyli! Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie z nim się spotkać — wysłuchaj go Panie! Życzę mu tego, czego sobie sam życzy, bom mu przyjaciel — amen! Dotrę do Zbrucza i wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej im przywiozę, niż sami chcą. O to nie trudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

— Mości komendancie, jakowychś jeźdźców za wzgórzem widać!

— Niech jadą do dyabła! Gdzie? gdzie?

— A no tam za górą. Znaki widziałem.

— Wojsko?

— Zdaje się wojsko.

— Niech ich psi kąsają! A siła ich?

— Nie wiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli potęga za wielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, usłyszy i na pomoc skoczy.

Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy, jak wino. Być może, że to desperacya dała mu taki do czynu pochop; być może nadzieja, że pan Wołodyjowski jeszcze blizko, dość, że gołą szablą błysnął, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

— Ukryć się za skały! wpadniemy na nich niespodzianie! Pokażemy tym hultajom...

Sprawni żołnierze książęcy z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; nakoniec dał się słyszeć gwar zbliżających się ludzi, echo niosło nutę wesołych pieśni, a po chwili jeszcze, do uszu czatujących w zasadzce doszły odgłosy skrzypków, dud i bębenka. Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

— To nie wojsko, panie komendancie, nie kozacy, to wesele.

— Wesele? — rzekł Zagłoba. — Zagramże ja im, niech poczekają!

To rzekłszy, ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

— Za mną! — krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła kłusem, potem galopem i okrążywszy skałę, stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi, zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konno: dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj „dowbysze“, trochę już pijani, wycinając od ucha skoczne kołomyjki. Za nimi panna młoda, hoża dziewczyna, w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Otaczały ją drużki, śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce — a wszystkie dziewki na koniach, siedzące po męsku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały zdala jak zastęp kraśnych kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody, wśród drużbów, z wieńcami na długich, podobnych do spis tyczkach—orszak zamykali rodzice nowożeńców i goście, wszyscy konno; jedynie beczki z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich, wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Potem orszak weselny pomieszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi drużbowie skoczyli naprzód, by piersiami zasłonić mołodycie przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczeć:

— Ha! skurczybyki, psie chwosty, rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, łajdaki? na przeszpiegi jeździcie? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę ręce podnosicie? Dam ja wam, pieskie dusze bezecne! W dyby pokuć każę, na pal powbijać, o szelmy! o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb drużba zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemię, począł kłaniać się w pas a błagać:

— Zmiłujcie się, jasny rycerzu, nie gubcie biednych ludzi. Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy, my z cerkwi, z Husiatyna, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem.

— To niewinni ludzie, panie—szepnął wachmistrz.

— Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosa na wesele przyszli!—huknął Zagłoba.

— Kołyb jeho trastia mordowała—zawołał starzec.—My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zlitujcie się, jasny panie, dozwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

— Do Jarmoliniec w łykach pójdziecie!...

— Pójdziemy gdzie każecie, panie! Wam rozkazywać, nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołnirom, żeby oni nam zła nie czynili, a sami—wybaczcie prostakom—i ot, bijem czołem pokornie: wypijcie z nami na szczęście uwieńczonym... Wypijcie, wasza miłość, na radość prostym ludziom, jako Bóg i święta Ewangelia nakazuje.

— Jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję!—rzekł ostro pan Zagłoba.

— Nie, panie! — zawołał z radością dziad — my nie myślim! Hej, grajki!—zakrzyknął na muzykę—zagrajcie dla jasnoho łycara, bo jasny łycar dobry, a wy, mołojcy, skoczcie po miód, po słodki, dla jasnoho łycara; on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro, chłopci, skoro! Diakujem pane!

Mołojcy kopnęli się co duchu do beczek, a tymczasem zawarczały bębenki, zapiszczały raźno skrzypki, dudziarz wydął policzki i począł miętosić dudę pod pachą, drużbowie potrząsali wieńcami na tykach, co widząc żołnierze poczęli się coraz bardziej przysuwać, wąsy kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na mołodycie poglądać. Zabrzmiały na nowo pieśni — i strach minął, nawet gdzieniegdzie ozwały się radosne: „U-ha! u-ha!“

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się odrazu — nawet gdy mu dano kwartę miodu, mruczał jeszcze zcicha: „A szelmy, a łaj-

daki!“ Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc oczy, mlaskając wargami, począł smakować trunek — następnie zdziwienie, ale i oburzenie odbiło się na jego twarzy.

— Co to za czasy!—mruknął.—Chamy taki miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?

To rzekłszy, przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyszli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno, a między nimi przyszła i panna młoda, Ksenia, nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłoniona i śliczna jak zorza. Zbliżywszy się, złożyła ręce:

— Pomyłujte, pane!

I całowała żółty but pana Zagłoby.

Serce w szlachcicu odrazu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa, począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę, rzekł do Kseni:

— Naści! Niech-że ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła, czarnobrewa Ksenia przypomniała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba. „Gdzie ona teraz nieboga i czy jej tam pilnują święci anieli?“—pomyślał i całkiem już był rozczulony, gotów z każdym ściskać się i bratać.

Weselnicy zaś, widząc jego wspaniały czyn, poczęli hukać z radości, a śpiewać, i cisnąć się do niego, i całować poły.

— Dobry on!—powtarzano w tłumie—zołotyj Lach! czerwinci daje, zła ne robyt, dobry pan! Na sławu, na szczastie!

Skrzypek aż się trząsł, tak ciął od ucha, dudziarzowi oczy na wierzch wylazły, „dowbyszom“ ręce ustawały. Stary bondar, tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle, teraz wysunął się naprzód i razem z żoną bondarową i starą kowalichą, matką pana młodego, nuż kłaniać się w pas, a do futoru na wesele zapraszać, że to sława takiego mieć gościa i dla młodych pomyślna wróżba—że inaczej krzywda im będzie. Za nimi kłaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która choć prosta mołodycia, odrazu poznała, że jej prośba najwięcej może. A drużbowie krzyczeli, że futor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi, stary zaś bondar, bogaty, nie takiego miodu wytoczy. Pan Zagłoba spojrzał po żołnierzach: ruszali wszyscy wąsami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i napitkach obiecując, więc choć nie śmieli prosić, by jechać, zlitował się nad nimi pan Zagłoba — i po chwili on, drużbowie, mołodycie i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej zgodzie do futoru.

Futor istotnie był niedaleko, a stary bondar bogaty, więc i wesele było szumne, popili się wszyscy mocno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki. Stare baby zawiodły Ksenię do komory i z nią się tam zamknęły; bawiły długo, poczem wyszły i oświad-

czyły, że mołodycia, jak gołąbka, jak lilia. Wtedy radość zapanowała w zgromadzeniu, podniósł się krzyk: „Na sławu! na szczastie!“—Kobiety jęły klaskać w ręce i krzyczeć: „A szczo? ne kazały!“—parobcy zaś tupali nogami i każdy tańczył w pojedynkę z kwartą w ręku, którą przed drzwiami komory „na sławu“ wypijał. Tańczył tak i pan Zagłoba, tem tylko zacność swego urodzenia dystyngwując, że nie kwartą, ale półgarncówką pił przed drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili młodego Dymitra do komory—ale że młody Dymitr ojca nie miał, więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go zastąpił—a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez ten czas uciszyło się w izbie, tylko żołnierze, pijący na majdanie przed chatą, krzyk czynili hałłakując z radości po tatarsku i paląc z bandoletów. Lecz największa radość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice zjawili się napowrót w izbie. Stary bondar ściskał z radości kowalichę, parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki, jak oka w głowie, jak hołubki i lilii *), poczem puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczęli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klaskał i w prysiudach przysiadał i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem inni, kto mógł—w izbie, kto nie mógł—na podwórcu, mołodycie z mołojcami i z żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan—zapalono stosy suchych bodiaków i łuczywa, bo zapadła już noc głęboka, i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umor, żołnierze palili z bandoletów i muszkietów, jakby w czasie bitwy.

Pan Zagłoba czerwony, spocony, chwiejący się na nogach, zapomniał co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu biły z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu—ale na czyjem? Ha! pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiła mu wreszcie jak gwóźdź w głowie i taką napełniła go radością, że począł wrzeszczeć jak opętany: „Niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się!“—i coraz nowe spełniał półgarncówki: „W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się nam dobrze działo! bodaj ten paroksyzm ojczyznę minął!“ — Tu zalał się łzami i potknął się, idąc do beczki—i potykał się coraz więcej, bo na ziemi, jak na pobojowisku, leżało mnóstwo ciał ruchomych. „Boże! — zawołał pan Zagłoba — niemasz już męstwa w tej rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Zagłoba—a reszta! Boże! Boże!“ I oczy żałośnie ku niebu podniósł, a wtem spostrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie nakształt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakby chciały z oprawy wyskoczyć,

---

*) Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan.

drugie zataczają koła, trzecie tańczą przeciw siebie kozaka — więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej:

— Zali ja jeden tylko nie pijany in universo?

Ale nagle i ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzęsła się szalonym wirem, i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, iż jakieś zmory usiadły mu na piersiach, że go gniotą i przytłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy obiły mu się wrzaski i jak gdyby huk wystrzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem nieznośnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach; było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność — ale dziwna — bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej i odemknął powieki.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczu, które wpijały się w niego chciwie, a były to czarne źrenice jak węgiel i tak złowrogie, że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba pomyślał w pierwszej chwili, że to dyabeł na niego patrzy — i znów przymknął powieki, i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzały wciąż uporczywie— twarz wydała się znajomą: nagle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszły mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

ROZDZIAŁ VII.

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli, w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pasł oczy przerażeniem jeńca.

— Dobry wieczor waści! — rzekł, dojrzawszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednem mgnieniu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki, doszedłszy mu do pięt, wróciły się do góry aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko — i zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzie-

je;—taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba, a ostatniem słowem tej jasności był cichy, niewypowiedziany ustami okrzyk:

— Ten mi dopiero da łupnia!

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

— Dobry wieczór waszmości.

— Brr!—pomyślał Zagłoba—wolałbym, by wpadł w furyę.

— Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

— Czołem, czołem! Jak zdrowie?

— Nieźle. A waścinem to już ja sam się zajmę.

— Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wątpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola Boża.

— No, ty mnie kurował, teraz ja się tobie odwdzięczę. My stare druhy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach? co?

Oczy Bohuna poczęły świecić, jak dwa karbunkuły, a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

— Pamiętam— rzekł Zagłoba — że mogłem cię nożem pchnąć i nie pchnąłem.

— A ja to ciebie pchnął? albo cię myślę pchnąć? Nie! ty dla mnie lubczyk — kochańczyk; ja ciebie będę strzegł, jak oka w głowie.

— Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler — rzekł Zagłoba, udając, że bierze za dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl: — Już widać on mi specyał jakowyś obmyślił; nie umrę poprostu.

— Ty dobrze mówił—ciągnął Bohun— ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

— Co prawda, tom ciebie nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

— Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo, i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie mołodycię z Rozłogów do Baru wywiódł. Tam ja ją i znalazł, a teraz, ot! na weseleby ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro, teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba, mimo straszliwego położenia, w jakiem się znajdował, nadstawił uszu.

— Na wesele?—mruknął.

— A co ty myślał?—mówił Bohun — czy to ja chłop, żeby ją bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopa ty ją do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

— Dobrze!—pomyślał Zagłoba.

Potem zwrócił głowę ku Bohunowi

— Każ mnie rozwiązać—rzekł.

— Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

— Dokąd mnie chcesz wieść?

— Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosa. Już my oba pomyślimy, żeby tobie tam było dobrze.

— Będzie mi ciepło!—mruknął szlachcic, i znowu mrówki poczęły mu chodzić po grzbiecie.

Nakoniec począł mówić:

— Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie—Bóg widzi. My żyli razem i w Czechryniu nie jeden gąsior wypili, bo miałem dla ciebie afekt ojcowski, za twoją fantazyę rycerską, jakiej lepszej nie znalazłeś na całej Ukrainie. Ot co! Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebym ja był z tobą do Rozłogów wtedy nie jeździł, tobyśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli— a pocóżem jechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował owych nieszczęsnych ludzi— Bóg na mnie patrzy—nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mieszać! Wolałbym, żeby dziewczyna była twoja, niż czyja inna. Ale przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło, że to przecie szlachecki dom. Sambyś nieinaczej postąpił. Mogłem cię przecie z tego świata zgładzić, z większym moim pożytkiem—a przecz-żem tego nie uczynił? Bom szlachcic i wstyd mi było. Zawstydź-że się i ty, bo wiem, że się nade mną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku — czego ode mnie chcesz? Zalim jej nie strzegł, jak oka w głowie—tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać, że i w tobie jest rycerski honor i sumienie, ale jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwie niewinnej ubroczysz? Jako to jej powiesz: tego człeka, który cię przez chłopstwo i Tatarstwo przeprowadził, na mękim wydał? Zawstydź-że się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdradą pochwyciłeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć spotkać może — a za moją śmierć Bóg cię będzie karał na tem, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zydla, blady ze wściekłości, i zbliżywszy się do Zagłoby, zaczął mówić przyduszonym przez furyę głosem:

— Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spalę, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa pochwycił za nóż wiszący u pasa—przez chwilę ściskał go konwulsyjnie w pięści— już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się, nóż wepchnął z powrotem w pochwę i zakrzyknął:

— Mołojcy!

Sześciu Zaporożców wpadło do izby.

— Wziąć to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzedz, jak oka w głowie!

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę—i wyniósłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, nakoniec porzucili go na gnoju w stojącym opodal chlewie. Potem drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność, jeno przez szpary między belkami i przez dziury w poszyciu przedzierało się tu i owdzie blade światło nocne. Po chwili oczy pana Zagłoby przyzwyczaiły się do pomroki. Rozejrzał się do koła i ujrzał

że w chlewie nie ma świń, ani mołojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony szczelnie, ale mimo tych straży pan Zagłoba odetchnął głęboko.

Przedewszystkiem żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła— i Bogu ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął się nie tylko zemścić, ale i nasycić się zemstą nad tym, który wydarł mu krasawicę i sławę jego mołojecką nadwerężył, a samego śmiesznością okrył, spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszała go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosa go powiodą i tam dopiero na pytki go wezmą—że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą; tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie, samotny, i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyśleć.

To była jedna dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

— Gdyby tu wieprz, albo świnia leżała w tym chlewie — mruczał pan Zagłoba—miałaby ich więcej niż ja, boby jej nie związywali w kij do własnej szabli. Niechby Salomona tak związali, nie byłby mądrzejszy od własnych pludrów, albo od mego napiętka. O Boże, Boże, za co mnie tak karzesz! Na tylu ludzi na świecie, tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem—i takie moje szczęście, żem jego właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną, jak świebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, tobym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i innyby nie uwierzył, a cóż dopiero ten! Czuję, że mi serce zamiera. Dyabli mnie tu przynieśli. O Boże, Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę, o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiejby mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby popróbował? Byle tylko szablę zdołał z pod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak tu ją wysunąć? przewrócił się na bok—źle... Pan Zagłoba zamyślił się głęboko.

Następnie począł się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej—a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cala naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej niż w tańcu, i chwilami ustawał i spoczywał, chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mołojców idzie ku drzwiom — i znów rozpoczynał z nowym zapałem, nakoniec przysunął się do ściany.

Wówczas począł się kiwać inaczej, bo nie od głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak, że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to z pod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojeści.

Serce poczęło bić w panu Zagłobie, jak młotem, bo ujrzał, że ten sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jaknajciszej uderzać, i tylko wówczas, gdy rozmowa mołojców głuszyła lekkie uderzenia. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się ku ścianie nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszała się już znaczna część szabli, i wiele cięższa, biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego, jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolanami a rękoma, ale rękojeść zawadzała się co chwila o nierówności gruntu—nakoniec krzyżyk zawadził silniej—pan Zagłoba kiwnął się ostatni raz i przez chwilę radość przygwoździła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachcic zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił niemi szablę napowrót. Pochwę przytrzymał nogami i wyciągnął żeleźce.

Rozciąć pęta na nogach było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tylcem do dołu, ostrzem do góry i trzeć o ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Gdy to uczynił, był nietylko wolny od pęt, lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, poczem przeżegnał się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt do uwolnienia się z rąk Bohunowych było jeszcze bardzo daleko.

— Co dalej?—pytał samego siebie pan Zagłoba.

— Widzę, że zaczynam w piętkę gonić—rzekł sam do siebie—a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego możnaby u Węgrzynów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie ześle jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli ześle, to się ofiaruję w czystości trwać, jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa mołojców za ścianą przerwała mu dalsze rozmyślania, poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy, jak pudło teorbanu; słowa dochodziły wyraźnie.

— A gdzie my stąd pojedziemy, ojcze Owsiwuju? — pytał jeden głos.

— Ne znaju, pewno do Kamieńca—odparł drugi.

— Ba! konie ledwo nogami włóczą, nie dojdą.

— Dlatego tu i stoimy; do rana wypoczną.

Nastała chwila milczenia; potem pierwszy głos ozwał się ciszej jak poprzednio:

— A mnie się widzi, ojcze, że ataman z pod Kamieńca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

— Milcz, jeśli ci młoda głowa miła!—brzmiała odpowiedź.

Nastała chwila milczenia, tylko z za innych ścian dochodziło szeptanie.

— Wszędy są, wszędy pilnują!—mruknął Zagłoba.

I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między niemi mołojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

— Hej! — mówił jeden — my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie popasając, poto, by na pale w obozie Jaremy poszli.

— To już pewno, że on tu jest?

— Ludzie, którzy z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach, co mówią: wielki on jak sosna, we łbie dwie głownie, a koń pod nim smok.

— Hospody pomyłuj!

— Nam tego Lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

— Jak uciekać? Konie i tak zdychają.

— Źle, braty ridnyje. Żeby ja był atamanem, tak jaby temu Lachowi szyję uciął i do Kamieńca choć piechotą wracał.

— Jego z sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

— Pierwej z wami dyabli poigrają—mruczał Zagłoba.

Jakoż mimo całego strachu przed Bohunem, a może właśnie dlatego, przysiągł sobie, że się żywcem nie da wziąć. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku—będzie się bronił. Rozsiekają go, to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie nadzwyczajnie zdrożonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zagłobie.

— Żebym to mógł przez tę ścianę się przedostać, a na konia niespodzianie skoczyć!—myślał. — Jest noc, nimby się obaczyli, co się stało, jużbym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach. Dajże mi Boże sposobność!

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzebaby chyba ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą, lub się podkopać jak lis, a i wówczas pewnieby usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemienia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortelów, ale właśnie dlatego, że były ich tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

— Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłacę—pomyślał.

I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli, i do połowy długości miał strych, służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Potem siadł, odetchnął i począł zwolna wciągać za sobą drabinkę.

— No, tom jest i w fortecy!—mruknął.—Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nieprędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego łba, który się tu wychyli, nie rozwalę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O, do dyabła! — rzekł nagle — istotnie będą mnie mogli nie tylko uwędzić, ale upiec i na łój przetopić. Ale niech tam! zechcą chlew spalić, dobrze! żywcem mnie tembardziej nie dostaną, a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego, czy pieczonego. Bylem tych zbójeckich rąk uszedł, o resztę nie dbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie!

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpaczy do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się o wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot i wszystko. Ale ze strychu do wolności była droga, jak z pieca na łeb, z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców, czyhających pod ścianami.

— Jakoś to będzie!—mruknął pan Zagłoba.

I zbliżywszy się do dachu, począł zlekka rozrywać i unosić poszycie, aby sobie prospectum na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przytem powstał dość silny wiatr i głuszył powiewem śród poblizkich drzew szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa; pan Zagłoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło.

Noc poczynała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bladem świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan zapełniony końmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane nakształt długich niewyraźnych linii, dalej żóraw studzienny i koryto, w którem świeciła woda, a obok nich znów szereg śpiących ludzi i kilkunastu mołojców z gołemi szablami w ręku, przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

— To moi ludzie, których w łyka wzięto—mruknął szlachcic.— Ba! — dodał po chwili — żeby to byli moi, ale książęcy. Dobrym byłem ich wodzem, niema co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać, jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tem weselu, ile na psiem. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, który włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryę i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka, i zatrzymał się na jej drzwiach.

— O śpij, złodzieju! — mruknął — śpij! niech ci się przyśni, żeć dyabli łuszczą, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić, spróbuj tu wleźć do mnie na górę, a obaczymy, czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł stąd wyrwać, żebym się mógł wyrwać! Ale jak?

Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunąwszy się z dachu, skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną miarą dotrzeć nawet do wrót, a cóż dopiero wydostać się za wrota!

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej części zadania: był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem, jakoby w fortecy.

— Cóż u licha — myślał — czy potom się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?

I znowu fortele poczęły mu huczeć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powlókł się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyncze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi, leżących koło studni — i baranie kożuchy, pod którymi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu śpiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i owdzie koło ludzi i koni; chwilkę pogadała z mołojcami, pilnującymi jeńców, i nakoniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że strażnicy rozmawiali z ową postacią, jak podwładni z przełożonym.

— Ej! — mruknął — żebym to miał teraz guldynkę w ręku, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowę i na twarz jej padł szary blask świtu: to nie był Bohun, ale sotnik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdy dotrzymywał Bohunowi kompanii w Czechryniu.

— Chłopcy! — rzekł Hołody — a nie śpicie?

— Nie, batku, choć i chce się spać. Czasby nas zmienić.

— Zaraz was zmienią. A wraży syn nie uciekł?

— Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojcze, bo się ani ruszył.

— Szczwana to liszka. A obaczcie no, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

— Zaraz! — odrzekło kilku mołojców, zbliżając się ku drzwiom chlewa.

— Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrzeć! Ze wschodem ruszamy!

— Dobrze, bat'ku!

Pan Zagłoba, porzuciwszy co tchu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zawory i szelest słomy pod nogami mołojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ściskał głownię szabli, ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem, lub na sieczkę pociąć, niż żywcem wziąć. Spodziewał się też, że lada chwila mołojcy podniosą wrzask straszliwy.

ale się omylił. Czas jakiś słychać było, jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

— Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot tu rzucili.

— Niesamowity, czy co? Skrzesz ognia, Wasyl, ciemno tu, jak w lesie.

Nastała chwila milczenia; Wasyl szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś mołojec począł wołać zcicha:

— Pane szlachcic, odezwij się!

— Całuj psa w ucho! — mruknął Zagłoba.

Wtem żelazo poczęło szczękać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświecił ciemne wnętrze chlewa i głowy mołojców, przybrane w kapuzy, poczem zapadła ciemność jeszcze głębsza.

— Niema! niema! — wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z mołojców poskoczył ku drzwiom.

— Bat'ku Hołody! bat'ku Hołody!

— Co takiego? — pytał sotnik, ukazując się we drzwiach.

— Niema Lacha!

— Jak to niema?

— W ziemię zapadł! Niema nigdzie. O Hospody pomyłuj! My ogień krzesali, niema!

— Nie może być! Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł, czy co? pospaliście się?

— Nie, bat'ku, my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

— Cicho, nie budzić atamana! jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

— Wszędzie.

— A na stropie?

— Jak jemu było na strop leźć, kiedy był w łykach.

— Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, toby tu był. Szukać na stropie! Skrzesać ognia!

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie straże. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem, zwyczajnym w nagłych razach; słychać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się, jak miecze w boju.

— Na strop! na strop!

— A pilnuj z zewnątrz!

— Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

— Niema drabiny!

— Przynieść drugą!

— Niema nigdzie!

— Skoczyć do chaty, czy tam niema?

— O Lach przeklęty!

— Leźć po węgłach na dach, dachem się przedostać!

— Nie można, bo wystaje i podbity deskami!

— Przynieść spisy! Po spisach tędy wejdziemy! A sobaka! drabinę wciągnął!

— Przynieść spisy! — zabrzmiał głos Hołodego.

Дніпропетровська обласна бібліотека

Mołojcy skoczyli po spisy, inni zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blasku widać było kwadratowy otwór stropu, czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

— No, pane szlachcic! Spuść drabinę i zleź! I tak się nie wymkniesz: poco ludzi trudzić? Zleź, zleź!

Cisza.

— Ty mądry człowiek! Żeby tobie to co pomogło, tak tyby siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleziesz dobrowolnie, ty dobry!

Cisza.

— Zleź, a nie, to ci skórę ze łba zedrzemy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak i na pochlebstwa, i siedział w ciemnościach jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ściskał, i sapał trochę, i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związano trzy w pęk i postawiono ostrzami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć, ale pomyślał także, że dach może być za nizko i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesionoby w tej chwili inne.

Tymczasem cały chlew napełnił się mołojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze drągi i drabiny od wozów, które okazały się za krótkie, więc wiązano je co duchu rzemieniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże znaleźli się chętni.

— Ja pójdę! — wołało kilka głosów.

— Czekać na drabinę! — rzekł Hołody.

— A co szkodzi, bat'ku, popróbować na spisach?

— Wasyl wlezie! on tak jak kot chodzi!

— To próbuj!

A inni poczęli zaraz żartować:

— Ej, ostrożnie! On szablę ma, szyję utnie, obaczysz!

— Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy, jak niedźwiedź!

Wasyl nie dał się stropić.

— On znaje — rzekł — że niechby on mnie palcem dotknął, czortaby mu ataman dał zjeść i wy, braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, który siedział cicho, ani mruknął.

Lecz mołojcy, jak to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasylowi:

— Będzie jednym durnym mniej na świecie, na białym.

— On tam nie będzie zważał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały mołojec!

— Ho! ho! On niesamowity. Czort jego wie, w co się tam już zmienił, to czarownik! Ty, Wasyl, niewiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści!

Wasyl, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie niemi spisy, wstrzymał się nagle.

— Na Lacha pójdę — rzekł — na czorta nie!

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Źle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś mówił:

— Ty, panie szlachcic, widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, to siedź, ale się nie broń, bo my cię dostaniemy i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Nakoniec głowa jego dotknęła czeluści i pogrążała się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między mołojców, z rozwaloną na dwie połowy głową.

— Koli! koli! — zawrzasnęli mołojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki i wołania, które zgłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

— Ha, złodzieje, ludojady, ha, basałyki! do nogi was wytłukę, szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę! Ludzi uczciwych po nocy napadać! w chlewie szlachcica zamykać! ha, łotry! W pojedynkę ze mną, w pojedynkę, albo i po dwóch! Chodźcie-no sam! ale łby zostawcie w gnoju, bo poucinam, jakom żyw!

— Koli! koli! — wołali mołojcy.

— Chlew spalimy!

— Ja sam spalę, bycze ogony, byle z wami!

— Po kilku! po kilku na raz! — krzyknął stary kozak.—Trzymać drabiny, spisami podpierać, przynieść snopów na łby i dalej... Musimy go dostać.

To rzekłszy, ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszów; szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze popodpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później, trzy nowe ciała spadły na głowy stojącym w dole.

Pan Zagłoba, rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamarłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy kłuli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawarach i koszuli, w ręku miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach, psiawiary! — krzyknął. — Poszycie rozerwać i żywcem brać!

A Zagłoba, ujrzawszy go, ryczał:

— Chamie, pójdź-no tu tylko! Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co tchórz cię obleciał? boisz się, parobku? Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie. Cóż, wisielcze, cóż kukło żydowska, sam tu! Wychyl jeno łba na strop! Chodź, chodź, będę ci rad! poczęstuję tak, żeć się przypomni i twój ojciec dyabeł i twoja mać gamratka.

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczeć. Widocznie mołojcy dostali się na niego i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

— Skoczę w kąt i tam zginę — pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

— Bat'ku! Bat'ku! — krzyczeli w niebogłosy: — bywaj!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał co się stało — i zdumiał się. Spojrzy przez czeluść na dół, aż tam nikogo już niema. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

— Co to jest? co się stało? — zawołał głośno. — Ha! rozumiem. Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu palą.

Tymczasem na zewnątrz słychać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętent koni. Strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza.

— Boże! to chyba bitwa! — pomyślał pan Zagłoba.

I skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał — i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom Bohunowych mołojców. Napadnięci znienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy, przybranych w krasne barwy, siekąc zapamiętale i naciskając uciekających, nie dozwoliły im się sformować, ani szablą się złożyć, ani odetchnąć, ani dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyńcze kupy; inni dopinali wśród wrzawy, zamętu i dymu rozluźnione popręgi kulbak i ginęli, nim zdołali nogą dotknąć strzemienia—inni rzucając spisy i szable, zmykali pod płoty, więźli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkiemi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam książę Jeremi spadł na nich niespodzianie, jak orzeł, że druzgocze ich cała jego potęga. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: okrzyki zwycięzców i świst szabel i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki. „Ludy, spasajteś!“ — rozległo się ze wszystkich stron. — „Bij, zabij!“ — odpowiadali napastnicy.

I dojrzał nakoniec pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucał się na swym gniadym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet nie wydawszy okrzyku. O, bo

mistrz to był nad mistrzami mały pan Wołodyjowski — i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał i patrzał, i poprawiał, właśnie jak ów, który kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkimi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Widząc to, pan Zagłoba począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klaskać i ryczeć:

— Bij psubraty, bij, morduj, ze skóry łup! siekaj, tnij, wal, rznij, morduj! Dalejże w nich, dalej! na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucał się, oczy krwią mu zaszły z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale znów wzrok odzyskał, ujrzał jeszcze piękniejszy widok—oto w kupie kilkudziesięciu mołojców, pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały Wołodyjowski.

— Bij!—krzyknął Zagłoba—to Bohun!

Ale głos nie doszedł; tymczasem Bohun z mołojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali—innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzy Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i mołojcy w ucieczce, i żołnierze w biegu—rozpoczął się pościg pojedynczy. Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi. Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku Bohuna, jak ogar na dziku, watażka zwraca głowę, nadstawia szablę.

— Biją się!—krzyczy Zagłoba.

Chwila jeszcze i Bohun pada razem z koniem, a pan Wołodyjowski, tratując po nim, pędzi za innymi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i pobiegł ku skałom zarosłym chaszczami.

— Trzymaj! trzymaj!—ryczał Zagłoba—to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha mołojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi do ucieczki. Za nią w odległości pół staja pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza z sobą. Nakoniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby, odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po mołojcach, pognali razem z innymi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuścił drabinę, zlazł z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

— Wolnym jest...

To rzekłszy, począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporoskich i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między nimi zwolna i oglądał każdego starannie, na-

koniec przykląkł nad jednym. Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w ręku.

— Pełna—mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

— Niezła!

Znów obejrzał się naokoło i znów powtórzył, ale już wiele raźniejszym głosem:

— Wolnym jest!

Potem poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego mołojcy zamordowali, i zniknął we wnętrzu. Gdy wyszedł, naokół bioder, na kubraku zawalanym w nawozie, świecił mu pas Bohuna, gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w głowni.

— Bóg wynagrodził męstwo!—mruczał—bo i trzosik dość pełny. Ha, zbój plugawy! Mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją! Cięta to sztuka, jak osa. Wiedziałem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej kobyle, tegom się po nim nie spodziewał. Że też to w tak małem ciele taki może być animusz i wigor! Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić, jak kozik. Niechże go kule biją!—albo lepiej niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Fu! jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzach wierci! Alem się też z takich terminów wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem. Chwała bądź Bogu! No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołodyjowskiemu jeszcze przypatrzyć, bo chyba dyabeł w nim siedzi.

Tak rozprawiając, siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem zdala na równinie ukazali się żołnierze, wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodyjowski. Ujrzawszy Zagłobę, przyśpieszył biegu i zeskoczywszy z konia, szedł ku niemu.

— Waćpana to jeszcze oglądam?—pytał zdala.

— Mnie we własnej osobie—rzekł pan Zagłoba. — Bóg waści zapłać, iżeś z pomocą przybył!

— Chwalić Boga, że w porę! — odpowiedział mały rycerz, ściskając z radości dłoń pana Zagłoby.

— Ale skądżeś się waszmość o opresyi, w jakiej tu zostawałem, dowiedział?

— Chłopi dali znać z tego futoru.

— O! ja myślałem, że mnie zdradzili.

— Gdzie tam, to dobrzy ludzie! Ledwie z życiem uszli chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

— Jeśli nie zdrajcy, to od kozaków pobici. Futornik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tem. Mówże waść, czy Bohun żyw? uciekł?

— Alboż to był Bohun?

— Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

— Ciałem go w dłoń; bogdaj to licho, żem go nie poznał. Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cożeś to waść najlepszego uczynił?

— Com uczynił?—powtórzył pan Zagłoba.—Chodź, panie Michale i patrz!

To rzekłszy, ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

— Patrz!—powtórzył,

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

— A tych ludzi kto narznął?—pytał zdziwiony.

— Ja! — rzekł Zagłoba — pytałeś waść, com uczynił? więc masz!

— No! — rzekł młody oficer, kręcąc głową. — A jakim-że to sposobem?

— Tam się broniłem na górze, oni mnie szturmowali z dołu i przez dach. Nie wiem jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun, ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Alem dziś tak f a t i g a t u s, że ledwie na nogach się trzymam.

— No!—powtórzył pan Wołodyjowski— niema co mówić, mężnie waść stawałeś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz, niż wódz.

— Panie Michale!—rzecze szlachcic—nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obudwom tak wielką dziś spuścił wiktoryę, o której pamięć nie prędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrzał zdumiony na Zagłobę. Jakoś dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzał tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

— Niech-że i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele, na czele połączonych oddziałów, wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż we śnie zaskoczeni, nie stawiali oporu, Bohun zaś, wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać, nie mordować.

ROZDZIAŁ VIII.

Bohun, lubo wódz mężny i przezorny, nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzekomą dywizyę księcia Jeremiego przedsię-

wziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że książę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali wzięci w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż książę ciągnie za nimi. Nie pozostawało więc nic innego nieszczęsnemu atamanowi, jak cofać się coprędzej do Krzywonosa, ale zadanie nie było łatwe. Zaledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo błąkali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc co czynić, jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbita, za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A był to przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleźć. Ale mołojcy nie wiedzieli, z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że, dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nieprzygotowanych, taką klęskę mógł zadać, i wierzyli najświęciej, że mieli sprawę, jeśli nie z samym księciem, to przynajmniej z potężnym, kilkakroć liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień; cięty w rękę, stratowany, chory, pobity, i wroga zaklętego z rąk wypuścił, i sławę nadwerężył, bo już ci mołojcy, którzy w wigilię klęski, do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tem tylko myśleli, jakby gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, straże opodal futoru porozstawiał i spoczywał dlatego tylko, że konie, które z pod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wołodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i łowach na Tatarów, podszedł jak wilk nocą pod straże, pochwytał je, nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić — i napadł tak, że oto on, Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ujść potrafił. Gdy o tem watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kąsała mu duszę, jak pies wściekły. On, który na Czarnem morzu na galery tureckie się rzucał; on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ałusów świecił; on, który księciu pod ręką, przy samych Łubniach, regiment w Wasilówce wyciął, musiał uciekać w koszuli i bez czapki—i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. To też, gdy nikt nie patrzał, na postojach i popasach, watażka chwytał się za głowę i krzyczał: „Gdzie moja sława mołojecka? gdzie moja szabla-drużka?“ A gdy tak krzyczał, porywał go obłęd dziki i spijał się, jak nieboże stworzenie, potem na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć—i zginąć, i przepaść na wieki.

On chciał, ale mołojcy nie chcieli. „Ubij, bat'ku, nie pójdziemy!“— odpowiadali ponuro na jego wybuchy — i napróżno mu było w napadach szaleństwa szablą ich siec, z pistoletów twarze osmalać— nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś: ziemia usuwała się z pod nóg atamana, bo nie tu był jeszcze koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla prawdopodobnej

pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbipięty. Ale czujny jak żóraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy uderzył na watażkę, i rozbił go tem łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli — i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak, że Bohun, po długiem błądzeniu w stepach, w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków, dotarł nareszcie do Krzywonosa.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przyhołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na gorączkę, kazał go strzedz, i leczyć, i pilnować, jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze, napełniwszy kraj grozą i przestrachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego, co go spotkało i czego dokonał—poczem zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjacielskiem opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano, jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

— Mości panowie!—mówił—popadłem w niewolę, prawda jest! ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Tak to, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas śpiących smaczno snem sprawiedliwych napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazyę, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu długo mówić, żebym w niewolę nie wpadł, nie bylibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali, mówię: obaj, bo że w tym terminie magna pars fui, nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racyi: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a nakoniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił—co że się nie stało, kto przyczyną?

— A z waścią, to jak z liszką—rzecze pan Longinus—tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz.

— Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni i niczego poczciwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Iluże waść ludzi postradał?

— Ot, ze dwunastu wszystkiego, a kilku rannych; już tam nie bardzo nas bili.

— A waszmość, panie Michale?

— Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

— A wasze, panie poruczniku
— Tylu, ile pan Longinus.
— A ja dwóch. Powiedzcież sami, kto lepszy wódz? Ot, co jest! Pocożeśmy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać, otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział i z najlepszych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem de publicis, ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czem dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tem radzili; byłem też dotąd niezdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójeckiego wiązania w kij wnętrzności we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Mów-że waszmość, na miłość Boską!—zawołał Wołodyjowski.—Zali-żeś co o naszej niebodze słyszał?

— Tak jest, niech jej Bóg błogosławi—rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast—i nastała taka cisza, że słychać było brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu:

— Żyje ona, wiem to na pewno, i jest w Bohunowych ręku. Moi mości panowie, straszne to ręce, ale przecież Bóg nie dozwolił, aby ją krzywda lub hańba spotkała. Moi mości panowie, to mnie sam Bohun powiadał, któryby prędzej czem innem chełpić się gotów.

— Jak to może być? Jak to może być? — pytał gorączkowo Skrzetuski.

— Jeśli łżę, niech mnie piorun zapali— odrzekł poważnie Zagłoba—bo to jest święta rzecz. Słuchajcie, co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: „Cóżeś to myślał (prawi), żeś dla chłopa ją do Baru przywiózł? że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił? Czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali i czerńcy (powiada) żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili—mnie, atamanowi! hetmanowi!“—i nogami nademną tupał, i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszył.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej napowrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

— Gdzie ona tedy jest? gdzie jest?—pytał z pośpiechem.—Jeśli się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

— Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił ze mnie, nimem go splantował, i tak znowu powiada: „Naprzód (powiada) do Krzywonosa ciebie zawiodę, a potem na weselebym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nie prędko.“ Uważcie, waszmościowie: „jeszcze nie prędko,“—zatem mamy czas! Powtóre, uważcie także: „naprzód do Krzywonosa, potem na wesele,“ więc żadną miarą niema jej u Krzywonosa, ale gdzieś daleko, gdzie wojna nie doszła.

— Złoty z waści człowiek!—zawołał Wołodyjowski.

— Myślałem tedy naprzód—mówił mile połechtany Zagłoba— że może ją do Kijowa odesłał, ale nie, bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam niema. I za mądry on na to, by ją tam wozić, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

— Prawda! prawda! — wykrzyknął pan Longinus. — Ot, jak mnie Bóg miły, niejeden mógłby się z waścią na rozum pomieniać.

— Jeno jabym sią nie z każdym mieniał, od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, coby mi się między Litwą snadnie przytrafić mogło.

— Już swoje zaczyna—rzekł Longinus.

— Pozwól-że waść skończyć. Tak tedy niema jej u Krzywonosa, ani w Kijowie, więc gdzie jest?

— W tem sęk!

— Jeśli waść się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali!—krzyknął Skrzetuski.

— Za Jampolem!—rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swojem zdrowem okiem.

— Skąd waść wiesz?—pytał Wołodyjowski.

— Skąd wiem? Ot stąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć, żeby go wieprze za to zećpały! a naokoło gadali z sobą kozacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę? Jeden mówi: „Teraz chyba za Jampol ataman pojedzie“ — a drugi na to: „Milcz, jeśli ci młoda głowa miła!“ — Szyję daję, że ona jest za Jampolem.

— O! jak Bóg na niebie! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Na Dzikie Pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy, musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Byłem też raz w tamtych stronach, gdzie się królewscy i chanowi sędzie zjeżdżali, bo w Jahorliku, jak waćpaństwu wiadomo, pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, a tych spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc, i różnych komyszy, w których żyją w futorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają, mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

— Ba! ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagradza — rzecze Longinus.— Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

— Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał, Bóg mi pomoże — znajdę.

— Ja z tobą, Janie! — rzecze pan Wołodyjowski.

— I ja po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi, waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperyencyi, a że mnie teorban z ostatkiem obrzydł, więc wezmę dudy.

— Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? — rzekł pan Longinus.

— I pewnie — odpowiedział Zagłoba. — Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jak święty Krzysztof.

— Dziękuję z duszy waszmościom — i gotowość waszą chętnem przyjmuję sercem. Niemasz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiernych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność. Dajże mnie, wielki Boże odsłużyć waszmościom zdrowiem i mieniem.

— Wszyscy my jako jeden mąż! — wykrzyknął Zagłoba. — Bóg zgodę pochwala, i obaczycie, iż frukta naszych prac niezadługo będziem oglądali.

— To już nie pozostaje nam nic innego — mówił po chwili milczenia Skrzetuski — jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol, aż do Jahorlika, i wszędzie będziemy szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony, lub nim dojdziemy do księcia, zniesion będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

— A poczekajcie waszmościowie — rzecze Wołodyjowski, — pewnie po Chmielnickim na Krzywonosa przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwiami ku Jampolowi ruszymy.

— Nie, nam trzeba być pierwej — odparł Zagłoba — ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce Spodziewam się też, że książę będzie z nas contentus.

— Szczególnie z waćpana.

— Tak jest, bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam. Więc tedy w drogę?

— Do jutra musimy spocząć — rzekł Wołodyjowski. — Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje, on tu wodzem, ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie moje wszystkie popadają.

— Wiem, że to jest niepodobieństwo — rzecze Skrzetuski, — ale myślę, iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów książęcych mieli się wrócić do Zbaraża i tam czekać dalszych rozkazów. Szli więc na Kuźmin, w bok od Felsztyna ku Wołoczyskom, skąd na Chlebanówkę wiódł stary gościniec do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się na nocny wypoczynek.

Ale zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm — i straże dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przyszła wieść, że to Wierszułowa tatarska chorągiew, zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodyjowski natychmiast zebrali się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za nimi wpadł jak wicher oficer z pod lekkiego znaku, zziajany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski, wykrzyknął:

— Wierszuł!

— Jam... jest! — mówił przybyły, nie mogąc oddechu złapać.
— Od księcia?
— Tak!... O tchu! tchu!
— Jakie wieści. Już po Chmielnickim?
— Już... po... Rzeczypospolitej!
— Na rany Chrystusa, co waść gadasz? Klęska?
— Klęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Popłoch!... O! o!
— Uszom nie chce się wierzyć. Mów-że, mów, na Boga żywego!... Regimentarze?
— Uciekli!
— Gdzie nasz książę?
— Uchodzi... bez wojska... Ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami!
— Kto? Wierszuł, Wierszuł! Opamiętaj się człowieku! Kto?
— Chmielnicki, Tatarzy!
— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — zawołał Zagłoba: — ziemia się rozstępuje!

Ale Skrzetuski zrozumiał już o co chodzi.

— Na potem pytania — rzekł — teraz na koń!
— Na koń! na koń!

Kopyta koni pod Wierszułowymi Tatarami szczękały już przed oknami; mieszkańcy, zbudzeni nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami i pochodniami w ręku. Wieść przeleciała całe miasto jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwogę. Ciche przed chwilą miasteczko napełniło się zgiełkiem, tętentem koni, okrzykami komendy i wrzaskiem żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodzić razem z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mieszczan przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie odjeżdżał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał, mając wyraźny rozkaz co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy, i dopiero w drodze Wierszuł, ochłonąwszy, opowiadał, jak i co się stało.

— Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą — mówił — nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!

A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta, aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

— Rzecz ludzką wiarę przechodzi — mówili — gdzież był książę?

— Opuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizyą nie władał.

— Kto miał komendę?

— Nikt i wszyscy. Dawno służę, na wojnie zęby zjadłem, jeszczem takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszuła i mało go znał, począł głową kręcić i cmokać, nakoniec rzekł:

— Mój mości panie, czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało, lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę nie poczytał, bo to, co powiadasz, całkiem imaginacyę przechodzi.

— Że przechodzi, przyznaję, i powiem więcej waści, że szyjębym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się mylę.

— Bo jakim-żeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecież nie chcę przypuścić, żebyś pierwszy dał drała? Gdzież są tedy wojska? którędy uciekają? co się z niemi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestye napróżno szukam responsu!

Wierszuł w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczem więcej, tylko o klęsce, więc odrzekł tylko:

— Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce, a mnie książę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpanów spodziewał, aby was nawałnica nie ogarnęła, gdybyście się za późno dowiedzieli, a powtóre dlatego, że pięćset koni, które macie, to teraz niemała dla niego pociecha, bo dywizya w większej części wyginęła, lub rozproszona.

— Dziwne to rzeczy! — mruknął Zagłoba.

— Strach pomyśleć, desperacya ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! — mówił, łamiąc ręce, Wołodyjowski.— Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci, takie wojska rozproszone!... zatracone! Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

— Nie przerywajcie mu — rzekł Skrzetuski — pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszuł zamilkł, jakby siły zbierał, przez chwilę słychać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu, dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszuła, który tak mówić począł:

— Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegnę, tobym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym, i ja tak mniemam, że wprędce on już nastąpi, gdyż wszystko sie rozprzęga, złość bierze górę nad cnotą i Antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzali na to, co się stało, ale jeśli nawet relacyi o tem znieść nie możecie, cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnemi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę, otrzymawszy pod Czołhańskim Kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszcza, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej concordii — jakoż było i błogosławieństwo Boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjaciel po pierwszym szturmie opuścił. Potem ruszyliśmy pod Piławce, choć książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacye, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to co mówił, a przedewszystkiem usiłowano rozdzielić na-

szą dywizyę, aby jej książę w ręku całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwalonoby na niego klęskę, więc milczał, cierpiał, znosił. Zostały tedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie razem z Wurclem, z armatami i z oberszterem Machnickim; odłączono pana obożnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak, że przy księciu została tylko husarya pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów—i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi. A wtedy już go lekceważono, i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: „Już teraz nie powiedzą po wiktoryi, że za sprawą samego Wiśniowieckiego przyszła.“ I głośno opowiadali, że gdyby tak niezmierna sława okryła księcia, toby i na elekcyi jego kandydat, królewicz Karol, się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakcyami całe wojsko tak, że poczęły się dyskursa w kołach, jakby na sejmie, wysyłanie delegatów—i o wszystkiem tam myślano, prócz o bitwie, tak jakby nieprzyjaciel był już pogromion. A owoż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych ucztach, o tym przepychu, wiarybym w waszych uszach nie znalazł. Niczem były hufce Pyrhusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A toż dwieście tysięcy sług i ćmy wozów szły za nami, konie padały pod ciężarem złotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach i nocach trzaskała batogami. „Ot (mówili) czem chamów uspokoimy, szabli nie dobywając.“ A my, starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużeśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ładu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każdy robił co chciał, szedł, gdzie mu było lepiej, stawał, gdzie mu się zdawało, czeladź wzniecała hałasy—o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig, na którym salutem Reipublicae przetańcowano, przepito, przejedzono i przefrymarczono w ostatku!

— Jeszcze my żyjemy!—rzekł Wołodyjowski.

— I Bóg jest w niebie!—dodał Skrzetuski.

Nastała znów chwila milczenia, potem Wierszuł mówił dalej:

— Zginiemy totaliter, chyba, że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie i niezasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła...

— Powiadaj waćpan dalej—rzekł Zagłoba—przyszliście tedy pod Piławce, i co?

— I staliśmy. O czem tam regimentarze radzili, nie wiem; na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby odrazu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niestorności i tumultów, i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono, jakby Chmielnickiego i star-

szyznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Książę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, groził: „Uderzmy, nim Tatary nadejdą, uderzmy!“ — i włosy z głowy wyrywał, a tam się jeden na drugiego oglądał—i nic i nic! Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że Tatary idą — chan w dwieście tysięcy koni — oni radzili i radzili. Książę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostponowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą; wszczął się jeszcze większy nieład—nakoniec Tatarzy przyszli, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się książę i pan Osiński, i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze — spędzali ordę z pola, wysiekli znacznie — a potem...

Tu głos Wierszułowi zamarł w piersi.

— A potem?—pytał pan Zagłoba?

— Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z mymi ludźmi wedle rzeki, gdy na raz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat, jak na wiwaty i słychać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc: kiedy tam wiwatują, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilku ludźmi.—Co się stało?—Krzykną mi: „Regimentarze uszli!“ Ja do księcia Dominika—niema go! do podczaszego—niema! do chorążego koronnego—niema! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, głowniami świecą: „Gdzie regimentarze? gdzie regimentarze?—a inni wołają: „Koni! koni“—a inni: „Panowie bracia, ratujcie się! zdrada! zdrada!“ Ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą naoślep bez broni. Dopieroż ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie książę na czele husaryi w srebrnej zbroi, sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: „Mości panowie, jam został, kupą do mnie!“—Gdzie tam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husaryę, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali, potem po zdeptanych ogniskach w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Niemasz już wojsk, niemasz wodzów, niemasz Rzeczypospolitej, jest tylko hańba niezmyta i noga kozacka na szyi...

Tu pan Wierszuł jęczeć począł i konia targać, bo go szał rozpaczy ogarnął, ten szał udzielił się innym i jechali wśród owego dżdżu i nocy, jak obłąkani.

Jechali długo. Pierwszy Zagłoba przemówił:

— Bez bitwy, o szelmy! o takie syny! pamiętacie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obiecywali? O szelmy!

— Gdzie tam? — krzyknął Wierszuł — uciekli po pierwszej bitwie, wygranej nad Tatary i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

— Jest w tem palec Boży—rzekł Skrzetuski—ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

— Bo gdyby wojsko pierzchło, co się na świecie zdarza — rzekł Wołodyjowski — ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

— Tak jest! tak jest! — rzecze Wierszuł — mówią też, że to umyślnie uczynili.

— Umyślnie? na rany Boskie, to nie może być!

— Mówią, że umyślnie, a dla czego, kto dojdzie! kto zgadnie!

— Żeby ich groby przytłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została!—rzekł Zagłoba.

— Amen!—rzekł Skrzetuski.

— Amen!—rzekł Wołodyjowski.

— Amen!—powtórzył pan Longinus.

— Jeden jest człowiek, który może ojczyznę jeszcze ratować, jeśli mu buławę i resztę sił Rzeczypospolitej oddadzą; jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta nie będzie chciała słyszeć.

— Książę!—rzekł Skrzetuski.

— Tak jest.

— Przy nim będziem stać, przy nim zginiemy! Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki!—wykrzyknął Zagłoba.

— Niech żyje!—powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów.

Ale okrzyk zamarł zaraz, bo w chwili, gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdawało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiwaty.

Tymczasem poczęło świtać, i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.

ROZDZIAŁ IX.

Pierwsi rozbitkowie z pod Piławiec dotarli do Lwowa świtaniem dnia 26 września, i równo z otwarciem bram miejskich, straszna wieść piorunem rozleciała się po całem mieście, wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpaczliwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył we dwa dni później, gdyż już cały gród był zapchany uciekającem żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonem mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się Tatarów, ale nie wiedziano jeszcze kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektó-

rzy uciekali z miasta, wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy pełno było wozów, pak, tłomoków i koni, żołnierzy z pod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnacyę. Co chwila przestrach jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie, rozlegały się krzyki: „Jadą! jadą!“—i tłumy poruszały się jak fala, czasem biegły na oślep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża nowy jakiś oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz więcej — ale jakże żałosny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewem na ustach a dumą w oczach na ową wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędzniali, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litościby tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każdy z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszów wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie, ochłonąwszy rozwodzić skargi, narzekania, rzucać przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż! tuż!“—Jedni widzieli pożogi za sobą, inni klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady, otaczające żołnierzy, słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony biły larum—a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się zwolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie, stojące pod swemi banderyami, i przez pospólstwo, które ze zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew, wchodzącą nie w rozsypce, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęto krzyczeć, że pomoc nadchodzi, i znów niczem nieusprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszczę, która jęła się cisnąć i chwytać za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli się też i żołnierze, wołając: „To Wiśniowiecczycy! Niech żyje książę Jeremi!“ — Tłok zrobił się tak wielki, że chorągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Nakoniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzyczał: „Z drogi! z drogi!“ — i płazował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

— Co to za czasy! co to za czasy!—rzekł.

— Gdzie książę?—pytał Skrzetuski.

— Umorzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twoimi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tem się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

— W kościele?

— Tak jest. Mają księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

— Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie, i czy obrona już postanowiona.

— Właśnie teraz się sprawa waży — rzecze Kuszel.—Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy! Ludzie nikczemnych kondycyi okazują więcej serca, niż szlachta i żołnierze.

— A regimentarze? co się z nimi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali.

— Byle on sam nie stawiał. Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz za późno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł—i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go niema, a jeszcze ciągle krzyczą: „Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!“—pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan podczaszy koronny pierwszy tu przybył, ba! nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno łzy połyka. W ogólności strach co się dzieje, jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, żeś stamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkiem, to chyba cud.

— A nasza dywizya?

— Niema już jej, ledwie coś zostało. Wurcla niema, Machnickiego niema, Zaćwilichowskiego niema. Wurcel i Machnicki nie byli pod Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten Belzebub, książę Dominik, zostawił, by księcia naszego potęgę osłabić. Niewiadomo czy uszli, czy ich nieprzyjaciel ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł, jak kamień w wodzie. Daj Bóg, żeby nie zginął!

— A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

— Jest dosyć, ale co z nich? Jeden książę mógłby sobie dać z nimi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się książę o ciebie frasował i o żołnierzy. Jedyna też to cała chorągiew. Jużeśmy cię opłakali.

— Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: „Tatary! Tatary!“ — W jednem miejscu njrzeli straszny widok rozdzieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegostwo posądził. Dzwony biły ciągle.

— Czy orda prędko tu stanie? — spytał Zagłoba.

— Licho ją wie, może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo broniło, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy kozaków, prócz Tatarów.

— Kaput! — odpowiedział szlachcic. — Lepiej nam było jechać dalej na złamanie karku. Poco my tyle zwycięstw odnieśli?

— Nad kim?

— Nad Krzywonosem, nad Bohunem, dyabeł wie nie nad kim!

— Ale—rzekł Kuszel i zwróciwszy się do Skrzetuskiego, pytał cichym głosem.—A ciebie Janie, w niczem-że Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

— Nie czas o tem myśleć!—zawołał Skrzetuski:—Co ja znaczę, moje sprawy, wobec tego, co się stało? Wszystko marność i marność, a na końcu śmierć.

— Tak i mnie się widzi, że cały świat niezadługo zginie—rzekł Kuszel.

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wnętrze pałało światłem. Tłumy niezmierne stały przed kościołem, ale nie mogły się do środka dostać, bo sznur halebardników zamykał wejście, puszczając tylko znaczniejszych, starszyznę wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

— Wejdźmy!—rzekł Kuszel.—Pół Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel niewiele przesadził. Co było najznakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na radę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego autoramentu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościół mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilkunastu rajców miejskich z Grozwajerem na czele, który mieszczaństwem miał dowodzić. Był także obecny i książę, i pan podczaszy koronny, jeden z regimentarzy—i wojewoda kijowski, i starosta stobnicki, i Wessel, i Arciszewski, i pan obożny litewski Osiński — ci siedzieli przed wielkim ołtarzem, tak, aby publicum mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jak zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyznę, by nie podawała miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma nieprzyjaciela, Rzeczpospolita ochłonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacya — wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośne okrzyki — zapał ogarniał zgromadzonych. „Zginiemy! zginiemy chętnie — wołano — hańbę piławiecką nam zmazać, ojczyznę zasłonić!“—I rozpoczynało się trzaskanie szablami i gołe ostrza migotały przy blasku świec. A inni wołali: „Uciszyć się! obrady porządkiem!“ — „Bronić się, czy nie bronić?“ — „Bronić! bronić!“ — wrzeszczało zgromadzenie, aż echo odbite od sklepień powtarzało: „Bronić się!“ — „Kto ma być wodzem?“

„Kto ma być wodzem?“ „Książe Jeremi! on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej! niech mu oddadzą buławę i niech żyje!“

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk tak gromki, że aż ściany zadrżały i szyby zabrzęczały w oknach kościelnych:

— Książę Jeremi! książę Jeremi! Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłysły tysiące szabel — wszystkich oczy skierowały się na księcia, a on wstał spokojny, ze zmarszczoną brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

— Mości panowie! — rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu. — Gdy Cymbrowie i Teutoni napadali na rzeczpospolitą rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Maryusz. Ale Maryasz miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senat naznaczonych... I jabym się w tej toni od władzy nie wybiegał, chcąc ojczyźnie miłej zdrowiem służyć—ale buławy przyjąć nie mogę, gdyż ojczyźnie, senatowi i zwierzchnościbym ubliżył—a samozwańczym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Rzeczpospolita buławę oddała—jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo zaledwie pana podczaszego wspomniał, powstał straszliwy wrzask, szczękanie szablami; tłum zakołysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. „Precz! na pohybel! p e r e a t!“ — rozległo się w tłumie. — „P e r e a t! p e r e a t!“—brzmiało coraz potężniej. — Podczaszy zerwał się z krzesła blady, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżały się ku stalom, ku ołtarzowi — i słychać już było złowrogie: „Dawajcie go!“—Książę, widząc na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się, sądząc, że chce mówić, uciszyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tulmut zażegnać, rozlewu krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spostrzegł, że najgrożniejsza chwila minęła, usiadł napowrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wojewodę kijowskiego, siedział nieszczęsny podczaszy; siwą głowę opuścił na piersi, ręce mu zwisły, a z ust wydobywały się słowa, przerywane łkaniem:

— Panie! za grzechy moje przyjmuję z pokorą krzyż.

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszem sercu, ale tłum zwykle bywa bezlitosny, więc nanowo wszczynały się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał, dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięstw Jeremiego, dlatego słuchano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych słowach zaklinał go, by buławy nie odrzucał i nie wahał się ratować ojczyzny. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech śpią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale ten, który najwięcej ratować zdolny.

— Bierz-że ty buławę, wodzu niezwyciężony! bierz, ratuj! nie miasto samo, ale całą Rzeczpospolitą. Oto ustami jej, ja, starzec, błagam ciebie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, niewiasty i dzieci — ratuj! ratuj!

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie serca: niewiasta w żałobie zbliżyła się do ołtarza i rzucając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty, klęknęła przed nim i szlochając głośno, wołała:

— Mienie ci nasze przynosim! życie oddajem w twe ręce... ratuj! ratuj! bo giniemy!

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za nimi całe tłumy, zaryczały ogromnym płaczem — i był jeden głos w tym kościele:

— Ratuj!

Książę zakrył oczy rękoma, a gdy podniósł twarz, i w jego źrenicach błyszczały łzy, jednak się wahał... Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?!

Wtem wstał podczaszy koronny.

— Jam stary — rzekł — nieszczęśliwy i przygnębiony. Mam prawo zrzec się tego ciężaru, który jest nad moje siły, i włożyć go na młodsze barki. Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszystkiego rycerstwa, tobie oddaję buławę — bierz ją!

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Nastała chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę; nakoniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego:

— Za grzechy moje, przyjmuję!

Wtedy szał opanował zgromadzenie. Tłumy złamały stale, przypadły do nóg Wiśniowieckiego, ciskały kosztowności i pieniądze, wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całem mieście. Żołnierstwo odchodziło od zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmielnickiego, na Tatarów i sułtana; mieszczanie nie myśleli już o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli krwi; Ormianie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza, nim o szacunku poczęto mówić; Żydzi w bóżnicy podnieśli wrzask dziękczynny. Armaty na wałach oznajmiły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z rusznic, samopałów i pistoletów. Okrzyki: „Niech żyje!“ trwały przez całą noc. Ktoś, rzeczy nieświadom, mógłby sądzić, iż to miasto tryumf jakiś lub uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół — armia większa od tych, jakie cesarz niemiecki lub król francuski mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana, miała obledz mury tego grodu.

ROZDZIAŁ X.

W tydzień później, rankiem dnia 6-go października, gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana jak straszliwa, że książę Jeremi zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał niewiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem; nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, że jeśli książę wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywe głosili wieści, zapowiadając lada chwila Chmielnickiego i Tatarów, bo oto od 26-go września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Książę zapewne chciał się naocznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszystkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone, armaty zatoczone na wały Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawi, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał — i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj wezwali Grozwajera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że książę wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwałe usta wymówiły słowo: „Zdrajca!“ Ale wówczas Arciszewski, stary wódz, wsławiony wielkimi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

— Słyszałem słowo bluźniercze, którego bogdajby nikt nie był wymówił, bo go desperacya nawet usprawiedliwić nie może. Książę wyjechał i nie wróci, tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spoczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Coby się stało, gdyby tu ostatek sił Rzplitej otoczył nieprzyjaciel? Ani zapasów żywności, ani broni na tak wielkie wojsko tu niema, więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamkniętą, tem krócej obrona trwaćby mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia, niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu niemasz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łacniej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzecie, a ja wam powiadam, że książę opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie, zadzierżcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie i wiekopomną usługę Rzplitej oddacie, bo książę przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrę-

twiałą Rzplitą i na ratunek wam pośpieszy. Jedyną on obrał zbawienia drogę, bo gdyby tu głodem zmorzon padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, który poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu. Dlatego, zamiast szemrać, śpieszcie na wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i całej Rzplitej.

— Na wały! na wały!—powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwajer, człowiek energiczny i śmiały, ozwał się:

— Cieszy mnie determinacya ichmościów i wiedzcie, że książę nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie co ma robić; i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja nanowo wstąpiła w struchlałe serca, co widząc, Cichocki ozwał się w końcu:

— Jego książęca mość przysyła też waćpanom wiadomości, iż nieprzyjaciel blizko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za nimi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastała chwila milczenia; wszystkie serca zabiły żywiej.

— Na wały!—rzekł Grozwajer.

— Na wały! na wały! — powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami; słychać było zgiełk tysiąca głosów, które się zlały w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich; nagle drzwi sali otworzyły się z łoskotem, wpadło kilkunastu mieszczan, i nim obradujący mieli czas spytać co zaszło, rozległy się wołania:

— Łuny na niebie! łuny na niebie!

— A słowo stało się ciałem!—rzekł Grozwajer—na wały!!!

Sala opustoszała. Po chwili huk armat wstrząsnął murami miasta, oznajmiając mieszkańcom samego grodu, przedmieść i okolicznych wiosek, że nieprzyjaciel nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwieniło się, jak okiem dojrzeć; rzekłbyś: morze ognia zbliżało się ku miastu.

Książę tymczasem rzucił się do Zamościa i starłszy po drodze czambulik, o którym Cichocki mieszczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim czasie niezdobytą uczynił. Skrzetuski razem z panem Longinem i częścią chorągwi został w twierdzy, przy panu Weyherze, staroście wałeckim, a książę ruszył do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na zaciągi nowych wojsk i zarazem wziąć udział w elekcyi, która razem miała się odprawiać. Losy Wiśniowieckiego i całej Rzplitej miały ważyć się na tej elekcyi, gdyby bowiem królewicz Karol został obrany, tedyby partya wojenna wzięła górę—książę

otrzymałby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzeczypospolitej, i musiałoby przyjść do walnej, na śmierć i życie, z Chmielnickim rozprawy. Królewicz Kazimierz, lubo słynny z męstwa i pan wcale wojenny, słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza Ossolińskiego, zatem polityki układów z kozakami i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczędzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stronników—dlatego wobec równej siły obudwóch partyi nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcyi. Stronnicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki, dzięki rosnącej coraz sławie i miłości, jaką posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważył umysłów na stronę Karola, książę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął śpiesznym pochodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i krymską zatrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można było uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta, mając przed sobą potężniejszy Zamość, który mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł książęcy i wlewały otuchę w jego serce, tylu tak strasznemi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz był obrany—już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię—bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany temi myślami, jechał książę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i pana Wołodyjowskiego, z których pierwszy klął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć—drugi zaś eskortą księcia dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia miłe, chociaż niespodziane spotkanie, zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą ,która z Brześcia Litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dążyła, spodziewając się przytem słusznie, że i książę tam ściągme. Witali się tedy serdecznie po długiem niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo ach! jak często bywały takie chwile, że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej, a tymczasem Bóg dał, że oto wracał, sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczon taką chwałą jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniła, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna, odrywając się co chwila od jego piersi, spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, zczerniałą, na to czoło wyniosłe, które troski i trudy poorały w głębokie bróżdy, na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych, i na nowo zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. Zwolna dopiero księstwo, uspokoiwszy się, poszli do obszernej plebanii miejscowej, i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z którymi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód książę troskliwość księżny o pana Skrzetuskiego, tłómacząc, iż dlatego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach,

jakie od Boga były mu zesłane, nie chciał pogrążać się w szum stołeczny i wolał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne. Potem prezentował książę pana Zagłobę i o czynach jego opowiadał. „Vir to jest incomparabilis, mówił, który nietylko Kurcewiczównę Bohunowi wydarł, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i Tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami, z wielką swoją sławą, najchwalebniej pod Konstantynowem stawał.“—Słysząc to, księżna pani nie szczędziła pochwał panu Zagłobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentacyę w stosownej porze obiecując, a vir incomparabilis kłaniał się, modestyą bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył, na fraucymer zerkał, bo choć był stary i nie wiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu to było, że tyle o jego męstwie i czynach słyszała. Nie brakło jednak i smutku w tem radosnem skądinąd powitaniu, bo pominąwszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ile to razy, na pytania księżny o różnych znajomych rycerzy, książę odpowiadał: „Zabit, zabit, zaginion“ — przytem i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitymi drogie nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, łzy z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, napróżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał — księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów, już był ów kawaler trochę o niej zapomniał, gdyż i z natury, o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrwały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stanęło jako żywe życie łubniańskie, pomyślał sobie, że milejby mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła, i powzdychać, i serce nanowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment jak na złość odżył nanowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał, jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę spuścił na piersi, wąsiki zwykle tak podkręcone w górę, że aż za nozdrza sięgały, jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku dołowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda, i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męstwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dla niego wszystkie pochwały, gdy ona ich słyszeć nie mogła!

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata, i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu strzygąc oczyma ku księżnie, przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

— Dzień dobry waćpanu! — rzekła — dawnośmy się nie widzieli.

— Oj, panno Anno! — rzekł melancholicznie pan Michał — siła wody upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy i nie wszyscy.

— Pewnie, że nie wszyscy, tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

— I my nie w tej liczbie, jak dawniej, bo panna Sieniutówna za mąż poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

— I pewnie za mąż idzie?

— Nie, niebardzo ona o tem myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy, Anusia przymrużyła czarne oczęta tak, iż tylko szpareczki pozostały, i spoglądała ukośnie z pod rzęs na rycerza.

— Przez życzliwość dla familii—odparł pan Michał.

A Anusia na to:

— Oj to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała: gdzie to ów mój rycerz, który na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? co porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i popierwsze ucieszył się, powtóre dostrzegł, że Anusia wyładniała niepomiernie.

— Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła?—spytał.

— Jako żywo, i to jeszcze wspominała, jakeś waćpan przez fosę do niej skakał, wtedy, gdyś to w wodę wpadł.

— A gdzie teraz pani wojewodzina wileńska?

— Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, skąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrzał na Anusię i nie mógł już wytrzymać.

— A panna Anna—rzekł—już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzeć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

— Chciałem swego czasu—rzekł ruszając ramionami rycerz—Bóg widzi, chciałem i nie mogłem, a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwszy.

— A gdzie pan Podbipięta?—spytała cicho Anusia, spuszczając oczki.

— W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział, kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permisyę i tu z nami wielkim krokiem nadążył. Wielki to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

— A na wojnie... nie doznał jakowego szwanku?

— Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył.

— Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

— A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nieleniwie on też szuka okazyi. Pod Machnówką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którem wśród tłumu walczył, i sam książę z nami jeździł, bo powiem waćpannie, dużo widziałem, ale takich jatek, pó-

kim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfą waćpanny do bitwy przepasze—strach, co dokazuje. Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

— Niechże każdy znajdzie to, czego szuka—rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, gdy nagle spojrzał ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzała na niego twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nieznana, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko, jakby z tłumionej pasyi.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jak się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi, pytał:

— Co to za jakowaś figura, ot tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretesem połknąć chciała, i wąsiskami rusza, jako właśnie stary kot przy pacierzu?

— To? — rzekła Anusia, ukazując białe ząbki — to jest pan Charłamp.

— Cóż to za poganin?

— Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego rotmistrz petyhorski, który nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie włazi, bo to wielki ludojad.

— Widzę ja to, widzę. Ale skoro to ludojad, przecie są tłustsi ode mnie, dlaczegóż na mnie, nie na innych zęby ostrzy?

— Bo...—rzekła Anusia i zachychotała zcicha.

— Bo co?

— Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, któryby się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księstwa wstrzymuje, inaczej zarazby poszukał okazyi.

— Masz-że tobie!—rzecze wesoło pan Wołodyjowski.—To tak, panno Anno? Oj, niedarmośmy, jak widzę, śpiewywali: „Jak tatarska orda, bierzesz w jasyr corda!“ Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

— Takie to już moje nieszczęście!—odparła, spuszczając oczki, Anusia.

— Ej, faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

— Cóż ja winna, że ten pan Charłamp mię prześladuje? ja go nie cierpię i patrzeć na niego nie chcę.

— No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią krew nie polała. Podbipiętę choć do rany przyłożyć, ale w rzeczach sentymentu żarty z nim niebezpieczne.

— Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy, Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby do imć Carboniego, doktora księżny, z którym zaczęła coś

żywo szeptać i rozmawiać, a Włoch oczy wlepił w pułap, jakby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do pana Wołodyjowskiego i począł mrugać krotofilnie swojem zdrowem okiem.

— Panie Michale—spytał—a co to za dzierlatka?

— Panna Borzobohata-Krasieńska, respektowa księżny pani.

— A gładka bestyjka, oczy jak tareczki, pysio jak malowane, a szyjka, uf!

— Niczego, niczego!

— Winszuję waszmości!

— Dałbyś waść pokój! To narzeczona pana Podbipięty, albo tak jak narzeczona.

— Pana Podbipięty? Bój-że się waćpan ran Boskich! Przecie on czystość ślubował! A prócz tego, przy takiej między nimi proporcyi, chybaby ją za kołnierzem nosił; na wąsach mogłaby mu siadać, jak mucha, cóż znowu?

— Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidliła.

— Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba.

— Będzie takich więcej, jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płoche to, bo młode i gładkie.

— Zacny z waści kawaler i dlatego ją chwalisz, ale że dzierlatka, to dzierlatka.

— Uroda ludzi ciągnie, exemplum: ten oto rotmistrz okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

— Ba! a spojrz-no waćpan na tego kruka, z którym ona rozmawia, co to za czort?

— To Włoch Carboni, doktor księżny.

— Uważ, panie Michale, jak mu się latarnia rozjaśniła i ślepie przewraca, jak w delirium. Ej, źle z panem Longinem! Znam ja się na tem trochę, bom za młodu niejednego doświadczył. W innej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie terminy, w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małego rycerza i mrugać silniej niż zwykle, ale w tem nadeszła pora wyjazdu. Książę siadł z księżną do karety, aby przez drogę nagadać się z nią po długiem niewidzeniu dowoli; panny pozajmowały kolaski, a rycerstwo siadło na koń—i ruszono. Naprzód jechał dwór. a wojsko opodal z tyłu, gdyż kraj był tu spokojny, i chorągwie tylko dla ostentacyi, nie dla bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy do Mińska. a stamtąd do Warszawy, często gęsto ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak zapchany, iż zaledwie noga za nogą można się było posuwać. Wszystko dążyło na elekcyę, i z okolic poblizkich, i z dalekiej Litwy: więc tu i owdzie spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłocistych karet, otoczone hajdukami, olbrzymimi pajukami, ubranymi po turecku, za którymi postępowały nadworne roty, to węgierskie, to niemieckie, to janczar-

skie, to oddziały kozaków, to wreszcie poważne znaki niezrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić i najokazalej, i w jak najliczniejszej asystencyi. Obok licznych magnackich kawalkad, ciągnęły i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyncze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprzężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic, personat, z krucyfiksem, lub obrazem Najświętszej Panny, zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktualnych lub byłych towarzyszów chorągwianych jeszcze i kopia, sterczącа na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legawe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie powodowe, pokryte dekami dla ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na pola, cała droga odsłaniała się i mieniła jako wąż stubarwny, lub jako wstęga, misternie ze złota i jedwabiów utkana. Gdzieniegdzie, na owej drodze brzmiały ochoczo kapele włoskie lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiami koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencyi przy dygnitarzach iść musiały, a wszędy pełno było krzyku, gwaru, nawoływań, pytań i kłótni, gdyż jedni drugim ustępować nie chcieli. Raz wraz też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego a takiego dygnitarza, lub pytając kto jedzie. Ale gdy uszu ich doszła odpowiedź: „Wojewoda ruski! “ natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną, lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak. Na popasach kupiła się szlachta i żołnierze, chcąc napoić ciekawe oczy widokiem największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiwatów, na które książę wdzięcznie odpowiadał, raz z przyrodzonej sobie ludzkości, a powtóre chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemało.

Z równą ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych „Rusinów,“ jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich, jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców blizkich okolic stolicy przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich płeć ogorzałą, spaloną wiehrami z Czarnego morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przejętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się, po księciu, na pana Zagłobę, który dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptano w tłumie:

„Ten to musi być rycerz między nimi najprzedniejszy!“ — A inni mówili: „Siła on już musiał dusz z ciał wypędzić, taki smok sierdzisty“—gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdzistością wewnętrzne ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie srebrną pętelkę na ramieniu.

— Naści hetkę, panie pętelko! — wołał na ten widok pan Zagłoba.

Więc też niejeden towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trząsnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku splunął i okazyi zaniechał.

Bliżej Warszawy tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcya obiecywała być liczniejszą niż zwykle, bo nawet szlachta z dalszych ruskich i litewskich okolic, która z przyczyny odległości nie byłaby dla samej elekcyi przybyła, ściągała teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleko, gdyż zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ściągano na miesiąc i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocyi poszukać, po dworach pańskich jadać i pijać, i wreszcie, by po żniwach w stolicy rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jakąby to siłę można z nich utworzyć—ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita, taka silna, ludna i bogata, dzielnem rycerstwem przepełniona, jest zarazem tak mdła, że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego możnaby krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywacie służyły. Cnota w Rzeczypospolitej ginie!—myślał książę— i wielkie ciało psuć się poczyna; męstwo dawne ginie i w słodkich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta! Książę miał poniekąd słuszność, ale o brakach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, który wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć, i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciel, kanclerz koronny, bieglejszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwem i błękitnem oddaleniu zamajaczyły śpiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpierzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódzcy eskorty, odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan Michał od kolaski Anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk

sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim — obejrzał się: był to pan Charłamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i Anusin adorator.

Wołodyjowski wstrzymał konia, bo odrazu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charłamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodze ruszał, widocznie szukając wyrazów—nakoniec ozwał się:

— Czołem, czołem, panie dragon!

— Czołem, panie pocztowy!

— Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym — pytał, zgrzytając zębami, pan Charłamp—mnie, towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodyjowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwytać go za rękojeść—i odrzekł, jakby od niechcenia:

— Bo po pętelce nie mogę poznać szarży.

— Wasć całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

— A to dlaczego?—pytał z głupia frant Wołodyjowski.

— Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

— Uspokójże się waćpan—rzecze pan Michał—choć w dragonach służę, przeciem jest towarzysz, i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana wojewody, możesz tedy ze mną mówić, jak z równym, albo jak z lepszym *).

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do większej jeszcze złości doprowadziła—więc rzekł:

— Jak waćpan śmiesz mi w drogę włazić?

— Ej, widzę waszmość okazyi szukasz.

— Może i szukam, i to ci powiem—(tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem) — że-ć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

Pan Wołodyjowski znów począł podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę, i ozwał się tonem perswazyi:

— Ej, dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć, zaniechaj mnie!

— O nie! nic z tego! nie wymkniesz się—rzekł pan Charłamp, chwytając za rękaw małego rycerza.

— Ja się przecie nie wymykam—mówił łagodnie pan Michał—ale teraz na służbie jestem i ordynansem księcia pana mojego dążę.

---

*) Towarzysz z pod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę nawet generała wojsk cudzoziemskiego autoramentu, przeciwnie nawet, często generał bywał oddawany pod komendę towarzysza; aby tego uniknąć, generałowie i oficerowie regimentów codzoziemskich starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i p. Wołodyjowski.

Puść waść rękaw, puść, proszę cię, bo inaczej, co mnie biednemu robić: chyba tym oto obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę.

Tu pokorny z początku głos Wołodyjowskiego tak jakoś zasyczał jadowicie, że pan Charłamp spojrzał z mimowolnem zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

— O! wszystko jedno — rzekł — w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cię!

— Nie będę się krył, wszelako jakże to mam bić się w Warszawie? racz-że mnie waszmość nauczyć! Nie bywałem tam jeszcze w życiu mojem, ja prosty żołnierz, alem słyszał o sądach marszałkowskich, które za wydobycie szabli pod bokiem króla, lub interrexa, gardłem karzą.

— Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, skoro się sądów marszałkowskich boisz, i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi, z którym sprawa łatwiejsza, a już o waścine uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien.

— Dziękuję za naukę i często o instrukcyę poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nielada, i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę minorum praktykował, ledwie adjectivum cum substantivo pogodzić umiem i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tylko tyle wiem, że powiedziałbym: stultus, nie zaś stulta, ani stultum.

Tu pan Wołodyjowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tem samem mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął. Przez chwilę patrzali na się jak dwa odyńce z rozwartemi nozdrzami i z płomieniami w oczach—lecz pan Charłamp zmiarkował się pierwszy, iż z samym wojewodą przyszłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera jadącego z rozkazem napadł—więc też i pierwszy szablisko napowrót schował.

— O! znajdę cię, taki synu!—rzekł.

— Znajdziesz, znajdziesz, boćwino! — rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kawalkaty, drugi do chorągwi, które znacznie się przez ten czas zbliżyły, tak, iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardym trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na czele. Po chwili przyczłapał ku niemu pan Zagłoba.

— Czego chciało od ciebie owo straszydło morskie? — spytał Wołodyjowskiego.

— Pan Charłamp? Ej, nic, wyzwał mnie na rękę.

— Masz tobie! — rzekł Zagłoba.— Na wylot cię swoim nosem przebodzie. Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abyś największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzebaby dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towarzysz zdaleka go zwietrzy. Ale za co cię wyzwał?

— Za to, żem przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

— Ba! trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamościa udał. Tenby go dopiero poczęstował pieprzem z imbierem. Zle ten boćwinkarz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

— Nie mówiłem mu nic o panu Podbipięcie — rzekł Wołodyjowski—bo nużby mnie zaniechał? Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał, chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziem mieli lepszego do roboty?

— Znajdziemy, znajdziemy, panie Michale — rzekł, mrugając oczyma Zagłoba.— Kiedy byłem za młodych lat deputatem do exakcyi od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia jak w Warszawie nigdzie nie znalazłem.

— Mówisz waćpan, że inne niż u nas na Zadnieprzu?

— Ej, co i mówić!

— Bardzom ciekaw — rzekł pan Michał.

A po chwili dodał:

— A taki temu boćwinkowi wąsy podetnę, bo ma za długie.

ROZDZIAŁ XI.

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcyę zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływały tysiące kupców i bazarników z całego świata, począwszy od Persyi dalekiej, aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a na okół bieliły się już tysiące namiotów, którymi obszerne błonia całkiem się okryły. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów, królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup płocki, będzie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów—obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo, książę Jeremi, tem groźniejszy dla przeciwników, że zawsze prawdopodobnem było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każdy licznych miał klientów, a między magnatami i książę Dominik Zasławski-Ostrogski, wojewoda sandomierski, po Piławcach zniesławion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej Rzeczypospolitej, ba! nawet w ca-

łej Europie, i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szalę swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jak się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadciągała jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem, i pewnie nie chciwość go wstrzymała, ale właśnie przeciwnie, zbytnia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłonną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił—biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może, „gdyż to szczęście in liberis suffragiis Rzplitej i komu Pan obiecał“— a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się i razem z nim groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki, porzuciwszy oblężenie Lwowa, który się po kilku szturmach okupił, stanął pod Zamościem i dzień i noc do tej ostatniej zasłony Rzplitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem i oświadczoniem, iż jako szlachcic polski za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samem mieście pełno przebranej starszyzny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo przybywali jako szlachta słuszna i zamożna, w niczem się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich, nie różniąc—nawet i mową. Jedni, jak mówiono, poprzekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcyi i Warszawie przypatrzyć, inni na przeszpiegi, dla zasięgnięcia wieści, co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzeczpospolita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tem, co o owych gościach mówiono, bo między starszyzną zaporoską wielu było skozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po czem poznać; zresztą na dalekich stepach wogóle nie kwitła łacina, i tacy kniazie Kurcewicze nie umieli jej tak samo, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnem i w mieście, razem z wieściami o postępach Chmielnickiego i podjazdach kozacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napełniały niepokojem i trwogą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między zebraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie, iż jest przebranym zaporożcem, aby go w jednej chwili, nim zdołał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób mogli ginąć ludzie niewinni i powaga

obrad była znieważana, zwłaszcza, że obyczajem ówczesnym niezbyt przestrzegano i trzeźwości. Kaptur, postanowiony propter securitatem loci, nie mógł sobie dać rady z ciągłemi burdami, w których siekano się z lada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju, oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatyki, natomiast szałapuci, kosterzy i warchołowie czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali, że to ich właśnie czas, ich żniwo—i tem śmielej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między nimi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonię zapewniła mu i wielka sława rycerska i nienasycone pragnienie, poparte możnością picia, i język tak wyprawny, że żaden inny wyrównać mu nie mógł, i wielka pewność siebie, której nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady „melankolii“—wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki na prawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takiem usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, Rawianina, za to tylko, iż przechodząc, o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił i przed nim uskarżał się, iż go tęskność po panu Skrzetuskim i po niebodze trawi. „Opuściliśmy ją, panie Michale,—mawiał—wydaliśmy ją, jako Judasze, w bezbożne ręce, już wy mnie się waszem nemine excepto nie zasłaniajcie! Co się z nią dzieje, panie Michale, powiedz?“

Napróżno pan Michał tłómaczył mu, że gdyby nie Piławce, toby niebogi szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko w jeszcze większą pasyę wpadał, klnąc na czem świat stoi pierzynę, dziecinę i łacinę.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem Zagłoba, jakby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił jeszcze więcej niż zwykle; czas spędzał pod wiechami, w towarzystwie największych opojów, lub stołecznych gamratek, w czem pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak na szeląg tej powagi, jaką naprzykład w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił kogo mu kazano—o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze opłakiwać; ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik wietrznik, który dostawszy się w szum stołeczny, utonął w nim po uszy i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo „ten mu był mistrzem w swawoli.“ Jeździł więc z nim i między szlachtę, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba, kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj i po polu elekcyjnem, i w mieście, jak muchy w ukropie—i nie było kąta, do któregoby nie wleźli. Byli i w Nieporęcie,

i w Jabłonnie, i na wszystkich ucztach, obiadach u magnatów, i pod wiechami, byli wszędy i uczestniczyli we wszystkiem. Pana Michała świerzbiała młoda ręka, chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza niż inna, a żołnierze książęcy nad wszystkich. Więc jeździli umyślnie szukać awantur, między Łęczycanów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj czuli szczególną nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rębajłów, których sława była niezachwiana i ustalona, i z góry układali zaczepki. „Waszmość dasz okazyę.—mawiał pan Michał—a ja potem wystąpię.“ Zagłoba, biegły bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami, ale gdy z jakim łęczyckim graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazyi, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: „Mój mospanie! jużbym też nie miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając; spróbuj się lepiej z tym oto moim synalkiem i uczniem, bo nie wiem czy i jemu sprostasz.“ Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swymi zadartymi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia, i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława między niespokojnymi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególnie sława pana Zagłoby, bo mówiono: „Jeśli uczeń taki, jakiż mistrz być musi?“ Jednego tylko pana Charłampa Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleźć nie mógł, myślał nawet, że go może na Litwę napowrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blizko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wytężona walka między braćmi kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzburzenie namiętności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśl byłby obrany. Jakoż te przewidywania sprawdziły się w znacznej części. Zato dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporoska Kartagina była zburzona—taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Teraz musiały już wejść na porządek spraw układy. Książę wiedział wprawdzie, że te układy albo odrazu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy będą zerwane, i widział wojnę w przyszłości—ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy, a Rzeczpospolita słabszą. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wsławionemu jak Chmielnicki wodzowi? Zali nie przyjdą nowe klę-

ski, nowe pogromy, ktore do ostatka siły wyczerpią? Bo książę nie łudził się i wiedział, że jemu, najżarliwszemu stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprawdzie bratu, że jego stronników, tak jak i swoich, będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą—ale Kazimierz był stronnikiem polityki kanclerza—kto inny więc weźmie buławę— nie książę—i biada Rzeczypospolitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy. Na tę myśl podwójny ból uciskał duszę Jeremiego—bo i obawa o przyszłość ojczyzny i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi, że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwigania buławy—i na nią zasłużył—więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że książę nie będzie czekal końca elekcyi i że z Warszawy wyjedzie—ale nie była to prawda. Książę nietylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną łaskawością był przyjęty, poczem wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o zyskanie środków na wojsko — o co pilnie nastawał książę. Przytem za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenta dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładu przyprowadzić. W tym celu rozesłał książę na wszystkie strony oficerów biegłych w rzeczach organizacyi wojskowej, aby owe pułki przyprowadzali do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszel i Wierszuł, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodyjowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, który taki mu dał rozkaz:

— Pojedziesz waść na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają konie dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem, tu w Warszawie, od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodyjowski wziął się raźno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa, w samodziesięć i z wozem, który wiózł pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony Warszawy roiła się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski aż po Babice były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w tłoku ludzi różnych humorów—jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się, nie uniknęli jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic, ujrzeli przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały, pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdźców spojrzał na pana Wołodyjowskiego i nie rzekłszy słowa, puścił się kłusem ku niemu.

— A tuś mi, bratku! — zakrzyknął — chowałeś się, alem cię znalazł, nie ujdziesz mi teraz! Hej! mości panowie! — zakrzyknął na swoich towarzyszów — a czekajcie-no trocha. Mam temu oficer-

kowi coś powiedzieć i chciałbym, abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo poznał pana Charłampa.

— Bóg mi świadkiem, żem się nie chował — rzekł — i sam waćpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rankor jeszcze dla mnie zachował, ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

— Panie Michale — szepnął Zagłoba — po służbie jedziesz.

— Pamiętam! — mruknął Wołodyjowski.

— Stawaj do sprawy! — wrzeszczał Charłamp. — Mości panowie! obiecałem temu młodzikowi, temu gołowąsowi, że mu uszy obetnę i obetnę, jakem Charłamp! oba, jakem Charlamp! Bądźcie świadkami waszmościowie, a ty młodziku, stawaj do sprawy!

— Nie mogę, jak mnie Bóg miły, nie mogę! — mówił Wołodyjowski — pofolguj-że mi wasze choć parę dni.

— Jak to, nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć opłazuję, aż ci się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gzie jadowity, w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kąsać umiesz, a do szabli ciebie niema!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

— Widzi mi się, że waszmość w piętkę gonisz—rzekł do Charłampa — i bacz, żeby cię ten bąk na prawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do dyabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie? Spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy i zrozum, do kaduka, iż strażując przy skarbie, ten oficer swoją osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz. Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy, jak waćpan, ale dziś nie można, co się odwlecze, to nie uciecze.

— Już-ci pewno, że kiedy z pieniędzmi jadą, to nie mogą — rzekł jeden z towarzyszów Charłampa.

— A co mnie do ich pieniędzy! — krzyczał niepohamowany pan Charłamp — niech mi pole daje, bo inaczej płazować zacznę!

— Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam — rzekł pan Michał—że się stawię za trzy, lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentowali, to każę cynglów ruszać, bo będę myślał, że nie ze szlachtą i nie żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy do wszystkich dyabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słysząc to, eskortujący dragoni zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała, widoczne wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa.

— Już też pofolguj — mówili mu—sameś żołnierz, wiesz co to służba, a to pewna, że satysfakcyę otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy z pod ruskich chorągwi. Pohamuj się, póki prosim!

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzyszów rozgniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami narazi, więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Dajesz tedy parol, że się stawisz?

— Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz dwa razy pytasz. Stawię się w czterech dniach; dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin. Obieraj miejsce.

— Tu w Babicach siła gości — rzekł Charłamp — mogłyby jakowe impedimenta się zdarzyć. Niechże będzie tu obok w Lipkowie, tam już spokojniej i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

— A waćpanów taka sama będzie liczna kompania, jak dziś? — pytał przezorny Zagłoba.

— O, nie trzeba! — rzekł Charłamp — przyjadę tylko ja i panowie Sieliccy, moi krewni. Waszmościowie też, spero, bez dragonów staniecie.

— Może u was w asystencyi wojskowej do pojedynku stają— rzekł pan Michał; — u nas niema takiej mody.

— Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? — rzekł Charłamp.— Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, który tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał zdaleka tylko widział przyszłego pana, bo śpieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił, konie obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, ba! nawet o godzinę zawcześnie, stanął w Lipkowie, razem z Zagłobą i panem Kuszlem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą Żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przepłókać, i przy szklanicy zabawiali się rozmową.

— Parchu, a pan jest w domu? — pytał karczmarza Zagłoba.

— Pan w mieście.

— A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

— U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie, i siedzi w alkierzu; bogaty pan ze służbą i końmi.

— A czemu do dworu nie zajechał?

— Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

— A może to Charłamp? — rzekł Zagłoba.

— Nie — rzekł Wołodyjowski.

— Ej, panie Michale! mnie się widzi, że to on.

— Co znowu!

— Pójdę, zajrzę, kto jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

— Dziś przyjechał, niema dwóch godzin.

— A nie wiesz skąd on jest?

— Nie wiem, ale musi być zdaleka, bo konie miał zniszczone; ludzie mówili, że z za Wisły.

— Czemu on tedy aż tu w Lipkowie stanął?

— Kto jego wie?

— Pójdę zobaczę — powtórzył Zagłoba — może kto znajomy.

I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza, zapukał w nie rękojeścią i ozwał się:

— Mości panie, można wejść?

— A kto tam? — ozwał się głos ze środka.

— Swój! — rzekł Zagłoba, uchylając drzwi. — Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? — dodał, wsadzając głowę ,do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestrach w połączeniu z największem zdumieniem; usta otworzył i spoglądał obłąkanemi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuszla.

— Co waćpanu jest? — pytał Wołodyjowski.

— Na rany Chrystusa! cicho! — rzekł Zagłoba — tam... Bohun.

— Kto? co się waści stało?

— Tam... Bohun!

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

— Czyś waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

— Bohun! Bohun!

— Nie może być!

— Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę się na Boga i wszystkich świętych!

— Czegoś się waść tak stropił? — rzekł Wołodyjowski.— Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść! Jest-żeś pewny, że to on?

— Jako że z waćpanem mówię. Widziałem go, szaty przewdziewa.

— A on waćpana widział?

— Nie wiem; zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiego oczy zaiskrzyły się jak węgle.

— Żydzie! — rzekł zcicha, kiwając gwałtownie ręką.— Chodź tu! Czy są drzwi z alkierza?

— Niema, jeno przez tę izbę.

— Kuszel pod okno! — szepnął pan Michał.— O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel, nie mówiąc ani słowa, wybiegł z izby.

— Przyjdź waćpan do siebie! — rzekł Wołodyjowski. — Nie nad waścinym, ale nad jego karkiem zguba wisi. Co on ci może uczynić? nic!

— Ja też jeno ze zdziwienia nie mogę ochłonąć! — rzekł Zagłoba, a w duchu pomyślał: — Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie, niech się Bohun boi!

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

— Panie Michale, już on nie powinien nam ujść!

— Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Coby on tu robił?

— Chmielnicki go na przeszpiegi przysłał. To najpewniejsza rzecz. Czekaj, panie Michale! Chwycimy go i postawimy kondycyę: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości.

— Byle kniaziównę oddał, jechał go sęk!

— Ba, ale czy nas nie za mało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie się on bronił, jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

— Charłamp z dwoma przyjedzie, będzie nas sześciu! dosyć! cyt!

W tej chwili otworzyły się drzwi, i Bohun wszedł do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzedz zaglądającego do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął nagle i jakby płomień przeleciał mu przez oblicze, a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głowni szabli, ale wszystko trwało jedno mgnienie oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzał na niego i nie mówił nic, ataman również stał milczący; w izbie słyszałbyś przelatującą muchę — i ci dwaj ludzie, których losy plątały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydało się, że upływają wieki całe.

— Żydzie! — rzekł nagle Bohun — daleko stąd do Zaborowa?

— Niedaleko — odparł Żyd.— Wasza mość zaraz jedzie?

— Tak jest — rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby, wiodącym do sieni.

— Za pozwoleniem! — zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się odrazu, jakby w ziemię wrósł, i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpił w niego swe czarne, straszne źrenice.

— Czego waść życzysz? — spytał krótko.

— Ej, bo mnie się zdaje, że my się skądciś znamy A czy my się to nie na weselu w futorze, na Rusi widzieli?

— A tak jest! — rzekł hardo watażka, kładąc znów rękę na głowni.

— Jak zdrowie służy? — rzekł Zagłoba.— Bo waćpan tak nagle wtedy z futoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

— A waszmość tego żałował?

— Pewnie, że żałowałem, bylibyśmy potańcowali; kompania się zwiększyła. — (Tu pan Zagłoba wskazał Wołodyjowskiego). — Właśnie ten oto kawaler nadjechał, który radby się był z waścią bliżej poznać.

— Dość tego! — krzyknął pan Michał, wstając nagle — zdrajco, aresztuję cię!

— A to jakiem prawem? — spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

— Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przeszpiegi tu przyjechałeś!

— A waść co za jeden?

— O! nie będę się tobie wywodził, ale mi się nie wymkniesz!

— Zobaczymy! — rzekł Bohun. — Nie wywodziłbym się i ja waszmości, ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szable wyzwał, ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiodę: oto jest list, który od hetmana zaporoskiego do królewicza Kazimierza wiozę i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zaborowa z nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy, Bohun spojrzał dumnie i szyderczo na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka, i nie wiedząc, co ma począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastała ciężka chwila milczenia.

— Ha! — rzekł Zagłoba — trudno! Skoro jesteś posłańcem, tedy cię już aresztować nie możemy, ale z szablą się temu kawalerowi nie nadstawiaj, bo jużeś raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarz Bohuna powlokła się purpurą, bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nieustraszonym watażce. Wspomnienie tej ucieczki paliło go jak ogień. Była to jedyna niestarta plama na jego sławie mołojeckiej, którą nad życie, nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

— Ledwieś i hajdawerków nie zgubił, aż litość tego kawalera tknęła, i życie ci darował. Tfu! mości mołojcze, białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byłeś odważny ze starą kniaziową i z dzieciuchem kniaziem, ale z rycerzem dudy w miech! Listy tobie wozić, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły, na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu! tfu! ot i teraz o szabli gadasz, bo list wieziesz. Jakże to nam się z tobą potykać, gdy tem pismem się zasłaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości mołojcze! Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapichrostów.

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego, tak, że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

— Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować — mówił Bohun.

— Nie wiem, dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał — rzekł pan Michał.

— Wszędy dam waści pole, choćby tu zaraz!

— Wyzywasz mnie? — pytał, przymrużając oczy, Wołodyjowski.

— Ty mnie sławę mołojecką wziął, ty mnie pohańbił! mnie twojej krwi potrzeba.

— To i zgoda! — rzekł Wołodyjowski.

— Volenti non fit injuria—dodał Zagłoba.—Ale któż królewiczowi list odda?

— Niechże was głowa o to nie boli; to moja sprawa!

— Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej — mówił Zagłoba.—Gdyby ci się też poszczęściło, mości watażko, z tym oto kawalerem, bacz, że ja drugi staję. A teraz chodź, panie Michale, przed sień, mam coś pilnego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla z pod okna alkierza, poczem Zagłoba rzekł:

— Mości panowie, zła nasza sprawa! On na prawdę ma list do królewicza; zabijemy go, to kryminał! Pomnijcie, że kaptur propter securitatem loci w dwóch milach od pola elekcyi sądzi, a to wszakże quasi poseł! Ciężka sprawa! Musimy się chyba potem gdzie schować, albo może książę nas osłoni, inaczej może być źle. A znowu puszczać go wolno, jeszcze gorzej. Jedyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy go nie będzie na świecie, łatwiej ją odszukamy. Bóg sam widocznie chce jej i Skrzetuskiemu pomódz, ot co jest! Radźmy, mości papowie!

— Waść przecie znajdziesz jaki fortel?—rzekł Kuszel.

— Już to przez mój fortel sprawiłem, że on nas sam wyzwał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja myśl jest, aby na Charłampa zaczekać. Biorę to na siebie, że on pierwszeństwa ustąpi i w potrzebie będzie świadczył, jakośmy byli wyzwani i musieliśmy się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma zginąć, nic mu po niej, może powie, gdy go zaklniemy. A nie powie, to i tak lepiej, by nie żył. Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. Głowa pęka, mości panowie!

— Któż się będzie z nim bił?—pytał Kuszel,

— Pan Michał pierwszy, ja drugi—rzekł Zagłoba.

— A ja trzeci.

— Nie może być—przerwał pan Michał — ja się jeden biję i na tem koniec. Położy mnie, to jego szczęście, niechże jedzie zdrów!

— O! jam mu już zapowiedział — rzekł Zagłoba — ale jeśli tak waszmoście postanowicie, to ustąpię.

— No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim.

— Chodźmy tedy do niego!

— Chodźmy!

Poszli—i zastali Bohuna w głównej izbie popijającego miód. Watażka już był spokojny zupełnie.

— Posłuchaj-no waćpan—rzekł Zagłoba—bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwałeś tego kawalera—dobrze, ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz, to cię prawo broni, boć do politycznego narodu, nie między dzikie bestye przyjechałeś. Owoż nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwał. Przyjdzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedynkować, przed nimi to oświadczysz—my zaś damy ci kawalerski parol, jeślić się poszczęści z panem Wołodyjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba, że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

- Zgoda!—rzekł Bohun.—Powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli i Chmielnickiemu powiedzieli, jeśli zginę, żem ja sam wyzwał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę mołojecką odzyskać, tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy, spojrzał Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kalsznął, splunął i odrzekł:

— Zgoda! Gdy się z tym moim uczniem popróbujesz, poznasz, jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tem. Jest drugie punctum ważniejsze, w którem do sumienia twego się odwołujemy, gdyż luboś kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałeś kniaziównę Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela, i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapozwali, niby ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest raptus puellae, gardłowa sprawa, któraby tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie, co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? Żali jej zła i zguby chcesz, ty, który ją miłujesz? zali ją pozbawisz opieki, na hańbę i nieszczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykłą mu powagą, a Bohun pobladł—i pytał:

— Czego wy ode mnie chcecie?

— Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleźć i narzeczonemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się głęboko, a trzej towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tkliwym, jakby na niej nigdy gniew, ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby, który drżał, mówiąc następne słowa:

— Jeżeliś zaś ją już pohańbił, niechże cię Bóg potępi, a ona niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, roztęsknione, i tak mówił:

— Jeśli ja ją pohańbił? Ot! nie wiem, jak wy miłujecie, panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby ochronił, a potem w pustynię wywiózł — i tam jak oka w głowie pilnował, palca na nią nie skrzywił, do nóg padał i czołem bił, jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł—i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

— Bóg to waści na sądzie policzy!—rzekł, odetchnąwszy głęboko Zagłoba. — Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i Tatary.

— Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłał pytać, czy pod Kudak ma iść, i już pewno poszedł, a tam,

gdzie ona jest, niema ani kozaków, ani Lachów, ani Tatarów—ona tam bezpieczna.

— Gdzie ona tedy?

— Słuchajcie, panowie Lachy! Niech będzie jak chcecie, powiem ja wam, gdzie ona jest i wydać ją każę, ale za to wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie jej szukać. Wy za siebie przyrzeczecie i za pana Skrzetuskiego, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie

— My tego nie możem uczynić!—rzekł Zagłoba.

— O, jako żywo nie możem!—wykrzyknęli Kuszel i Wołodyjowski.

— Tak?—rzekł Bohun, i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły.—Czemuż to, panowie Lachy, nie możecie tego uczynić?

— Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a prócz tego wiedz o tem, że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

— Tak wyby taki targ ze mną uczynili: ty, kozacze, duszę oddaj, a my tobie szablą! O nie doczekacie! A co to wy myśleli, że u mnie szabla kozacka nie ze stali? że już nade mną, jak krucy nad ścierwem, kraczecie? A czemu to mnie ginąć, nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! zobaczymy, kto czyjej dostanie.

— Więc nie powiesz?

— A poco mnie mówić? Na pohybel-że wam wszystkim!

— Na pohybel tobie! Warteś, by cię na szablach roznieść!

— Spróbujcie!—rzekł watażka, wstając nagle.

Kuszel i Wołodyjowski porwali się również z ławy. Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wezbrane gniewem piersi oddychały mocniej i niewiadomo, do czegoby doszło, gdyby nie Zagłoba, który spojrzawszy w okno, wykrzyknął:

— Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoż po chwili rotmistrz petyhorski, razem z dwoma towarzyszami, panami Sielickimi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach, Zagłoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyłuszczać.

A prawił tak wymownie, że wnet przekonał, zwłaszcza iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów, wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, który jest zwierciadłem wszystkich cnót rycerskich.

— A gdy waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza; zali więc ścierpicie, aby nie była pomszczona?

Pan Charłamp czynił w początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekać, „a pan Wołodyjowski niechaj po staremu ze mną staje.“

Musiał mu nanowo tłómaczyć pan Zagłoba, dlaczego to nie może być i że nawet nie po rycersku byłoby w tylu na jednego napadać. Szczęściem, pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni, aż dał się nakoniec uparty Litwin przekonać i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z esaułem Eliaszeńką, któremu zapowiedział, jako do bitwy dwóch szlachty wyzwał, poczem powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

— My zaś oświadczamy—rzekł Wołodyjowski—iż jeśli wyjdziesz zwycięzcą z walki ze mną, tedy od woli twej zależy, czy jeszcze zechcesz się bić z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał, ani też kupą na ciebie nie napadną, i odjedziesz dokąd zechcesz, na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

— Przyrzekamy!—rzekli uroczyście Charłamp i dwaj Sieliccy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewica Eliaszeńce i rzekł:

— Ty ceje pyśmo korolewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jomu i Chmielnickomu, szczo moja wyna buła, i szczo ne zdradoju mene zabyły.

Zagłoba, który pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eliaszeńki nie odbił się najmniejszy niepokój — widać całkiem był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

— No, komu śmierć, komu życie!—rzekł.—Możemy iść!

— Czas, czas!—odrzekli wszyscy, zasadzając poły od kontuszów za pasy i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła śród zarośli i głogów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czerniała jakby wstęga kiru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku owym wydmom.

— Tam się zatrzymamy!—rzekł Zagłoba.

— Zgoda!—odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, nakoniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, panie Michale, staraj-że się! W twoich teraz ręku los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło... Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się!—rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Cięta jakaś sztuka ten wasz kozak—szepnął—tak sobie z nami poczyna, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazya! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzyć!

— E!—rzekł Zagłoba—prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy; poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać i widać było, że sprawy nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najsławniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię — jak Ruś szeroka—aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy Zagłoba aż przeląkł się.

— Traci fantazyę! — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy rosłym i silnym atamanie! prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie muskuły, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwił w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycyi.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

ROZDZIAŁ XII.

Świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył w tył kilka kroków, i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć—zdało im się, że pan Michał całkiem jest nimi otoczony, pokryty i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zlały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furya watażki wzrastała: ogarniał go dziki szał bojowy, i parł przed sobą Wołodyjowskiego, jak huragan— a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwytał szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał, i jeszcze się cofał, oczy utkwił w oczach kozaka i śród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmę, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracze — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale upór podniecał tylko jego wściekłość; białe kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle, poczuwszy za sobą wydmę, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył,

przysiadł — rzucił całą swoją osobą, niby kamieniem, w pierś kozaka.

— Atakuje! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakuje! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynał się rozgrzewać — małe oczki sypały iskry, przysiadał się i zrywał, zmieniał w jednem mgnieniu pozycye, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! mistrz! — zawołał Zagłoba.

— Zginiesz!—ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz!—odparł jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus Marya!—krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie, i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się, jak dziki kot, i całą niemal długością ostrza ciął straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatniem wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochylony łeb—szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eliaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Michale, pójdź w moje objęcia!—rzekł z rozczuleniem.

Otoczyli go tedy kołem.

— Toś waść gracz pierwszej wody! Niech waści kule biją!—mówili panowie Sieliccy.

— Waść widzę z cicha pęk! — rzekł Charłamp. — Stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się uląkł, ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochlastać, zawszeć winszuję, winszuję!

— Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój, bo w rzeczy nie macie się o co bić!—mówił Zagłoba.

— Nie może być, bo tu chodzi o moją reputacyę!—odparł petyhorzec—za którą chętnie dam gardło.

— Nic mi po waścinem gardle, zaniechajmy się lepiej!—rzecze Wołodyjowski — gdyż prawdę waćpanu powiedziawszy, tom mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy ode mnie, ale nie ja.

— Jak to?

— Parol kawalerski!

— To już sobie dajcie pokój!—wołali Sieliccy i Kuszel.

— Niechże i tak będzie! — rzekł Charłamp, otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach—pan Charłamp zaś mówił:

— Niechże waści nie znam, żeby zaś tak pochlastać podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

— Anim się spodziewał, żeby taki był, i skąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę, którego Eliaszeńko obrócił przez ten czas twarzą do góry i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozeznać, bo kryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnem powietrzu. Koszula na piersiach również była cała we krwi, ale dawał jeszcze znaki życia. Widocznie był w konwulsyi przedśmiertnej, nogi jego drgały, a palce skrzywione nakształt szponów, darły piasek. Zagłoba spojrzał i machnął ręką.

— Ma dosyć!—rzekł—żegna się ze światem.

— Aj! — rzekł jeden z Sielickich, spoglądając na ciało — to już trup!

— Ba, prawie na dzwona pocięty!

— Nie lada to był rycerz — mruknął, kiwając głową Wołodyjowski.

— Wiem coś o tem—dodał Zagłoba.

Tymczasem Eliaszeńko chciał dźwigać i unieść nieszczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i niemłody, a Bohun prawie do olbrzymów należał—więc nie mógł. Do karczmy było kilka staj, a Bohun lada chwila mógł skonać; esauł, widząc to, zwrócił się do szlachty.

— Pany!—wołał, składając ręce.—Na Spasa i Światuju Preczystuju pomożite! Ne dajte, szczob win tutku szczez, jak sobaka. Ja staryj ne zdużaju, a lude dałeko...

Szlachta spojrzała po sobie. Zawziętość przeciw Bohunowi znikła już we wszystkich sercach.

— Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić—mruknął pierwszy Zagłoba.—Skorośmy z nim na pojedynek stanęli, to już on dla nas nie chłop, ale żołnierz, któremu taka pomoc się należy. Kto ze mną go poniesie, mości panowie?

— Ja!—rzekł Wołodyjowski.

— To go ponieście na mojej burce—dodał Charłamp.

Po chwili Bohun leżał już na opończy, której końce pochwycili, i cały orszak, w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich, udał się wolnym krokiem ku karczmie.

— Twarde ma życie—rzekł Zagłoba—jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niańkę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym, że kpi ze mnie. Zbyt mam czułe serce, sam wiem o tem, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie już się nie spotkamy więcej, niechże mile mnie wspomina na tamtym.

— To myślisz waszmość, że on żadną miarą nie wyżyje?—pytał Charłamp.

— On? nie dałbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go minąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, toby moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało, bo już i tak krzyki są na mnie, jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić, a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

— Prawda, że to waszmościów do szczętu tam splondrowano!— rzekł Charłamp.

— Uf! Ciężki ten mołojec — mówił dalej Zagłoba — ażem się zasapał!... Splondrowano, bo splondrowano, ale mam też nadzieję, że nam sejm jakowąś prowizyę obmyśli, inaczej na śmierć pochudniemy... Ciężki też on, ciężki! Patrzcie waszmościowie, znowu zaczyna krwawić; skocz-no waćpan, panie Charłamp do karczmy, żeby żyd chleba z pajęczyną zagniótł. Nie pomoże to wiele temu nieboszczykowi, ale opatrunek chrześcijańska rzecz, i lżej mu będzie umierać. Żywo, panie Charłamp!

Pan Charłamp wysunął się naprzód, i gdy nakoniec wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał, poczem zwrócił się do Eliaszeńki:

— A ty, dziadu, tu niepotrzebny!—rzekł.—Jedź coprędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono i list oddaj, a opowiedz, coś widział, tak wszystko jak było. Jeśli zełżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany, i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się odemnie, bo mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawimy twemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdołasz wywieść ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj, ruszaj!

— Pozwólcie, panie, zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

— Ruszaj, mówię ci!—rzekł groźnie Zagłoba—a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu!

Eliaszeńko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

— Wyprawiłem tego kozaka, bo co on tu ma jeszcze do roboty, a niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nasby winę zwalono. Pierwsi Zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardło, że ludzie księcia wojewody wymordowali, wbrew prawom Boskim, całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko poradzi. Nie damy my się tym gładyszom, tym łuszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpanowie też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbywało i że on to sam nas wyzwał. Muszę też jeszcze wójtowi tutejszemu przykazać, aby go tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki, będą myśleli, że to szlachcic i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę, panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relacyę.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

— Oho, już dusza szuka sobie drogi! — rzekł szlachcic. — Już też i ciemno się robi, poomacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieszczęsnej bogini nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek, amen! Jedźmy, panie Michale! Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lazłem, niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyć w potrzebie!

ROZDZIAŁ XIII.

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie, nie z pod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadectwo, iż Wołodyjowski był wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nieomieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola, umysły zajęte były czem innem, i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się, iż królewicz, przesyłając odpowiedź, wspomni, lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy. Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego, rad był nawet książę z tego, co się stało, bo odzyskanie Kurcewiczówny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleźć, odbić lub wykupić—a kosztów, choćby jak największych, pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł był z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż wogóle mało płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę wysłuchawszy relacyi i pomyślawszy przez chwilę nad tem, co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

— Chwalę moderacyę waszmościów, iżeście pierwsi go nie napadali, bo wielkie i szkodliwe mogłyby stąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się znajdzie, to Skrzetuski będzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby ci się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputacyę naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abyś miał jakową tego dnia pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szable, aleś to podobno mistrz nad mistrze.

— On? — rzecze Zagłoba. — Onby dyabłu w trzeciem złożeniu rogi obciął. Jeśli wasza książęca mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę, aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej odrazu na tamten świat pójdę. On Bohuna na wpół przez piers przeciął, a potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Książę kochał się w sprawach rycerskich i w dobrych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał:

— Znalazłeś-że waść kogo równej siły na szable?

— Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego, wtedy, gdy to nas wasza książęca mość pod bramę obudwóch wsadził, a z innych możeby i pan Podbipięta mi wytrzymał, bo ma siłę nadludzką — i bez mała Kuszel, gdyby miał lepsze oczy.

— Niech mu wasza książęca mość nie wierzy — rzekł Zagłoba — jemuby nikt nie wytrzymał.

— A Bohun długo się bronił?

— Ciężką miałem robotę — rzekł pan Michał. — Umiał on i do lewicy przerzucać.

— Bohun sam mnie powiadał — przerwał Zagłoba — iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijał i sam widziałem w Czechryniu, że z innymi to czynił.

— Wiesz co, mości Wołodyjowski — rzekł z udaną powagą książę — jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzeczpospolitą od wszystkich klęsk i kłopotów.

— Za rozkazem waszej książęcej mości pojadę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć — odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

— My żartujemy, a świat ginie! Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomości z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od oblężenia ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdziwego, lub symulowanego afektu do króla jegomości, lub też dlatego, że pod Zamościem snadnieby się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowiedzieć Skrzetuskiemu, co się stało, by ruszył kniaziówny szukać. Powiedzcie mu, żeby sobie z chorągwi moich przy staroście wałeckim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycyi potrzebował. Zresztą prześlę mu przez was permisyę i dam list, bo mi jego szczęście wielce na sercu leży.

— Wasza książęca mość ojcem nas wszystkich jesteś — rzekł Wołodyjowski — dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

— Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba— rzekł książę — jeśli mi cała fortuna zadnieprzańska przepadnie, ale póki starczy, póty co moje to wasze!

— O! — wykrzyknął pan Michał.—Nasze to chudopacholskie fortuny do waszej książęcej mości zawsze będą należały.

— I moja z innemi! — rzekł Zagłoba.

— Jeszcze tego nie potrzeba — odparł łaskawie książę. — Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książę mówiąc to, widocznie miał chwilę jasnowidzenia. Rzeczpospolita w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego—to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

— Tośmy się wywinęli — mówił Zagłoba, gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. — Panie Michale, możesz być pewien promocyi. Pokaż-no ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego Ormianina na bazarze. Możnaby za takową kwotę i w jadle, i w napoju, i w innych delicyach opływać. Cóż myślisz, panie Michale? Żołnierska to maksyma: dziś żyję, jutro gniję, a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie, panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd książę w sercu nosił. Dałby on był dziesięć razy tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to książę wsi rycerstwu dożywotnio puścił, albo i zgoła podarował? Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię książę z jaką krewniaczką swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

— Skąd waść wiesz, że...

— Że co?

— Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakżeby taka rzecz stać się mogła?

— Alboż to się nie trafia? albożeś nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to każdy magnatus ma dalekich krewnych i krewniaczek między szlachtą, które to krewniaczki później za swych zacniejszych dworzan wydaje? Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewną Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których każdy dojść może. Podobno gdzieindziej są dyferencye znaczne między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! Rozumiem dyferencyę między psami, jako są legawce, charty misterne, lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może tak być, bobyśmy psubratami nie szlachtą byli, której hańby dla tak wdzięcznego stanu Panie Boże nie dopuść!

— Słusznie waszmość mówisz — rzecze Wołodyjowski — ale przecie Wiśniowieccy królewski to prawie ród.

— A ty, panie Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobiebym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się w kości nie zagra. Wszystko chwalić Boga, u nas in liberis suffragiis—i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie w drodze nam staje.

— Otóż to właśnie!—westchnął pan Michał.

— Cóż robić! Zrabowano nas ze szczętem i zginiemy, jeśli nam Rzeczpospolita jakowych procentów nie obmyśli, zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek, choć z natury i wstrzemięźliwy lubi się napić w takich opresyach? Pojdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklance cienkusza, może się choć trochę pocieszymy.

Tak rozmawiając, doszli do Starego Miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pachołków trzymało szuby i burki pijącej szlachty. Tam zasiadłszy za stołem, kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

— Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza—mówi Zagłoba.

— Trzebaby nam jak najprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

— Pewnie, że razem pójdziemy. Ale teraz nie ma sposobu dostać się do Zamościa.

— To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

— Poszczęści, poszczęści!—rzekł.—Wiesz, panie Michale, co ci powiem?

— Co takiego?

— Bohun zabit!

Wołodyjowski spojrzał ze zdziwieniem.

— Ba, któż wie lepiej ode mnie?

— Żeby ci się ręce święciły, panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzałem jakeście się bili, patrzę na waćpana teraz, i przecie, muszę sobie ciągle powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. Co za troska ubyła, co za węzeł twoja szabla przecięła! Niechże cię kule biją! bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie, nie mogę wytrzymać! niech cię jeszcze raz uściskam, panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobie: at, chłystek—a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochlastał. Niema już Bohuna, ani śladu, ani popiołu, zabit na śmierć, na wieki wieków amen!

Tu Zagłoba począł ściskać i całować Wołodyjowskiego, a pan Michał rozczulił się, jakby właśnie Bohuna żałował—w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

— Nie byliśmy przy jego śmierci, a twarda to sztuka; nuż wyżyje?

— Na Boga, co waćpan mówisz! — rzekł Zagłoba. — Gotówem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

— I po co waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha odrazu, ten najczęściej się wyliże. Szabla to nie kula.

— Nie, nie może być! Już przecie rzęzić zaczynał, gdyśmy wyjeżdżali. O, wcale nie może być! Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztworzone, jako wierzeje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyłeś go jak zająca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jak najprędzej, jemu pomódz, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

— Albo mnichem zostanie; sam mnie to mówił.

— Co dziwnego! I jabym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zacniejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

— Przestań już waszmość—mówił trochę pijany Wołodyjowski—bo nie mogę łez utrzymać.

— A ja to mogę? — odparł Zagłoba. — Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!

Tu zawył pan Zagłoba nizkim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował mu trochę cieniej—i pili wino zmieszane ze łzami, a potem, spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś posępnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

— Panie Michale czemu my płaczemy? Bohun zabit!

— A prawda!—rzekł Wołodyjowski.

— Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy!

— Jedźmy!—rzekł, wstając pan Michał.

— Napijmy się!—poprawił Zagłoba. — Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziem do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

— Dobrze mu tak! — dokończył Wołodyjowski, nie postrzegając się, że już pan Zagłoba dzieli się z nim zasługą zgładzenia Bohuna.

Иван Симонович
Степанов.

ROZDZIAŁ XIV.

Nakoniec zabrzmiało Te Deum laudamus w warszawskiej katedrze, i „Pan siadł na majestacie,“ huczały działa, biły dzwony—

i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokojów, tem straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, którzy drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz, gdy elekcya odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielu zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze i że nowo obranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. kozacy pod Zamościem, szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczali się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księdza Huncla Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska zaporoskiego. Wiedziano też, że król zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego, pragnie znaczne kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed piławiecką klęską wojna, tak teraz pokój był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzeczpospolita odetchnie i pod nowem panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śniarowski z listem królewskim do Chmielnickiego, i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że kozacy ustępują z pod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie czekać będą rozkazów królewskich i komisyi, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód Opiekunce Boskiej za wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa na koronacyę. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko exules z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli, lub nie mieli po co.

Książę Jeremi, jako senator Rzeczypospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba, na czele jednej chorągwi dragońskiej, pociągnęli śpiesznymi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie Bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach, na wspólkę z Wołodyjowskim czynionych, było mu tak dobrze, jak rybie w morzu. Ale pocieszał się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych, którą w następujący sposób Wołodyjowskiemu wyłuszczał:

— Prawda jest, panie Michale—mówił—że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie, ale broń Boże dłuższego pobytu, tak, mówię ci, zniewieścielibyśmy, jak ów sławny Kartagińczyk, którego słodkość aury w Kapui ze szczętem zdebilitowała. A najgorsze

że wszystkiego białogłowy. One każdego do zguby doprowadzą, bo to sobie zauważ, że nie masz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną...

— Et, dałbyś waćpan pokój!—przerwał Wołodyjowski.

— Sam ja to sobie często powtarzam, bo czasby było się ustatkować, jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tem. Zaczniemy teraz inne życie. Już też, bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny. Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam pod Zamościem dokazują jeszcze kupy swawolne, to się z niemi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczymy też i Skrzetuskiego i tego wielkoluda, tego żórawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siła czasu nie widzieli.

— Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

— Bo co się odezwie, to tak, jakby twój koń ogonem ruszył, a ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę przeszło, nie w głowę. Jak kogo weźmie w ramiona, to mu żebra przez skórę powyciska, niemasz zaś takowego dziecka w Rzeczypospolitej, któreby go najsnadniej na hak przywieść nie mogło. Słychanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny taki był h e b e s?

— Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

— On? Jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł, i tak go nosił, jak wędzoną kiełbasę. Można było nim jak kijem machać. ani się zgiął. Sam mnie mówił, ile ma wsi: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściany (raczej kapuścianą, ale głowę), Bałtupie, ktoby tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy! Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród Podbipiętowie.

— A nie koloryzujesz waść trocha o owych majętnościach?

— Ja nie koloryzuję, bo powtarzam to, com od niego słyszał, a on przecie póki życia nie zełgał, bo zresztą i na to za głupi.

— No, to będzie Anusia panią całą gębą. Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli, a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał Pan Bóg tak obrotny język, jak waści. Co to gadać! wielki to rycerz i najzacniejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzysz.

— Skaranie z nim Boże—mruknął Zagłoba. — Dlategom tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

— Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz niebezpieczna. Jego choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnieby stracił cierpliwość.

— Niechby stracił. Uszybym mu obciął, jak panu Duńczewskiemu.

— Daj-no waćpan pokój! Nieprzyjacielowi nie życzyłbym próbować.

— No, no, niech go jeno obaczę.

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej, niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodyjowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrożone. Któż więc opisze zdziwienie obudwóch przyjaciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachcicu poznali pana Podbipiętę.

— Jakże się waszmość masz! siła czasu! siła czasu!— wołał Zagłoba.—A że cię to kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obudwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

— O to, żeśmy się spotkali, co?—powtarzał z radością.

— Dokąd jedziesz?—pytał Wołodyjowski.

— Do Warszawy, do księcia pana.

— Księcia niema w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacyi.

— A mnie pan Weyher do Warszawy wyprawił z listem i z zapytaniem, gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

— To i nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longinus zasępił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególnie jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodyjowskiego.

— A taki do Krakowa pojadę! — rzekł po chwili namysłu Litwin.— Kazali mnie list oddać, to oddam.

— Chodźmy do izby; każemy sobie piwa zagrzać — rzekł Zagłoba.

— A wy dokąd jedziecie? — pytał po drodze Longinus.

— Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

— Porucznika niema w Zamościu.

— Masz babo placek! Gdzież on jest?

— Koło Choroszczyna gdzieś, gromi kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego pułkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta wałecki odkomenderował pana Jakóba Rogowskiego, żeby ich znosił...

— I Skrzetuski jest z nim także?

— Takoż. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między nimi emulacye, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrzać trzy garnce piwa, poczem zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

— Bo waćpan, panie Podbipięta, nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin aż z ławy się podniósł.

— Bracia wy rodzeni, możeż to być?

— Jak nas tu żywych widzisz!

— I wy jego we dwóch usiekli?

— Tak jest!

— Oto nowina! a Boże, Boże! — mówił Litwin, klasnąwszy w dłonie.— Mówisz waćpan: we dwóch! jak to we dwóch?

— Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwał, rozumiesz wasze? poczem pan Michał pierwszy stanął, i tak go pokrajał, jak wielkanocne prosię, rozebrał go, jak pieczonego kapłona — rozumiesz wasze?

— To waść drugi nie stawał?

— No, patrzcie się! — rzekł Zagłoba — widzę, że waść musiałeś sobie krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałżeś, że będę z trupem stawał, albo że leżącego już będę docinał?

— Bo mówiłeś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

— Świętej cierpliwości z tym człowiekiem! Panie Michale, zali nie obudwóch nas Bohun wyzwał?

— Tak jest! — rzecze Wołodyjowski.

— Pojąłeś waść teraz?

— Niech i tak będzie! — odparł Longinus.— To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

— Jak to go Skrzetuski szukał?

— Muszę już ja jak widzę wszystko ab ovo waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło — rzekł pan Longinus. — Zostaliśmy tedy, jak wiecie, w Zamościu, a wy ruszyliście do Warszawy. Na kozaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane z pode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książę tak Zamość opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali, i wielki był między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich klęski obiecywał, a że byli z nimi i Tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mi Pan Bóg miłosierny da moje trzy głowy...

— Proś Go waspan o jedną, proś o jedną, a dobrą — przerwał Zagłoba.

— A waćpan zawsze taki sam, słuchać hadko — rzekł Litwin.— Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zatwardziałości, zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki sam nie chciał, ale Czarnota, ich obożny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał, że już z Lachami myśli się bratać — więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z za dymu i z za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury; aleśmy im tak przygrzeli, że potem i od murów, i od własnych machin pouciekali; dopiero wypadliśmy za nimi w cztery chorągwie i narznęliśmy, jak bydła.

Wołodyjowski zatarł ręce.

— Uch! żałuję, żem nie był na tym festynie! — wykrzyknął z uniesieniem.

— I ja byłbym się tam przydał — rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

— A już wtedy najwięcej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakób Rogowski — mówił dalej Litwin — obaj wielcy kawalerowie, ale zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Rogowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazyi, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozumieliśmy z początku, o co panu Rogowskiemu chodzi, aż i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszcza, którego książę z powodu pana Skrzetuskiego, jako pamiętacie, z obozu wypędził. Stąd złość w Rogowskim do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, stąd i emulacya między nimi, która obu w tem oblężeniu wielką sławą okryła, bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi, i na murach, i w wycieczkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmować i regularne rozpoczął oblężenie, nie zaniedbując przytem i fortelów, któreby go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

— Tyle samo on albo i więcej ufa w chytrość! — rzekł Zagłoba.

— Szalony człowiek, a przytem i obscurus — mówił dalej Podbipięta; — sądził, że pan Weyher jest Niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list, chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika. Dopieroż mu pan Weyher odpisał, co zacz jest, i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znaczniejszego nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę między tak dzikie bestye idzie, nie było chętnych między towarzystwem. Inni się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem — i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, tu się dopiero zaczyna.

— Słuchamy pilnie! — rzekli dwaj przyjaciele.

— Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadowicie, zwłaszcza gdy list przeczytał, i buławą groził — a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie myślałem: już też, jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane, co?

— Zacnie to było ze strony waćpana tak myśleć — rzekł z pewnem rozrzewnieniem Zagłoba.

— Ale go pułkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagradzali — mówił pan Longinus,— a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go w pół brał i odciągał, mówiąc: „Nie pójdziesz, bat'ku, upiłeś się.“ Patrzę ja, kto mnie tak broni i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident: aż to Bohun!

— Bohun?! — wykrzyknęli Wołodyjowski i Zagłoba.

— Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział i on mnie takoż. Słyszę, mówi do Chmielnickiego: „To mój znajomy.“ A Chmielnicki, jako to prędka u pijaków rezolucya, odpowiada: „Kiedy on twój znajomy, synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów, a ja dam respons.“ I dał mi respons, a co do talarów, odrzekłem, by bestyi nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie, ale ledwom wyszedł, przychodzi do mnie Bohun: „My się w Rozłogach widzieli“— mówi.— „Tak jest (rzekę), jenom się wte-

dy nie spodziewsł, braciaszku, że cię w tym obozie ujrzę.“— A on na to: „Nie własna wola, ale nieszczęście zagnało!“ W rozmowie powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. — „Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to) i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam kniaź Jarema ich bije.“ — „I myśmy nie wiedzieli (powiadam), bo gdyby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył.“

— Pewnieby tak było; ale cóż on na to? — pytał Wołodyjowski.

— Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył, a Chmielnicki nie chciał go napowrót odesłać, bo go zamyślał do innych posyłek użyć, jako mającego prezencyę. Nakoniec pyta: „Gdzie pan Skrzetuski?“— a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: „To się może spotkamy!“—i z tem go pożegnałem.

— Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy — mówił Zagłoba.

— Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Weyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz dzień znowu szturm, jeszcze zajadlejszy niż pierwszy. Nie miałem czasu widzieć się z panem Skrzetuskim; dopiero trzeciego dnia mówię mu, żem Bohuna widział i z nim mówił. A było przy tem siła oficerów i z nimi pan Rogowski. Ten zasłyszawszy, rzecze z przekąsem; „Wiem ja, że tam o pannę chodzi; jeśli waszmość taki rycerz, jak sława niesie, to masz Bohuna: wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny prospectus. Ale o was Wiśniowiecczykach więcej (powiada) mówią, niż jest.“ Na to pan Skrzetuski jak spojrzy na pana Rogowskiego — jakby go kto z nóg ściął! — „Tak waćpan radzisz? (spyta) a dobrze! Nie wiem jeno, czyby waszmość, który naszej cnocie przymawiasz, miał odwagę pójść między czerń, wyzwać ode mnie Bohuna.“ A Rogowski: „Odwagę mam, alem waszmości ani swat, ani brat — nie pójdę.“ Dopiero inni w śmiech z pana Rogowskiego: „O! (prawią) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło, toś był wielki!“ Więc Rogowski, jako to ambitna sztuka, wziął na kieł i podjął się. Nazajutrz dzień poszedł z wyzwaniem — ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacyi, ale teraz dopiero, po tem, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać, i tameście go waszmościowie usiekli.

— Tak to i było! — rzecze Wołodyjowski.

— Powiedz-że nam wasze — pytał Zagłoba — gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleźć go musimy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć.

— Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę, pułkownika kozackiego, obaj z Rogowskim, do rąk sobie podając, ze szczętem znieśli. Później Skrzetuski na własną

rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił, i Burłaja zniósł i kup kilka rozbił.

— A że to Chmielnicki na to pozwala?

— Chmielnicki ich się wypiera i mówi, że wbrew jego rozkazom łupią. Inaczejby nikt w jego wierność i posłuszeństwo dla króla jegomości nie uwierzył.

— Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! — zauważył Zagłoba.

— Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszonym — mówił dalej Litwin, — bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i Tatarowie jasyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamyśleniu, a po chwili tak mówił dalej:

— Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższem niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czem sobie szczęście upatrzył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapomniał. Taż on, brateńki, dawno mógł permisyę od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu w ustawicznej pracy trwając.

— Rzymską on ma duszę, niema co mówić! — rzekł Zagłoba.

— Przykład z niego brać powinniśmy.

— Szczególnie waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

— Bóg patrzy w duszę moją! — rzekł pan Longinus, wznosząc oczy ku niebu.

— Skrzetuskiemu już Pan Bóg wynagrodził śmiercią Bohunową—rzekł Zagłoba—i tem, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej, bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

— Waćpanowie z nim pojedziecie?—pytał Litwin.

— A waszmość to nie?

— Radbym ja z duszy serca, ale co z listami będzie? Jeden wiozę od starosty wałeckiego do króla jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, takoż do księcia z prośbą o permisyę.

— Permisyę my mu wieziemy.

— Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć?

— Musisz waćpan jechać do Krakowa, nie może być inaczej. Zresztą powiem szczerze: radbym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waścine, za plecami, ale w czem innem, toś się waść na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać, a waść tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdyby się zaraz pytał: co to za drągal? skąd się takowy kozak wziął? Prócz tego waćpan

i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! jedź waść do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

— Tak i ja myślę—rzekł Wołodyjowski.

— Pewno, że tak musi być — odpowiedział pan Podbipięta. — Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. — A czy wiecie, gdzie ona ukryta?

— Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podsłuchał, gdy mnie to Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

— Jakże wy ją znajdziecie?

— Moja głowa, moja głowa! — rzekł Zagłoba. — Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tem, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

— Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje, i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi!

— I waćpana również!—rzekł Zagłoba.—Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Charłampowi.

— Któż to taki?

— To jeden Litwin, nadzwyczajnej gładkości, za którym wszystkie panny z fraucymeru księżny głowy potraciły.

Pan Longinus zadrżał.

— Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

— Bądź waćpan zdrów! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli! — zakończył pan Zagłoba, mrugając na Wołodyjowskiego.

ROZDZIAŁ XV.

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytem strzałą, a okrutny pan Zagłoba razem z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej, niż jeden dzień, gdyż komendant, starosta wałecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiadomości od Skrzetuskiego, i sądził, że regimenty, które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydyum do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tem prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególnie był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi, i ruszyli w nią bez zwłoki, tyle się tylko zatrzymując, ile trzeba było

dla odpoczynku lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity lub w jasyr zagarnięty. Trupy tylko spotykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgliszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzł z zimna, lub głodem przymierał, nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie z pod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą drzew, lub nawpół spalonem zbożem, które ze zgliszcz dawnych śpichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując się głównie tymi zapasami, które rozbójniczym oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła, z największym podziwem ludzkim, bez śniegów, mrozu i lodu, tak, że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle teraźniejsza zapowiadała się ostrzej niż zwykle. Ziemia skrzepła, śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczystą skorupą szklaną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze—niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej—mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i nawskroś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie do skutku, bo główna przeszkoda — wojna — nie położy jej tak prędko tamy.

— Nie wierzę ja w szczerość Chmielnickiego — mówił — żeby on z afektu dla króla jegomości na Ukrainę się cofał; ale to chytry lis! Wie on, że gdy kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, bo w otwartem polu, choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostoją. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada poślą w śniegi. Tatarzy też potrzebują jasyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziem mieli spokój aż do przyszłej trawy.

— Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg, na zapusty wyprawimy panu Skrzetuskiemu wesele.

— Byleśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa była by mitręga.

— Trzy chorągwie są przy nim, to przecie nie w korcu ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbarażem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

— Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze—odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie

z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć, czyje to były te chorągwie, że zaś mogły one być zarówno Rogowskiego, jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść: o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski w wigilię wyjazdu Wołodyjowskiego z Warszawy, ale jeszcze wątpiono; teraz zaś rozbiegła się po całym kraju, ze wszelkimi szczegółami, jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym, zapłaciły klęską litewskie. Dał głowę Półksiężyc, wódz stary i doświadczony i dziki Nebaba i potężniejszy od nich obudwóch Krzeczowski, który nie starostw i województw, nie dostojeństw i godności, ale pala się w buntowniczych szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew, przelaną w łasze dnieprowej, krew Flika i Wernera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu Radziwiłłowskiego, i lubo postrzelony i ciężko ranny, był natychmiast na pal wbity, na którym nieszczęsny drgał jeszcze cały dzień, nim posępną duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męstwo i geniusz wojenny drugim Stefanem Chmieleckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojeństw pchnęła na drogę zdrad, krzywoprzysięstwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosa, mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą blizko dwadzieścia tysięcy mołojców położyło głowy na pobojowisku, lub potopiło się w błotach Prypeci; strach więc przeleciał jak wicher nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że po wielkich tryumfach, po Żółtych Wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Sołonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci „druha“ Krzeczowskiego dowiedział, i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różne — wróżyły nowe wielkie wojny, i zwycięstwa, i klęski—nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem, właśnie z powodu klęski Krzeczowskiego, również jak z powodu zimy, tem pewniejszy był długi spokój. Kraj począł się koić, spustoszałe wioski zaludniać, i otucha wstępowała zwolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tą samą otuchą nasi dwaj przyjaciele, po długiej i trudnej podróży, dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmiwszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym z niemałem zdziwieniem poznali Wierszuła.

— A gdzie Skrzetuski? — pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

— Niemasz go—odpowiedział Wierszuł.

— To waść masz komendę nad prezydyum?

— Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

— A kiedy obiecał wrócić?

— Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjezdnem: „Jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu mnie czekał.“

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

— Jak dawno pojechał?—pytał pan Michał.

— Dziesięć dni temu.

— Panie Michale — rzekł Zagłoba — niechże pan Wierszuł da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

— Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać. Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer bierze komendę, więc ja to jestem u niego, nie on u mnie.

— Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie — rzekł Wołodyjowski — boś starszy wiekiem, przytem mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwiema miskami juszki, rzekł do Wierszuła:

— Nie suponujesz-że waćpan, dokąd mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszuł kazał iść precz pachołkom posługującym do stołu, i po chwili namysłu tak mówić począł:

— Suponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, więc nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będziem w spokoju stali, i wedle moich supozycyi, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w Bohunowych jest ręku.

— Bohuna niema już na świecie!—rzekł Zagłoba.

— Jak to?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci czy czwarty wszystko, jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością. Wierszuł również, jak pan Longinus, nie mógł się wydziwić zdarzeniu, nakoniec rzekł:

— To Skrzetuskiemu będzie łatwiej.

— W tem rzecz, czy ją odnajdzie? A ludzi z sobą wziął jakowych?

— Nikogo, sam pojechał z jednym Rusinkiem, pacholikiem i z trzema końmi.

— To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortelami trzeba radzić. Do Kamieńca możnaby może z chorągiewką dojść, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją kozacy, bo tam zimowniki dobre, a w Jampolu ich gniazdo; trzeba tam iść albo z całą dywizyą, albo samemu.

— A skądże waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał?—spytał Wierszuł.

— Bo ona tam ukryta za Jampolem i o tem on wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, cóż dopiero nie wiedząc! Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Gdybyśmy byli razem, możeby łatwiej po-

szło, ale jemu samemu—wątpię, wątpię, chybaby mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

— To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

— Tak jest. Ale cóż teraz poczniemy, panie Michale? Jechać za nim, czy nie jechać?

— Na waszmościn przemysł to zdaję.

— Hum! dziesięć dni jak pojechał, nie dognamy, i co większa, kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoskirów i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

— Pamiętaj przytem waszmość— rzekł Wierszuł — że są tylko supozycye, ale pewności niemasz, że po kniaziównę pojechał.

— Otóż to, otóż to!—rzekł Zagłoba.— Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć, i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacya.

— Jabym radził czekać z dziesięć dni—rzekł Wierszuł.

— Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

— Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo i co stracimy, jeśli zaraz jutro ruszym? Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści—rzekł Wołodyjowski.

— Widzisz, panie Michale, nie można tu nic lekceważyć; wasze jesteś młody i chce ci się przygód—odpowiedział Zagłoba—a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my szukać będziem, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamecznych ludziach. Kozactwo chytre i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocima mogą mieć konszachty, lub z Tatarami za Dnieprem wedle przyszłej wojny, kto wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieli oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

— To tembardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomódz.

— I to także prawda.

Zagłoba zamyślił się mocno, że aż mu skronie drgały.

Nakoniec rozbudził się i rzekł:

— Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać.

Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

— A kiedy?

— Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało raźne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie, w wigilię ich wyjazdu, przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody kozaczek Cyga, z wieściami i listami dla Wierszuła. Usłyszawszy o tem Zagłoba i Wołodyjowski wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

„Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Satanów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z Ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty tatarskie i kozackie na wolny prze-

jazd aż do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol, z bławatami, wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jeno ludzie żywi mieszkają; może też Bóg pomoże, że znajdziem, czego szukamy. Towarzyszom moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz, panie Krzysztofie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypada, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości kozaków, którzy w Jampolu zimują i nad Dniestrem, aż do Jahorlika, konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tegobyśmy i we trzech nie dokazali, a ja prędzej za Ormianina ujść mogę. Podziękuj im, panie Krzysztofie, z duszy serca za ich rezolucyę, którą, pókim żyw, będę pamiętał, ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził—i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławaty ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece, bo nic mi po nim, boję się zaś jego młodości, żeby się gdzie z czem nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców, że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga Najwyższego, który jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mękę skróci, amen."

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszów, oni zaś milczeli—aż w końcu Wierszuł rzekł:

— Wiedziałem, że on tam pojechał.

— A co nam czynić wypada?—pytał Wołodyjowski.

— A cóż!—rzekł Zagłoba, roztwierając ręce. — Nie mamy po co jechać. To, że on z kupcami jedzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zdziwi. W każdej chacie teraz, w każdym futorze jest co kupować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężkoby nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny, jak Wołoch, i snadnie za Ormianina ujść może, a ciebie zarazby po twoich owsianych wąsikach poznali. W przebraniu chłopskiem również byłoby trudno... Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas—to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę, usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodyjowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

— Możebyśmy choć do Kamienca ruszyli?—rzekł.

— A co my tam będziem robili i z czego żyli? — odpowiedział Zagłoba.— Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy; trzeba czekać i czekać, bo taka podróż dużo Skrzetuskiemu może zająć czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza — (tu pan Zagłoba opuścił melancholijnie głowę na piersi) — a starzeje się w bezczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas obejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli, to grunt! Każ waść konie rozjuczyć, panie Michale, trzeba czekać.

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyki, ani gra w kości nie mogły urozmaicić — i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg całunem na łokieć grubym okrył blanki zbaraskie i całą ziemię; zwierz i ptactwo dzikie zbliżyły się do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słychać było krakania niezmiernych stad wron i kruków. Upłynął cały grudzień, potem styczeń i luty—o Skrzetuskim nie było ani słychu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód; Zagłoba sposępniał i utrzymywał, że się starzeje.

ROZDZIAŁ XVI.

Komisarze, wysłani przez Rzplitą do traktatów z Chmielnickim, dotarli wreszcie wśród największych trudności do Nowosiółek i tam zatrzymali się, czekając odpowiedzi od zwycięskiego hetmana, który tymczasem bawił w Czechryniu. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczały ich tłumy czerni zdziczałej do reszty przez mordy i wojnę—i wyły o śmierć komisarzów. Raz wraz napotykali od nikogo niezależne watahy, złożone ze zbójców lub dzikich czabanów, nie mających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprawdzie komisarze sto koni asystencyi, którymi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu co ich spotkać może, przysłał im pułkownika Dońca, razem z czterystu mołojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju, albo ze służby, oddalił się choćby na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych, otoczona przez stado wilków. I tak upływały im całe dni, tygodnie, aż na noclegu w Nowosiółkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walkę o życie komisarzów, którzy, odmawiając modlitwy za konających, polecali dusze Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie, a tymczasem z za okien, razem z powiewem wiatru, dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczęk kos, wołania: „Na pohybel!!“ i o głowę wojewody Kisiela, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc, a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na ręku i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie

śmierci on się lękał, bo od czasu wyruszenia z Huszczy tak już był wyczerpany, zmęczony, bezsenny, że raczejby z radością do śmierci wyciągnął ręce—ale duszę jego nurtowała bezdenna rozpacz. On to przecie, jako Rusin z krwi i kości, pierwszy wziął na siebię rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie—on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsilniej Jeremiego, i działał w dobrej wierze, dla dobra kozactwa i Rzeczypospolitej —i wierzył całą swą gorącą duszą, że układy, że ustępstwa wszystko pogodzą, uspokoją, zabliźnią — i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiózł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa kozaczyznie, zwątpił o wszystkiem — ujrzał oczywiście marność swoich wysileń, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

— Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi? zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i pożogi im idzie?—myślał z rozpaczą wojewoda i tłumił jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

— Hołowu Kisielowu! hołowu Kisielowu! na pohybel! — odpowiadały mu tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą, skołataną głowę, gdyby nie ta resztka wiary, że im i całej kozaczyznie trzeba dać coś więcej, trzeba koniecznie, dla ich własnego i Rzplitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz— i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec, że ta czerń to przecie nie cała kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy, że z nimi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą-li one być trwałe, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią? Nie stopniejąż one z pierwszym powiewem wiosny, jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?...

Tu znów przychodziły na myśl słowa Jeremiego: „Łaski można dać tylko zwyciężonym“—i znów myśl jego zasuwała się w ciemność, a pod nogami otwierała się przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły; natomiast świst wichru powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzów.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutem śniegiem i rzekł:

— Widzi mi się, że za łaską Bożą jutra jeszcze dożyjemy.

— Może też i Chmielnicki nadeśle liczniejszą asystencyę, bo z tą nie dojdziemy — rzekł pan Śniarowski.

Pan Zieleński, podczaszy bracławski, uśmiechnął się gorzko.

— Ktoby to rzekł, że komisarzami pokojowymi jesteśmy!

— Posłowałem nieraz do Tatar — mówił pan chorąży nowogródzki — ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemptu doznaje, niż pod

Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom: wracajmy, bo o układach niema co i myśleć.

— Wracajmy! — powtórzył jak echo pan Brzozowski, kasztelan kijowski.— Nie może pokój stanąć, niech będzie wojna!

Kisiel podniósł powieki i utkwił szklane oczy w kasztelanie.

— Żółte Wody, Korsuń, Piławce! — rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy — jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski, począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

— Co za czasy! co za czasy! Boże, zmiłuj się nad nami...

Wtem drzwi się otwarły, i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — jakiś kozak pragnie widzieć ichmość panów komisarzy

— Dobrze! — odrzekł Kisiel — a czerń rozeszła się już?

— Poszli; obiecali jutro wrócić.

— Bardzo nacierali?

— Okrutnie, ale kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro obiecali nas spalić.

— Dobrze, niech ten kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły, i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

— Kto jesteś? — pytał Kisiel.

— Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i łowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnówką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

— Prawda! prawda! toż-że to pan Skrzetuski — powtarzali.

— Co tu robisz? i jakeś się do nas dostał? — pytał Krzetowski, biorąc go w ramiona.

— W chłopskiem przebraniu, jak waszmościowie widzicie — rzekł Skrzetuski.

— Mości wojewodo! — wołał kasztelan Brzozowski — toć to jest najprzedniejszy rycerz z pod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całem wojsku.

— Witam go też wdzięcznem sercem — rzekł Kisiel—i widzę, że wielkiej to rezolucyi musi być kawaler, skoro się do nas przedarł.

Potem do Skrzetuskiego:

— Czego od nas żądasz?

— Abyście mi waszmość panowie iść z sobą dozwolili.

— Smokowi w paszczękę leziesz, ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzał na niego ze zdziwieniem.

Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

— Powiedz-że mi waszmość — rzekł — jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie?

— Nieszczęście, jaśnie wielmożny wojewodo!

— Niepotrzebniem pytał — rzekł Kisiel.—Musiałeś kogo z bliskich utracić i tam go jedziesz szukać?

— Tak jest.

— Dawnoż to się stało?

— Zeszłej wiosny.

— Jak to? i waść dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blizko! Cożeś waszmość dotąd porabiał?

— Biłem się pod wojewodą ruskim.

— Zaliż tak szczery pan nie chciał waści permisyi udzielić?

— Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrzał na młodego rycerza, poczem nastało milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski:

— Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera, nad któremiśmy niejedną kroplę z oczu uronili; a że wolał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego dobra patrzeć, to tem chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

— Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość, że go nie pożałuję w waścinej sprawie — rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

— Idź-że teraz spocznij — mówił łaskawie wojewoda — bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

— Ja go do swojej stancyi zabiorę, to mój powinowaty — rzekł łowczy Krzetowski.

— Pójdźmy i my wszyscy na spoczynek; kto wie, czy następnej nocy będziem spali! — rzekł Brzozowski.

— Może snem wiecznym — zakończył wojewoda.

To rzekłszy, udał się do alkierza, przy którego drzwiach czekał już pachołek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swej kwatery, która była o kilka domów dalej. Pachołek z latarką szedł przed nimi.

— Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa! — mówił łowczy.— Ej, panie Janie, cośmy za chwilę dziś przeżyli! myślałem, że sąd ostateczny blizko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała. Bryszowskiemu ręce ustawały. Jużeśmy się żegnać zaczynali.

— Byłem między czernią — odrzekł Skrzetuski. — Jutro na wieczór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie stąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

— Zależy to od responsu Chmielnickiego, do którego kniaź Czetwertyński pojechał. Oto moja stancya; wejdź, proszę, panie Janie, kazałem wina zagrzać, to się posilimy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. Skrzetuski chwycił z chciwością za szklanicę.

— Od wczoraj nie miałem nic w gębie — rzekł.

— Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie — to kniaziówny tam między nimi szukać zamyślasz?

— Albo jej, albo śmierci! — odparł rycerz.

— Łatwiej śmierć znajdziesz; skądże wiesz, że kniaziówna tam być może? — pytał łowczy.

— Bom jej gdzieindziej już szukał.

— Gdzie tak?

— Wedle Dniestru, aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskimi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwieźć.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy łowczy porwał się za głowę.

— Na Boga! — wykrzyknął — toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit.

Skrzetuski pobladł.

— Jak to? — rzekł.— Kto to powiadał?

— Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał, ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwiem go spytał, co słychać: odpowiedział mi, że Bohun zabit. — Pytam: a kto zabił? — odpowie: „Ja“— na temeśmy się rozjechali.

Płomień, który rozpalił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

— Ten szlachcic — rzekł — rad klimkiem rzuci. Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie potrafiłby on zabić Bohuna.

— A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie? bo i to sobie przypominam, że mówił mi, że do ciebie do Zamościa jedzie.

— W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisyę dogonić, więcem z Kamieńca nie na Zbaraż wracał i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, jakoby podsłuchał, w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieźć. Może i to nieprawda, jak wszystko, co Zagłoba mówił.

— Pocóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł; przez chwilę słychać było tylko świst i wycie wiatru.

— Bo — rzekł łowczy, przykładając palec do czoła, — bo jeśli Bohun nie zabit, to możesz snadnie wpaść mu w ręce,

— Po to ja i jadę, by jego znaleźć! — odparł głucho Skrzetuski.

— Jak to?

— Niechże będzie sąd Boży między nami.

— Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno poprostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi, albo Tatarom zaprzeda.

— Z komisarzami jestem, w ich asystencyi.

— Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli, a cóż mówić o asystencyi!

— Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

— Bój-że się Boga, Janie, tu nie o śmierć wreszcie chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

— Zali myślisz, panie łowczy, że mi będzie gorzej, niż jest?

— Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie Boże nie ufasz.

— Mylisz się, panie łowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą Bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić co do mnie należy, póki mi sił i życia staje.

— Ale cię boleść jako trucizna trawi.

— Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

— Nie mam co rzec na takowy argument — rzekł łowczy. — W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja, dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra, inaczej zginiemy wszyscy.

Nastała cisza, z za okien tylko dochodziło przeciągłe: „Wer da?“ dragońskie.

— Tak, tak! — mówił po chwili łowczy.— Wszyscy my więcej do umarłych, niż do żywych należymy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczypospolitej, jeno jęczą, jak ten wicher w kominie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu razem z innymi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej, nic więcej!

Skrzetuski milczał; płomień ogniska, palącego się w kominie, oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem:

— Doczesność to wszystko, która upływa, przemija i nic się po niej nie zostaje.

— Mówisz jak mnich — rzekł pan łowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

ROZDZIAŁ XVII.

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z nimi i pan Skrzetuski, Nowosiółki, ale była to podróż opłakana, w której na każdym postoju, w każdem miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tem właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał tak, iż na wszystkich noclegach wnoszono go na

saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak, wśród nacisku tłumów, obelg, gróźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia godzina nadeszła. Pospólstwo pobiło chorego Bryszowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego—i tylko przybycie metropolity na rozmowę z wojewodą wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić, gdzie się obrócić. Powrót zagrodziły im ogromne watahy, czekając tylko na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozzuchwalała się coraz bardziej. Chwytano za lejce konie dragońskie i tamowano drogę; rzucano kamienie, kawały lodu i zmarzłe grudy śniegu do sani wojewody. W Gwozdowej, Skrzetuski i Doniec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpędzili kilkaset czerni. Wyjechali znów chorąży nowogrodzki i Śniarowski z perswazyą do Chmielnickiego, by na komisyę do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać. Tymczasem w Chwastowie musieli komisarze z założonemi rękoma patrzeć na tłumy, mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przeręblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami, lub obstrugiwano żywcem nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, nim przyszła nakoniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejasławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy, sądząc, że skończyła się już ich męka; jakoż przeprawiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejasławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki, chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał—quantum mutatus ab illo!—jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, esaułami i muzyką wojskową, pod znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią, jakby książę udzielny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmist, on zaś, przyskoczywszy do naczelnych sani, w których jechał wojewoda, patrzał czas jakiś w jego sędziwe oblicze, poczem uchylił trochę kołpaka i rzekł:

— Czołem wam, panowie komisary, i tobie wojewodo. Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mene prisław, tak was wdzięcznem sercem w mojej ziemi przyjmuję.

— Witaj, mości hetmanie! — odrzekł Kisiel. — Król jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

— Za łaskę dziękuję, a sprawiedliwość już ja sam sobie, ot tem, na waszych szyjach wyrządził — (tu uderzył się po szabli) — i dalej wyrządzę, jeśli mnie nie ukontentujecie.

— Nie uprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporoski, nas, wysłańców królewskich.

— Ne budu howoryty na moroże, będzie na to lepszy czas— odparł szorstko Chmielnicki.—Puszczaj mnie, Kisielu, do swoich sani, bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani, Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

— A ty mnie dawaj prawą rękę!

— Jam senator Rzeczypospolitej.

— A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łykach razem z innymi i jutro, jeśli zechcę, na pal wbić każę.

Rumieniec wystąpił na blade policzki Kisiela.

— Osobę króla tu przedstawiam.

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie, mrucząc:

— Naj korol bude w Warszawi, a ja na Rusi. Nie dość ja widzę na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak tego, co go czekało, i słusznie pomyślał w tej chwili, iż jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którem grzmiało dwadzieścia dział i biły wszystkie dzwony. Chmielnicki, jakby w obawie, by komisarze nie poczytali tych odgłosów za cześć wyłącznie im wyrządzoną, rzekł do wojewody:

— Tak ja nietylko was, ale i innych posłów przyjmował, których do mnie przysłano.

I Chmielnicki mówił prawdę—istotnie bowiem poprzysyłano już do niego, jakby do udzielnego księcia, poselstwa. Wracając się z pod Zamościa, pod wrażeniem elekcyi i klęsk, przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademia witała go: Tamquam Moysem servatorem, salvatorem, liberatorem populi de servitute lechica et bono omine Bohdan — od Boga dany — gdy wreszcie nazwano go i illustrissimus princeps—tedy, wedle słów współczesnych: „podniosła się tem bestya.“ Poczuł istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu brakło.

Poselstwa zagraniczne były milczącem uznaniem zarówno jego potęgi jak udzielności: stała przyjaźń Tatarów, opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jasyrem, który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił—obiecywała poparcie przeciw każdemu nieprzyjacielowi; dlatego to Chmielnicki, uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę,

przekonany o swej sile, o nieładzie Rzplitej, niedołęstwie jej wodzów, gotów był i na samego króla podnieść rękę, marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powróceniu dawnych przywilejów Zaporoża, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnem, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporoże stało przy nim, bo nigdy pod niczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnął się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemię przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad „potomkami Chama“ ciężyło, ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, i dzikiej, i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginął w Bożej, nie pańskiej pustyni, gdy z za porohów Sicz wołała na niego: „Kiń pana i chodź na wolę!“ — gdy Tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajał oczy jego do pożogi i mordu, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i „paniw ryzaty“ niż grzbiet hardy giąć przed podstarościm?...

A oprócz tego lud garnął się do Chmiela, bo kto się nie garnął, w jasyr szedł. W Stambule za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony trzech, taka była ich mnogość. Więc czerń nie miała wyboru—i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna, o owym wodzu, Mojżeszem zwanym: „Oj, szczob toho Chmila perwsza kula ne mynuła!“

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmieniał się w pustkę i w ruinę, jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić — ale ów wódz i hetman tego nie widział czy nie chciał widzieć—bo on nigdy nic poza sobą nie widział—i rósł, i tuczył się krwią, ogniem, we własnem potwornem samolubstwie utopił własny lud, własny kraj—i oto wwoził teraz komisarzy do Perejasławia przy huku dział i biciu we dzwony, jak udzielny pan, hospodar, kniaź.

Jechali do jaskini lwa, zwiesiwszy głowy, komisarze, i resztki nadziei w nich gasły, a tymczasem Skrzetuski, jadąc po za drugim szeregiem sani, pilno rozpatrywał twarze pułkowników przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezowocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahorlik, oddawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna i wyzwania go na walkę śmiertelną. Wiedział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić, lub Tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszył: znał jego męstwo i szaloną odwagę i prawie był pewien, że mając wybór, Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał sobie w swej rozdartej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna zwiąże, że na wypadek swej śmierci, pozwoli Helenie odjechać. O siebie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: „Jeśli zginę, tak ona ani dla mnie, ani dla ciebie,“ gotów był i na to pozwolić i poprzysiądz ze swej strony, byle ją z wrażych rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę

żywota spokoju, on by go naprzód w wojnie, a potem, jeśliby poledz nie przyszło, również pod habitem poszukał, tak jak go poprostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w naddniestrzańskich komyszach zawiodły—droga ta wydała się jedyną. Tym celem, z nad Dniestru, jednym tchem, nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleźć niechybnie Bohuna, tembardziej, że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jak Dziedziałę, którego w Czechryniu widywał, jak Janiszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jak Jarosza, dawnego księcia setnika, i Naokoło-palca, i Hruszę, i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

— To my dawni znajomi! — rzekł, zbliżając się do Jaszewskiego.

— Ja ciebie w Łubniach znał, ty kniazia Jaremy łycar— odpowiedział pułkownik. — My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

— Zdrów.

— Na wiosnę nie będzie on zdrów. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohybel!

— Komu Bóg przysądzi.

— No, Bóg na naszego bat'ka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg nie wróci. U Chmielnickiego bohato mołojców, a u kniazia co? Szczery on żołnir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

— Z komisarzami jadę.

— No, ja rad, że ty stary znajomy.

— Jeśliś ty rad, to ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

— Jaką przysługę?

— Powiedz ty mi, gdzie jest Bohun, ten sławny ataman, dawniej z perejesławskiego pułku, który dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

— Milcz!—odpowiedział groźnie Jaszewski.—Szczęście twoje, że my starzy znajomi, i że ja pił z tobą, bo inaczej jużby ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrzał na niego zdumiony, ale jako był człowiek prędkiej rezolucyi, więc buławę w ręku ścisnął.

— Czyś oszalał?

— Nie oszalał ja, ani ci nie chcę grozić, jeno jest taki rozkaz Chmiela, iż jeśliby ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał—żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dlatego ostrzegam cię z życzliwości.

— Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

— No, wszystko jedno. Chmiel rzekł nam pułkownikom i kazał innym powtórzyć: „Choćby który o drwa do pieca, albo o potaż pytał, ubić go.“ Ty to powtórz swoim.

— Dziękuję ci za dobrą radę!—rzekł Skrzetuski.

— Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego Lacha pierwszyby rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roiły się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i bryl śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzy, ściskając pięście, lub głownie szabel.

Skrzetuski, sformowawszy we czwórki dragonów, podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów — w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześciańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył, dokonać i nie utonąć po pierwszym kroku w tem morzu nienawiści.

ROZDZIAŁ XVIII.

Następnego dnia długie były rozhowory komisarzy między sobą, czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopókiby większej pokory i jakowejś skruchy nie okazał. Stanęło na tem, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską, zapowiedziano więc wręczenie darów—i nazajutrz odbył się ów akt uroczysty.

Od rana biły dzwony i grzmiały działa. Chmielnicki czekał przed swym dworem wśród pułkowników, wszelkiej starszyzny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród wiedział, jaką to go czcią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem na podniesieniu w altembasowym czerwonym sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich, i wziąwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą frendzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacya ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalczonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i w ogóle „Lachiw,“ którzy aż do jego czasów byli okryci urokiem niezwyciężoności. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił; olbrzymie jego ramiona

zdradzały zawsze siłę, zdolną przewracać państwa, lub tworzyć nowe; ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zuchwałą pewność, którą jej dały zwycięstwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy, i poznałeś łacno, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich straszliwem tchnieniem, jak las pod burzą. Z oczu, okolonych czerwoną obwódką, strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nodrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary, jak dwa słupy dymu z nozdrzy Lucypera — i w tej mgle własnych płuc siedział cały purpurowy, posępny, dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając na okół morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarski. Na czele szli dobosze, bijący w kotły, oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętymi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie, żałosne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzplitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej poduszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem, a dalej Kisiel szedł samotnie, wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że z poza podartego łachmana układów, z pod pozorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia, inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: „Nie idziesz ty, Kisielu, łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić, ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz pieszo do nóg tego chłopskiego wodza, w imieniu całej Rzplitej, ty senator i wojewoda...“ Więc rozdzierała się dusza w panu z Brusiłowa, i czuł się tak lichym, jak robak, i tak nizkim, jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: „Lepiej nam nie żyć, niż żyć w niewoli u chłopstwa i pogaństwa.“ Czemże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniaziem z Łubniów, który nie inaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu, czemże on był? Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca, i czuł, że wolałby stokroć umrzeć, niż krok jeszcze jeden postąpić; ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów...

Chmielnicki czekał na niego wsparty pod boki, z wydętemi usty i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się nakoniec. Kisiel, wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze przestali bębnić, trębacze trąbić — i nastała wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną chorągiew, niesioną przez p. Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacyi, nie liczącej się z niczem i z nikim:

— Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć co się dzieje: komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu, wyprostowany, blady, z iskrzącemi oczyma i gołą szablą w ręku i napowrót zwrócony ku dragonom, powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

— Za mną!,..

Wśród ciszy kopyta końskie zakołatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył zwolna, napowrót ku domostwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach, nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego, nikt jednak dobrze nie wiedział, czy to oddalenie się nagłe eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel zrozumiał wszystko, zrozumiał, że i traktaty i życie komisarzy, razem z eskortą, zawisło w tej chwili na włosku, więc wstąpił na podniesienie, i nim Chmielnicki zdołał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę...

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporożu, ale wnet mowa jego została przerwana nowem zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę, i rzucać się i krzyczeć:

— Co tam mówisz, Kisielu! Król jako król, ale wy królewięta, kniaziowie, szlachta, nabroiliście mnogo. I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odczepiłeś się od nas, a z Lachy przestajesz. Dosyć nam twego gadania, bo szablą dostaniem, czego nam trzeba.

Wojewoda spojrzał ze zgorszeniem w oczy Chmielnickiego.

— W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników?

— Milcz, Dziedziała!—zawołał hetman.

— Milcz, milcz! Upił się, choć rano! — powtórzyli inni pułkownicy.—Poszedł precz, bo za łeb wyciągniem.

Dziedziała chciał dłużej huczeć, ale istotnie schwytano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkiemi i wybornemi słowy, pokazując Chmielnickiemu, jak wielkie bierze upominki — bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król, mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał — i dlatego że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszywszy, wdzięcznym się

teraz za łaskę i klemencyę okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnicki przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinąć nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyła radosnymi głosami, tak, że przez chwilę nic nie było słychać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który, poczekawszy chwilę, rzekł:

— Za tak wielką łaskę, którą mi król jegomość przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał, i przeszłe moje przestępstwa przebacza, uniżenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam, nieszczerym dukom i królewiętom, trzyma, a najlepszy dowód, że kontentacyę mnie przysyła za to, że ja wam szyje ucinał—tak i dalej będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkiem nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, łając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynał w nim wzbierać, a komisarze zdrętwieli na tak niespodziany obrót jego odpowiedzi. Kisiel zaś rzekł:

— Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

— Krew nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko — odparł szorstko hetman,— bo mam wiadomość, że mi Radziwiłł mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi, dosyć mam waszych jeńców, i znacznych, wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisya trudno się teraz ma zacząć, bo wojska w kupie nie masz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach; bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą poco gadać dłużej na mrozie? Co wy mnie mieli oddać, to oddali, i wszyscy to widzieli, że ja już hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na gorzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy, Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i pułkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół, uginający się pod srebrem zdobycznem, między którem wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane zeszłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego pilawu, w całej zaś izbie pachniała wódka prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiela, po lewej kasztelana Brzozowskiego, i ukazawszy ręką gorzałkę, rzekł:

— W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtą psom zostawiając.

Pułkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to „antypast“ dał komisarzom hetman przed swym obiadem, a komisarze połknęli go, nic nie mówiąc, żeby — jak pisał podkomorzy lwowski — „bestyi nie drażnić.“

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiela.

Ale rozpoczął się poczęstunek. Pułkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je

na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasycał. W ciszy słychać było tylko chrupanie i trzask kości w zębach biesiadników, lub grzdykanie pijących, czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa. Dopiero pierwszy Chmielnicki, podjadłszy i wychyliwszy kilka szklanic prośnianki, zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

— Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

— Skrzetuski, zacny kawaler — rzekł.

— Ja jeho znaju — rzekł. — A czemuż to on nie chciał byc przy tem, jak wy mnie dary wręczali?

— Bo nie dla asysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa, i taki miał rozkaz.

— A kto jemu dał taki rozkaz?

— Ja — odparł wojewoda — bom nie myślał, aby to przystojnie było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

— A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Jaszewski.

— Już my się dragonów nie boimo — rzekł.— Silni nam nimi byli Lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Tatary i Niemcy...

— Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmieleccy i Koniecpolscy — przerwał Chmielnicki — ale Tchórzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu, skoro nas ujrzeli, i pouciekali, choć Tatar więcej nie było zrazu we środę, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

— Pokornie proszę, jedzcie i pijcie — rzekł Chmielnicki,— bo będę myślał, że nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

— Jeśli mają za ciasne, to możeby im poprzerzynać! — zawołał Dziedziała.

Pułkownicy podochoceni już mocno wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrzał groźnie, i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, blady był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Nakoniec nie wytrzymał i huknął:

— Zaliśmy tu na obiad, czy na zniewagi przyszli?

Na to Chmielnicki:

— Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litewskie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyje uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew, jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnięcia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze

łagodzić jego wybuchy, by go ad mitiorem et saniorem mentem doprowadzić.

W tym duchu Karmelita Łętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

— Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale zaledwie skończył, Fedor Wiśniak, pułkownik czerkaski, przechylił się i buławą machnął, chcąc Karmelitę w kark grzmotnąć; na szczęście, nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

— Mowczy pope! ne twoje diło brechniu mene zadawaty! Chody no na dwir, nauczu ja tebe pułkowników zaporoskich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za łeb z izby.

— Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisya zebrała? — pytał Kisiel, chcąc inny nadać zwrot rozmowie.

Na nieszczęście, i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

— Jutro sprawa i rozprawa będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisyi prawicie, zjeść i wypić nie dajecie. Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi — (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). — W tych czterech niedzielach wszystkich was do góry nogami przewrócę i podepcę, a naostatek carzowi tureckiemu zaprzedam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki, kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję; zhreszy kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi Szwedami, ale i oni mi ne zderżą! Tuhaj-bej na hawrani blizko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokół na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki, z właściwą pijanym nagłością, przeszedł od gniewu do rozczulenia i aż głos zadrgał mu od łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhaj-beja.

— Wy chcecie, żeby ja na Turki i Tatary szablę podniósł, ale nic z tego! Na was ja pójdę z dobrymi druhami moimi. Jużem pułki obesłał, aby mołojcy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armaty; znajdę ja u Lachów to wszystko. Ktoby z kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać; i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy i tak dojdę aż do Wisły i powiem: „Sedyte i mowczyte, Lachy!“ A będziecie z Zawiśla krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przeklęte, samą nieprawdą żyjące!

Tu zerwał się z miejsca, rzucał od ławy, za czuprynę rwał, nogami bił w ziemię, krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisyi i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Nakoniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w zimie, zatem w porze, gdy kozacy, nie mogąc się okopać, licho biją się w otwartem polu, uspokoił się nieco i znów siadł na ławie. Głowę

opuścił na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Nakoniec znów porwał za szklankę wódki.

— Za zdrowie króla jegomości! — wykrzyknął.

— Na sławu i zdorowie! — powtórzyli pułkownicy.

— No, ty, Kisielu, nie sumuj! — mówił hetman — i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być, ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisya, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

— Dziękuję ci, hetmanie zaporoski! — rzekł Kisiel.

— Ty mój gość, ja o tem pamiętam.

To rzekłszy, Chmielnicki znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody, zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego bladych, wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni pułkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy, ściskali się z nimi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: „Do pierwszej trawy!“ Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy, przesycone zapachem gorzałki, oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne, jak zniewagi. Nie brakło też i gróźb wśród objawów grubijańskiej serdeczności. Jedni wołali do wojewody: „My Lachiw choczemo rizaty, a ty nasz czołowik!“— inni mówili: „A co wy, pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosicie! Na pohybel-że wam, białoruczkom!“ Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzyczał: „Ja kniazia Czetwertyńskoho, moho pana, zarizaw!“ „Wydajcie nam Jaremu! — wołał, taczając się, Jaszewski — a darujemy was zdrowiem!“

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół, pokryty resztkami mięsiwa, okruchami chleba, poplamiony wódką i miodem, był ohydny. Weszły nakoniec worożychy, to jest czarownice, z któremi hetman zwykle do późna w noc dopijał, słuchając przepowiedni: dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte, lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziarn pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna flaszki, lub tłuszczu ludzkiego. Wnet między pułkownikami a młodszemi z nich rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był blizki omdlenia.

— Dziękujemy ci, hetmanie, za ucztę i żegnamy cię — rzekł słabym głosem.

— Ja jutro do ciebie, Kisielu, na obiad przyjadę! — odpowiedział Chmielnicki — a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

— Boże! Boże! Boże! — szepnął zcicha Kisiel, przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domostwu komisarzy. Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyś!

nie powyznaczał im kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli łatwo się schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel, zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychmiast położył się do łóżka i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem kazał przywołać Skrzetuskiego.

— Coś waćpan uczynił najlepszego! — rzekł do niego — coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

— JW. wojewodo, mea culpa! — odrzekł rycerz — ale mnie delirium porwało i wolałem sto razy zginąć, niż na takie rzeczy patrzeć.

— Chmielnicki poznał się na kontempcie. Zaledwiem efferatam bestiam uspokoił i postępek twój wytłómaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewnie ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz odemnie, byś żołnierstwo odprowadził.

— Od dziś Bryszowski komendę bierze, bo zdrowszy.

— To i lepiej; za twardy masz waść kark na dzisiejsze czasy. Trudno nam co innego ganić w takowym postępku, prócz nieostrożności, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

— Do boleścim nawykł, jaśnie wielmożny wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknął zcicha, tak właśnie jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, poczem uśmiechnął się ze smutną rezygnacyą i rzekł:

— Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, które dawniej łzami gorzkiemi oblewałem, spożywając, a teraz już mi i łez nie stało.

Litość wezbrała w sercu Skrzetuskiego na widok tego starca z twarzą męczennika, który ostatnie dni życia pędził w podwójnem, bo duszy i ciała cierpieniu.

— JW. wojewodo!—rzekł:—Bóg mi świadek, żem jeno o czasiech tych strasznych myślał, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pal powinien być jedyną za postępki zapłatą.

— Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy, i wiem, że nie miałeś złej intencyi. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za nim wojsko, szlachta, sejmy, pół Rzeczypospolitej i całe to brzemię wzgardy i nienawiści spada na mnie.

— Każdy służy ojczyźnie jak rozumie, niechże Bóg sądzi intencye, a co się tycze księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majętnością służy.

— I chwała go otacza i w niej jako w słońcu chodzi—odrzekł wojewoda.—Tymczasem cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sądzi intencye i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę.

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś tak mówić począł:

— Jam Rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Swiatołdyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją, i ten lud

Boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy z obu stron, widziałem dziką swawolę Zaporoża, ale i pychę nieznośną tych, którzy ten lud schłopić chcieli, cóżem więc miał uczynić, ja, Rusin, a zarazem wierny syn i senator tej Rzeczypospolitoj? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: Pax vobiscum! bo tak kazała mi krew, serce, bo między nimi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prymas, i wielu innych, bom widział, że dla obu stron rozbrat, to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia, do zgody pracować, i gdy się krew już polała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem, i pracowałem, i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce i w hańbie, i w zwątpieniu, prawie od wszystkiego straszniejszem. Bo, na miły Bóg! nie wiem teraz, czy wasz książę przyszedł z mieczem zawcześnie, czym ja z gałęzią oliwną za późno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sił nie staje, że napróżno głową o mur tłukę i że schodząc do grobu, widzę jeno ciemności przed sobą—i zgubę, o Boże wielki!—zgubę powszechną!

— Bóg ześle ratunek.

— O niech ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpaczy—to jeszcze za wszystkie boleści Mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, za to, że czerń woła o głowę moją, a na sejmach zdrajcą mnie nazywają, za moje mienie zagrabione, za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał!

To rzekłszy, wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu—i dwie łzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać, ale rzuciwszy się na kolana przed wojewodą, chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

— Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zasłudze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy, ten szlachcic i rycerz z pod chorągwi Wiśniowieckiego, przycisnął do ust rękę tego Rusina, którego kilka miesięcy temu razem z innymi zdrajcą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

— Synu mój!—rzekł cicho—niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na obiad do wojewody i w najgorszem usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisyi na Zielone Świątki i o wypuszczeniu jeńców na komisyę, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził go, uspokajał, przekładał, racye dawał, ale była to wedle słów podkomorzego lwowskiego surdo tyranno fabula dicta. Poczynał też sobie hetman tak po grubijańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko,

że mu się nie w porę pokazał, mimo tego, że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był blizkim.

Nie pomagały ludzkość i ochota, ani perswazye wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wybornym miodem huszczańskim podchmielił, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: „Mamy pić, to pijmy, zajutro sprawa i rozprawa, a nie, to sobie pójdę!“ O godzinie trzeciej w nocy naparł się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnymi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim nie zdarzyło się jakie zajście, któreby dla porucznika zgubnem być mogło. Chmielnicki jednak postanowił na swojem i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrzawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

— Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął do niego przyjaźnie rękę.

— Bom chory—odrzekł skłoniwszy się porucznik.

— Ty wczoraj i odjechał! Za nic mi była bez ciebie ochota.

— Taki miał rozkaz—wtrącił Kisiel.

— Już ty mnie, wojewodo, nie gadaj. Znaju ja joho i wiem, że on nie chciał patrzeć, jak wy mnie cześć wyrządzali. Oj, ptak to, ale coby innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miłuję, on mój druh serdeczny.

Kisiel otworzył oczy szeroko ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się do Skrzetuskiego:

— A ty wiesz, za co ja ciebie miłuję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

— Myślisz, że za to, że ty postronek nad Omelnikiem przeciął, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ścigali? Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścień z prochem z grobu Chrystusa. Ale ty, rogata dusza, mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy był w moich rękach, no, ja ciebie i tak puścił, i kwita. Nie za to cię teraz miłuję. Inną ty mnie przysługę oddał, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrzał z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

— Widzisz, jak się dziwią — rzekł, jakby do kogoś czwartego, hetman—to ja tobie przypomnę, co mnie w Czechryniu powiadali, gdym tam z Bazawłuku z Tuhaj-bejem przyszedł. Pytałem ja sam wszędy o niedruha mojego Czaplińskiego, któregom nie znalazł, ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszem pierwszem spotkaniu, że ty jego za łeb i za hajdawery ułapił, i drzwi nim wybił i okrwawił jak sobakę, ha!

— Istotnie to uczyniłem—rzekł Skrzetuski.

— Oj sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił! No, ja jego jeszcze dostanę, inaczej za nic traktaty i komisya, ja go jeszcze dostanę i poigram z nim po mojemu, ale i ty jemu dał pieprzu.

To rzekłszy, hetman zwrócił się do Kisiela i nanowo jął opowiadać:

— Za łeb go złapał i za pludry, podniósł jak liszkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozlegało się po alkierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

— Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wypić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetuskim, wypił — aż mu się z czupryny zadymiło, zaśmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serca i zwróciwszy się do porucznika, zakrzyknął:

— Proś mnie o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego; nastała chwila milczenia.

— Nie bój się — rzekł Chmielnicki. — Słowo nie dym; proś o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki, nawet pijany, był zawsze sobą.

— Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie, korzystać, tedy sprawiedliwości od ciebie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

— Szyję mu urezać!—przerwał z wybuchem Chmielnicki.

— Nie o to tu chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

— Szyję mu urezać!—powtórzył hetman.—Kto to taki?

— Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, poczem uderzył się dłonią w czoło.

— Bohun? — rzekł. — Bohun zabit. Meni korol pysaw, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił.

— A co tobie Bohun uczynił?—pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziównie wobec półpijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

— Jest to rzecz poważna — rzekł — o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją niewiadomo gdzie.

— Tak ty jej szukaj—rzekł Chmielnicki.

— Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył, alem jej nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd i sam na ślub chciał zjechać. Dajże mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

— Ty mój druh, ty Czaplińskiego rozbił. Ja tobie dam nietylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał,

i piernacz ci dam na przejazd i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo nie dym!

To rzekłszy, uchylił drzwi i na Wyhowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziała przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by we dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych czat polskich.

Nazajutrz Skrzetuski opuścił Perejasław.

ROZDZIAŁ XIX.

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to niemniej nudził się Wołodyjowski, który do wojny i przygód szczególnie tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły kiedy niekiedy ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali, ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tęgiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów, mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn nalegał pan Michał na Zagłobę, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

— Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył—mówił Wołodyjowski; — trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba nie bardzo się opierał, bo jak utrzymywał, murszał w Zbarażu z ostatkiem, i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłóczył, spodziewając się, że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

— Mężny on jest, ale i roztropny—odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego — czekajmy jeszcze parę dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycya niepotrzebna.

Pan Wołodyjowski uznawał słuszność argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas wlókł się coraz wolniej. Przy końcu grudnia mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jedyną rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto obijały się o szare mury zbaraskie.

Rozprawiano więc o koronacyi, i o sejmie, i o tem, czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkimi innymi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że w obec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim, jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego powodu kilka pojedynków — pan Zagłoba kilka pijatyk — i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nietylko dotrzy

mywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydził się nawet chodzić i między łyczków na chrzciny, wesela, chwaląc sobie szczególnie ich miody, którymi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi nizkiej kondycyi, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takich przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać tego za złe w czasie posępnych dni zimowych, wród niepewności, nudy i oczekiwania.

Zwolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz liczniej ściągać się do Zbaraża, z czego przepowiadano na wiosnę wojnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innymi z chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbipięta. Ten przywiózł wieści o niełasce, w jakiej książę u dworu zostawał, i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym, wedle powszechnego głosu, Kisiel na województwo miał nastąpić, a nakoniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbipięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcyami, aby wszelkie możliwe kozakom poczynić ustępstwa. Relacyę tę pana Podbipięty rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konfederacyę zawiązać, gdyż jak mówił, nie chciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął cały luty i marzec dobiegał połowy—a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodyjowski tembardziej począł nalegać na wyjazd.

— Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego—mówił—szukać nam wypada.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszność, odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył kozak Zachar, z listem adresowanym do Wołodyjowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał co następuje:

„Nad Dniestrem, aż do Jahorliku, nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukrytą w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z którymi do Perejasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego, przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czem mi sam metropolita sekunduje. Siła tu naszych ukrytych u mieszczan i po monasterach, ale ci, dla bojaźni czerni, nie dają wiedzieć o sobie, dlatego szukać trudno. Bóg mnie prowadził i nietylko chronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natchnął, mam przeto nadzieję, że mi dalej pomoże i zmiłuje się nade mną. Księdza Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencyę.

Skrzetuski.“

— Chwała bądź Bogu Przedwiecznemu! — wykrzyknął Wołodyjowski.

— Jest jeszcze postscriptum—rzekł Zagłoba, zaglądając przez ramię pana Michała.

— Prawda!—rzekł mały rycerz i czytał dalej:

„Oddawca tego listu, esauł mirhorodzkiego kurzenia, miał maie w poczciwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem, i teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął z narażeniem zdrowia; miej go, Michale, w staraniu aby mu niczego nie brakło."

— Oto uczciwy kozak, przynajmniej jeden taki!—rzekł Zagłoba, podając Zacharowi rękę.

Stary uścisnął ją bez uniżoności.

— Może być pewien nagrody!—wtrącił mały rycerz.

— On sokoł!—odparł kozak—ja jeho lublu, ja ne dla hroszi tutki priszow.

— I fantazyi ci widzę nie braknie, którejby się szlachcic niejeden nie powstydził — mówił Zagłoba. — Nie same bestye między wami, nie same bestye! Ale mniejsza z tem! To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie?

— Tak jest.

— A bezpieczen? bo to słyszę czerń tam hula?

— On u Dońca pułkownika mieszka. Jemu nic nie uczynią, bo nasz bat'ko Chmielnicki kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować, jak oka w głowie.

— Cuda prawdziwie się dzieją! Skądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

— On jego zdawna miłuje.

— A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

— Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jego druh, ja szukał z nim razem i osobno, tak musiał powiedzieć, czego mnie szukać.

— Aleście dotąd nie znaleźli?

— Nie znaleźliśmy. Co tam Lachiw jeszcze jest, to się kryją, jeden o drugim nie wie, tak i znaleźć niełatwo. Wy słyszeli, że tam czerń morduje, a ja to widział; nietylko Lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monastyrze Dobrego Mikoły u czernic było dwanaście Laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni, to się skrzykną po ulicach, i łowią, i do Dniepru prowadzą. Hej, co tam już wytopili!...

— To może i ją zamordowali?

— Może i ją.

— Ale nie! — przerwał Wołodyjowski.— Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

— Gdzie bezpieczniej, niż w monastyrze, a dla tego i tam znajdą.

— Uf! — rzekł Zagłoba. — Tak wy myślicie, Zachar, że ona mogła zginąć?

— Ne znaju.

— Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli—rzekł Zagłoba.— Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. A wyście, Zachar, dawno wyjechali z Kijowa?

— Oj dawno, pane! Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Bahaćko Lachiw chciało z nimi uciekać, i tak uciekali neszczastnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wertepach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a kozacy gnali za nimi i bili. Bahato utikło, bahato zabyły, a niektórych pan Kisiel wykupił, za wszystkie hroszi, jakie miał.

— O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali?

— Z komisarzami aż do Huszczy, a stamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

— To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

— W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem i polubił, jak detynu ridniuju. Ja stary i mnie niema kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pachołka, kazał podać miodu i mięsiwa, i zasiedli do wieczerzy. Zachar jadł smaczno, bo był zdrożony i głodny, następnie zanurzył chciwie siwe wąsy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

— Sławny miód.

— Lepszy niż krew, którą pijecie — rzekł Zagłoba.—Ale tak myślę, że wy uczciwy człek i pana Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostaniecie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zachar podniósł głowę.

— Ja pyśmo widdaw, tak i pójdę, ja kozak, mnie z kozakami, nie z Lachami się bratać.

— I będziecie nas bili?

— A budu! Ja siczowy kozak. My sobie Chmielnickiego bat'ka hetmanem obrali, a teraz korol jemu buławę i chorągiew przysłał

— Ot, masz! panie Michale — rzekł Zagłoba, — nie mówiłem, żeby protestować?

— A z jakiego wy kurzenia?

— Z mirhorodzkiego, ale jego już niema.

— Co się z nim stało?

— Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą Wodą starli. Teraz ja u Dońca, z tymi co zostali. Pan Czarniecki szczery żołnir, on u nas w niewoli, o niego komisarze prosili.

— Mamy i my waszych jeńców.

— Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy mołojec u Lachów w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

— Kto taki?

— Oj, sławny ataman Bohun.

— Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

— A kto go ubił?

— Ten oto kawaler — odrzekł Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego.

Zacharowi, który w tej chwili przechylał drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz sponsowiała, nakoniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

— Ten łycar Bohuna ubił? — pytał, krztusząc się od śmiechu.

— Co u starego dyabła! — wykrzyknął, marszcząc brwi, Wołodyjowski.— Za dużo sobie ten posłaniec pozwala!

— Nie gniewaj się, panie Michale—przerwał Zagłoba.—Poczciwy to widać człowiek, a że się na polityce nie zna, to od tego on kozak. Z drugiej strony, tem większa dla waćpana chwała, że wyglądając tak niepocześnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamiętasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie chciało, żeby taki chłystek...

— Dajże waćpan pokój! — burknął Wołodyjowski.

— Nie ja twym ojcem, nie miejże do mnie rankoru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna, i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majętność całą ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małem ciele. I książę niewiele większy od ciebie, a dlatego Aleksandor Macedoński nie wart był jego giermkiem.

— Ale bo co mnie gniewa — rzekł udobruchany nieco Wołodyjowski,— to właśnie to, że z tego listu Skrzetuskiego nic pomyślnego nie widać. Że on sam nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu; ale kniaziówny dotąd nie znalazł, i któż zaręczy, czy ją znajdzie?

— Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle sideł przeprowadził; gdy i Chmielnickiego zakamieniałe serce afektem dziwnym dla niego natchnął, to juści nie po to, żeby od męki i żałości na schab wysechł. Jeżeli w tem wszystkiem nie widzisz, panie Michale, ręki Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli, jakoż i słuszna to jest, że nikt nie może wszystkich przymiotów naraz posiadać.

— Widzę to jedno — odparł, ruszając wąsikami Wołodyjowski — że my nie mamy nic tam do roboty i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

— Prędzej ja sparcieję, niż ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje i słonina jełczeje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Niemałom ja się namartwił o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna, i pewniebym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek podobna, ale ja ją i bez tego miłuję, i nie widziałbyś mnie ani wesołym, ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy. Od jutra układam epitalamium, bo bardzo pięknie wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina dla Marsa zaniedbał.

— Co tu i mówić teraz o Marsie! — odrzekł Wołodyjowski.— Niech kaduk porwie tego zdrajcę Kisiela, wszystkich komisarzów

i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią, jak dwa a dwa cztery. Pan Podbipięta, który się z księciem widział, też to mówił.

— Pan Podbipięta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za ową dzierlatką wietrzył, niż za wszystkiem innem, i warował do niej, niby pies do kuropatwy. Dałby Bóg, żeby mu kto inny ją ustrzelił, ale mniejsza z tem. Nie neguję ci, że Kisiel zdrajca, bo o tem cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów, na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do kozaka:

— A co tam u was, Zachar, mówią: będzie-li pokój, czy wojna?

— Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohybel albo nam, albo Lachiwczykam.

— Pociesz-że się panie Michale; słyszałem i ja, że się czerń wszędy armuje.

— Bude taka wijna, jakoi ne buwało — rzekł Zachar. — U nas mówią, że i sułtan turecki przyjdzie, i chan ze wszystkiemi ordami, a nasz druh, Tuhaj-bej, na hawrani blizko stoi i wcale do dom nie poszedł.

— Pociesz-że się, panie Michale — powtórzył Zagłoba. — Jest też proroctwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie; już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzeć, jak mietle od ciągłego zamiatania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napatrzysz i poznasz, jakeśmy to za dawnych, lepszych czasów wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie, którzy za dawnych lat bywali, i ty już nie taki jesteś panie Michale, chociażeś sierdzisty żołnierz, i choć Bohuna usiekłeś.

— Sprawiedływe każete, pane— rzekł Zachar. — Ne cii teper lude, szczo buwały...

Potem począł na Wołodyjowskiego spoglądać i głową trząść:

— Ale szczoby cij łycar Bohuna ubyw, no! no!...

ROZDZIAŁ XX.

Stary Zachar odjechał napowrót do Kijowa po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przyszła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnem prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać armisticium aż do Zielonych Świątek ruskich, po których miała się rozpocząć nowa komisya z pełną mo-

cą do traktatów. Jednakże wymagania i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzplita zgodzić się na to mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrojenia. Chmielnicki słał posła za posłem do chana, by na czele wszystkich sił śpieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczyński; w Rzeczypospolitej spodziewano się lada chwila wici na pospolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mianowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostroroga, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnem usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać. Nie tylko żołnierze książęcy, nietylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimentarzy oburzali się na takowy wybór i niełaskę, twierdząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki była nadzieja traktatów, miało swoją racyę polityczną, to usuwanie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jak najwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnem. Chmielnicki kazał wprawdzie ściąć kilku pułkowników, którzy wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie, na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować mas czerni i licznych luźnych watah, które o armisticium lub nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa. Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tem samem wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane, zapędzając się w pościgu za zbójcami, przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się i w głąb województwa Bracławskiego, a tam napadane przez kozactwo, staczały z niem formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Stąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony nie wyruszali w pole, ale wojna rozgorzała już faktycznie, nim główne siły zerwały się do walki, i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie, miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką. Zapuszczały się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. Te gromił Jeremi rękoma swych pułkowników, bo sam udziału w tej drobnej wojnie nie brał, chcąc wtedy dopiero z całą dywizyą ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płaciły, palem za grabież i mordy. Poszedł między innymi pan Longinus Podbipięta i pogromił pod Czernym Ostrowem, ale byłto rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanymi z bronią w ręku, obchodził się zbyt łagodnie i dlatego więcej go nie posyłano. Szczególnie jednak odznaczył się w podobnych eks-

pedycyach pan Wołodyjowski, który jako partyzant w jednym chyba Wierszule mógł znaleźć współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zejść tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozproszyć na cztery wiatry, wyłowić, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach, a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały dyabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ekspedycyach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanię, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją bezczynność tłómaczył:

— Za wielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przytem każdy do czego innego się godzi. Z usarzami na gęstwę nieprzyjaciela przy białym dniu uderzać, tabory łamać, chorągwie brać to moja rzecz, do tego mnie Pan Bóg stworzył i usposobił: ale pościg nocą, w chróstach, za hultajstwem, tobie zostawuję, któryś jest misterny, jako igła, i łatwiej się wszędy przeciśniesz. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić, jak ogar po haszczach! Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam, i sam zwyciężał, aż pewnego razu, wyjechawszy pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja tak strapiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymordował. Tak nawet zdawało się wszystkim, ale było to mylne mniemanie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycyi, doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostrów pod Hołownię, i tam pogromił, nie zwyczajną watahę, złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział zaporożców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tem dziwniejszy był więc głęboki smutek, niby mgłą pokrywający jego wesołe z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł, i zaledwie z konia zsiadłszy, udał się na długą rozmowę do księcia, w towarzystwie dwóch nieznanych rycerzy, a następnie razem z nimi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawi nowin za rękawy po drodze chwytali.

Pan Zagłoba z pewnem zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przedtem w życiu nie widział, a których strój ze złotemi pętelkami na ramionach okazywał, że w wojsku litewskiem służą. Wołodyjowski zaś rzekł:

— Zamknij waszmość drzwi i każ nikogo nie wpuszczać, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, poczem jął patrzeć niespokojnie na przybyłych, miarkując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

— To są—rzekł Wołodyjowski, ukazując młodzieńców—kniazie Bułyhowie-Kurcewicze, Jur i Andrzej.

— Stryjeczni Heleny!—wykrzyknął Zagłoba.

Kniaziowie skłonili się i odrzekli obaj zaraz:

— Stryjeczni nieboszczki Heleny.

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili blado-niebieska, rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył, nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

— Jak to?

— Są wiadomości— odpowiedział posępnie Wołodyjowski— że kniaziówna w monasterze Dobrego Mikoły została zamordowana.

— Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście panien i kilkanaście czernic, między któremi była siostra nasza—dodał kniaź Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina. poczerwieniała mu tak, że obecni zlękli się, aby go krew nie zalała; zwolna powieki opadły mu na oczy, poczem zakrył je rękoma, a z ust wyrwał się nowy jęk:

— Świecie! świecie! świecie!

Potem umilkł i trwał w milczeniu.

A kniaziowie i Wołodyjowski biadać zaczęli:

— Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli—mówił, wzdychając raz po raz, młody rycerz—ale snadź spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od tego lichego świecie przebywasz, u Królowej Niebieskiej we fraucymerze.

— Siostro!—wołał olbrzymi Jur, którego żal nanowo pochwycił za włosy—ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi wiadro wylejemy.

— Tak nam dopomóż Bóg!—dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągnęli do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się jak pijany, i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony, zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

— Niema jej już, niema! — rzekł znowu Wołodyjowski. — Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawując łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubem ciałem Zagłoby i trzęsło niem, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się—myśleli nawet, że może bólem znużony usnął na klęczkach, ale on po niejakim czasie wstał i siadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i krwią zaszłe, głowę spuszczoną, dolna warga zwisła mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęstwo i jakaś niebywała zgrzybiałość—tak, że mogło się naprawdę zdawać, że ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pełen fantazyi, umarł, a został tylko starzec, wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem, mimo protestacyi pilnującego drzwi pacholika, wszedł pan Podbipięta i na nowo rozpoczęły się żale i narzekania; Litwin wspominał Rozłogi i pierwsze widzenie się z kniaziówną, jej słodycz,

młodość i urodę, wreszcie wspomniał, że jest ktoś nieszczęśliwszy od nich wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrzetuski— i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

— Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał, i leży chory, o świecie Bożym nie wiedząc— rzekł pan Wołodyjowski.

— Zali nie trzeba, abyśmy do niego jechali?— pytał Litwin.

— Niema tam poco jechać— odparł Wołodyjowski. — Medyk książęcy zaręcza za jego zdrowie; jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest i nasz stary Zaćwilichowski: obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczem mu nie zbywa, a to że go delirium nie opuszcza, to dla niego lepiej.

— O mocny Boże!—rzekł Litwin.—Widziałżeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

— Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

— A on poznał waćpana?

— Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głową kiwnął, a mnie taka żałość porwała, żem dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce tu iść do Zbaraża z chorągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to sprowadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

— A skądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny?—pytał dalej Longinus. — Czy nie ci kawalerowie je przywieźli? — dodał, wskazując kniaziów.

— Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkiem dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody wileńskiego, i tu ze mną przyszli, bo i do naszego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisyi już nic nie będzie.

— To już i my to wiemy, ale powiedz mi waćpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

— Mówił mi Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki permisyę, żeby w Kijowie szukał, i sam metropolita miał mu pomagać. Szukali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun kniaziównę w jakowym monasterze umieścił. Szukali, szukali i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czerń u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohuna nie byliby się rzucili, aż pokazało się inaczej.

— To ona była u Dobrego Mikoły.

— Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu, że jakie były panny, to je wpierw kozacy pobrali, jeno się u Dobrego Mikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono, a między niemi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jer-

licz śledziennik i nawpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i poleciał zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać; na nieszczęście mniszki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcyi kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz na zdrowiu zapadł.

— To dziw tylko, że jeszcze żyje.

— Byłby umarł niechybnie, gdyby nie ów stary kozak, który go w niewoli na Siczy pilnował, a potem tu od niego z listami przyjechał, i wróciwszy, znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

— Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo on się już nigdy nie pocieszy!—rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł, i grobowe milczenie panowało między wszystkimi. Kniazie, podparłszy się łokciami, siedzieli bez ruchu z namarszczoną brwią. Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwił szklany wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszem zamyśleniu się pogrążył.

— Zbudź się waćpan! — rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski, wstrząsając go za ramię.—O czem tak myślisz? nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

— Wiem o tem— odparł złamanym głosem Zagłoba—jeno myślę, żem stary i że nie mam co robić na tym świecie.

ROZDZIAŁ XXI.

— Imaginuj sobie waćpan—mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina — że ten człowiek tak się w jednej godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Taki wesoły, taki mowny, tak obfity w fortele, że samego Ulisesa w nich przewyższał, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewał, żeby do tego stopnia.

— Cóż to dziwnego— odparł, wzdychając, Litwin. — Tembardziej się do niej przywiązał, że ją z rąk Bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już naprawdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

— Próbowałem już i pić z nim, w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci, i to na nic! Pić, pije, ale nie zmyśla po da-

wnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem, czy i pan Skrzetuski w większej desperacyi od niego żyje.

— Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz! Chodźmy do niego, panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkiem mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego chwyci. Mój Boże, jak się to ludzie zmieniają! Taki to był wesoły człek!

— Chodźmy!—rzekł pan Wołodyjowski. — Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając, udali się obaj do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartem oknem, z głową opartą na ręku. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłymi głosami, a w gąszczach, dzielących zamek od miasta, słowiki wywodziły zapamiętale swoje nocne trele, poświstując, cmokając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne promienie księżyca, które oświecały pognębioną twarz panu Zagłoby i łysinę schyloną na piersi.

— Dobry wieczór waćpanu!—rzekli dwaj rycerze.

— Dobry wieczór!—odpowiedział Zagłoba.

— Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz, zamiast spać iść?—pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

— Bo mi nie do snu—odrzekł wlokącym się głosem.—Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kahamlikiem od Bohuna, i tak samo nam owe ptaszyny fiukały, a teraz gdzie ona?

— Bóg to tak zrządził!—rzekł Wołodyjowski.

— Na łzy i smutek, panie Michale! Niemasz już dla mnie pocieszenia!

Umilkli — jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, którymi cała owa jasna noc zdawała się być przepełnioną.

— O Boże! Boże!—westchnął Zagłoba — zupełnie tak jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsnął łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

— Ej, wiesz co waćpan? smutek smutkiem, a napij się z nami miodu, bo niemasz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklanicy rozpamiętywać lepsze czasy.

— Napiję się—rzekł z rezygnacyą Zagłoba.

Wołodyjowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

— To już rok, jakeś waćpan z nieboszczką z Rozłogów przed Bohunem uciekał?

— W maju to było, w maju — odrzekł Zagłoba. — Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Zołotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

— I ona była przebrana?

— Za kozaczka. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdziem je pod drzewem razem z szablą pochował.

— Słodka to była panna! — dorzucił z westchnieniem Longinus.

— To mówię waćpanom, żem ją pierwszego dnia tak pokochał, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko rączyny przede mną składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę. Niechby mnie byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał. Bodaj mi było nie dożyć!

Tu znów nastało milczenie, i trzej rycerze pili miód zmieszany ze łzami, poczem Zagłoba tak dalej mówić począł:

— Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilnie.

— Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, nim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni; ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczał; powstała głośna sprzeczka, w której zdawało się panu Wołodyjowskiemu, że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odrzekł Wołodyjowski—to Rzędzian!

— A ja-ci to jestem—odrzekł pachołek—i kłaniam do kolan waszmościom. A gdzie to mój pan?

— Twój pan w Korcu i chory.

— O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

— Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrów.

— Bo ja tu z wieściami o pannie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać melancholijnie głową.

— Niepotrzebnieś się śpieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci, i my ją tu łzami rzewnemi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy

— Gwałtu! rety! co słyszę? panna umarła?

— Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójów zamordowana.

— A w jakim Kijowie? co jegomość prawi?

— W jakim Kijowie? albo to Kijowa nie znasz?

— Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką niedaleko Raszkowa

ukryta? i czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszyła. Jak mnie Bóg miły, zwaryować przyjdzie, czy co?

— Co za czarownica, o czemże ty gadasz?

— A Horpyna, toć tę basetlę znam dobrze!

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękoma trzepać, jak człowiek, który wpadłszy w głębinę, ratuje się od zatonięcia.

— Na Boga żywego! milcz waćpan!—rzekł do Wołodyjowskiego—na rany Boskie, niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak blady był Zagłoba, i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równemi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pachołka za ramiona, pytał chrapliwym głosem:

— Kto tobie to powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

— Kto miał powiadać? Bohun!

— Chłopie, czyś zwaryował?—wrzasnął pan Zagłoba, trzęsąc pachołkiem jak gruszką—jaki Bohun?

— O dla Boga! — zawołał Rzędzian — czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał. Jegomość mi do reszty w głowie przewróci. Jakiż ma być Bohun? albo go to jegomość nie zna?

— Gadaj, bo cię nożem pchnę! — wrzasnął Zagłoba.— Gdzieś Bohuna widział?

— We Włodawie! Czego waszmościowie ode mnie chcecie?— wołał przestraszony pachołek.— Cóżem to ja? zbój?...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zabrakło i padł na ławę, dychając ciężko; pan Michał przybył mu na pomoc.

— Kiedyś Bohuna widział? — pytał Rzędziana.

— Trzy tygodnie temu.

— To on żyje?

— Co nie ma żyć? sam mi opowiadał, jakeś go jegomość popłatał, ale się wylizał...

— I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

— Któż inny?

— Słuchaj, Rzędzian, tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

— Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczała, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żebym ja tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i musi leżeć, niewiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy nanowo zerwał i schwyciwszy się obu rękoma za resztki włosów, począł krzyczeć, jak szalony:

— Żyje moja córuchna, na rany Boskie, żyje! to nie ją w Kijowie zabili! żyje ona, żyje moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szlochał, nakoniec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi i począł tak całować, że pachołek do reszty stracił głowę.

— Niech-no jegomość da pokój... bo się zatchnę! Jużci że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszymy... Jegomość, no! jegomość!

— Puść go waszmość, niech odpowiada, bo jeszcze nic nie rozumiemy — rzekł Wołodyjowski.

— Mów, mów! — wołał Zagłoba.

— Opowiadaj od początku, brateńku! — rzekł pan Longinus, na którego wąsach osjadła także gęsta rosa.

— Pozwólcie, waszmościowie, niech się wysapię — rzekł Rzędzian — i okno przymknę, bo te juchy słowiki tak się drą w krzakach, że i do słowa przyjść nie można.

— Miodu! — krzyknął na czeladnika Wołodyjowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie powolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom się utrudził!

— Siadaj! — rzekł Wołodyjowski, nalewając mu z przyniesionego przez czeladnika gąsiora — pij z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś gadał jak najprędzej.

— Dobry miód! — odpowiedział pachołek, podnosząc szklankę pod światło.

— A bodaj cię usiekli! będziesz-że ty gadał? — huknął Zagłoba.

— A jegomość to się zaraz gniewa! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać, a mnie słuchać, od tegom sługa. Ale już widzę, że od początku muszę dokumentnie wszystko opowiadać...

— Mów od początku!

— Waszmościowie pamiętają, jako to przyszła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po pannie? Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

— Niech ma i dziewięćset!...— burknął Zagłoba.

— A niech mu Pan Bóg da jak najwięcej! Dziękuję jegomości za dobre słowo — odrzekł Rzędzian. — Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieźć, com przy pomocy Bożej zebrał między zbójami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli kozacy w Czechryniu, że mnie za swego mieli, żem Bohuna rannego pilnował i do wielkiej konfidencyi z nim przyszedł, a przytem skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

— Wiemy, wiemy! — rzekł Wołodyjowski.

— Otóż przyjechałem do rodzicielów, którzy radzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdym im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiądz, żem uczciwą drogą do tego przyszedł. Dopieroż się ucieszyli, bo trzebaż waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskimi o gruszę, co na miedzy stoi i w połowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszymi ma gałęzie. Owóż jak Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

— Chłopie, nie przywodź-że mnie do gniewu! — rzekł Zagłoba — i nie mów tego, co do rzeczy nie należy!...

— Naprzód, z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowy, co jegomości pan porucznik Wołodyjowski i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a powtóre ten proces trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

— Dobrze, rybeńko! — rzekł słodko pan Longinus — ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

— O Bohunie? — rzekł Rzędzian — niechże będzie i o Bohunie. Owoż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nade mnie, chociaż mnie w Czechryniu rozszczepił,' bom go też co prawda pilnował, opatrywał, kiedy go to jeszcze kniazie Kurcewicze poszczerbili. Obełgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z kozakami trzymać, bo więcej zysku między nimi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda hojnie wynagrodził, nie wiedząc o tem, żem ja sobie poprzysiągł zemścić się na nim za oną krzywdę czechryńską, i że jeżelim go nie zażgał, to jeno dlatego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela nożem, jako świnię, pod pachę żgać.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Wołodyjowski.— To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

— A to, widzi jegomość, było tak: Gdyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pójdą, nie może inaczej być!), to ja sobie myślę: „No! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić.“ Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazya u niego dobra, mówi: „Kiedyś poprzysiągł, to idź, bo inaczej będziesz kiep.“ Więc ja poszedłem, bom sobie i to jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o pannie, jeśli żywa, może czegoś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojadę, to też nie będzie bez nagrody!

— Pewnie, że nie będzie! i my cię też wynagrodzimy — rzekł Wołodyjowski.

— A u mnie, masz już, brateńku, konika z rzędem — dodał Longinus.

— Dziękuję pokornie waszmościom panom — rzekł uradowany pachołek,— bo słuszna to jest rzecz za dobrą wieść musztuluk, a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

— Dyabli mnie biorą! — mruknął Zagłoba.

— Wyjechałeś więc z domu...— poddał Wołodyjowski.

— Wyjechałem więc z domu— mówił dalej Rzędzian— i myślę znowu: dokąd jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko, i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę tedy, mój jegomość, jadę na Białą i Włodawę, i we Włodawie — koniska już miałem srodze zmęczone — zatrzymuję się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; ja do mieszczan, i tam szlachta! Dopieroż jeden Żyd mi powiada: „Miałem izbę, ale

ją ranny szlachcic zajął.“ — „To, mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik, jako to w czasie jarmarku, pewnie nie może sobie dać rady z robotą.“ Gadał jeszcze Żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzę ja — i patrzę kto leży w betach — Bohun! Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ażem się przeląkł, a on mnie poznał odrazu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: „Bóg mi cię zesłał! teraz już umrę.“ A ja mówię: „Co jegomość tu robisz?“ — on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do króla jegomości, a naonczas jeszcze królewicza, z pod Zamościa wysłał, i jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usiekł.

— Wdzięcznie mnie wspominał? — spytał mały rycerz.

— Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jeno że dość wdzięcznie. Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bez mała na wpół przeciął. Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej, niż pierwej, zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził...

— Niech mu tam kat świeci! Już ja się jego nie boję! — odparł Zagłoba.

— Przyszliśmy tedy do dawnej konfidencyi — mówił dalej Rzędzian — ba! jeszcze do większej, i on mnie wszystko powiadał, jako śmierci był blizki, jako go do dworu w Lipkowie wzięli, mając go za szlachcica, a on też się podał za pana Hulewicza z Podola, jak go później wyleczyli, z wielką ludzkością traktując, za co im wdzięczność do śmierci poprzysiągł.

— A cóż we Włodawie robił?

— Ku Wołyniowi się przebierał, ale mu się w Parczewie rany otworzyły, bo się z nim wóz wywrócił, więc musiał zostać, chociaż i w strachu wielkim, gdyż łatwo tam go mogli rozsiekać. Sam mnie to mówił. Byłem, powiada, wysłany z listami, ale teraz świadectwa żadnego nie mam, jeno piernacz, i gdyby się zwiedzieli, ktom jest, toby mnie nietylko szlachta rozsiekała, ale pierwszy komendantby mnie powiesił, nikogo o pozwolenie nie pytając. Pamiętam, że jak mi to rzekł, tak ja do niego mówię: „Dobrze to wiedzieć, że pierwszy komendantby jegomości powiesił.“ A on pyta: „Jak to?“ — „Tak, rzekę, że trzeba być ostrożnie i nikomu nic nie mówić, w czem się też jegomości przysłużę.“ Dopieroż jął mi dziękować i o wdzięczności zapewniać, jako że mnie nagroda nie minie. „Teraz, mówi, pieniędzy nie mam, ale co mam z klejnotów, to ci dam, a później cię złotem obsypię, tylko mi jedną przysługę jeszcze oddaj.“

— Ach! to już przyjdzie do kniaziówny! — rzekł Wołodyjowski.

— Tak jest, mój jegomość, muszę już wszystko dokumentnie opowiedzieć. Jak mi tedy rzekł, że teraz pieniędzy niema, takem do reszty serce dla niego stracił, i myślę sobie: „Poczekaj, oddam ja ci przysługę!“ A on mówi: „Chorym jest, nie mam siły do podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, powiada, na

Wołyń dostanę, a stąd blizko, to już będę między swoimi, ale tam nad Dniestr, nie mogę jechać, bo sił nie staje, i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk. Jedź ty za mnie.“ Więc ja pytam: „A dokąd?“ On na to: „Aż pod Raszków, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny czarownicy.“ Pytam: „Kniaziówna?“— „Tak jest! rzecze. Tamem ją ukrył, gdzie ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia.“

— Mów-no prędzej na Boga! — krzyknął Zagłoba.

— Co nagle, to po dyable — odpowiedział Rzędzian. — Jakem to tedy, mój jegomość, usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: „A pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno, jakeś waćpan ją tam odwiózł?“ On począł się zaklinać, że Horpyna, jego suka wierna, będzie ją i dziesięć lat trzymała aż do jego powrotu, i że kniaziówna tam jest, jako Bóg na niebie, bo tam ani Lachy, ani Tatary, ani kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Kiedy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową, Podbipięta oczy do nieba wznosił.

— Że ona tam jest, to już pewno — mówił dalej pachołek, — bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał. Ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać, i mówię: „A po co ja tam?“ On zaś: „Po to, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli, powiada, żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa nieść, bo tam już wszędzie nasi kozacy górą, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej Przeczystej odwiozła.“

— A co! więc nie do Dobrego Mikoły!— wybuchnął Zagłoba.—Zaraz mówiłem, że Jerlicz śledziennik, albo że zełgał.

— Do Świętej Przeczystej!—mówił dalej Rzędzian.—„Pierścień (powiada) ci dam, i piernacz, i nóż, a już Horpyna będzie wiedziała, co to znaczy, bo taka umowa stoi, i Bóg cię (powiada) tembardziej zesłał, że ona cię zna, wie, żeś mój druh najlepszy. Jedźcie razem, kozaków się nie bójcie, jeno na Tatarów baczcie, jeśliby gdzie byli, i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pieniądze, dukaty tam są (powiada) zakopane na miejscu w jarze, od wypadku to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno: „Bohunowa jedzie!“— a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie radę, tylko ty jedź ode mnie, bo kogoż ja nieszczęsny poślę, komu zawierzę tu w obcym kraju, między wrogami?“ Tak on to mnie, moi jegomoście, prosił, że prawie śluzy wylewał, w końcu kazał mi bestya przysięgać, że pojadę, a ja też przysiągłem, jeno w duchu dodałem: „Z moim panem!“ On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz, i pierścień, i nóż, i co miał klejnotów, a ja wziąłem, bom myślał: „Lepiej niech będzie u mnie, niż u zbója.“ Na pożegnanie powiedział mi jeszcze, który to jest jar nad Waładynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z za-

wiązanemi oczymabym trafił, co sami waszmościowie zobaczycie, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

— Zaraz jutro—rzekł Wołodyjowski.

— Co to jutro! dziś jeszcze świtaniem każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca, i słychać było to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędzianowi, na które pachołek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

— Niech cię kule biją!—wykrzyknął Zagłoba—jakiego w tobie pan Skrzetuski ma sługę!

— Albo co?—pytał Rzędzian.

— Bo cię chyba ozłoci.

— Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności służę.

— A cóżeś z Bohunem uczynił?—pytał Wołodyjowski.

— Toż to, mój jegomość, było dla mnie umartwienie, że znowu on leżał chory, i nie wypadało mi go żgać, bo to i mój panby zganił. Taki już los! Cóżem więc miał robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć, i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Poco, mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi, i mnie w Czechryniu poszczerbił. Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za nami z kozakami ruszy? Więcem, niewiele myśląc, poszedł do pana komendanta Rogowskiego, który we Włodawie z chorągwią stoi, i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy, Rzędzian roześmiał się dość głupowato i spojrzał po obecnych, jakby czekając, aby mu zawtórowali, ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po niejakim czasie, pierwszy Zagłoba mruknął: „Mniejsza z tem!“ ale natomiast Wołodyjowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

— Toś niepięknie postąpił, brateńku, co się zowie niepięknie!

— Jak to? mój jegomość — pytał zdumiony Rzędzian. — Miałem go lepiej pchnąć?

— I tak byłoby niełądnie, i tak niełądnie, ale nie wiem co lepiej: czy być zbójem, czy Judaszem?

— Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecie i króla jegomości i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjaciel!

— Prawda to, ale ono zawsze niepięknie. A jak mówisz, ów jegomość się nazywał, co?

— Pan Rogowski. Mówili, że mu na imię Jakób.

— To ten sam!—mruknął Litwin.—Pana Łaszcza krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjaciel.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał:

— Mości panowie—rzekł.—Tu niema co zwłóczyć! Bóg sprawił przez tego pachołka i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycyach będziemy jej szukali. Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Książę wyjechał, ale już i bez jego permisyi puścimy się w drogę, bo czasu niema! Pójdzie pan Wołodyjowski, ja z nim i Rzędzian, a waćpan, panie Podbipięta, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność wydaćby nas mogły.

— Nie, bracie, ja też pojadę!—rzekł Litwin.

— Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanuby i z piernaczem nie uwierzyli. Dusiłeś Puljana na oczach wszystkiego Krzywonosowego hultajstwa, a gdyby taka tyczka była między nimi, toćby ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz, a twoja jedna nie wiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

— Żal!—rzekł Litwin.

— Żal, nie żal, a musisz się zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nie.

— Słuchać hadko!

— Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesoło, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret, żeby się między żołnierstwem nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa.

— Ba! a księciu?

— Księcia niema.

— A panu Skrzetuskiemu, jeśli wróci?

— Jemu właśnie ani słowa, bo zarazby się wyrywał za nami; będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu, toby rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa!

— Parol!—rzekł Podbipięta.

— Parol! parol!

— A teraz Bogu dziękujmy!

To rzekłszy, Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni i modlili się długo i żarliwie.

ROZDZIAŁ XXII.

Książę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa, w celu czynienia nowych zaciągów, i nierychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której

z ludzi pozostałych w Zbarażu, jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał jak zaklęty.

Wierszuł i inni oficerowie, wiedząc o śmierci kniaziówny, nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą był w jakimkolwiek związku z narzeczoną nieszczęsnego Skrzetuskiego, i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tembardziej, że był między nimi i Rzędzian, o którym wiedziano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali wprost do Chlebanówki i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba zakupił przedewszystkiem, za pieniądze pożyczone od Longina, pięć rosłych koni podolskich, zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim, a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od których był wytrzymalszy na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego, dla siebie i towarzyszów, również jak i dla kniaziówny, nabył dostatnie świty kozackie; Rzędzian zajął się jukami, a gdy wszystko było przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien, w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych łatwo można było poczytać za jakichś atamanów kozackich, i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuconych hen aż ku Kamieńcowi, ale tym łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajętym przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się zwolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie mieć oko. Wiedziano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armistycyum perejasławskie skończyło się do Zielonych Świątek; wojna podjazdowa nie ustawała naprawdę nigdy, a teraz wzmogła się i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskiemi ziemia pokryła się bisiorem traw i kwiecia wyrosłego z ciał poległych rycerzy. Nad pobojowiskiem tkwiły w błękicie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą, pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorem żaby, pławiące się w ugrzanej fali, do późna w noc wiodły radosne rozhowory.

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zabliźnić, bóle ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo, powietrzno, wesoło, a step cały jak malowany, błyszczał nakształt złotogłowiu, mienił się jak tęcza, albo jak pas polski, na którym zręczna robotnica wszystkie barwy wybornie ożeni. Stepy grały od ptactwa i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śniadość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napełnia się niezmierną, więc też i nasi rycerze takiej właśnie otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał

się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońce, i raz, gdy go dobrze zagrzało, rzekł do małego rycerza:

— Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgrzynie, niemasz jak słońce na stare kości.

— Dla wszystkich ono jest dobre — odpowiedział pan Wołodyjowski—gdyż zauważ waćpan, jak nawet animalia lubią się wygrzewać na słońcu.

— Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę—mówił dalej Zagłoba—gdyż w zimie, przy mrozach, trudnoby z dziewczyną uciekać.

— Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

— Powiem ci, panie Michale—rzekł na to Zagłoba—że jedną mam tylko obawę, a to, żeby w razie wojny, Tatarstwo się w tamtych stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło, bo z kozakami damy sobie radę. Chłopstwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważyłeś, że nas za starszych mają, a zaporożcy piernacz szanują i Bohunowe imię tarczą nam będzie.

— Znam ja się z Tatary, bo nam w państwie łubniańskiem życie na ustawicznym procederze z nimi schodziło, a już ja i Wierszuł, to nigdy nie mieliśmy odpoczynku—odpowiedział pan Michał.

— I ja znam—rzekł Zagłoba.—Wspominałem ci przecie, jakom między nimi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale żem się nie chciał zbisurmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

— A mówiłeś waćpan kiedyindziej, że to było w Galacie?

— W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beliala, niżeli chrześcijan na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian.

— Nietylko od Tatarów możemy mieć przeszkodę — rzekł — bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica, z dyabłami w konfidencyi, którzy nie wiem czy jej o nas nie przestrzegą. Mam ci ja wprawdzie kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego upiorzysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to głowa ichmościów w tem, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zarazby mi nagroda przepadła.

— Trutniu jeden! — rzecze pan Zagłoba. — Właśnie też nam w głowie o twojem zdrowiu myśleć. Nie skręci ci dyabeł karku, a choćby i skręcił to wszystko jedno, bo ty i tak za swoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać, i to sobie zakonnotuj, że jeśli Horpyna czarownica, tom ja możniejszy czarownik, bom się w Persyi ciemnego kunsztu uczył.

Ona dyabłom służy, a oni mnie, i mógłbym nimi jakc wołami orać, jeno nie chcę, mając na uwadze zbawienie duszy.

— To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz, to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawsze lepiej być w bezpieczności.

— Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i Boską opiekę!—rzekł Wołodyjowski.— Niechże tam Horpyny i Bohuna czarci strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma, na który przypadek świętemu Michałowi Archaniołowi siedm świec z białego wosku ofiaruję.

— To już i ja na jedną się przyłożę — rzekł Rzędzian—żeby mnie jegomość pan Zagłoba potępieniem nie straszył.

— Pierwszy ja ciebie do piekła wyprawię — odpowiedział szlachcic—jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

— Jak to nie wiem? Byleśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanemi oczyma trafię. Pojedziemy brzegiem ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce, który po tem poznamy, że wejście do niego skałą zawalone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wjechać nie można, ale w skale jest wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umknie, bo to jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwoleństwa wchodzą, i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyczeć: „Bohun! Bohun!...“ Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie. Prócz Horpyny jest tam jeszcze i Czeremis, który z piszczeli okrutnie strzela. Oboje musimy uśmiercić.

— Onego Czeremisa nie mówię, ale babę dość będzie związać.

— Zaśby ją tam jegomość związał! Ona taka mocna, że pancerz jak koszulę rozdziera, a podkowa to jeno jej w ręku chrupnie. Chyba jeden pan Podbipięta dałby jej radę, ale nie my. Daj-no jegomość pokój, mam ja na nią kulę święconą; niechże już na tę dyablicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałaby za nami jak wilczyca, a na kozaków wyła i pewniebyśmy nietylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli.

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali śpieszno, mijając miasteczka, sioła, futory i mogiły. Szli na Jarmolińce ku Barowi, skąd dopiero mieli się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w których niegdyś Wołodyjowski pobił Bohuna i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego futoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołem niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które się zdarzyły i takich, które się wcale nie zdarzyły Ale najwięcej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszłem uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjechawszy wreszcie z okolic trzymanych w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się Lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytępiono ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znoj-

ny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była daleka i trudna. Na szczęście od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporoskich ich miały. Wszelako kiedy niekiedy pytano ich, coby za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był niżowy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię, inni zaś, patrząc na to, zaraz otwierali im drogę, myśląc, że to nietylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije: — „Może Krzywonos, Burłaj, albo i sam bat'ko Chmielnicki."

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się niemałe. I zwykle nie było końca pytaniom: „Czy zdrów, czy żyje," bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca a nawet worki, z czego chytry pachołek pana Skrzetuskiego nieomieszkał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burłaj, który tu z wojskiem niżowem i czernią na Tatarów budziackich czekał, stary, sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na współkę w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak syna i wdzięcznie przyjął jego wysłańców, nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza, że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na Wołyń zdąża, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się pan Zagłoba, ażeby Rzędzian, podpiwszy, nie wygadał się z czem niepotrzebnem, ale pokazało się, że szczwany jak lis pachołek tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, a tem większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów prowadzonych z jakąś straszliwą szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

— Słyszeli my—mówił Burłaj—że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy, kto jego usiekł?

— Wołodyjowski, oficer kniazia Jaremy - odpowiedział spokojnie Rzędzian.

— Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokoła! Ze skóry jaby jego obdarł!

Pan Wołodyjowski ruszył na to owsianymi wąsikami i spojrzał na Burłaja takim wzrokiem, jakim chart spogląda na wilka, którego nie wolno mu uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

— Dla tego to ja waści mówię, mości pułkowniku, jego nazwisko.

— Dyabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka!— pomyślał pan Zagłoba.

— Ale — mówił dalej Rzędzian — ten nietyle winien, bo jego sam Bohun wyzwał, nie wiedząc jaką szablę wyzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę mu z rąk wydarł.

— A to kto taki?

— At! stary opój, co się przy naszym atamanie w Czechryniu wieszał i druha dobrego udawał.

— Będzie on jeszcze wisiał!—wykrzyknął Burłaj.

— Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę — mruknął Zagłoba.

— Tak go usiekli—prawił Rzędzian—że innego dawnoby już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiał, chociaż do Włodawy ledwie się dowlókł, i tamby też pewno rady sobie nie dał, żeby nie my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi górą, a samych tu po dziewczynę wysłał.

— Zgubią jego te czarnobrewy — mruknął Burłaj—a ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nie lepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi i w wodę, jak my na Czarnem morzu robili?

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim sentymencie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś roześmiał się i rzekł:

— Pewnieby tak lepiej.

— Ale wy dobre druhy!—mówił Burłaj—wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja już ciebie w Czechryniu widział, jak ty naszego sokoła pilnował i hołubił. No, tak i ja wam druh—wy mówcie, czego wam potrzeba: mołojców, czy koni? tak ja wam dam, żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

— Mołojców nam nie potrzeba, mości pułkowniku — odrzekł Zagłoba—bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej jak z małą, ale konie co najściglejsze, toby się przydały.

— Dam wam takie, że ich bachmaty hanowe nie dogonią.

W tem Rzędzian odezwał się, nie tracąc sposobnej pory:

— I hroszi mało nam daw ataman, bo sam ne maw, a za Bracławiem miara owsa talara.

— To chody ze mną do komory—rzekł Burłaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i zniknął razem ze starym pułkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z pucołowatego oblicza, i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

— No, jedźcie z Bogiem—ozwał się stary kozak—a jak dziewczynę weźmiecie, to wstąpcie do mnie, niech i ja Bohunową zazulę zobaczę.

— Nie może to być, mości pułkowniku — odrzekł śmiało pachołek—bo ta Laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Boimy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

— Poradzi; nie będzie ona mu się strachała. Laszka biłoruczka! kozak jej śmierdzi!—mruknął Burłaj.—Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Władynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże rozpościerało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią, zrzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Władynki, ku Raszkowowi, bo tylko idąc, można było trafić do jaru. Na niebie bielił się świt, gdyż uczta u Burłaja przeciągnęła się do późnej nocy, i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny zostawić noc za sobą. Tymczasem jadąc, rozmawiali, jak dotychczas służyło im we wszystkiem szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba, wspominając im ucztę Burłajową, tak mówił:

— Przypatrzcie się jeno, jak to ci kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie. Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli dyabeł im pomoże zrzucić naszą zwierzchność, gorszymi będą panami; ale w bractwie jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak, jak między naszą szlachtą.

— Gdzie tam, mój jegomość! — odparł na to Rzędzian. — Byłem ja między nimi długo i widziałem, jako się między sobą niby wilcy, zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w ryzie trzyma, wnetby się ze szczętem pozażerali. Ale ten Burłaj to jest wielki między nimi wojownik, i sam Chmielnicki jego szanuje.

— Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt, bo ci się obedrzeć pozwolił. Ej Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną śmiercią!

— Co komu pisano, mój jegomość; wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść chwalebna to jest rzecz i Bogu miła.

— To też nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

— Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić, aby też i Pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił; a że rodzicieli wspomagam, to nie grzech.

— Co za szelma na cztery nogi kuta!—wykrzyknął, zwracając się do Wołodyjowskiego, pan Zagłoba.—Myślałem, że razem ze mną i fortele moje pójdą do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. To my przez chytrość tego pachołka uwolnimy naszą kniaziównę od Bohunowej niewoli, za Bohunowem pozwoleniem i na Burłajowych koniach. Widział-że kto kiedy podobną rzecz? A na pozór trzech groszy-byś za tego pachołka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

— Albo to nam będzie źle, mój jegomość?

— Udałeś mi się, i gdyby nie twoja chciwość, tobym cię do służby wziął, ale skoroś Burłaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

— To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

— Bóg go też skarał—odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklep niebieski, chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Władynkę. Po długiej podróży byli nakoniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkradł im się do serc. Żyje-li jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajdą w jarze? Horpyna mogła ją wywieźć, lub może ją w ostatniej chwili ukryć gdzieś w nieznanych rozpadlinach, albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przezwyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozeznać, jako Bohunowych wysłańców, pełniących jego wolę—ale nuż dyabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie, nie myślał o tem bez niepokoju. W takim bowiem razie zastaliby jar pusty, albo co gorsza, kozaków z Raszkowa, ukrytych w nich na zasadzce. Serca biły im coraz mocniej, a gdy wreszcie po kilku godzinach, z wysokiej krawędzi jaru ujrzeli błyszczącą zdala wstążkę wody, pucołowata twarz Rzędziana przybladła trochę.

— To Władynka!—rzekł przyciszonym głosem.

— Już?—pytał równie cicho Zagłoba.—Jak my to już blizko...

— Oby nas tylko Bóg ustrzegł!—odparł Rzędzian.—Mój jegomość, niech-no jegomość pocznie zaklęcia, bo okrutnie się boję.

— Głupstwo zaklęcia! Przeżegnamy rzekę i czeluście — to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pistolety i podsypał nanowo, potem zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

— Mam i ja kulę święconą w tym oto pistolecie—rzekł Rzędzian.—W Imię Ojca i Syna i Ducha Swiętego! ruszajmy!

— Ruszajmy! ruszajmy!

Po niejakim czasie znaleźli się nad brzegiem rzeczki i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodyjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

— Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czeluść z kniaziówną.

— Ja pierwszy nie pojadę, róbcie waszmościowie co chcecie—rzekł Rzędzian.

— To jedź, trutniu, na ostatku.

To powiedziawszy, pan Wołodyjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu z powodnymi końmi człapał Rzędzian, oglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamieniach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcze i koniki polne, ukryte w rozpadlinach

i szparach, sykały głośno, bo dzień był znojny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali nakoniec nad wzgórze, okrągłe, jak przewrócona tarcza rycerska, na którem rozpadające się i zwietrzałe od słońca skały tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrzał i trącił pana Zagłobę.

— To Wraże Uroczyszcze! — rzekł: — poznaję z tego, co mnie Bohun powiedział. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

— Jeśli nie przejdzie, to może przejedzie — odparł Zagłoba.— Tfu! co za przeklęty kraj! Ale że przynajmniej na dobrej jesteśmy drodze!

— To już niedaleko! — rzekł Rzędzian.

— Chwała Bogu! — odpowiedział pan Zagłoba, i myśl jego uniosła sią ku kniaziównie.

Było mu jakoś dziwnie na duszy, i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, że kniaziówna mogła być tak blizko — ona, dla której tyle przygód i niebezpieczeństw przebył i którą tak pokochał, że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział, co robić z życiem i starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś przez tyle czasu zżył się z myślą, że ona porwana, daleko i w Bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: „Oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju.“ Przytem i inne pytania cisnęły mu się do głowy: „Co też ona powie, gdy go ujrzy? zali się we łzach nie rozpłynie? bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodzianie... Bóg ma swoje dziwne drogi — myślał Zagłoba — i tak potrafi wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzenie nieprawościom. Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół. Bóg to sprawił, że wojna, sroga matka, odwołała dzikiego atamana z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniósł. Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem — i tak się wszystko ułożyło, że teraz ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci, i już znikąd nie spodziewa się pomocy—pomoc tuż! Kończy się twoje płakanie, córuchno moja — myślał dalej Zagłoba — i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będzie ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!“

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa, i rozczulił się szlachcic okrutnie i pogrążył się całkiem w zamyśleniu o tem, co za chwilę się zdarzy.

Wtem Rzędzian pociągnął go za rękaw:

— Jegomość!

— A co? — spytał Zagłoba, niekontent, że mu przerwano bieg myśli.

— Czy jegomość widział? wilk pomknął przed nami.

— To i cóż?

— A czy to tylko był wilk?

— Całujże go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

— Czyśmy drogi nie zmylili! — pytał — bo to jużby powinno być!

— Nie! — odrzekł Rzędzian — tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dałby Bóg, żeby to już było po wszystkiem.

— Będzie niezadługo, jeżeli dobrze jedziemy!

— Chciałem też jeszcze waszmościów prosić, aby, jak będę gadał z czarownicą, na owego Czeremisa uważać, wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

— Nie bój się! jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila z za załamu skały rozlegnie się wycie upiora, lub wytoczy się jaki kształt szkaradny a nieznany, ale pokazało się, że konie chrapały tylko dlatego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pachołka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodyjowski wstrzymał konia.

— Widzę jar! — rzekł — do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha — szepnął Rzędzian — to tu!

— Za mną! — zakomenderował pan Michał, skręcając konia.

Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennem. Otworzył się przed nimi jar głęboki, gęsto zarosły po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną półkulistą równinkę, obwiedzioną jakby olbrzymimi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

— Bo-hun! Bo-hun! Bywaj, wiedźmo, bywaj! Bo-hun! Bo-hun.

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, poczem pachołek znów jął wołać:

— Bohun! Bohun!

Zdala doszło szczekanie psów.

— Bohun! Bohun!

Na lewym zrębie jaru, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu i dzikiej śliwiny, i po chwili ukazała się, niemal na samym szczycie stoku, jakaś postać ludzka, która, przechyliwszy się i przykrywszy oczy ręką, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

— To Horpyna! — rzekł Rzędzian — i zwinąwszy dłonie koło ust, począł po raz trzeci wołać:

— Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić i idąc wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek, z długą turecką rusznicą w ręku; krze łamały się pod potężnemi stopami wiedźmy, kamienie spadały z pod nich, hucząc, na

dno jaru, i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

— Kto wy? — rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

— Jak się masz, basetlo? — rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

— Ty, sługa Bohunów? Ty! poznaję cię! ty mały! a ci co za jedni?

— Druhy Bohunowi!

— Kraśna wiedźma — mruknął pod wąsikami pan Michał.

— A po co wy tu przyjechali?

— Masz tu piernacz, nóż i pierścień! wiesz co to znaczy?

Olbrzymka wzięła znaki do ręki i poczęła je pilnie rozpatrywać, poczem rzekła:

— Te same są! Wy po kniaziównę?

— Tak jest! A zdrowa ona?

— Zdrowa! A czemu to Bohun sam nie przyjechał?

— Bohun ranny!

— Ranny, ja to we młynie widziała.

— Jeżeliś widziała, to czego pytasz? Łżesz, waltornio! — rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kułak, szturchnęła pod bok Rzędziana.

— Ty, mały, ty!

— Pójdziesz precz!

— Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

— Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

— To bierzcie! pojadę i ja z wami!

— A ty po co?

— Memu bratu śmierć pisana. Jego Lachy na pal wsadzą, pojadę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace, niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką, i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie pistoletu.

— Czeremis, Czeremis! — rzekł, pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszów na karła.

— Po co ty jego wołasz? on ma język urznięty,

— Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz, on twój mąż!

— On mój pies!

— I was tylko dwoje w jarze?

— Dwoje, kniaziówna trzecia!

— To dobrze! Ty jego nie odjedziesz!

— Pojadę z wami, mówiłam ci!

— A ja ci mówię, że zostaniesz!

W głosie pachołka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną, bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

— Szczo ty? — rzekła.

— Ot, szczo ja! — odparł Rzędzian i huknął jej między piersi z pistoletu, tak zblizka, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanemi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nieludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak, jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czeremisa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały naprzemian, nakształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablę, a Rzędzian skoczył z konia i chwyciwszy kamień, rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsya wykrzywiła jej straszliwie twarz, na wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głuche chrapanie.

Tymczasem pachołek dobył z zanadrza kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

— Teraz nie wstanie!

Potem wskoczył na kulbakę.

— W konie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Pomknęli i biegli jak wicher wzdłuż krynicy, biegnącej środkiem jaru; minęli dęby rozrzucone zrzadka po drodze, i oczom ich ukazała się chatka, dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszczało, jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne, ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węgłach, rwały się ku nadjeżdżającym, szczekając ze wściekłością i wyjąc. Pan Wołodyjowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych, kopnął je nogą i wpadł do sieni, brzęcząc szablą.

W sieni na prawo, przez otwarte drzwi, widać było obszerną izbę, pełną wiórów, z ogniskiem ułożonem w środku, napełnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte.

— Tam ona musi być! — pomyślał pan Wołodyjowski, i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył — wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecy i ramiona włosem, a przerażone jej oczy, utkwione w Wołodyjowskiego, pytały: „Kto ty jesteś? czego tu chcesz?“— bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza. On znów zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty, pokrytej aksamitami i złotogłowiem. Nakoniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

— Nie bój się waćpanna, my Skrzetuskiego przyjaciele.

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana:

— Ratujcie mnie! — wołała, składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba, trzęsący się, czerwony, zdyszany.

— To my! — krzyczał — to my, z pomocą!

Usłyszawszy te słowa i ujrzawszy znajomą twarz, kniaziówna przechyliła się jak kwiat podcięty, ręce jej opadły, oczy pokryły się frendzlistemi zasłonami i zemdlała.

ROZDZIAŁ XXIII.

Zaledwie dawszy koniom wypocząć, uciekali tak śpiesznie, że gdy księżyc wytoczył się na step, byli już w okolicach Studenki za Władynką. Naprzód jechał pan Wołodyjowski, pilnie się na wszystkie strony rozglądając, za nim Zagłoba obok Heleny, a pochód zamykał Rzędzian, prowadzący konie juczne i dwa powodowe, których ze stajni Horpyny zabrać nieomieszkał. Zagłobie nie zamykały się usta, bo też istotnie miał co opowiadać kniaziównie, która zamknięta w Dzikim Jarze o świecie nie wiedziała. Opowiadał jej więc, jak jej od początku szukali, jak Skrzetuski aż do Perejasławia chodził szukać Bohuna, o którego posiekaniu nie wiedział, jak wreszcie Rzędzian tajemnicę jej ukrycia od atamana wydostał i do Zbaraża przywiózł.

— Boże miłosierny—mówiła Helena, podnosząc ku księżycowi swoją śliczną, bledziuchną twarz — to pan Skrzetuski aż za Dniepr po mnie chodził?

— Do Perejasławia, jak ci to powtarzam. I pewnie byłby tu razem z nami przybył, gdyby nie to, żeśmy czasu posyłać po niego nie mieli, chcąc zaraz iść ci z pomocą. Nic on jeszcze nie wie o twojem ocaleniu i za duszę twoją codzień się modli — ale już go nie żałuj. Niechże się jeszcze jakiś czas pomartwi, gdy taka czeka go nagroda.

— A ja myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli, i jeno o śmierć Boga prosiłam.

— Nietylkośmy o tobie nie zapomnieli, aleśmy przez wszystek czas nad tem tylko deliberowali, jakby to ci przyjść z pomocą. Aż dziw pomyśleć, bo że tam ja głowę suszyłem i Skrzetuski, to i słuszna, ale oto ten rycerz, który przed nami jedzie, z równąż ochotą nie szczędził ni pracy, ni ręki.

— Niechże jemu Bóg to nagrodzi.

— Już wy to oboje widać macie, że ludzie do was lgną, ale Wołodyjowskiemu naprawdę wdzięczność winnaś, bo jakom rzekł, takeśmy we dwóch spłatali Bohuna, jak szczupaka.

— Wiele mnie pan Skrzetuski jeszcze w Rozłogach o panu Wołodyjowskim, jako o najlepszym swym przyjacielu, powiadał...

— I słusznie uczynił. Wielka to jest dusza w małem ciele. Teraz on jakoś zgłupiał, bo go widać twoja gładkość odurzyła, ale poczekaj, niech się jeno oswoi i przyjdzie do siebie! Siłaśmy z nim na elekcyi dokazywali.

— To jest nowy król?

— I tegoś, niebogo, nie wiedziała w owej przeklętej pustyni? Jakto! Jan Kazimierz, jeszcze zeszłej jesieni obran, już ósmy miesiąc panuje. Wielka teraz będzie z hultajstwem wojna, ale daj Boże, żeby szczęśliwa, gdy księcia Jeremiego spostponowali a obrali innych, którzy do tego zdatni, jako do żeniaczki.

— A pan Skrzetuski pójdzie na wojnę?

— Szczery to żołnierz, i nie wiem, czy tego dokażesz, żeby nie poszedł. Już my to obaj jednacy! Kiedy to proch nas zaleci, żadna siła nas nie utrzyma. Oj! daliśmy się hultajom obaj zeszłego roku dobrze we znaki! Nocyby nie starczyło, gdybym ci chciał wszystko, tak właśnie jak było, opowiadać. Pewnie że pójdziemy, ale już z lekkiem sercem, bo to grunt, żeśmy ciebie, niebożę, odnaleźli, bez której nam się życie przykrzyło.

Kniaziówna pochyliła swoją słodką twarz ku Zagłobie.

— Nie wiem, za coś mnie waćpan pokochał, ale już pewnie nie kochasz mnie więcej, niż ja waćpana.

Zagłoba począł sapać z zadowolenia.

— Tak mnie to miłujesz?

— O, jako żywo!

— Bóg-że ci zapłać, bo mi będzie starość lżejsza. Nieraz się tam jeszcze podwiki za człowiekiem oglądają, co i w Warszawie w czasie elekcyi bywało. Wołodyjowski świadek! Ale nic mi już po amorach, i naprzekór krwi gorącej chętnie ojcowskim sentymentem będę się kontentował.

Nastało milczenie, jeno konie poczęły parskać silnie jeden za drugim, na pomyślną dla podróżnych wróżbę.

— Zdrów! zdrów!—odpowiadali jeźdźcy.

Noc była jasna. Księżyc coraz wyżej wypływał na niebo, nabite migotliwemi gwiazdami, i stawał się coraz mniejszy, bledszy. Utrudzone bachmaty zwolniły kroku, a jadących poczęło ogarniać znużenie. Wołodyjowski pierwszy wstrzymał konia.

— Czasby spocząć—rzekł.—Brzask już niezadługo.

— Czas!—powtórzył Zagłoba.—Już mi się ze snu zdaje, że mój koń ma dwa łby.

Jednakże przed odpoczynkiem, Rzędzian pomyślał o wieczerzy; rozpalił więc ogień, a następnie zdjąwszy z konia biesagi, począł z nich wydobywać zapasy, w które się był u Burłaja w Jampolu jeszcze zaopatrzył, jako to: chleb z kukurydzy, zimne mięsiwa, bakalie i wino włoskie. Na widok dwóch worków skórzanych, dobrze płynem wydętych, ktore wydawały odgłos bełkocący i słodki, pan Zagłoba zapomniał o śnie—inni też chętnie zabrali się do je-

dzenia i jedli. Starczyło dla wszystkich obficie, a gdy mieli już dosyć, pan Zagłoba otarł połą usta i rzekł:

— Do śmierci nie przestanę powtarzać: dziwne są sądy Boże! Otoś jest wolna, moja mościa panno, a my ucieszeni siedzim sobie tutaj sub Jove i winko Burłaja popijamy. Nie powiem, żeby węgrzyn nie był lepszy, bo to skórą pachnie, ale w drodze i ono się przygodzi.

— Jednemu się nie mogę wydziwić—rzekła Helena—że Horpyna zgodziła się mnie wydać waćpanom tak łatwo.

Pan Zagłoba począł spoglądać na Wołodyjowskiego, następnie na Rzędziana i mrugać mocno.

— Zgodziła się, bo musiała. Zresztą, nie ma co ukrywać, bo nie wstyd, żeśmy ich oboje z Czeremisem zgładzili.

— Jak to?—pytała z przestrachem kniaziówna?

— A toś nie słyszała wystrzałów?

— Słyszałam, alem myślała, że to Czeremis strzela.

— Nie Czeremis to był, ale ten tu pachołek, który na wylot czarownicę przestrzelił. Dyabeł w nim siedzi, na to zgoda, ale nie mógł inaczej postąpić, bo czarownica, nie wiem, czy wiedząc coś, czy tak sobie z determinacyi, naparła się jechać z nami. Trudnoż było na to pozwolić, bo zarazby się obejrzała, że nie do Kijowa jedziemy. Ustrzelił ci ją tedy, ustrzelił, a ja tego Czeremisa zaciukałem. Prawdziwe to monstrum afrykańskie, i myślę, że Bóg mi tego za złe nie poczyta. Musi być i w piekle z niego powszechna abominacya. Przed samym odjazdem z jaru, pojechałem naprzód i poodciągałem ich trochę na stronę, żebyś się widoku trupów nie przelękła, lub za zły omen sobie tego nie poczytała.

Na to kniaziówna:

— Za wielu ja już, bliższych sobie, nieżywymi w tych okropnych czasach widziałam, abym się miała bać widoku zamordowanych, ale przecie wolałabym krwi za sobą nie zostawiać, żeby nas Bóg za nią nie pokarał.

— Nie rycerska też to była sprawa — rzekł szorstko Wołodyjowski—do której nie chciałem ręki przyłożyć.

— Co tam, mój jegomość, deliberować—rzekł Rzędzian— kiedy inaczej być nie mogło. Żebyśmy to kogo dobrego starli, to jeszcze nie mówię, ale nieprzyjaciół Boga wolno, a ja to przecie sam widział, że ta czarownica z dyabłami w komitywę wchodziła. Nie tego mnie też żal!

— A czegoż to imć pan Rzędzian żałuje? — pytała kniaziówna.

— Bo tam są zakopane pieniądze, o których mi Bohun powiedział, a waszmościowie tak pilili, że nie starczyło czasu odkopać, choć miejsce koło młyna wiedziałem dobrze. Serce też mi się krajało, że trzeba było tyle dobroci wszelakiej w tamtej komnacie, co to w niej panna mieszkała, ostawić.

— Obacz-no, jakiego będziesz miała sługę!—mówił do kniaziówny Zagłoba. — Z wyjątkiem swego pana, z samego onby dyabła skórę zdarł, żeby sobie kołnierz z niej uczynić.

— Da Bóg, nie będzie imć pan Rzędzian na moją niewdzięczność narzekał—odpowiedziała Helena.

— Dziękuję pokornie jejmość pannie!—rzekł, całując ją w rękę pachołek.

Przez ten czas Wołodyjowski siedział milczący, jeno wino z kubłaka popijał i marsem nadrabiał, aż to niezwykłe mu milczenie zwróciło uwagę Zagłoby.

— A pan Michał — rzekł — ledwie kiedy jakie słowo puści. (Tu stary zwrócił się do kniaziówny). Nie mówiłżem ci, że mu twoja gładkość rozum i mowę odejmuje?

— Przespałbyś się waćpan lepiej przededniem!— odparł zmieszany rycerz i począł wąsikami mocno ruszać, tak właśnie, jak zając, gdy sobie chce dodać fantazyi.

Ale stary szlachcic miał słuszność. Nadzwyczajna piękność kniaziówny trzymała małego rycerza jakoby w ciągłem odurzeniu. Patrzał na nią, patrzał, a w duchu się pytał: zali to może być, by taka po ziemi chodziła? Wiele on bowiem piękności w życiu widział: piękne były panna Anna i panna Barbara Zbaraskie, urodziwa nad podziw i Anusia Borzobohata, rzęsista była i panna Żukówna, do której się Rostworowski zaleca, i Wierszułowa Skoropadzka, i Bohowitynianka, ale żadna z nich nie mogła się równać z tym cudnym kwiatem stepowym. W obec tamtych bywał pan Wołodyjowski i ochoczy, i mowny, a teraz, gdy spoglądał na te oczy aksamitne, słodkie a mdlejące, na te jedwabne ich zasłony, których cień padał aż na jagody, na ten włos rozsypany, jakby kwiat hyacyntowy, po ramionach i plecach—na strzelistość postaci, na pierś wypukłą i tchnieniem lekko kołysaną, od której biło ciepło lube, na te wszystkie białości liliowe i róże, a maliny ust — gdy na to wszystko spoglądał pan Wołodyjowski, wówczas po prostu języka w gębie zapominał i, co najgorsza, że się sobie wydawał niezgrabny, głupi, a zwłaszcza mały, ale to tak mały, że aż śmieszny. „To jest księżna, a ja żaczek!“—myślał sobie z pewną goryczą i radby był, żeby się jaka przygoda zdarzyła, żeby z ciemności ukazał się jaki olbrzym, bo dopiero wówczas pokazałby biedny pan Michał, że nie taki on mały, jak się wydaje. Drażniło go i to, że pan Zagłoba, kontent widocznie, że córuchna jego tak oczy ludzkie rwie, chrząkał co chwila i już podrwiwać zaczynał i oczyma okrutnie mrugał.

A tymczasem ona siedziała przed ogniskiem, różowym płomieniem i białym miesiącem oświetlona, słodka, spokojna i coraz piękniejsza.

— Przyznaj, panie Michale — mówił nazajutrz rano Zagłoba, gdy się na chwilę sami znaleźli—że drugiej takiej dziewki niemasz w całej Rzeczypospolitej. Jeżeli mi taką drugą pokażesz, pozwolę ci się nazwać szołdrą i imparitatem sobie zadać.

— Tego ja waćpanu nie neguję—odrzekł mały rycerz.—Specyał tc jest i rarytet, jakiego dotychczas nie oglądałem, gdyż nawet i owe figury bogiń, tak właśnie z marmuru udane, jakoby żywe, któreśmy w pałacu Kazanowskich widzieli, nie mogą wejść

z nią w paragon. Nie dziwno mi teraz, że najlepsi mężowie za łby o nią chodzą—bo warto.

— A co? a co?—mówił Zagłoba. — Dalibóg niewiadomo, kiedy gładsza: rano czy wieczorem? bo ona ciągle w takowej ozdobie jak róża chodzi. Powiadałem ci, że to i ja niegdyś nadzwyczajnej byłem urody—ale już jej musiałbym i wówczas ustąpić, choć inni mówią, że do mnie kubek w kubek podobna.

— Idź-że waszmość do licha!—zakrzyknął mały rycerz.

— Nie gniewaj się, panie Michale, bo już i tak marsem nadrabiasz. Spoglądasz na nią, jak kozieł na kapustę, a ciągle się marszczysz: przysiągłby kto, że cię żądze kąsają—ale nie dla psa kiełbasa.

— Tfu!—rzekł Wołodyjowski—jak się waćpan nie wstydzisz, starym będąc, takowe głupstwa prawić?

— A to czego się chmurzysz?

— Bo waćpan to myślisz że już wszystko złe przeminęło, jako ptak na powietrzu, i że my już całkiem bezpieczni, a tu dobrze trzeba jeszcze deliberować, żeby to jednego uniknąć, to drugie ominąć. Droga jeszcze przed nami okrutna, i Bóg wie co nas spotkać może, bo te strony, do których jedziemy, muszą już być dotychczas w ogniu.

— Kiedy ja ją z Rozłogów Bohunowi wykradłem, gorzej było, bo nas ścigali z tyłu, a z przodu był bunt; jednakże przeszedłem przez całą Ukrainę, jakoby przez płomień—i aż do Baru zaszedłem. A od czego głowa na karku? W najgorszym razie, do Kamieńca nie tak daleko.

— Ba, ale Turkom i Tatarom także do niego niedaleko.

— Co mnie waćpan tam powiesz!

— Powiadam co jest i mówię, że warto nad tem podeliberować. Lepiej nam Kamieniec ominąć i ku Barowi ruszyć, bo kozacy piernacze szanują, z czernią sobie poradzimy, a jak nas jeden Tatar raz na oko weźmie, tak i po wszystkiem! Znam ja się z nimi oddawna i potrafię przed czambułem iść razem z ptactwem i z wilkami, ale gdybyśmy prosto na czambuł wpadli, tedybym i ja już na to nie poradził.

— To idźmy na Bar, albo koło Baru; niech tam tych kamienieckich Lipków i Czeremisów dżuma w karwaserach wydusi. Waćpan o tem nie wiesz, że Rzędzian wziął od Burłaja piernacz! Możemy wszędy między kozactwem śpiewający chodzić. Co najgorsze pustynie jużeśmy przejechali, wejdziemy teraz w ludzki kraj. Trzeba tam i o tem pomyśleć, żeby się o wieczornym udoju w futorach zatrzymywać, bo dla dziewki to przystojniej i wygodniej. Ale już mi się zdaje tak, panie Michale, że za czarno rzeczy widzisz. Co u dytka! żeby zaś trzech chłopów—nie pochlebiając sobie, ani wam—na schwał przednich—nie dało sobie rady w stepie. Połączmy nasze fortele z twoją szablą—i hajda! nic lepszego nie mamy do roboty. Rzędzian ma i Burłajowy piernacz, a to grunt, bo Burłaj teraz całem Podolem rządzi, a byle się na Bar przedostać, to tam już Lanc-

koroński z kwarcianemi chorągwiami. Hajda! panie Michale, czasu nie traćmy!

Jakoż i nie tracili czasu i rwali stepem ku północy i zachodowi, ile tylko konie mogły nadążyć. Na wysokości Mohylowa weszli w kraj więcej osiadły, tak, że wieczorami wszędy nietrudno było znaleźć futory lub wsie, w których zatrzymywali się na noclegi, ale rumiane zorze ranne zastawały ich zawsze już na koniach i w drodze. Szczęściem, lato było suche, dni znojne, noce rosiste, a rankiem srebrzył się cały step, jakoby szronem okryty. Wody wiatr wysuszył, rzeki poopadały — i przebywali je bez trudności. Idąc czas jakiś wzdłuż i w górę Lozowej, zatrzymali się na dłuższy nieco wypoczynek w Szarogrodzie, w którym stał pułk kozacki, do komendy Burłaja należący. Tam zastali wysłańców Burłajowych, a między nimi setnika Kunę, którego w Jampolu, na uczcie u Burłaja widzieli. Ten zdziwił się trochę, że nie idą na Bracław, Rajgród i Skwirę do Kijowa, ale zresztą żadne podejrzenie nie postało mu w umyśle, zwłaszcza iż Zagłoba wytłumaczył mu, że nie poszli tamtą drogą z obawy Tatarów, którzy się od strony Dniepru mieli ruszyć. Mówił im natomiast Kuna, że Burłaj wysłał go do pułku, by pochód zapowiedział, i że sam ze wszystkiemi wojskami jampolskiemi i budziackiemi Tatary lada chwila do Szarogrodu także ściągnie, skąd dalej zaraz ruszą.

Przyszli gońce do Burłaja od Chmielnickiego z wieścią, że wojna rozpoczęta, i rozkazami, aby wszystkie pułki na Wołyń prowadził—Burłaj zaś zdawna już i sam chciał pod Bar walić, i tylko się jeszcze na tatarskie posiłki oglądał, pod Barem bowiem źle jakoś zaczęło się powodzić rebelii. Oto pan Lanckoroński, regimentarz, mocno tam znaczne kupy pogromił, miasto zdobył i zamek załogą obsadził. Legło tam na placu kilka tysięcy kozactwa, i ich to właśnie chciał stary Burłaj pomścić, a przynajmniej zamek napowrót odebrać. Kuna jednak powiadał, że ostatnie rozkazy Chmielnickiego, aby na Wołyń iść, przeszkodziły tym zamiarom, i że Baru nie będą teraz oblegali, chybaby Tatarowie koniecznie chcieli.

— A co, panie Michale—mówił na drugi dzień Zagłoba.—Bar przed nami i mógłbym tam po raz drugi kniaziównę schronić, ale niech go tam kaduk zje! Nie wierzę już ani Barowi, ani żadnej fortecy, od czasu, jak hultajstwo ma więcej armat, niż wojska koronne. To mnie jednak niepokoi, że jakoś chmurzy się koło nas.

— Nietylko się chmurzy — odrzekł rycerz — ale już burza za nami wali, to jest Tatary i Burłaj, który gdyby nas dogonił, wielce byłby zdziwiony, iż nie ku Kijowu, ale w przeciwną stronę zdążamy

— I gotów nam inną drogę pokazać. Niechże mu dyabeł wpierw pokaże, który szlak najprościej do piekła prowadzi! Zróbmy układ, panie Michale: z hultajstwem już ja będę sobie za was wszystkich radził, ale z Tatary—niech będzie twoja głowa.

— Łatwiejże waćpanu z hultajami, którzy nas za swoich biorą— odpowiedział Wołodyjowski. — Co do Tatarów, jedyna teraz rada jaknajprędzej uciekać, aby się z matni, póki czas, wyśliznąć. Konie

dobre, gdzie się zdarzy, musimy po drodze kupować, aby zawsze były świeże.

— Starczy i na to trzosik pana Longina, a jak nie starczy, to Rzędzianowi Burłajowy odbierzemy, a teraz naprzód!

I jechali jeszcze śpieszniej, aż piana okrywała boki bachmatów i spadała jak płaty śniegowe na step zielony. Przebyli Derłę i Ladawę. W Barku zakupił pan Wołodyjowski nowe bachmaty, starych nie rzucając, bo te, które od Burłaja mieli w darze, wielkiej były krwi, więc zachowano je na luźne—i szli naprzód, coraz krótsze czyniąc przystanki i noclegi. Zdrowie dopisywało wszystkim wybornie, i Helena, choć zmęczona podróżą, czuła, że jej z dniem każdym coraz więcej sił przybywa. W jarze pędziła życie zamknięte i prawie nie opuszczała swej wyzłoconej komnaty, nie chcąc spotykać się z bezwstydną Horpyną i słuchać jej rozmów i namów—teraz zaś świeże powietrze stepowe wracało jej zdrowie. Róże zakwitły na jej policzkach, słońce przyciemniło jej twarz, ale zato oczy nabrały blasków—i gdy czasem wiatr zwichrzył jej włosy na czole, rzekłbyś: Cyganka jaka, najcudniejsza worożycha, albo cygańska królewna jedzie stepem szerokim—przed nią kwiaty, a za nią rycerze.

Pan Wołodyjowski zwolna się z jej nadzwyczajną urodą oswajał, ale że zbliżała ich podróż, więc się nakoniec oswoił. Odzyskał wówczas mowę i wesołość, i często tocząc przy niej koniem, opowiadał o Łubniach, a najwięcej o swojej ze Skrzetuskim przyjaźni, bo zauważył, że tego rada słucha; czasem też się i drażnił z nią, mówiąc:

— Bohunam przyjaciel i do niego waćpannę wiozę.

A ona ręce składała, niby z wielkiego strachu, i nuż się słodkim głosem prosić:

— Nie czyń-że tego, luby rycerzu, lepiej odrazu mnie zetnij.

— O, nie może być! już tak uczynię!—odpowiadał srogi rycerz.

— Zetnij! — powtarzała kniaziówna, mrużąc swe śliczne oczy i wyciągając ku niemu szyję.

Wówczas mrówki poczynały chodzić po krzyżach małemu rycerzowi. „Idzie do głowy ta dziewka, jak wino!—myślał sobie—ale się niem nie upiję, bo cudze“—i wstrząsał się tylko poczciwy pan Michał i koniem naprzód ruszał. A gdy już w trawy jak nurek w wodę pornął, zaraz mrówki z niego opadły i całą uwagę na drogę zwracał: czy bezpieczna, czy dobrze jadą i czyli skąd jaka przygoda się nie zbliża. Więc wspinał się na strzemionach, żółte wąsiki na falę traw wytykał i patrzał, wietrzył, słuchał, jak Tatar, kiedy to w Dzikich Polach wśród burzanów myszkuje.

Pan Zagłoba również był najlepszej myśli.

— Łatwiej-że nam teraz umykać—mówił—niż wtedy nad Kahamlikiem, kiedyśmy to musieli, jak psi, piechotą z wywieszonymi językami drałować. Ozór mi w gębie tak wtedy wysechł, że mógłbym był nim drzewo strugać, a ninie, chwalić Boga, i odpocznienie na noc bywa, i jest czem gardło kiedy niekiedy odwilżyć.

— A pamiętasz waszmość, jakeś to mnie na ręku przez wodę przenosił?—mówiła Helena.

— Będziesz i ty miała, daj Boże doczekać, kogo na ręku nosić! Skrzetuskiego w tem głowa.

— Hu! hu!—śmiał się Rzędzian.

— Zaniechaj waść, — proszę — szeptała kniaziówna, płonąc i spuszczając oczy.

Tak to oni z sobą na stepie rozmawiali, aby czas drogi skrócić. Nakoniec za Barkiem i Jołtuszkowem, wstąpili w kraj zębami wojny świeżo poszarpany. Tam grasowały dotychczas kupy zbrojne hultajstwa, tam też niedawno i pan Lanckoroński palił i ścinał, bo dopiero przed kilkunastu dniami do Zbaraża się cofnął. Dowiedzieli się też nasi podróżni od miejscowych ludzi, że Chmielnicki z chanem ruszyli wszystkiemi siłami przeciw Lachom, a raczej przeciw regimentarzom, których wojska się buntują i nie chcą inaczej służyć, tylko pod buławą Wiśniowieckiego. Przepowiadano przytem ogólnie, że teraz pewno już przyjdzie na pohybel, czyli na ostateczny koniec Lachom albo kozakom, gdy się bat'ko Chmielnicki z Jaremą spotkają. Tymczasem cały kraj był jakoby w ogniu. Wszystko porywało za broń i ciągnęło na północ, by się z Chmielnickim połączyć. Z dołu, od Niżu Dniestrowego, walił Burłaj z całą potęgą, a po drodze zrywały się wszystkie pułki z załóg, postojów i z pastwisk, bo wszędy przyszły rozkazy. Szły tedy sotnie, chorągwie, pułki, a obok nich płynęła, jak fala, bezładna czerń, zbrojna w cepy, widły, noże, spisy. Koniuchowie i czabańczycy porzucili swoje kosze, futornicy futory, pasiecznicy pasieki, dzicy rybacy swoje komysze naddniestrzańskie, myśliwi bory. Wsie, miasteczka i miasta pustoszały. W trzech województwach zostały tylko po osadach baby i dzieci, bo mołodycie nawet ciągnęły z mołojcami na Lachów. A jednocześnie ze wschodu zbliżał się z całą główną siłą Chmielnicki, jak burza złowroga, krusząc po drodze potężną ręką zamki i zameczki i mordując niedobitków z zeszłych pogromów.

Minąwszy Bar, pełen smutnych dla kniaziówny wspomnień, weszli nasi podróżni na stary gościniec, prowadzący na Latyczów, Płoskirów, do Tarnopola i dalej, aż do Lwowa. Tu coraz częściej napotykali: to tabory sforne wozów, to oddziały piechoty i jazdy kozackiej, to watahy chłopskie, to niezmierne stada wołów, okryte obłokiem kurzawy, pędzone na śpiżę dla wojsk kozackich i tatarskich. Droga stała się teraz niebezpieczna, bo razwraz pytano ich: co zacz są, skąd idą i dokąd jadą? Kozackim sotniom pokazywał wówczas Zagłoba piernacz Burłajowy i mówił:

— Od Burłaja my posłańcy, mołodycię Bohunowi wieziem.

I na widok piernacza groźnego pułkownika, rozstępowali się zwykle kozacy, tem bardziej, iż każdy rozumiał, że jeśli Bohun żyw, to się już musi pod wojskami regimentarzy koło Zbaraża lub Konstantynowa uwijać. Ale daleko trudniej było podróżnym z czernią, z dzikimi oddziałami pasterzy ciemnych, pijanych i żadnego prawie niemających pojęcia o oznakach, wydawanych przez pułkowników na bezpieczny przejazd. Gdyby nie Helena, byliby owi pół-

dzicy ludzie poczytywali Zagłobę, Wołodyjowskiego i Rzędziana za swoich i za starszych, jakoż nawet tak i bywało, ale Helena zwracała wszędzie uwagę zarówno swoją płcią, jak i nadzwyczajną urodą, a stąd rodziły się niebezpieczeństwa, które z największym trudem trzeba było przezwyciężyć.

Czasem więc pokazywał pan Zagłoba piernacz, a czasem pan Wołodyjowski zęby, i niejeden tam trup padał za nimi. Kilka razy tylko niedościgione bieguny Burłajowe uchroniły ich od zbyt ciężkiej przygody — i podróż, tak pomyślna z początku, stawała się z dniem każdym cięższą. Helena, lubo z natury mężna, poczęła od ustawicznej trwogi i bezsenności na zdrowiu szwankować i naprawdę wyglądała na brankę, wleczoną mimowoli w nieprzyjacielskie namioty; pan Zagłoba pocił się srodze i coraz nowe wymyślał fortele, które mały rycerz zaraz w bieg wprowadzał, obaj zaś pocieszali kniaziównę jak mogli.

— Tylko nam minąć to mrowie, które jest jeszcze przed nami— mówił mały rycerz—i przyjść pod Zbaraż, nim Chmielnicki z Tatary okolice jego zaleje.

Dowiedział się bowiem po drodze, że regimentarze ściągnęli do Zbaraża i że w nim zamierzają się bronić—tam więc zdążali, spodziewając się słusznie, że i książę Jeremi do regimentarzy ze swoją dywizyą przybędzie, zwłaszcza, że część jego sił, i to znaczna, stale w Zbarażu miała locum. Tymczasem doszli aż pod Płoskirów. Mrowie rzedło na gościńcu istotnie, bo już o dziesięć mil drogi zaczynał się kraj, zajęty przez chorągwie koronne, więc watahy kozackie nie śmiały zapuszczać się dalej, wolały bowiem czekać w bezpiecznem oddaleniu na przybycie Burłaja z jednej, a Chmielnickiego z drugiej strony.

— Już dziesięć mil tylko! już dziesięć mil tylko! — powtarzał, zacierając ręce, pan Zagłoba. — Byleśmy się do pierwszej chorągwi dostali, to już i do Zbaraża dojdziemy w bezpieczności.

Pan Wołodyjowski jednak postanowił zaopatrzyć się w świeże konie w Płoskirowie, bo te, które kupiono w Barku, były już do niczego, a Burłajowych trzeba było na czarną godzinę oszczędzać. Ostrożność stała się konieczną, kiedy rozeszła się wieść, że Chmielnicki już pod Konstantynowem, a chan ze wszystkiemi ordami wali od Piławiec.

— My tu z kniaziówną zostaniem pod miastem, bo lepiej się nam na rynku nie pokazywać — rzekł mały rycerz do Zagłoby, gdy przyszli do opuszczonego domku, odległego o dwa staja drogi od miasta — a waszeć idź, popytaj u mieszczan, czyli koni na przedaż, albo na zamianę nie mają. Wieczór już, ale ruszymy na całą noc.

— Niezadługo wrócę — rzekł pan Zagłoba.

I odjechał ku miastu, Wołodyjowski zaś kazał Rzędzianowi porozluźniać nieco popręgów u kulbak, ażeby bachmaty mogły odetchnąć, sam zaś wprowadził kniaziównę do izby, prosząc, aby się winem i snem pokrzepiła.

— Chciałbym do świtania te dziesięć mil ujechać — mówił jej — później wszyscy wypoczniemy.

Zaledwie jednak przyniósł bukłaki z winem i żywność, gdy zatętniało przed sienią.

Mały rycerz spojrzał przez okno.

— Pan Zagłoba już wrócił — rzekł — widno koni nie znalazł.

W tej chwili drzwi izby roztwarły się i ukazał się w nich Zagłoba blady, siny, spotniały, zadyszany.

— W konie! — zakrzyknął.

Pan Michał był doświadczonym żołnierzem i w takich razach na pytania czasu nie tracił. Nie tracił go nawet na ratowanie bukłaka z winem (który wszelako pan Zagłoba porwał), ale chwycił co prędzej kniaziównę, wyprowadził ją na podwórze i posadził na kulbakę; rzucił ostatnie spojrzenie, czy popręgi dociągnięte i powtórzył:

— W konie!

Kopyta zatętniały i wkrótce znikli w ciemnościach jeźdźcy i bachmaty, jak orszak mar.

Lecieli długo i bez wypoczynku, aż dopiero gdy blizko mila dzieliła ich od Płoskirowa i przed wejściem księżyca pomroka stała się tak gruba, że wszelki pościg stał się niemożebny, pan Wołodyjowski zbliżył się do Zagłoby i spytał:

— Co to było?

— Czekaj... panie Michale, czekaj. Okrutniem się zdyszał, mało mi nóg nie odjęło — uf!

— Ale co to było?

— Dyabeł we własnej osobie, mówię ci, dyabeł, albo smok, któremu jedną głowę utniesz, druga odrasta.

— Gadaj-że waść wyraźnie.

— Bohuna na rynku widziałem.

— Chyba waść masz delirium?

— Na rynku go widziałem, jako żywo, a przy nim pięciu, czy sześciu ludzi; policzyć nie mogłem, bo mało mi nóg nie odjęło... Pochodnie przy nim trzymali... Już tak myślę, że nam chyba bies jaki w drodze staje, i zgola nadzieję w szczęśliwy skutek naszej imprezy straciłem. Czy on nieśmiertelny, ten piekielnik, czy co? Nie mówże o nim Helenie... O dla Boga! waćpan go usiekłeś, Rzędzian go wydał — nie! on już żyw, wolny i w drogę lezie! Uf! o Boże! Boże! mówię ci, panie Michale, że wolałbym spectrum na cmentarzu zobaczyć, niż jego. I co u dyabła za moje szczęście, że to ja go właśnie wszędy pierwszy spotykam! Psu wsadzić w gardło takie szczęście. Czy to niema innych ludzi na świecie? niech go inni spotykają! Nie! — zawsze ja i ja!

— A on widział waści?

— Gdyby on mnie widział, tobyś ty już mnie, panie Michale, nie widział. Tego tylko brakowało!

— Ważnaby to była rzecz wiedzieć—mówił Wołodyjowski— czy on goni za nami, czy też do Waładynki, do Horpyny, jedzie w tem mniemaniu, że nas po drodze ułapi?

— Mnie się widzi, że do Waładynki.

— Tak i musi być. Tedy my jedziemy w jedną stronę, a on w drugą, i teraz mila już, albo dwie, między nami, a za godzinę będzie pięć. Nim się po drodze o nas dowie i nawróci, będziemy w Żółkwi, nietylko w Zbarażu.

— Tak mówisz, panie Michale? Chwała Bogu! jakobyś mi plaster przyłożył. Ale powiedz mnie, jak to być może, by on był na wolności, skoro jego Rzędzian w ręce komendanta włodawskiego wydał?

— Poprostu uciekł.

— To już szyję takiemu komendantowi uciąć. Rzędzian! hej, Rzędzian!

— A czego jegomość chce? — pytał pachołek, wstrzymując konia.

— Komuś ty Bohuna wydał?

— Panu Rogowskiemu.

— A któż to ten pan Rogowski?

— To wielki kawaler, porucznik pancerny z pod chorągwi króla jegomości.

— Bodaj-że cię! — rzekł, trzasnąwszy w palce Wołodyjowski— to już ja wiem! Nie pamiętasz-no waćpan, co nam pan Longinus opowiadał o nieprzyjaźni pana Skrzetuskiego z Rogowskim? To przecie pana Łaszcza, strażnika, krewniak i za jego konfuzyę ma do Skrzetuskiego odium.

— Rozumiem, rozumiem! — zakrzyknął pan Zagłoba. — On to pewnie Bohuna na złość puścił. Ale to kryminał taka sprawa i gardłem pachnie. Pierwszy będę delatorem!

— Daj go Boże spotkać — mruknął pan Michał,— a pewnie do trybunałów nie pójdziemy.

Rzędzian nie wiedział dotąd o co idzie, bo po odpowiedzi danej Zagłobie, znów wysunął się naprzód do kniaziówny.

Jechali teraz wolno. Księżyc zeszedł; mgły, które z wieczora unosiły się nad ziemią, opadły — i noc zrobiła się widna. Wołodyjowski pogrążył się w zamyśleniu, Zagłoba przeżuwał jeszcze czas jakiś resztki przerażenia, nakoniec rzekł:

— Dałżeby Bohun teraz i Rzędzianowi, gdyby go w ręce dostał!

— Powiedz mu waćpan nowinę, niech się strachu naje, a ja tymczasem pojadę przy kniaziównie — odpowiedział mały rycerz.

— Dobrze! Hej, Rzędzian!

— A czego? — pytał pachołek, wstrzymując ponownie konie.

Pan Zagłoba zrównał się z nim i milczał przez chwilę, czekając, by Wołodyjowski i kniaziówna oddalili się dostatecznie, nakoniec rzekł:

— Wiesz co się stało?

— Nie wiem.

— Pan Rogowski puścił Bohuna na wolność. Widziałem go w Płoskirowie.

— W Płoskirowie? teraz? — pytał Rzędzian.

— Teraz. A co, nie zlatujesz z kulbaki?

Promienie księżyca padały prosto na pucołowatą twarz pachoła, i pan Zagłoba nie dojrzał na niej przerażenia, ale z największem zdziwieniem spostrzegł ów wyraz srogiej, zwierzęcej prawie zawziętości, którą Rzędzian miał wówczas, gdy Horpynę mordował.

— Cóż, ty się Bohuna nie boisz, czy co?—pytał stary szlachcic.

— Mój jegomość — odparł pachołek,— jeżeli jego pan Rogowski puścił, to już ja sam muszę nanowo pomsty nad nim szukać za moją krzywdę i pohańbienie. Przecie mu tego nie daruję, bom przysiągł — i gdyby nie to, że pannę odwozimy, zarazbym w jego tropy pojechał... niechże moje nie przepada!

— Tfu! — pomyślał Zagłoba — wolę, żem temu pachołkowi nijakiej krzywdy nie uczynił.

Potem popędził konia i po chwili zrównał się z kniaziówną i Wołodyjowskim. Po godzinie drogi przeprawili się przez Medwedówkę i wjechali w las, ciągnący się od samego brzegu rzeki dwiema czarnemi ścianami wzdłuż drogi.

— Już tę okolicę znam dobrze — rzekł Zagłoba. — Teraz ten bór niezadługo się skończy; za nim będzie z ćwierć mili pola gołego, przez które idzie gościniec z Czarnego Ostrowiu, a potem znów bory jeszcze większe, aż do Matczyna. Da Pan Bóg, że w Matczynie zastaniemy już chorągwie polskie.

— Pora już, żeby zbawienie przyszło — mruknął Wołodyjowski.

Czas jakiś jechali w milczeniu, jasnym, oświeconym przez promienie księżyca gościńcem.

— Dwa wilki drogę przeszły! — rzekła nagle Helena.

— Widzę — odparł Wołodyjowski,— a ot trzeci.

Szarawy cień przemknął się istotnie o sto kilkadziesiąt kroków przed końmi.

— Ot czwarty! — zawołała kniaziówna.

— Nie, to sarna; patrz waćpanna: dwie, trzy!

— Co u licha! — zakrzyknął pan Zagłoba. — Sarny za wilkami gonią! Świat, widzę, przewraca się do góry nogami.

— Jedźmy-no nieco prędzej — rzekł zaniepokojonym głosem pan Wołodyjowski.— Rzędzian! bywaj! i z panną naprzód!

Pomknęli — ale Zagłoba pochylił się w pędzie do ucha Wołodyjowskiego i pytał:

— Panie Michale, a co tam nowego?

— Źle! — odrzekł mały rycerz.— Widziałeś waść: zwierz z legowisk, ze snu się zrywa i nocą pomyka.

— Oj! A co to znaczy?

— To znaczy, że go płoszą.

— Kto?

— Wojska, kozacy, albo Tatary — idą nam od prawej ręki.

— A może nasze chorągwie?

— Nie może być, bo zwierz umyka od wschodu, od Piławiec, więc pewno Tatarzy szeroką ławą idą.

— Umykajmy, panie Michale, na miły Bóg!

— Niema innej rady. Ej, żeby tak tu kniaziówny nie było podeszlibyśmy pod same czambuły, żeby kilku urwać, ale z nią... ciężka może być przeprawa, jeśli nas na oko wezmą.

— Bój się Boga, panie Michale! Skręćmy w lasy za tymi wilkami, albo co?

— Nie może być, bo choćby nas zrazu nie dostali, to kraj przed nami zaleją, a potem jakże się wydostaniem?

— Niechże ich siarczyste pioruny zatrzasną! Tego nam tylko brakowało. Ej, panie Michale, czy się nie mylisz? Wilcy to przecież za koszem ciągną, nie przed nim pomykają.

— Które są po bokach, to ciągną za koszem i ze wszystkich okolic się zbierają, ale te, co na przedzie, to się płoszą. Widzisz-no waść tam, na prawo, między drzewami — łuna świta!

— Jezusie Nazareński, królu żydowski!

— Cicho waść! Siła jeszcze tego lasu?

— Zaraz się skończy.

— A potem pole?

— Tak jest. O Jezu!

— Cicho waść! Za polem drugi las?

— Aż do Matczyna.

— Dobrze! byle nas na tem polu nie najechali. Jeżeli się do drugiego lasu szczęśliwie przedostaniem, tośmy i w domu. Jedźmy teraz razem! Szczęściem, kniaziówna z Rzędzianem na Burłajowych koniach.

Popędzili konie i zrównali się z jadącymi na przedzie.

— Co to za łuna na prawo? — pytała kniaziówna.

— Mościa panno — odrzekł mały rycerz,— tu niema co ukrywać. To mogą być Tatarzy.

— Jezus, Marya!

— Nie trwóż się waćpanna! Szyja moja w tem, że im umkniemy, a w Matczynie nasze chorągwie.

— Dla Boga! umykajmy — rzekł Rzędzian.

Ucichli i mknęli jak duchy. Drzewa poczęły rzednąć, las kończy się — ale też i łuna nieco przygasła. Nagle Helena zwróciła się do małego rycerza.

— Mości panowie! — rzekła — przysięgnijcie mi, że żywa nie pójdę w ich ręce!

— Nie pójdziesz! — odrzekł Wołodyjowski — pókim ja żyw!

Zaledwie skończył, wypadli z lasu na pole, a raczej na step, który ciągnął się blizko ćwierć mili, a na którego przeciwległym końcu czerniła się znów wstążka lasu. Halizna ta, ze wszystkich stron odkryta, srebrzyła się teraz cała od promieni księżyca, i było na niej prawie tak widno, jak w dzień.

— To najgorszy szmat drogi — szepnął do Zagłoby Wołodyjowski — bo jeśli oni w Czarnym Ostrowiu, to tędy pójdą między lasami.

Zagłoba nie odrzekł nic, jeno piętami konia ścisnął.

Dobiegli już do połowy pola, przeciwległy las stawał się coraz bliższy, wyraźniejszy, gdy nagle mały rycerz wyciągnął rękę ku wschodowi.

— Patrz waść — rzekł do Zagłoby — widzisz?

— Krze jakoweś i zarośla w dalekości.

— Te krze się ruszają! W konie teraz, w konie, bo już nas dojrzą niezawodnie!

Wiatr zaświstał w uszach uciekających — zbawczy las zbliżał się coraz bardziej.

Nagle z owej ciemnej masy, zbliżającej się od prawej strony pola, doleciał naprzód jakoby szum, podobny do szumu fal morskich, a w chwilę potem jeden ogromny krzyk targnął powietrzem.

— Widzą nas! — ryknął Zagłoba. — Psy! szelmy! dyabły! wilcy! łajdaki!

Las był tak blizko, że uciekający czuli już prawie surowe i chłodne jego tchnienie.

Ale teraz i chmura Tatarów stawała się coraz wyraźniejszą, a z ciemnego jej ciała poczęły wysuwać się długie odnogi, jakoby macki olbrzymiego potworu — i zbliżać się ku uciekającym z niepojętą szybkością. Wprawne uszy Wołodyjowskiego odróżniły już wyraźne wrzaski: Ałła! ałła!

— Koń mi się potknął! — krzyknął Zagłoba.

— Nic to! — odparł Wołodyjowski.

Ale przez głowę przelatywały mu, nakształt piorunów, pytania: co będzie, jeżeli konie nie wytrzymają? co będzie, jeżeli który z nich padnie? Były to dzielne tatarskie bachmaty, żelaznej wytrwałości, ale szły już od Płoskirowa, mało co wypoczywając, po onym szalonym biegu, od miasta aż do pierwszego lasu. Można się było wprawdzie przesiąść na luźne, lecz i luźne były znużone. Co będzie? — myślał pan Wołodyjowski — i serce zabiło mu trwogą, może po raz pierwszy w życiu — nie o siebie, ale o Helenę, którą w tej długiej podróży pokochał, jak siostrę rodzoną. A wiedział i to, że Tatarzy, raz zacząwszy gonitwę, nie ustaną tak prędko.

— Niech-że nie ustają, a jej nie zgonią! — rzekł do siebie, ścisnąwszy zęby.

— Koń mi się potknął! — zawołał po raz drugi Zagłoba.

— Nic to! — powtórzył Wołodyjowski.

Tymczasem wpadli do lasu. Objęła ich ciemność—ale też pojedynczy jeźdźcy tatarscy byli nie dalej za nimi niż o kilkaset kroków.

Wszelako mały rycerz wiedział już, jak ma postąpić.

— Rzędzian! — krzyknął — skręcaj z panną w pierwszą drogę z gościńca.

— Dobrze, mój jegomość! — odrzekł pachołek

Mały rycerz zwrócił się do Zagłoby.

— Pistolety w garść!

I jednocześnie, położywszy rękę na cuglach konia pana Zagłoby, począł bieg jego hamować.

— Co robisz? — krzyknął szlachcic.

— Nic to! wstrzymaj waść konia.

Odległość między nimi a Rzędzianem, który umykał z Heleną, poczęła się zwiększać coraz bardziej. Nakoniec przybyli do miejsca, gdzie gościniec skręcał się dość nagle ku Zbarażowi, a wprost dalej szła wązka drożyna leśna, wpół przesłoniona gałęziami. Rzędzian wpadł na nią, i po chwili oboje z Heleną znikli w gęstwinie i ciemności.

Tymczasem Wołodyjowski wstrzymał konia swego i Zagłoby.

— Na miłosierdzie Boskie! co czynisz? — ryczał szlachcic.

— Wstrzymamy pogoń. Niema innego dla kniaziówny ratunku.

— Zginiemy!

— To zginiemy. Stań tu waść na boku gościńca!... tutaj! tutaj!

Obaj przyczaili się w ciemnościach pod drzewami. Tymczasem gwałtowny tętent bachmatów tatarskich zbliżał się i huczał, jak burza, aż się cały las nim rozlegał.

— Stało się! — rzekł Zagłoba i podniósł do ust bukłak z winem.

Pił i pił—poczem wstrząsnął się.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!—zakrzyknął—gotowym na śmierć!

— Zaraz! zaraz!—rzekł Wołodyjowski.—Trzech idzie naprzód, tegom chciał.

Jakoż na jasnym gościńcu pokazało się trzech jeźdźców, siedzących widocznie na najlepszych bachmatach, tak zwanych na Ukrainie wilczarach, bo w biegu wilka doganiały; za nimi, o dwieście lub trzysta kroków, pędziło kilkunastu innych, a dalej jeszcze cały gęsty, zbity tłum ordyńców.

Gdy trzej pierwsi zrównali się z zasadzką, huknęły dwa strzały, poczem Wołodyjowski rzucił się jak ryś na środek gościńca i w jednem mgnieniu oka, nim pan Zagłoba miał czas spojrzeć i pomyśleć co się stało, trzeci Tatar padł, jakby gromem rażony.

— W konie!—krzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i ruszyli gościńcem, nakształt dwóch wilków, za którymi stado zajadłych psów goni; tymczasem dalsi ordyńcy nadbiegli do trupów i poznawszy, że owe gonione wilki potrafią na śmierć ukąsić, wstrzymali nieco konie, czekając na innych towarzyszów.

— Widzisz waść — rzekł Wołodyjowski — wiedziałem, że się zatrzymają.

Ale jakkolwiek uciekający zyskali kilkaset kroków, przerwa w gonitwie nie trwała długo, tylko że Tatarzy biegli już większą kupą i nie wysuwali się pojedyńczo naprzód.

Jednakże konie uciekających były zmęczone długą drogą i pęd ich słabł. Szczególnie koń Zagłoby, wiozący na grzbiecie tak znaczny ciężar, potknął się znowu raz i drugi—staremu szlachcicowi resztki włosów stanęły na głowie na myśl, że padnie.

— Panie Michale, najdroższy panie Michale! nie opuszczajże mnie!—wołał z desperacyą.

— Bądź waść pewien!—odpowiedział mały rycerz.

— Żeby tego konia wilcy...

Nie skończył, gdy pierwsza strzała bzyknęła mu koło ucha, a za nią inne poczęły bzykać i świstać i śpiewać, jakby bąki i pszczoły. Jedna przeleciała tak blizko, że prawie otarła się bełtem o uszy pana Zagłoby.

Wołodyjowski zwrócił się i znowu dał po dwakroć z pistoletów ognia do goniących.

Wtem koń Zagłoby potknął się tak silnie, że nozdrzami niemal zarył w ziemi.

— Na Boga żywego, koń mi pada!—krzyknął rozdzierającym głosem szlachcic.

— Z kulbaki i w las!—zagrzmiał Wołodyjowski.

To rzekłszy, sam osadził konia, zeskoczył i w chwilę później, obaj z Zagłobą znikli w ciemnościach.

Ale manewr ten nie uszedł skośnych oczu Tatarów i kilkudziesięciu z nich, zeskoczywszy również z koni, puściło się w pogoń za uciekającymi.

Gałęzie zerwały z głowy czapkę Zagłobie i biły go po twarzy, szarpały za żupan, ale szlachcic, wziąwszy nogi za pas, umykał, jakby mu trzydzieści lat wieku było. Czasami padał, więc podnosił się i umykał jeszcze śpieszniej, sapiąc jak miechy kowalskie—nakoniec stoczył się w głęboki wykrot i czuł, że się już nie wygramoli, bo siły opuściły go zupełnie.

— Gdzie waść jest?—spytał z cicha Wołodyjowski.

— Tu! w dole... Już po mnie, ratuj mię, panie Michale!

Ale pan Michał bez wahania wskoczył do wykrotu i położył rękę na ustach pana Zagłoby.

— Cicho waść! może nas miną! Będziem się zresztą bronili.

Tymczasem nadbiegli Tatarzy. Jedni z nich minęli istotnie wykrot, sądząc, że zbiegowie uciekają dalej, inni szli zwolna, obejmując drzewa i rozglądając się na wszystkie strony.

Rycerze utaili dech w piersiach.

— Niech tu który wpadnie—myślał w rozpaczy Zagłoba—to ja mu wpadnę!...

Wtem iskry posypały się na wszystkie strony; Tatarzy poczęli krzesać ogień...

Przy blasku ich widać było dzikie twarze, o wystających policzkach, i nabrzękłe wargi, dmuchające w zatlone hubki. Przez jakiś czas chodzili tak wkoło o kilkadziesiąt kroków od wykrotu, podobni do jakichś złowrogich widm leśnych—i zbliżali się coraz bardziej.

Ale w chwilę później, jakieś dziwne szumy, szmery i zmieszane okrzyki poczęły dolatywać z gościńca i budzić uśpione głębie.

Tatarzy przestali krzesać i stanęli jak wryci — ręka Wołodyjowskiego wpiła się w ramię Zagłoby.

Krzyki zwiększały się i nagle buchnęły czerwone światła, a razem z niemi rozległa się salwa muszkietów—jedna, druga, trzecia—za nią okrzyki: Ałła—szczęk szabel, kwik koni—tętent i wrzaski pomieszane. Na gościńcu wrzała bitwa.

— Nasi! nasi!—krzyknął Wołodyjowski.

— Bij! morduj! bij! siecz! rznij! — ryczał pan Zagłoba.

Sekunda jeszcze: koło wykrotu przebiegło w największym popłochu kilkudziesięciu Tatarów, którzy zmykali teraz co duchu ku swoim. Pan Wołodyjowski nie wytrzymał, skoczył za nimi—i jechał na ich karkach wśród gęstwy i ciemności.

Zagłoba pozostał na dnie jamy.

Po chwili próbował wyleźć, ale nie mógł. Bolały go wszystkie kości i zaledwie zdołał na nogach się utrzymać.

— Ha, łajdaki! — rzekł oglądając się na wszystkie strony— uciekliście! Szkoda, że tu który nie został. Miałby kompanię w tej jamie i pokazałbym mu, gdzie pieprz rośnie! O poganie! narzną was tam teraz, jak bydła! Dla Boga! hałas tam teraz coraz większy! Chciałbym, żeby to był sam książę Jeremi, bo tenby dopiero was przygrzał. Hałłakujcie! hałłakujcie! będą później wilcy nad waszem ścierwem hałłakowali. Ale też ten pan Michał, żeby mnie tu samego zostawić. Ba, nic dziwnego! Łakomy, bo młody. Po tej ostatniej przeprawie, już i do piekłabym z nim poszedł, bo to nie taki przyjaciel, co w potrzebie opuszcza. A osa to jest! W mig tamtych trzech ukąsił. Żebym to miał przynajmniej z sobą ten bukłak... ale już go tam pewnie dyabli wzięli... konie rozdeptały. Jeszcze mnie tu jaka gadzina żgnie w tej jamie. Co to?

Krzyki i salwy muszkietów poczęły oddalać się w stronę pola i pierwszego lasu.

— Aha! rzekł Zagłoba. — Już im na karkach jadą! Nie wytrzymaliście psubraty! Chwała bądź Bogu Najwyższemu.

Krzyki oddalały coraz bardziej.

— Zdrowo jadą!—mruczał dalej szlachcic.—Ale tu widzę, przyjdzie mi posiedzieć w tej jamie. Tegoby brakowało, żeby mnie wilcy zjedli. Naprzód Bohun, potem Tatarzy, a w końcu wilcy. Dajże Boże pal Bohunowi, a wściekliznę wilkom, bo o Tatarach już tam jakoś nasi myślą niezgorzej! Panie Michale! panie Michale!

Cisza odpowiedziała panu Zagłobie, tylko bór szumiał, a zdala coraz słabiej dochodziły okrzyki.

— Chyba się tu spać położę—czy co?—Niechże to dyabli porwą! Hej, panie Michale!

Ale cierpliwość pana Zagłoby na długą jeszcze miała być wystawiona próbę, bo szaro już było na niebie, gdy na gościńcu dał się ponownie słyszeć tętent, a następnie światła zabłysły w mroku leśnym.

— Panie Michale! tu jestem!—zawołał szlachcic.

— To waść wyłaź.

— Ba! kiedy nie mogę.

Pan Michał z łuczywem w garści stanął nad jamą i podając rękę Zagłobie, rzekł:

— No! Tatarów niema. Przejechaliśmy się na nich aż za tamten las.

— A któż to nadszedł?

— Kuszel i Roztworowski we dwa tysiące koni. Moi dragoni także są z nimi.

— A pogańców siła było?

— At! komunik parotysięczny.

— To chwała Bogu! dajcie-że mi się czego napić, bom zemdlał.

We dwie godziny później, pan Zagłoba, napojony i nakarmiony należycie, siedział na wygodnej kulbace, wśród dragonów Wołodyjowskiego, a obok niego jechał mały rycerz i tak mówił:

— Już-że się waćpan nie martw, bo choć do Zbaraża razem z kniaziówną nie przyjedziemy, ale gorzejby było, gdyby wpadła w pogańskie ręce.

— A może Rzędzian nawróci jeszcze do Zbaraża? — pytał Zagłoba.

— Tego on nie uczyni, gościniec będzie zajęty: ów czambuł, któryśmy odparli, rychło wróci i w trop za nami iść będzie. Zresztą i Burłaj lada chwila nadciągnie i pierwej stanie pod Zbarażem, niżby Rzędzian mógł zdążyć. Z drugiej strony od Konstantynowa idą Chmielnicki i chan.

— O dla Boga! toż oni właśnie z kniaziówną jakoby w matnię wpadną.

— Głowa też Rzędziana w tem, aby się między Zbarażem a Konstantynowem, póki czas, przemknął, i nie pozwolił się pułkom Chmielnickiego, albo chanowym czambułom ogarnąć. I widzisz waść, mocno ja ufam, że on to potrafi.

— Dajże tak Boże!

— Chytry to jest pachałek, jak lis. Waćpanu fortelów nie brak, ale on jeszcze chytrzejszy. Siłaśmy głowy nałamali, jak dziewczynę ratować — i w końcu ręce nam opadły — a przez niego wszystko się naprawiło. Będzie się on teraz wyślizgiwał jak wąż, gdyż i o własną skórę mu chodzi. Ufaj waść, bo i Bóg jest nad nią, który ją tyle razy ratował—i przypomnij sobie, że sam mi w Zbarażu ufać kazałeś wtenczas, kiedy Zachar przejeżdżał.

Zagłoba pokrzepił się nieco temi słowami pana Michała, a następnie zamyślił się głęboko.

— Panie Michale—rzekł po chwili—a nie pytałeś Kuszla, co się ze Skrzetuskim dzieje?

— Jest już w Zbarażu, i chwalić Boga, zdrowy. Przyszedł z Zaćwilichowskim, od księcia Koreckiego.

— A co my jemu powiemy?

— W tem sęk.

— Wszakże on ciągle myśli, że dziewczyna w Kijowie zamordowana.

— Tak jest.

— A mówiłeś teraz Kuszlowi, albo komu, skąd jedziemy?

— Nie mówiłem, bom sobie myślał: lepiej się pierwej naradzimy.

— Wolałbym chyba o całej imprezie zamilczeć—rzekł Zagłoba.—Miałaby dziewczyna teraz, Boże uchowaj! wpaść znowu w ręce kozackie, albo tatarskie, to dla Skrzetuskiego nowa boleść — tak właśnie, jakoby mu kto przyschłe rany rozdrapał.

— Głowę daję, że ją Rzędzian wyprowadzi.

— Dałbym i ja za to chętnie swoją, ale nieszczęście teraz na świecie jak dżuma grasuje. Lepiej już milczmy i na wolę Bożą wszystko zdajmy.

— Niechże tak będzie, ale czy pan Podbipięta tajemnicy Skrzetuskiemu nie wyjawi?

— Chyba go nie znasz. Parol kawalerski dał, a to dla tego litewskiego powyrka święta rzecz.

Tu przyłączył się do nich Kuszel i jechali dalej razem, rozmawiając, przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o rzeczach publicznych, o przyjściu regimentarzy do Zbaraża, które książę Jeremi spowodował, o blizkim przyjeździe księcia i o nieuniknionej już, straszliwej, z całą potęgą Chmielnickiego rozprawie.

Иван Симонович
Степанов.

ROZDZIAŁ XXIV.

W Zbarażu zastali pan Wołodyjowski i Zagłoba wszystkie wojska koronne, zgromadzone i na nieprzyjaciela czekające. Był tam podczaszy koronny, który z pod Konstantynowa nadciągnął, i Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, który pod Barem pierwej gromił, i trzeci regimentarz, pan Firlej z Dąbrowicy, kasztelan bełski, i pan Andrzej Sierakowski, pisarz koronny, i pan Koniecpolski chorąży i pan Przyjemski generał artyleryi, wojownik, szczególniej w zdobywaniu miast i urządzaniu obrony biegły. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwarcianego, nie licząc kilku chorągwi księcia Jeremiego, które już poprzednio w Zbarażu stały.

Pan Przyjemski na południowych stokach miasta i zamku, za rzeczką Gniezną i dwoma stawami, zatoczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu można było zdobywać, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka. W tym to obozie mieli zamiar regimentarze dać opór Chmielnickiemu i zatrzymać nawałnicę dopóty, dopókiby król, z resztą sił i pospolitem ruszeniem wszystkiej szlachty, nie nadciągnął. Ale czy był to zamiar wobec potęgi Chmielnickiego podobny do spełnienia? Wielu wątpiło i słuszne przytaczało wątpliwości powody, a między innymi i ten, że w samym obozie źle się działo. Naprzód między wodzami wrzała tajona niezgoda. Regimentarze bowiem poniewoli przyszli pod Zbaraż, ulegając w tem żądaniu księcia Jeremiego. Początkowo mieli regimen-

tarze chęć bronić się pod Konstantynowem, ale gdy rozeszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony będzie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskim wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie. Nie pomogły żadne perswazye, ani powaga buławy i wkrótce regimentarze poznali, że jeżeli w dłuższym oporze trwać będą, tedy wojska, począwszy od poważnych znaków husarskich, aż do ostatniego żołnierza z rot cudzoziemskich opuszczą ich i zbiegną pod chorągwie Wiśniowieckiego. Był to jeden z tych smutnych, coraz częstszych w owym czasie przykładów niekarności wojskowej, którą zrodziły zarazem nieudolność wodzów, niezgody ich między sobą, bezprzykładna groza przed potęgą Chmielnickiego i niebywałe dotychczas klęski, a zwłaszcza Piławiecka.

Tak więc regimentarze musieli ruszyć pod Zbaraż, gdzie władza, mimo nominacyi królewskich, miała siłą rzeczy przejść w ręce Wiśniowieckiego, bo jego jednego tylko chciało słuchać wojsko, bić się i ginąć pod nim jednym. Ale tymczasem tego faktycznego wodza nie było jeszcze w Zbarażu, więc niepokój w wojsku wzrastał, karność rozluźniała się do reszty i serca upadały. Już było bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan ciągną potęgą, jakiej od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy. Coraz nowe wieści nadlatywały do obozu, jakby złowrogie ptactwo, coraz nowe, coraz straszliwsze posłuchy, i wątliły męstwo żołnierza. Były obawy, aby popłoch podobny do piławieckiego nie zerwał się nagle i nie rozproszył tej garści wojska, która zagradzała Chmielnickiemu drogę do serca Rzeczypospolitej. Wodzowie sami tracili głowy. Sprzeczne ich rozporządzenia nie były wcale wykonywane, lub wykonywano je z niechęcią. Rzeczywiście, jeden Jeremi mógł odwrócić klęskę, wiszącą nad obozem, wojskiem i krajem.

Pan Zagłoba i Wołodyjowski, przybywszy z chorągwiami Kuszla, wpadli zaraz w wir wojskowy, ledwie bowiem stanęli na majdanie, otoczyli ich towarzysze różnych znaków, pytając jeden przez drugiego o nowiny. Na widok jeńców tatarskich, otucha wstąpiła zaraz w serca ciekawych: „Uszczknęli Tatarów! Jeńcy tatarscy! Bóg dał wiktoryę!“—powtarzali jedni. „Tatarzy tuż—i Burłaj z nimi!“—wołali drudzy. „Do broni, mości panowie! na wały!“ Wieść leciała przez obóz, a zwycięstwo Kuszlowe rosło przez drogę. Coraz więcej ludzi kupiło się na około jeńców. „Pościnać ich!—wołano—co tu będziemy z nimi robili.“ Posypały się pytania tak gęsto, jakoby śnieżna zadymka, ale Kuszel nie chciał odpowiadać i poszedł z relacyą do kwatery kasztelana bełskiego, zaś Wołodyjowskiego i Zagłobę witali przez ten czas znajomi z pod chorągwi ruskich, a oni wykręcali się, jak mogli, było im bowiem również pilno zobaczyć się ze Skrzetuskim.

Znaleźli go w zamku, a z nim starego Zaćwilichowskiego, dwóch księży miejscowych Bernardynów i pana Longina Podbipiętę. Skrzetuski ujrzawszy ich, przybladł nieco i oczy zmrużył, bo mu zbyt dużo wspomnień na myśl przywiedli, aby miał bez bólu znieść ich widok. Jednakże powitał ich spokojnie, a nawet radośnie—pytał, gdzie

byli i zadowolił się pierwszą lepszą odpowiedzią, gdyż poczytując kniaziównę za umarłą, niczego już nie pragnął, niczego się nie spodziewał i najmniejsze podejrzenie nie wkradło mu się do duszy, że ich długa nieobecność może być w jakimkolwiek z nią związku. Oni też słowem o celu wyprawy nie wspomnieli, choć pan Longinus spoglądał to na jednego, to na drugiego badawczym wzrokiem, i wzdychał i kręcił się na miejscu, chcąc choć cień nadziei na ich obliczach wyczytać. Ale obadwaj zajęci byli Skrzetuskim, którego pan Michał co chwila brał w ramiona, bo mu serce miękło na widok tego wiernego i dawnego przyjaciela, który tyle przebył i tyle utracił, że prawie żyć nie miał poco.

— Ot! do kupy znowu zbieramy się wszyscy starzy towarzysze—mówił do Skrzetuskiego—i dobrze ci będzie z nami. Wojna też przyjdzie, taka, widzę, jakiej jeszcze nie bywało, a z nią i rozkosze wielkie dla każdej duszy żołnierskiej. Byle ci Bóg dał zdrowie, nieraz jeszcze husarzy poprowadzisz.

— Bóg mi już zdrowie wrócił—odpowiedział Skrzetuski—i sam sobie więcej nie życzę, jeno służyć, póki jest potrzeba.

Jakoż Skrzetuski zdrów był już w istocie, bo młodość i potężna siła zwalczyły w nim chorobę. Zgryzoty przeżerały mu duszę, ale ciała zgryźć nie mogły. Wychudł tylko bardzo i pożółkł tak, że czoło, policzki i nos miał jakby z wosku kościelnego uczynione. Dawna kamienna surowość została mu w twarzy i był w niej taki skrzepły spokój, jak w twarzach umarłych. Więcej jeszcze srebrnych nici wiło się w jego czarnej brodzie, a zresztą nie różnił się niczem od innych ludzi, chyba tem, że przeciw żołnierskiemu obyczajowi, unikał gwarów, ciżby, pijatyk, chętniej z zakonnikami obcując, których rozmów o życiu klasztornem i o życiu przyszłem chciwie, bywało, słuchał. Jednakże służbę ściśle pełnił i co się tyczyło wojny, albo spodziewanego oblężenia, tem na równi ze wszystkimi się zajmował.

Wnet też rozmowa zeszła na ten przedmiot, bo nikt o niczem innem nie myślał w całym obozie, w zamku i w mieście. Stary Zaćwilichowski wypytywał się o Tatarów i o Burłaja, z którym zdawna miał znajomość.

— Wielki to jest wojownik—mówił — i aż żal, że przeciw ojczyznie wraz z innymi powstaje. Razem służyliśmy pod Chocimem—młodzik to był jeszcze, ale już obiecywał, że na niepospolitego męża wyrośnie.

— Przecie on jest z Zadnieprza i zadnieprzańcom przewodzi — rzekł Skrzetuski;—jakże to się stało, ojcze, że on teraz z południa od strony Kamieńca ciągnie?

— Widać—rzekł Zaćwilichowski — umyślnie mu tam Chmielnicki zimowisko wyznaczył, gdyż Tuhaj-bej został nad Dnieprem, a ów murza wielki ma do Burłaja rankor jeszcze z dawnych czasów. Nikt też Tatarom tyle sadła za skórę nie zalał, ile Burłaj.

— A teraz będzie ich commilitonem.

— Tak jest!—rzekł Zaćwilichowski—takie czasy! Ale tu będzie nad nimi Chmielnicki czuwał, żeby się nie pożarli.

— A Chmielnickiego kiedy się tu, ojcze, spodziewacie?— pytał Wołodyjowski.

— Lada dzień; a zresztą któż może wiedzieć? Powinni regimentarze podjazd za podjazdem wysyłać, a tego nie czynią. Ledwiem uprosił, że Kuszla wysłali ku południowi, a panów Pigłowskich pod Czołhański Kamień. Chciałem i sam iść, ale tu ciągle rady i rady... Mają jeszcze wysłać i pana pisarza koronnego w kilkanaście chorągwi! Niechże się śpieszą, aby zaś nie było za późno. Daj tu Boże jak najprędzej naszego księcia, bo inaczej taka hańba jak pod Piławcami nas spotka.

— Widziałem tych żołnierzów, kiedyśmy przez majdan przejeżdżali—rzecze Zagłoba—i tak myślę, że więcej między nimi kpów, niż dobrych pachołków. Bazarnikami im być, nie naszymi commilitonami, którzy się w sławie kochamy, więcej ją od zdrowia ceniąc.

— Co waść gadasz?—burknął staruszek.— Nie ujmuję ja waszmości męstwa, choć dawniej inne miałem mniemanie, ale i to wszystko rycerstwo, co tu jest, to najprzedniejszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek miała Rzeczpospolita. Głowy jeno trzeba, wodza! Pan Kamieniecki dobry harcownik, ale żaden wódz; pan Firlej, stary— a co do podczaszego, no, ten razem z księciem Dominikiem pod Piławcami zdobył sobie reputacyę. Cóż dziwnego, że ich słuchać nie chcą! Żołnierz chętnie przeleje krew, jeżeli jest pewien, że go bez potrzeby nie wygubią. Ot i teraz! zamiast o oblężeniu myśleć, to się spierają, gdzie który będzie stał.

— Czy aby wiwendy jest dosyć? — pytał niespokojnie Zagłoba.

— I tego nie tyle, ile potrzeba, ale z paszą jeszcze gorzej. Jeżeli się oblężenie przez miesiąc przeciągnie, to chyba wióry a kamienie będziemy koniom dawali.

— Jeszczeby czas o tem pomyśleć—rzekł Wołodyjowski.

— To idź im waść to powiedz. Daj Boże księcia, repeto!

— Nie waszmość jeden do niego wzdychasz—przerwał pan Longinus.

— Wiem o tem—odrzekł staruszek.— Spojrzyjcie waszmościowie na majdan. Wszyscy u wałów siedzą i z tęsknotą w stronę starego Zbaraża poglądają, inni zaś aż na wieże w mieście włażą, a krzyknie który z pustoty: „Idzie!“—to od radości szaleją. Nie tak spragniony jeleń desiderat aquas, jako my jego! Oby tylko przed Chmielnickim zdążył, bo już tak myślę, że tam musiały zajść impedimenta.

— My się też po całych dniach o jego przyjazd modlimy—odezwał się jeden z Bernardynów.

Jakoż modlitwy i życzenia całego rycerstwa miały się niebawem ziścić, chociaż następny dzień przyniósł jeszcze większe obawy i pełno wróżb złowrogich. Dnia ósmego lipca, we czwartek, straszliwa burza rozszalała nad miastem i świeżo zatoczonymi wałami obozu. Deszcz walił potokami. Część robót ziemnych spłynęła. Gniezna i oba stawy wezbrały. Wieczorem piorun huknął w piechotną cho-

rągiew kasztelana bełskiego Firleja, zabił kilku ludzi, a samą chorągiew roztrzaskał na szczypki. Poczytano to za zły omen — za widoczny znak gniewu Bożego, tembardziej, że pan Firlej był kalwinistą. Zagłoba proponował, by wysłać do niego deputacyę z żądaniem i prośbą, aby się nawrócił— „gdyż nie może być błogosławieństwa Bożego dla wojska, którego wódz żyje w sprosnych błędach, Niebu obrzydłych.“ Wielu podzielało to mniemanie, i tylko powaga osoby kasztelańskiej i buławy wstrzymała wysłanie deputacyi. Ale serca tembardziej upadły. Burza też szalała bez przerwy. Wały, lubo wzmocnione kamieniami, łozą i ostrokołem, rozmiękły tak, że armaty poczęły grzęznąć. Musiano podkładać deski pod granatniki, moździerze i nawet pod oktawy. W głębokich fosach szumiała woda na chłopa wysoko. Noc nie przyniosła spokoju. Wicher gnał od wschodu coraz nowe, olbrzymie zwały chmur, które kłębiąc się i przelewając ze straszliwym łoskotem po niebie, wyrzucały nad Zbarażem, wszystek swój zapas dżdżu, gromów, błyskawic... Tylko czeladź została w namiotach, w obozie, towarzystwo zaś, starszyzna, nawet regimentarze, z wyjątkiem kasztelana kamienieckiego, schronili się do miasta. Gdyby Chmielnicki nadszedł był razem z tą burzą, byłby wziął obóz bez oporu.

Nazajutrz było już nieco lepiej, chociaż deszcz jeszcze popadywał. Dopiero koło piątej z południa wiatr popędził chmury, błękit roztoczył się nad obozem, a w stronie starego Zbaraża zajaśniała przepyszna siedmiobarwna tęcza, której potężny łuk jednem ramieniem za Stary Zbaraż przechodził, drugim zdawał się ssać wilgoć z Czarnego lasu — i świecił się, i mienił, i grał na tle chmur uciekających.

Wówczas otucha wstąpiła w serca. Rycerstwo wróciło do obozu i wstąpiło na ślizkie wały, aby widokiem tęczy oczy weselić. Zaraz poczęto rozprawiać gwarnie i zgadywać, co ten pomyślny znak zwiastuje, gdy wtem pan Wołodyjowski, stojąc razem z innymi nad samą fosą, przysłonił swe rysie oczy ręką i zakrzyknął:

— Wojsko z pod tęczy wychodzi! wojsko.

Zrobił się ruch, jakby wicher poruszył masą ludzi, a potem szmer zerwał się nagle. Słowa: „wojsko idzie“ przeleciały jakoby strzała, od jednego końca wałów do drugiego. Żołnierze poczęli się cisnąć, popychać, skłębiać. Szmery zrywały się i cichły; wszystkie dłonie spoczęły nad oczyma, wszystkie oczy wbiły się z wytężeniem w dal—serca tłukły się w piersiach—i patrzali tak wszyscy, oddech w piersiach wstrzymując, zawieszeni między niepewnością i nadzieją...

A wtem pod siedmiobarwną bramą zamajaczyło coś, i majaczyło coraz wyraźniej, i wynurzało się z dali, i zbliżało coraz bardziej, i widniało coraz dokładniej—aż w końcu ukazały się chorągwie, proporce, buńczuki, później las proporczyków—oczy nie dały dłużej wątpić: było to wojsko.

Wówczas jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, okrzyk niepojętej radości:

— Jeremi! Jeremi! Jeremi!

Najstarszych żołnierzy ogarnął po prostu szał. Jedni rzucili się z wałów, przebrnęli fosę i biegli piechotą, przez zalaną wodą równinę ku zbliżającym się pułkom; drudzy lecieli do koni; inni śmieli się, inni płakali, składali ręce i wyciągali je ku niebu, wołając: „Idzie nasz ojciec, nasz zbawca, nasz wódz!“ Zdawaćby się mogło, że oblężenie już zdjęte, Chmielnicki pokonany i zwycięstwo odniesione. Tymczasem pułki księcia podchodziły coraz bliżej, tak, że można już było rozróżnić znaki. Szły więc naprzód, jako zwykle lekkie pułki książęcych Tatarów, semenów i Wołochów — za nimi widać było cudzoziemską piechotę Machnickiego, dalej armaty Wurcla, dragonię i poważne znaki husarskie. Promienie słońca łamały się na ich zbrojach, na grotach sterczących kopii — i szli wszyscy w blaskach niezwyczajnych, jakoby już ich otaczała gloria zwycięstwa. Skrzetuski, stojący obok pana Longina na wałach, poznał zdala swoją chorągiew, którą był w Zamościu zostawił — i wyżółkłe policzki zarumieniły mu się nieco: odetchnął silnie po kilkakroć, jakby jakiś niezmierny ciężar zrzucał z piersi i poweselał w oczach. Bo też i blizkie już były dla niego dni trudów nadludzkich, oraz walk heroicznych, które najlepiej goją serce i pamięć bolesną gdzieś coraz głębiej na dno duszy strącają. Pułki zbliżyły się jeszcze i zaledwie tysiąc kroków dzieliło je od obozu. Nadbiegła też i starszyzna, by oglądać wejście książęce: więc trzej regimentarze, z nimi pan Przyjemski, pan chorąży koronny, pan starosta krasnostawski, pan Korf i wszyscy inni oficerowie, tak chorągwi polskich, jak i cudzoziemskiego autoramentu. Podzielali oni ogólną radość, a szczególnie pan Lanckoroński, regimentarz, większy rycerz, aniżeli wódz, ale w sławie wojennej rozkochany, wyciągał buławę w stronę, skąd przychodził Jeremi, i mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli:

— Oto tam nasz najwyższy wódz i ja pierwszy dank i władzę swą mu oddawam.

Pułki książęce zaczęły wchodzić do obozu. Było wszystkiego ludu trzy tysiące, ale za to sto tysięcy serc przyrosło—bo byli to przecie wszystko zwycięzcy z pod Pohrebyszcz, Niemirowa, Machnówki i Konstantynowa. Witali się tedy znajomi i przyjaciele. Za lekkimi pułkami wtoczyła się nakoniec z trudem i artylerya Wurclowska, prowadząc cztery hakownice, dwie oktawy srodze donośne i sześć zdobycznych organków. Książę, który ze Starego Zbaraża pułki ekspedyował, wjechał dopiero wieczorem, po zachodzie słońca. Zbiegło się co żyło na jego spotkanie. Żołnierze, pozapalawszy kaganki, ogarki, pochodnie i szczapy łuczywa, otoczyli tak książęcego dzianeta, że postępować nie mógł. Chwytano go też za cugle, by oczy widokiem bohatera dłużej napoić. Całowano suknie książęce, a samego ledwie że nie porwano na ramiona. Uniesienie doszło do tego stopnia, że nietylko żołnierze z pod swojskich znaków, ale i roty cudzoziemskie oświadczyły, że przez kwartał darmo będą służyły. Coraz większy tłok czynił się naokół księcia, tak, że kroku już postąpić nie mógł—siedział więc na swym białym dzianecie, otoczony żołnierstwem, jak pasterz mię-

dzy owcami, a okrzykom i wiwatom nie było końca. Wieczór się zrobił cichy, pogodny. Na ciemnem niebie zabłysły tysiące gwiazd i wnet zjawiły się pomyślne wróżby. Właśnie gdy pan Lanckoroński zbliżył się do księcia z buławą w ręku, by mu ją oddać, jedna z gwiazd, oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlaną, spadła z hukiem w stronie Konstantynowa, skąd miał nadciągnąć Chmielnicki, i zgasła. „To Chmielnickiego gwiazda!“ — krzyknęli żołnierze. — „Cud! cud! znak widomy!“—„Vivat Jeremi victor!“ — powtórzyło tysiące głosów, a wtem kasztelan kamieniecki zbliżył się i dał znak ręką, że chce mówić. Uciszyło się zaraz nieco, on zaś rzekł:

— Król mnie dał buławę, ale ja ją w twoje, godniejsze ręce, zwycięzco, oddaję i pierwszy twoich rozkazów chcę słuchać.

— I my z nim!—powtórzyli dwaj inni regimentarze.

Trzy buławy wyciągnęły się ku księciu, ale on rękę cofnął i odrzekł:

— Nie ja waszmościom dawałem buławy, więc ich nie będę odbierał.

— Bądź więc nad trzema—czwartą! rzekł Firlej.

— Vivat Wiśniowiecki! vivat regimentarze! — krzyknęło rycerstwo.—Żyć i umierać razem chcemy!

W tej chwili dzianet książęcy podniósł łeb, wstrząsnął farbowaną purpurową grzywą i zarżał potężnie, aż wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpaliły się pragnieniem walki, dreszcz zapału przebiegał przez ciała. Starszyzna nawet podzielała ogólne uniesienie. Podczaszy płakał i modlił się, a pan kasztelan kamieniecki i pan starosta krasnostawski pierwsi poczęli trzaskać szablami, wtórując żołnierzom, którzy biegli na zręby wałów i wyciągając ręce w ciemność, wołali ku stronie, z której spodziewano się nieprzyjaciela:

— Bywajcie, psubraty! znajdziecie nas gotowych!

Tej nocy nikt nie spał w obozie i aż do rana grzmiały okrzyki i roiły się światła błyszczące kaganków i pochodni.

Nad ranem przyszedł z podjazdu z pod Czołhańskiego Kamienia pan pisarz koronny Sierakowski i przyniósł wiadomość o nieprzyjacielu, który o pięć mil od obozu się znajdował. Podjazd stoczył walkę z przeważnemi siłami ordyńców; zginęło w niej dwóch panów Mańkowskich, pan Oleksicz i kilku zacnego towarzystwa. Przywiezione języki twierdziły, że za onym komunikiem chan i Chmielnicki idą z całą potęgą. Dzień zeszedł na oczekiwaniu i rozporządzeniach do obrony. Książę, przyjąwszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu, gdzie miał stać, jak się bronić i i jak innym w pomoc przychodzić. W obozie zapanował najlepszy duch; karność była przywrócona, a zamiast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności—widziałeś wszędy ład i sprawność. Do południa wszyscy byli na swych pozycyach. Straże przed obozem rozrzucone dono-

siły każdej chwili, co dzieje się w okolicy. W poblizkich wioskach wysłana czeladź brała żywność i paszę, ile się gdzie jeszcze dało złapać. Żołnierz, stojący na wałach, gwarzył wesoło i śpiewał, a noc spędzono, drzemiąc przy ogniskach, z ręką na szabli, w takiej gotowości, jakby lada chwila szturm miał nastąpić.

Jakoż świtaniem poczęło się coś czernić w stronie Wiśniowca. Dzwony uderzyły w mieście na trwogę, a w obozie długie, żałosne głosy trąb pobudziły czujność żołnierzy. Piesze regimenta wyszły na wały, w przerwach stanęła jazda, gotowa zerwać się za pierwszym znakiem do ataku, a przez całą długość okopu wzniosły się ku górze dymki od zapalonych lontów.

W tej samej chwili zjawił się książę na swoim białym dzianecie. Ubrany był w srebrne blachy, ale bez hełmu. Najmniejszej troski nie było znać na jego czole; owszem, wesołość biła mu z oczu i twarzy.

— Mamy gości, mości panowie! mamy gości!—powtarzał, przejeżdżając wzdłuż wałów.

Cisza nastała i słychać było łopotanie chorągwi, które lekki powiew wiatru to nadymał, to owijał naokoło drzewców. Tymczasem nieprzyjaciel zbliżył się tak, iż można go było okiem ogarnąć.

Była to pierwsza fala, więc nie sam Chmielnicki z chanem, ale rekonensans, złożony z trzydziestu tysięcy wyborowych ordyńców, uzbrojonych w łuki, samopały i szable. Zagarnąwszy tysiąc pięćset pachołków wysłanych po żywność, szli gęstą ławą od Wiśniowca, potem wyciągnąwszy się w długi półksiężyc, poczęli zajeżdżać z przeciwnej strony ku Staremu Zbarażowi.

Ale, tymczasem książę, przekonawszy się, iż to tylko komunik, dał rozkaz, by jazda wyszła z okopów. Rozległy się głosy komendy, pułki zaczęły sie ruszać i wychodzić z za wałów, jak pszczoły z ula. Równina napełniła się ludźmi i końmi. Zdala widać było rotmistrzów z buzdyganami w ręku, oganiających chorągwie i szykujących je do boju. Konie parskały rzeźwo — a czasem rżenie przebiegało szeregi. Potem z tej masy wysunęły się dwie chorągwie tatarów i semenów książęcyoh i szły drobnym kłusem naprzód; łuki trzęsły się im na na plecach, migotały kołpaki—szli w milczeniu, a na czele ich jechał rudy Wierszuł, pod którym koń rzucał się jak szalony, co chwila zwieszając w powietrzu przednie kopyta, jakby chciał zerwać wędzidła i skoczyć coprędzej w zamęt.

Błękitu nieba nie plamiła żadna chmurka, dzień był jasny, przezroczysty—i widać ich było, jak na dłoni.

W tej samej chwili od strony Starego Zbaraża ukazał się taborek książęcy, który nie zdołał wejść z całem wojskiem, a teraz nadążał co siły, z obawy, aby ordyńcy nie ogarnęli go jednym zamachem. Jakoż nie uszedł ich oczu i wnet długi półksiężyc ruszył ku niemu z kopyta. Krzyki: „Ałła!“ doleciały aż do uszu stojącej na wałach piechoty; chorągwie Wierszuła pomknęły, jak wicher, na ratunek.

Ale półksiężyc dobiegał prędzej do taborku i opasał go w jednej chwili, jak czarną wstęgą, a jednocześnie kilka tysięcy ordyń-

ców zwróciło się z wyciem nieludzkiem ku Wierszułowi, starając się go również opasać. I tu dopiero można było poznać doświadczenie Wierszuła i sprawność jego żołnierzy. Widząc bowiem, że im zachodzą z prawej i lewej strony, rodzielili się na troje i skoczyli na boki, potem rozdzielili się na czworo, potem na dwoje— a za każdym razem nieprzyjaciel musiał się zwracać całą linią, bo przed sobą nie miał nikogo, a skrzydła już mu rwano. Dopiero za czwartym razem uderzyli się pierś w pierś, ale Wierszuł uderzył całą siłą w najsłabsze miejsce, rozerwał je i odrazu znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Wtedy porzucił go i szedł jak burza ku taborkowi, nie dbając, że tamci zaraz mu na kark nadejdą.

Starzy praktycy, patrząc na to z wałów uderzali się zbrojnemi dłońmi po lędźwiach, wykrzykując:

— Niech ich kule biją! tylko książęcy rotmistrze tak prowadzą!

Tymczasem Wierszuł, natarłszy ostrym klinem na pierścień, opasujący toborek, przebił go tak, jak strzała przebija ciało żołnierza, i w mgnieniu oka przedostał się do środka. Teraz zamiast dwóch bitew zawrzała jedna, ale tem zaciętsza. Cudny to był widok! W środku równiny taborek, jakoby ruchoma forteca, wyrzucał długie smugi dymu i ział ogniem—naokół zaś czerniło się mrowie ruchliwe, rozszalałe, niby jakiś wir olbrzymi, za wirem konie latające bez jeźdźców, w środku szum, wrzask, grzechotanie samopałów. Ci tłoczą się jedni przez drugich, tamci nie dają się rozrywać. Jak dzik otoczony broni się białymi kłami i tnie zajadłą psiarnię, tak ów tabor wśród chmary tatarskiej bronił się z rozpaczą i nadzieją, że z obozu pomoc, większa od Wierszułowej, mu przyjdzie.

Jakoż wkrótce na równinie zamigotały czerwone kolety dragonów Kuszla i Wołodyjowskiego—rzekłbyś: listki czerwone kwiatów, które wiatr żenie. Ci dobiegli do chmary tatarskiej i wpadli w nią, jak w czarny las, tak, że po chwili wcale ich nie było widać, tylko kotłowanie uczyniło się jeszcze większe. Dziwno było nawet żołnierzom, dlaczego książę nie przychodzi odrazu z dostateczną potęgą w pomoc otoczonym, ale on zwłóczył, chcąc dowodnie pokazać żołnierzom, jakie to posiłki im prowadził—i przez to serca ich podnieść i do większych jeszcze niebezpieczeństw przygotować.

Jednakże ogień w taborku osłabł, znać już nabijać nie mieli czasu, albo się rury muszkietów zbyt rozgrzały; natomiast wrzask Tatarów zwiększał się coraz bardziej, więc książę dał znak i trzy husarskie chorągwie, jedna jego własna pod Skrzetuskim, druga starosty krasnostawskiego, trzecia królewska pod panem Pigłowskim, ruszyły z obozu ku bitwie. Dobiegły i uderzywszy, jak obuchem, rozerwały odrazu pierścień tatarski, potem spędziły go, zgniotły na równinie, wparły ku lasom, rozbiły raz jeszcze—i gnały o ćwierć mili do obozu, taborek zaś, wśród radosnych okrzyków i huku dział, zemknął bezpiecznie w okopy.

Tatarzy jednak, czując, że za nimi idzie Chmielnicki i chan, nie znikli całkiem z oczu; owszem, wkrótce zjawili się na nowo i hałłakując, obiegli cały obóz, zajmując przytem drogi, gościńce i wsie poblizkie, z których wkrótce podniosły się słupy czarnego dymu ku niebu. Mnóstwo ich harcowników zbliżyło się pod okopy, a naprzeciw nim sypnęli się zaraz pojedynczo i kupkami żołnierze i kwarciani, szczególnie z tatarskich, wołoskich i dragońskich chorągwi.

Wierszuł nie mógł brać w harcach udziału, albowiem sześć razy w głowę cięty przy obronie taborku, leżał jak nieżywy w namiocie; natomiast pan Wołodyjowski, choć cały już jak rak od krwi czerwony, za mało miał jeszcze ukontentowania i pierwszy wyruszył. Trwały owe harce aż do wieczora; z obozu piechoty i rycerstwo z górnych chorągwi patrzało na nie jak na widowisko. Przebiegano więc sobie wzajemnie, potykano się gromadami, albo pojedynczo, chwytano żywcem niewolników. A pan Michał co którego ucapił i odprowadził, to znów wracał; czerwony jego mundur uwijał się po całem pobojowisku, aż go wreszcie Skrzetuski panu Lanckorońskiemu, jako osobliwość, zdala pokazał, bo ilekroć zczepił się z Tatarem, rzekłbyś: w Tatara piorun trzasł. Zagłoba, choć pan Michał nie mógł go dosłyszeć, dodawał mu krzykiem z wałów ochoty, kiedy zwracał się do stojących naokół żołnierzy i mówił:

— Patrzcie waszmościowie! ja to uczyłem go szablą robić. Dobrze! dalejże po nim! Dali-Bóg, niezadługo mnie dorówna.

Ale tymczasem słońce zaszło — harcownik począł zwolna ściągać się z pola, na którem pozostały tylko trupy końskie i ludzkie. W mieście poczęto znów dzwonić na „Anioł Pański.“

Noc zapadała zwolna, jednakże ciemność nie nadchodziła, bo naokół świeciły łuny. Paliły się Załościce, Barzyńce, Lublanki, Stryjówka, Kretowice, Zarudzie, Wachlówka — i cała okolica, jak okiem sięgnąć, płonęła jednym pożarem. Dymy w nocy stały się czerwone, gwiazdy świeciły na różowem tle nieba. Chmury ptactwa z lasów, gąszczów i stawów podnosiły się z wrzaskiem okropnym i krążyły w powietrzu oświetlonem pożogą, jakoby płomienie latające. Bydło w taborze, przerażone niezwykłym widokiem, poczęło ryczeć żałośnie.

— Nie może być—mówili między sobą w okopie starzy żołnierze—aby ów komunik tatarski takie rozniecił pożary; pewnie to sam Chmielnicki z kozakami i całą ordą się zbliża.

Jakoż nie były to czcze domysły, już bowiem pan Sierakowski przywiózł poprzedniego dnia wiadomość, że hetman zaporoski i chan tuż za komunikiem następują, czekano więc ich napewno. Żołnierze, co do jednego, byli na okopach, lud—na dachach i wieżach. Wszystkie serca biły niespokojnie. Niewiasty szlochały po kościołach, wyciągając ręce do Najświętszego Sakramentu. Gorsze od wszystkiego oczekiwanie przygniotło ciężarem miasto, zamek i obóz.

Ale nie trwało długo. Noc jeszcze nie zapadła zupełnie, gdy na widnokręgu ukazały się pierwsze szeregi kozackie i tatarskie, za nimi drugie, trzecie, dziesiąte, setne, tysiączne. Rzekłbyś: wszystkie lasy, chaszcze zerwały się nagle z korzeni i idą na Zba-

raż. Napróżno oczy ludzkie szukały końca tych szeregów; jak wzrok sięgnął, czerniło się mrowie ludzkie i końskie, ginące w dymach i łunach oddalenia. Szli jak chmury, albo jak szarańcza, która całą okolicę ruchomą, straszliwą masą pokryje. Przed nimi szedł groźny pomruk głosów ludzkich, jak wicher szumiący w boru, wśród wierzchołków starych sosen. Potem zatrzymawszy się o ćwierć mili, poczęli się rozkładać i zapalać nocne ogniska.

— Widzicie ognie — szeptali żołnierze — dalej idą, niż koń jednym tchem doleci.

— Jezus Marya! — mówił do Skrzetuskiego Zagłoba.—Mówię waćpanu, że lew jest we mnie i trwogi nie czuję, ale wolałbym, żeby ich jasne pioruny wszystkich do jutra zatrzasnęły. Jak mi Bóg miły, że ich zawiele! Już chyba i na dolinie Józefata większego t[illegible]ku nie będzie. I powiedz waćpan, o co tym złodziejom chodzi? N[illegible]ijąiedziałby to każdy psubrat lepiej w domu? nie robiłby spokoiersi, cźezczyzny? Co my winni, że nas Pan Bóg szlachtą, a ich ch[illegible] Przez[illegible]rzył i powinnymi im być kazał? Tfu! złość mię pory olbrz[illegible]ow człowiek, do rany mię przyłożyć, ale niechże mię do ręk[illegible]mnożyadzają. Zadużo oni mieli swobód, zadużo chleba, [illegible]oczek[illegible]li, jak myszy w gumnie — a teraz się na koty [illegible], i drugicie, poczekajcie! Jest tu kot, co się nazywa [illegible]tów? Żeby — Zagłoba! Co waść myślisz, czy będą ten[illegible]zdrowiem darować — co się tak w pokorę udali, jeszczeby ich możn[illegible] obozie jest dosyć? A do Jedno mię ciągle niepokoi, czy wiwendy [illegible]u tam ognie za tymi ognia[illegible] dyabła! patrzcie-no waszmościowie, zn[illegible]erć spa[illegible]ie na takowy con[illegible]mi — i dalej ognie! Niechże czarna śm[illegible] mo[illegible]sz o traktatach — od[illegible]ressus!

— Co was[illegible]tkich nas mają w ręku i ju[illegible]kł Skrzetuski — gdy oni sądzą, iż wsz[illegible]taną? co? — pytał Zagłoba. [illegible] dostaną!

— Ale nie d[illegible] wola. W każdym razie skoro

— Boska w te[illegible] łatwo. [illegible] jest książę, nie przyjdzie im to[illegible]n pocieszył! Nie o to mi chodzi, [illegible]

— Otoś mnie waćp[illegible]y wcale nie przyszło. [illegible] im łatwo nie przyszło, jeno że[illegible]tentowanie dla żołnierza, gdy darmo

— Niemałe to jest uk[illegible]h to pioruny zapalą, razem z wagardła nie daje.

— Pewnie, pewnie... Nie[illegible] i Wołodyjowski. szem ukontentowaniem!...

W tej chwili zbliżył się Podbipię[illegible]na pół miliona — rzekł

— Mówią, że ordy i kozactwa jest [illegible]głoba. — Dobra Litwin.

— Bodaj waści język odjęło! — krzyknął Za[illegible]owie- nowina!

— Przy szturmach łatwiej ich ciąć, niż w polu — odp[illegible] dział ze słodyczą pan Longinus.

— Skoro się książę nasz i Chmielnicki wreszcie spotkali — rzekł pan Michał, — to już o żadnych układach ani gadać. Albo starosta, albo Kapucyn. Jutro sądny dzień będzie! — dodał, zacierając ręce.

Mały rycerz miał słuszność. W tej wojnie, tak długiej, dwa lwy najstraszniejsze ani razu nie stanęły sobie oko w oko. Gromił jeden hetmanów i regimentarzy, drugi potężnych atamanów kozackich; za jednym i za drugim szło w trop zwycięstwo, jeden i drugi byli postrachem nieprzyjaciół — ale czyja szala miała przeważyć w bezpośredniem spotkaniu, teraz dopiero miało się rozstrzygnąć. Wiśniowiecki patrzał bowiem z okopu na nieprzejrzane ćmy tatarskie, kozackie—i napróżno starał się je objąć okiem— Chmielnicki spoglądał z pola na zamek i obóz, myśląc w duszy: „Tam mój wróg najstraszliwszy; gdy tego zetrę, któż mi się oprze?“

Łatwo to było zgadnąć, że walka między tymi dwoma ludźmi będzie długa i zaciekła, ale rezultat nie mógł być wątpliwy. Ów kniaź na Łubniach i Wiśniowcu stał na czele piętnastu tysięcy ludzi, licząc w to i sługi obozowe, gdy tymczasem za chłopskim wodzem szły ludyszcza, mieszkające od morza Azowskiego prowionu, aż do ujścia Dunaju. Szedł więc z nim chan, nad całem pły Krymskiej, Białogrodzkiej, Nohajskiej i Dobrudzkiego skiemu, jaud, który na wszystkich dorzeczach Dniestru i Dnie ru z rzekłbyał, szli niżowi i czerń nieprzeliczona — ze stepów, jarów, bo ł go ast, miasteczek, wsi i futorów, i ci wszyscy, k orzy pierwej siworskich lub koronnych chorągwiach służyli, szli Czerkasowie, Karałasze wołoscy, Turcy sylistryjscy, Tu y rumelijscy; szły nawet różne watahy Serbów i Bułgarów. Zdawać się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porz ciły mroczne stepowe sie dziby, ciągną na zachód, by nowe zie nie zająć, nowe państwo p tworzyć.

Taki to był stosun k sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw mor u! Więc nie dziwota że nie edno serce biło trwogą, i że nietylko w mieście, nietylko w ym kraju, ale w całej Rzeczyposp itej patrzono na ten samotny o kop, otoczony powodzią dz ich wojowników, jak na grobowiec wielkich rycerzy i wielk go ich wodza.

Tak samo zapewne patrzał i Chmielni cki, bo ledwie ognie rozpaliły się dobrze w jego obozach, gdy przed okopami kozak wysłaniec jął machać białą chorągwią, tr bić i krzyczeć, by nie strzelano.

Straże wyszły i porwały go natychmiast.

— Od hetmana do księcia Jaremy — rzekł im.

Kniaź jeszcze z kon nie zsiadł i stał na okopie z twarzą pogodną jak niebo. Łun ża odbijały mu się na oczach i obłóczyły różowym blaskiem przed obliczem jego delikatną bladą twarz. Kozak, stanąwszy a mrowie pańskiem, stracił mowę i łydy zadrżały pod nim, i jak przeszło mu przez ciało, choć to był stary wilk stepowy poseł przybywał.

— Kto ty? — pytał książę-wojewoda, utkwiwszy w niego swe spokojne źrenice.

— Ja setnik, Sokół... od hetmana.

— A z czem przychodzisz?

Setnik począł bić czołem pokłony, aż pod strzemiona księcia

— Przebacz, władyko! co mnie kazali, to powiem — ja nic nie winien!

— Mów śmiało.

— Hetman kazał mi powiedzieć, że w gości przybył do Zbaraża i jutro w zamku was odwiedzi.

— Powiedz mu, że nie jutro, ale dziś wydaję ucztę w zamku! — odrzekł książę.

Jakoż w godzinę później zagrzmiały na wiwaty moździerze, wzniosły się radosne okrzyki — i wszystkie okna zamkowe zajaśniały od tysiąca świec jarzących.

Chan, usłyszawszy wiwatowe strzały, głosy trąb i kotłów, wyszedł własną osobą przed namiot, w towarzystwie brata Nuradyna, sułtana Gałgi, Tuhaj-beja i wielu murzów, a następnie posłał po Chmielnickiego.

Hetman, jakkolwiek nieco już podpiły, stawił się natychmiast i bijąc pokłony, a zarazem przykładając palce do czoła, brody i piersi, czekał na zapytanie.

Przez długi czas chan spoglądał na zamek, świecący zdala jak olbrzymia latarnia, i kiwał zlekka głową, nakoniec pogładził się ręką po rzadkiej brodzie, która w dwóch długich kosmykach spadała na łasicową szubę, i rzekł, wskazując palcem jaśniejące szyby:

— Hetmanie zaporoski, co tam jest?

— Najpotężniejszy carzu — odrzekł Chmielnicki, — to kniaź Jarema ucztuje.

Chan zdumiał się.

— Ucztuje?...

— Trupy to jutrzejsze dziś ucztują — odrzekł Chmielnicki.

Wtem nowe wystrzały huknęły na zamku, zabrzmiały trąby, a zmieszane okrzyki doszły aż do dostojnych uszu chanowych.

— Jeden Bóg! — mruknął.— Lew jest w sercu tego giaura.

I po chwili milczenia dodał:

— Wolałbym z nim stać, niż z tobą.

Chmielnicki zadrżał. Ciężko on opłacał niezbędną przyjaźń tatarską, a do tego jeszcze nie był pewien straszliwego sojusznika. Lada fantazya chanowa — i wszystkie ordy mogły się zwrócić przeciw kozactwu, które wówczas byłoby zgubione bez ratunku. A przytem widział Chmielnicki jeszcze i to, że chan pomagał mu wprawdzie dla łupów, dla darów, dla nieszczęsnego jasyru, uważając się jednak za prawowitego monarchę, wstydził się w duszy stawać po stronie buntu przeciw królowi, po stronie takiego „Chmiela,“ przeciw takiemu Wiśniowieckiemu.

Hetman kozacki upijał się częstokroć, nietylko z nałogu, ale i z desperacyi...

— Wielki monarcho! — rzekł. — Jarema twój wróg. On to Tatarom odjął Zadnieprze, on pobitych murzów, jako wilki na drzewach, na postrach wieszał, on na Krym chciał iść ogniem i mieczem...

— A wy to nie czyniliście szkód w ułusach? — pytał chan.

— Jam twój niewolnik.

Sine wargi Tuhaj-beja poczęły drgać i kły błyskać; miał on między kozakami śmiertelnego wroga, który swego czasu cały czambuł w pień mu wyciął i samego ledwie nie schwytał. Nazwisko jego cisnęło mu się teraz do ust z nieubłaganą siłą mściwych wspomnień, więc nie wytrzymał i począł warczeć zcicha:

— Burłaj! Burłaj!

— Tuhaj-beju — rzekł natychmiast Chmielnicki — wy z Burłajem, za najjaśniejszem i mądrem rozkazaniem chanowem, zeszłego roku wodę na miecze leli.

Nowa salwa wystrzałów zamkowych przerwała dalszą rozmowę.

Chan rękę wyciągnął i zatoczył nią koło, obejmujące Zbaraż miasto, zamek i okop.

— Jutro to moje? — pytał, zwróciwszy się do Chmielnickiego.

— Jutro tamci pomrą — odparł Chmielnicki, z oczyma utkwionemi w zamek.

Potem nanowo jął bić pokłony i ręką dotykać czoła, brody i piersi, uważając rozmowę za skończoną. Chan też otulił się w łasicową szubę, bo noc była chłodna, choć lipcowa, i rzekł, zwróciwszy się ku namiotom:

— Późno już!...

Wówczas wszyscy poczęli się kiwać, jakby jedną siłą poruszani, a on szedł do namiotu zwolna i poważnie, powtarzając zcicha:

— Jeden Bóg!

Chmielnicki oddalił się również ku swoim, a przez drogę mruczał:

— Oddam ci zamek, i miasto, i łupy, i jeńców, ale Jarema będzie mój nie twój, choćby mi gardłem za niego zapłacić przyszło.

Stopniowo ogniska poczęły mgleć i gasnąć, stopniowo uciszał się głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów; jeszcze tu i owdzie odzywał się głos piszczałek, lub wołania koniuchów tatarskich, wyganiających konie na nocną paszę — poczem i te głosy umilkły i sen objął nieprzeliczone zastępy tatarskie i kozackie.

Tylko zamek huczał, grzmiał... wiwatował, jakby w nim wesele wyprawiano.

W obozie oczekiwano powszechnie, że szturm nazajutrz nastąpi. Jakoż od rana ruszyły się tłumy czerni, kozaków, Tatarów i innych dzikich wojowników, ciągnących z Chmielnickim, i szły ku okopom nakształt czarnych chmur, walących się na szczyt góry. Żołnierz, lubo już dnia poprzedniego napróżno starał się zliczyć ogniska, zdrętwiał teraz na widok tego morza głów. Lecz nie był to jeszcze szturm prawdziwy, ale raczej oględziny pola, szańców, fos, wałów i całego polskiego obozu. I jak wzdęta fala morska, którą wiatr żenie z dalekiej roztoczy, przyjdzie, spiętrzy się, zapieni, uderzy z hukiem, a potem cofnie się w dal, tak oni uderzali tu i owdzie, i znów się cofali i znów uderzali, jakby próbując oporu, jakby chcąc się

przekonać, czy samym swym widokiem, czy samą liczbą nie zgniotą ducha, nimby ciało zgnieść mogli.

Bili też z dział — i kule gęsto poczęły padać do obozu, z którego odpowiadały oktawy i ręczna strzelba, a jednocześnie na wałach zjawiła się procesya z Najświętszym Sakramentem, aby otrzeźwić odrętwiałe wojsko. Niósł ksiądz Muchowiecki złocistą monstrancyę, trzymając ją obu rękoma powyżej twarzy, a czasem podnosząc w górę — i szedł z przymkniętemi oczyma i ascetyczną twarzą, spokojny, przybrany w lamową kapę i pod baldachimem. Przy nim szło dwóch księży, trzymając go pod łokcie: Jaskólski, kapelan husarski, czasu swego przesławny żołnierz, w sztuce wojennej jakby wódz jaki doświadczony, i Żabkowski, również ex-wojskowy, olbrzymi Bernardyn, siłą jednemu tylko panu Longinowi w całym obozie ustępujący. Drążki baldachimu niosło czterech szlachty, między którymi był i Zagłoba — przed baldachimem zaś postępowały dziewczątka o słodkich twarzach, sypiące kwiaty. Szli tedy przez całą długość wałów, a za nimi starszyzna wojskowa, żołnierzom zaś na widok monstrancyi, błyszczącej nakształt słońca, na widok spokoju księży i onych dziewczątek, przybranych w bieli, rosły serca, przybywała odwaga, zapał wstępował w dusze. Wiatr roznosił krzepiący zapach mirry palonej w turybularzach; głowy wszystkich pochylały się z pokorą. Muchowiecki niekiedy wznosił monstrancyę i oczy ku niebu — i intonował pieśń: „Przed tak wielkim Sakramentem.“

Dwa potężne głosy, Jaskólskiego i Żabkowskiego, podchwytywały ją w lot, dośpiewując: „Upadajmy na twarzy“ — a całe wojsko śpiewało dalej: „Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy!“ Głęboki bas dział wtórował pieśni, a czasem kula armatnia przelatywała hucząc nad baldachimem i księżmi, czasem, uderzywszy poniżej w wał, zasypywała ich ziemią, aż pan Zagłoba kurczył się i przyciskał do drążka. Szczególnie strach chwytał go za włosy, gdy procesya dla modlitw stawała na miejscu. Wówczas trwało milczenie i kule słychać było doskonale, lecące stadem, jak wielkie ptaki; Zagłoba tylko się czerwienił coraz mocniej, a ksiądz Jaskólski zezował ku polu i nie mogąc wytrzymać, mruczał: „Kury im sadzać, nie z dział bić!“ —bo istotnie bardzo złych mieli puszkarzy kozacy, a on, jako dawny żołnierz, nie mógł spokojnie na taką niezręczność i takie marnowanie prochu patrzeć. I znowu szli dalej—aż doszli do drugiego końca wałów, na które też nie było ze strony nieprzyjaciela nigdzie wielkiego nacisku. Próbując tu i owdzie, szczególnie od zachodniego stawu, czy się nie uda wywołać popłochu, cofnęli się nakoniec Tatarzy i kozacy ku swoim stanowiskom i trwali w nich nie wysyłając nawet harcowników. Tymczasem procesya otrzeźwiła całkowicie oblężonych.

Widocznem już teraz było, że Chmielnicki czeka na przybycie swego taboru, jakkolwiek skądinąd był tak pewien, że pierwszy prawdziwy szturm wystarczy, iż zaledwie kilka szańców pod armaty kazał usypać i żadnych innych ziemnych robót nie przedsiębrał, aby zagrozić oblężonym. Tabor nadciągnął nazajutrz i stanął, wóz przy wozie, w kilkadziesiąt rzędów, na milę długości, od Wernia-

ków aż ku Dębinie -- z nim przyszły jeszcze nowe siły, a mianowicie pyszna piechota zaporoska, prawie janczarom tureckim równa, do szturmów i wstępnego boju o wiele od czerni i Tatarów sposobniejsza.

Pamiętny wtorkowy dzień 13-y lipca zeszedł na obustronnych gorączkowych przygotowaniach; już nie było wątpliwości, że szturm nastąpi, bo trąby, kotły i litaury grały od rana larum w kozackim obozie, a między Tatarstwem huczał, jak grzmot, wielki święty bęben, bałt zwany... Wieczór uczynił się cichy, pogodny; jeno z obu stawów i Gniezny podniosły się lekkie mgły—nakoniec pierwsza gwiazda zamigotała na niebie.

W tej chwili sześćdziesiąt armat kozackich ryknęło jednym głosem — nieprzejrzane zastępy ruszyły z krzykiem okropnym ku wałom i szturm się rozpoczął.

Wojska stały na wałach i zdawało im się, że ziemia drży pod ich nogami; najstarsi żołnierze nie pamiętali nic podobnego.

— Jezus, Marya! co to jest? — pytał Zagłoba, stojąc obok Skrzetuskiego z husaryą w przerwie wałowej — to nie ludzie idą na nas.

— Jakbyś waść wiedział, że nie ludzie; nieprzyjaciel woły przed sobą żenie, abyśmy się pierwej strzelbą na nie wysilili.

Stary szlachcic poczerwieniał jak burak, oczy wyszły na wierzch, a z ust buchnęło jedno słowo, w którem cała wściekłość, cały przestrach i wszystko, co mógł myśleć w tej chwili, było zawarte:

— Łajdaki!..

Woły, jak szalone, popędzane przez dzikich, pół nagich czabańczuków batami i palącemi się pochodniami, zdziczałe ze strachu, biegły naprzód z rykiem okropnym, to zbijając się w kupę, to pędząc, to rozbiegając lub zwracając w tył, a pędzone krzykiem, parzone ogniem, smagane surowcem, leciały znów ku wałom. Aż Wurcel począł ziać ogniem i żelazem, wówczas dymy zakryły świat — niebo poczerwieniało—przerażone bydło rozsypywało się, jakby je piorun rozegnał, połowa go padła—po ich trupach nieprzyjaciel szedł dalej.

Na przedzie, kłuci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku, którymi fosę mieli zasypywać. Byli to chłopi z okolic Zbaraża, którzy nie zdołali schronić się do miasta przed nawałą, zarówno młodzi mężczyzni, jak starcy i niewiasty. Biegło to wszystko z krzykiem, płaczem, i wyciąganiem rąk ku niebu, i wołaniem o litość. Włosy stawały na głowie od tego wycia, ale litość zamarła wówczas na ziemi: z jednej strony spisy kozackie pogrążały się w ich plecy, z drugiej kule Wurcla miażdżyły nieszczęsnych, kartacze rwały ich na sztuki, ryły w nich brózdy, więc biegli, bluzgali się we krwi — padali, podnosili się i znów biegli, bo pchała ich fala kozacka, kozacką turecka, tatarska...

Wnet fosa zapełniła się ciałami, krwią, worami z piaskiem — nakoniec zrównała się, i nieprzyjaciel z wyciem rzucił się przez nią.

Pułki pchały się jedne za drugimi; przy świetle działowego ognia widać było starszyznę, zaganiającą buzdyganami coraz nowe zastępy na okop. Co najprzebrańszy lud rzucił się na kwatery i wojska Jeremiego, bo widział Chmielnicki, iż tam będzie opór największy. Szły więc kurzenie siczowe, za nimi straszliwi perejasławscy z Łobodą, za nimi Woronczenko wiódł pułk czerkaski, Kułak pułk karwowski, Neczaj bracławski, Stepka humański, Mrozowiecki korsuński—szli i Kalniczanie, i potężny pułk białocerkiewski, piętnaście tysięcy ludzi liczący—a z nim sam Chmielnicki — w ogniu, jak szatan czerwony, szeroką pierś na kule wystawiający, z twarzą lwa, okiem orła—w chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, w płomieniach, na wszystko baczny, wszystkiem rządzący.

Za mołojcami szli dzicy dońscy kozacy; dalej Czerkasi, walczący nożami; tuż Tuhaj-bej wiódł wyborowych nohajców; za nimi Subagazi białogrodzkich Tatarów, tuż Kurdłuk śniadych Astrachańców, zbrojnych w olbrzymie łuki i strzały, z których każda niepledwie za dziryt ujść mogła. Szli jedni za drugimi tak gęsto, że gorący oddech z tyłu idących oblewał karki przodowym.

Ilu ich padło, nim doszli nakoniec do owej fosy, ciałami jeńców zasypanej, któż opowie, któż wyśpiewa! Lecz doszli, i przeszli i poczęli się drzeć na wały. Wówczas rzekłbyś, że ta noc gwiaździsta, to noc sądu ostatecznego. Działa, nie mogąc tłuc bliższych, ryczały ogniem na dalsze szeregi. Granaty, kreśląc łuki ogniste po niebie, leciały z chychotem piekielnym, czyniąc w ciemnościach dzień jasny. Piechota niemiecka i polska łanowa, a obok niej spieszeni dragoni książęcy, leli prawie wprost w twarze i piersi mołojców płomień i ołów.

Pierwsze ich szeregi chciały się cofać a pchane z tyłu nie mogły. Więc marli na miejscu. Krew bluzgała pod stopami następujących. Wały stały się ślizkie, obsuwały się po nich nogi, ręce, piersi. Oni darli się na nie, spadali i znów darli, przykryci dymem, czarni od sadzy, kłuci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią. Miejscami walczono już na białą broń. Widziałeś ludzi, jakby nieprzytomnych ze wściekłości, z wyszczerzonymi zębami, z twarzą zalaną krwią... Żywi walczyli na drgającej masie pobitych i konających. Nie było już słychać komendy, jeno krzyk ogólny, straszny, w którym ginęło wszystko: i grzechot strzelb, i charczenie rannych, i jęki, i syk granatów.

I trwała ta wałka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny. Naokół wału urósł drugi wał trupów—i tamował przystęp szturmującym. Siczowych wycięto niemal do nogi, pułk perejasławski leżał pokotem naokół wału; karwowski, bracławski i humański były zdziesiątkowane— ale inne pchały się jeszcze, popychane z tyłu przez gwardye hetmańskie, rumelskich Turków i urumbejskich Tatarów. Jednakże zamieszanie powstawało już w szeregach napastniczych, gdy tymczasem naokoło łanowe piechoty polskie, Niemcy i dragonia nie ustąpili dotąd ani piędzi. Zziajani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpół obłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich ku nieprzyjacielowi, tak właśnie, jak rozwście-

czeni wilcy rwą się ku stadu owiec. W tej chwili Chmielnicki natarł powtórnie z niedobitkami pierwszych pułków i z całą nietkniętą jeszcze potęgą białocerkwian, Tatarów, Turków i Czerkasów.

Działa z okopów przestały grzmieć, granaty świecić, tylko broń ręczna zgrzytała przez całą długość zachodniego wału. Zgiełk wszczął się na nowo. Nakoniec i strzelba umilkła. Ciemności pokryły walczących.

Już żadne oko nie mogło widzieć, co się tam dzieje—jeno przewracało się coś w pomroce, jakby olbrzymie cielsko potworu, rzucane konwulsyami. Nawet z krzyków nie można było poznać, czy brzmi w nich tryumf, czy rozpacz. Chwilami i one milkły, a wtedy słychać było tylko jakby olbrzymi jeden jęk, rozlegający się ze wszech stron, z pod ziemi, na ziemi, w powietrzu, wyżej i wyżej, jak gdyby i dusze odlatywały jęcząc z tego pobojowiska.

Ale były to krótkie przerwy: po takiej chwili wrzaski i wycia odzywały się z większą jeszcze siłą, coraz chrapliwsze, coraz bardziej nieczłowiecze.

Wtem znów zagrzmiał ogień ręcznej strzelby: to oberszter Machnicki z resztą piechoty przychodził w pomoc utrudzonym regimentom. Trąbki na odwrót poczęły grać w tylnych szeregach mołojców.

Nastała przerwa, pułki kozackie oddaliły się od okopu na staje i stanęły pod osłoną własnych dział — ale nie minęło i pół godziny, gdy Chmielnicki znowu zerwał się i po raz trzeci gnał je do szturmu.

Ale wówczas na okopie ukazał się na koniu sam książę Jeremi. Łatwo go było poznać, bo proporzec i buńczuk hetmański wiały mu nad głową, a zaś przed nim i za nim niesiono kilkadziesiąt palących się krwawo pochodni. Wnet poczęto bić z dział do niego, ale niewprawni puszkarze przerzucali kule daleko, aż za Gniezną, on zaś stał spokojnie i patrzał w zbliżające się chmury...

Kozacy zwolnili kroku, jakby oczarowani tym widokiem.

— Jarema! Jarema!—poszedł cichy pomruk, niby szum wiatru przez głębokie szeregi.

I stojąc na okopie wśród krwawych świateł, wydawał im się ten groźny książę, jakby olbrzym z baśni ludowej, więc drżenie przebiegło im utrudzone członki, a ręce czyniły znaki krzyża. On stał ciągle.

Skinął złotą buławą—i wnet złowrogie ptactwo granatów zaszumiało na niebie—i wpadło w następujące szeregi; zastępy zwinęły się, jak smok śmiertelnie rażony; okrzyk przerażenia przeleciał z jednego końca ławy na drugi:

— Biegiem! biegiem! — rozległy się głosy pułkowników kozackich.

Czarna ława ruszyła całym pędem ku wałom, pod którymi mogła znaleźć ochronę od granatów, ale nie przebiegła jeszcze ani połowy drogi, gdy książę, widny ciągle jak na dłoni, zwrócił się nieco ku zachodowi i znów skinął złotą buławą.

Na ten znak, od strony stawu, z przerwy między jego zwierciadłem a wałem, poczęła się wysuwać jazda — i w mgnieniu oka rozlała się na krańcu brzegowym równiny; przy świetle granatów widać było doskonale olbrzymie chorągwie husaryi Skrzetuskiego i Zaćwilichowskiego, dragonię Kuszla i Wołodyjowskiego i Tatarów książęcych Rostworowskiego. Za nimi wysuwały się coraz nowe pułki semenów i Wołochów Bychowca. Nietylko Chmielnicki, ale ostatni z ciurów kozackich poznał w jednej chwili, że zuchwały wódz postanowił rzucić całą jazdę w bok nieprzyjacielowi.

Natychmiast w szeregach mołojców zabrzmiały trąbki do odwrotu. „Czoło ku jeździe! czoło ku jeździe!“ — rozległy się przerażone głosy. Jednocześnie zaś Chmielnicki usiłował zmienić front swych wojsk i jazdą od jazdy się zasłonić. Ale już czasu nie było. Nim zdołał sprawić szyki, zerwały się książęce chorągwie i biegły jakby na skrzydłach, z okrzykiem: „Bij, zabij!“ z łopotem proporców, ze świstem piór i żelaznym chrzęstem zbroi. Husarye wraziły kopie w ścianę nieprzyjaciela i same wpadły za niemi, jak orkan, przelewając i druzgocząc wszystko po drodze. Żadna siła ludzka, żaden rozkaz, żaden wódz nie zdołał już utrzymać pułków pieszych, na które pierwszy impet się zwrócił. Dziki popłoch ogarnął wyborową gwardyę hetmańską. Białocerkwianie rzucali samopały, piszczele, spisy, kosy, kiścienie, szable i osłaniając głowy rękoma, gnali w obłędzie strachu, z rykiem zwierzęcym, na stojące w tyle oddziały Tatarów. Ale Tatarzy przyjęli ich ulewą strzał—więc rzucili się w bok i biegli wzdłuż taboru pod ogniem piechoty i dział Wurcla, ścieląc się trupem tak gęstym, że rzadko gdzie jeden na drugiego nie padał.

Ale tymczasem dziki Tuhaj-bej, wspomagany przez Subagaziego i Urum murzę uderzył ze wściekłością na nawałę husaryi. Nie miał on nadziei jej złamać, pragnął ją tylko, choćby na krótko powstrzymać, aby przez ten czas sylistryjscy i rumelscy janczarowie mogli sformować się w czworoboki, a białocerkwianie ochłonąć z pierwszego popłochu. Skoczył więc jak w dym — i sam leciał w pierwszym szeregu, nie jak wódz, ale jak prosty Tatar, i siekł, zabijał, narażał się razem z innymi. Krzywe szable nohajców dzwoniły po pancerzach i harnaszach, a wycie wojowników głuszyło wszystkie inne głosy. Lecz wytrzymać nie mogli. Wyparci z miejsca, naciskani strasznym ciężarem żelaznych jeźdźców, którym nie zwykli stawiać czoła otwarcie, spychani ku janczarom, cięci długimi mieczami, zrzucani z siodeł, kłuci, bici, gnieceni, jak jadowite robactwo, bronili się jednak z taką wściekłością, że istotnie pęd husaryi wstrzymali. Tuhaj-bej rzucał się nakształt niszczącego płomienia, a nohajcy szli przy nim, jak wilcy idą przy wilczycy.

Jednak ustępowali, coraz gęstszym trupem padając. Już krzyki: „Ałła!“ grzmiące z pola, zwiastowały, że janczarowie stanęli w ordynku, gdy do wściekłego Tuhaj-beja przypadł Skrzetuski i w łeb koncerzem go trzasnął. Lecz widać rycerz wszystkich sił jeszcze po chorobie nie odzyskał, lub może kuta w Damaszku misiurka cięcia wstrzymała, dość, że brzeszczot zwinął się na głowie i uderzywszy płaszczyzną, spękał się na drobne kawałki. Ale oczy Tuhaj-beja nocą

natychmiast się powlokły, zdarł konia i padł na ręce nohajców, którzy porwawszy swego wodza, pierzchli z wrzaskiem okropnym w obie strony, jak pierzcha mgła, zwiana wichrem gwałtownym. Wszystkie jazdy książęce znalazły się teraz wobec janczarów urumelskich i sylistryjskich i wobec watah poturczeńców serbskich, które razem z janczarami utworzyły jeden potężny czworobok i cofały się zwolna ku taborowi, zwrócone frontem ku wrogom, najeżone rurami muszkietów, ostrzami długich włóczni, dzirytów, berdyszów i handżarów.

Chorągwie pancerne, dragońskie i semeńskie pędziły ku nim, jak wicher, a na samym przedzie szła z łoskotem i tętentem husarska Skrzetuskiego. Sam on leciał naoślep w pierwszym szeregu, a przy nim pan Longinus na swej kobyle inflanckiej, ze straszliwym zerwikapturem w ręku.

Czerwona wstęga ognia przeleciała z jednego końca czworoboku na drugi — kule zaświstały w uszach jeźdźców, gdzieniegdzie człowiek jęknął, gdzieniegdzie koń się zwalił, linia jazdy łamie się, ale oni pędzą dalej; już dobiegają, już janczary słyszą chrapanie i zdyszany oddech koni—czworobok zbija się jeszcze ciaśniej i pochyla mur włóczni, trzymanych żylastemi rękoma, ku rozszalałym rumakom. Ile ostrz w tej chmurze, tyle śmierci grozi rycerzom.

W tem jakiś husarz-wielkolud dopada w niepowstrzymanym pędzie do ściany czworoboku; przez chwilę widać kopyta olbrzymiego konia zwieszone w powietrzu—następnie rycerz i rumak wpadają w środek ścisku, druzgocząc włócznie, przewalając ludzi, łamiąc, miażdżąc, niwecząc.

Jak orzeł spada na stado białych pardew, a one zbite przed nim w lękliwą kupę, idą na łup drapieżnika, który rwie je pazurami i dziobem—tak pan Longinus Podbipięta, wpadłszy w środek nieprzyjacielskich szyków, szalał ze swym zerwikapturem. I nigdy trąba powietrzna nie czyni takich spustoszeń w młodym i gęstym lesie, jakie on czynił w ścisku janczarów. Straszny był: postać jego przybrała nieczłowiecze wymiary; kobyła zmieniła się w jakiegoś smoka, ziejącego płomień z nozdrzy, a zerwikaptur troił się w ręku rycerza. Kisler-Bak, olbrzymi aga, rzucił się na niego i padł przecięty, na dwoje. Próżno co tęższe chłopy wyciągną ręce, zastawią mu się włóczniami— wnet mrą, jakby rażeni gromem — on zaś tratuje po nich, ciska się w tłum największy i co machnie — rzekłbyś, kłosy pod kosą padają, robi się pustka, słychać wrzask przestrachu, jęki, grzmot uderzeń, zgrzyt żelaza o czaszki i chrapanie piekielnej kobyły.

— Diw! diw!—wołają przerażone głosy.

W tej chwili żelazna nawała husaryi, ze Skrzetuskim na czele, runęła bramą, otwartą przez litewskiego rycerza; ściany czworoboku pękły, jak ściany walącego się domu, i masy janczarów rzuciły się w ucieczce na wszystkie strony.

Czas też był na to, bo nohajcy, pod Subagazim, wracali już, jak wilki krwi żądne, do bitwy, a z drugiej strony Chmielnicki, zebrawszy na nowo białocerkwian, szedł z pomocą janczarom — lecz teraz zmieszało się wszystko. Kozacy, Tatarzy, poturczeńcy, janczarowie uciekali w największym nieładzie i popłochu ku taborom, nie dając

żadnego oporu. Jazda parła ich, siekąc na oślep. Kto nie zginął w pierwszem staju, zginął w drugiem. Pogoń była tak zacięta, że chorągwie prześcignęły tylne szeregi uciekających; żołnierzom ręce mdlały od cięcia. Tłumy rzucały broń, chorągwie, czapki, a nawet świty. Białe kapuzy janczarskie pokryły, jak śniegiem, pole. Cała wyborna milicya Chmielnickiego, piechota, jazda, artylerya, posiłkowe oddziały tatarskie i tureckie utworzyły jedną bezładną masę, nieprzytomną, obłąkaną, oślepłą z przerażenia. Całe setki uciekały przed jednym towarzyszem. Husarya rozbiwszy piechoty i Tatarów uczyniła swoje, teraz zaś dragoni i lekkie chorągwie szły z sobą w zawody, a na ich czele pan Wołodyjowski z Kuszlem szerzyli wiarę ludzką przechodzące klęski. Krew pokryła jedną kałużą straszliwe pobojowisko i chlupotała, jak woda, pod gwałtownemi uderzeniami kopyt końskich, pryskając na zbroje i twarze rycerzy.

Uciekające tłumy odetchnęły dopiero wśród wozów swego taboru, gdy trąby odwołały jazdę książęcą.

Rycerstwo wracało ze śpiewem i okrzykami radości, licząc po drodze dymiącemi szablami trupy nieprzyjaciół. Ale któż mógł jednym rzutem oka rozmiary klęski ocenić? kto mógł wszystkich policzyć, gdy przy samym okopie leżały ciała, jedne na drugich, „na chłopa wysoko?“ Żołnierze byli jakby zaczadzeni surowymi wyziewami krwi i potu. Szczęściem, od strony stawów wstał dość silny wiatr i zwiał te zaduchy ku nieprzyjacielskim namiotom.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie straszliwego „Jaremy“ z Chmielnickim.

Ale szturm nie był skończony, bo kiedy Wiśniowiecki odpierał ataki, wymierzone na prawe skrzydło obozu, Burłaj na lewem omało co nie stał się panem okopów. Obszedłszy cicho miasto i zamek na czele zadnieprzańskich wojowników, dotarł do wschodniego stawu i uderzył potężnie na Firlejowe kwatery. Nie mogła wytrzymać uderzenia węgierska piechota tam stojąca, bo wały przy stawie nie były jeszcze dokończone — i pierwszy chorąży pierzchnął z banderyą, za nim zaś cały pośpieszył regiment. Burłaj wskoczył do środka, a za nim zadnieprzańcy ruszyli, jak niewstrzymany potok. Krzyki zwycięstwa dobiegły aż do przeciwnego końca obozu. Kozacy, pędząc za uciekającymi Węgrami, rozbili mały oddział jazdy, zdobyli kilka dział i już docierali do kwater kasztelana bełskiego, gdy pan Przyjemski, na czele kilku rot niemieckich, nadbiegł z pomocą. Przebiwszy jednem pchnięciem chorążego, porwał za chorągiew i rzucił się z nią na nieprzyjaciela, nim Niemcy zwarli się potężnie z kozactwem. Zawrzała straszliwa walka ręczna, w której z jednej strony zaciekłość i przygniatająca liczba Burłajowych zastępów, z drugiej męstwo starych lwów z trzydziestoletniej wojny szły z sobą o lepszą. Napróżno Burłaj ciskał się w najgęstsze szeregi walczących, nakształt rannego odyńca. Ani pogarda śmierci, z jaką walczyli mołojcy, ani ich wytrwałość nie mogła powstrzymać niepohamowanych Niemców, którzy, idąc murem naprzód, razili ich tak potężnie, że wyparli zaraz z miejsca, przyparli do okopów, zdziesiątkowali, i po półgodzinnej walce, wy-

rzucili za wały. Pan Przyjemski, zalany krwią, pierwszy zatknął swą chorągiew na niedokończonym nasypie.

Położenie Burłaja było teraz straszne, musiał bowiem cofać się tą samą drogą, którą nadszedł, a że Jeremi zgniótł już właśnie atakujących prawe skrzydło, mógł więc z łatwością odciąć cały Burłajowy oddział. Przyszedł mu wprawdzie z pomocą Mrozowicki na czele korsuńskich konnych mołojców, ale w tej chwili ukazała się husarya pana Koniecpolskiego, do niej przyłączył się wracający z ataku na janczarów Skrzetuski i obaj odcięli cofającego się dotychczas w porządku Burłaja.

Jednym atakiem rozbili go w puch, i wtedy to poczęła się rzeź okropna. Kozacy, mając zamkniętą drogę do taborów, mieli tylko drogę śmierci otwartą. Jedni też, nie prosząc pardonu, bronili się zaciekle gromadkami lub pojedynczo, inni próżno wyciągali ręce ku jeźdźcom, huczącym jak wicher po bojowisku. Rozpoczęły się gonitwy, przebiegania, pojedyncze walki, wyszukiwania nieprzyjaciół ukrytych w rozpadlinach i nierównościach gruntu. Z okopów, aby oświecić pobojowisko, zaczęto rzucać pozapalane maźnice ze smołą, które leciały jak ogniste meteory z grzywą płomienną. Przy tych czerwonych blaskach docinano reszty zadnie[illegible]rzańców.

Skoczył im jeszcze na pomoc i Subagazi, który dnia tego cudów męstwa dokazywał, ale przesławny Marek Sobieski, starosta krasnostawski, osadził go na miejscu, jak lew osadza dzikiego bawołu — więc widział już Burłaj, że znikąd nie ma ratunku. Aleś, Burłaju, sławę swą kozaczą kochał więcej niż życie, dlategoś nie szukał ocalenia! Inni wymykali się w ciemnościach, kryli się po szczelinach, prześlizgiwali się między kopytami rumaków, on zaś szukał jeszcze wrogów. Sam ściął pana Dąbka, i pana Rusieckiego, i młode lwie pachołę pana Aksaka, tego samego, który pod Konstantynowem nieśmiertelną okrył się sławą; potem porwał pana Sawickiego, potem dwóch odrazu skrzydlatych husarzy rozciągnął na ziemi rodzącej, nakoniec widząc ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym pobojowisko, zerwał się i szedł, jak błyszczący płomień na niego.

Pan Zagłoba — on był bowiem — ryknął ze strachu jeszcze silniej i zwrócił konia do ucieczki. Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem, fortele, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: „Mości panowie! kto w Boga wierzy!“... i gnał jak wicher ku gęstszej kupie jeźdźców. Burłaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: „Zdechnę, ja i pchły moje!“ — słyszał za sobą prychanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i że żadna inna ręka chyba jego własna, nie wyrwie go z Burłajowej paszczęki.

Ale w tej ostatniej chwili, w tej już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestrach zmieniły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy, i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika.

— Zagłobę goniszl—krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną.

W tej chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów; uczyniło się widno. Burłaj spojrzał i zdumiał się.

Nie zdumiał się, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał — ale poznawszy męża, którego, jako Bohunowego przyjaciela ugaszczał niedawno w Jampolu.

Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciął go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwalił z konia.

Było to na oku wszystkiego wojska. Radosnym wrzaskom usarskim odpowiedział okrzyk przerażenia mołojców, którzy, widząc śmierć starego lwa czarnomorskiego, stracili resztę ducha i zaniechali wszelkiego oporu. Których nie wyrwał z toni Subagazi, ci zginęli wszyscy co do jednego—bo jeńców wcale tej straszliwej nocy nie brano.

Subagazi pierzchnął ku taborom, goniony przez starostę krasnostawskiego i lekką jazdę. Szturm na całej linii okopów był odparty—tylko pod taborem kozackim wrzała jeszcze wysłana w pogoń jazda.

Okrzyk tryumfu i radości wstrząsnął całym obozem oblężonych, a potężne okrzyki aż ku niebu się wzbiły. Krwawi żołnierze, okryci potem, pyłem, czarni od prochu, z ociekłemi twarzami i brwią jeszcze zmarszczoną, z płomieniem jeszcze niezgasłym w oczach, stali oparci na broni, chwytając piersiami powietrze, gotowi znów zerwać się do boju, gdyby tego zaszła potrzeba. Ale powoli wracała i jazda z krwawego żniwa pod taborem; potem zjechał na pobojowisko sam książę, a za nim regimentarze, pan chorąży, pan Marek Sobieski, pan Przyjemski. Cały ten świetny orszak posuwał się zwolna wzdłuż okopu.

— Niech żyje Jeremi! — wołało wojsko — niech żyje ojciec nasz!

A książę, bez hełmu, kłaniał się głową i buławą na wszystkie strony.

— Dziękuję waszmościom! dziękuję waszmościom!—powtarzał dźwięcznym, donośnym głosem.

Potem zwrócił sie do pana Przyjemskiego.

— Ten okop jest za duży!—rzekł.

Przyjemski skinął głową na znak zgody.

I przejechali wodze zwycięscy od zachodniego aż do wschodniego stawu, opatrując pobojowsko, szkody, jakie nieprzyjaciel w wałach porobił, i same wały.

Tymczasem poza orszakiem książęcym, uniesieni zapałem żołnierze nieśli wśród okrzyków, na ręku do obozu pana Zagłobę, jako największego trymfatora w dniu dzisiejszym. Ze dwadzieścia tęgich rąk podtrzymywało w górze okazałą postać wojownika, wojownik zaś czerwony, spocony, machając rękoma dla utrzymania równowagi, krzyczał co siły:

— Ha! Żadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcej, psubrat, burłajował.

Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym!... Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie. Trzymajcie-że dobrze, macie trzymać!... Miałem z nim robotę, wierzcie mi! O szelmy! lada hultaj dziś szlachcicowi się nadstawi! Ale mają za swoje!... Ostrożnie! Puśćcie do dyabła!

— Niech żyje! niech żyje!—krzyczała szlachta.

— Do księcia z nim!—powtarzali inni.

— Niech żyje! niech żyje!!!

Tymczasem hetman zaporoski, przypadłszy do swego taboru, ryczał jak dziki ranny zwierz, darł żupan na piersiach i kaleczył sobie twarz. Starszyzna, ocalała z pogromu, otoczyła go w ponurem milczeniu, nie niosąc ani słowa pociechy, a jego obłęd prawie pochwycił. Wargi miał spienione, piętami bił w ziemię, obu rękoma szarpał włosy w czuprynie.

— Gdzie moje pułki? gdzie mołojcy?—powtarzał chrapliwym głosem.—Co powie chan! co powie Tuhaj-bej! Wydajcie mnie Jeremie! niech moją głowę na pal wbiją!

Starszyzna milczała ponuro.

— Czemu mnie worożychy wiktoryę przepowiadały? — ryczał dalej hetman.—Urezać szyję wiedźmom—czemu mnie mówiły, że Jaremę dostanę?

Zwykle, gdy ryk tego lwa wstrząsał taborem, pułkownicy milczeli—ale teraz lew był zwyciężony i zdeptany, szczęście zdawało się go opuszczać, więc klęska uzuchwaliła starszyznę.

— Jaremie nie zderżysz—mrunął ponuro Stepka.

— Zgubisz nas i siebie!—ozwał się Mrozowicki.

Hetman skoczył ku nim, jak tygrys.

— A kto sprawił Żółte Wody? kto Korsuń? kto Piławce?

— Ty!—rzekł szorstko Woronczenko—ale tam Wiśniewieckiego nie było.

Chmielnicki porwał się za czuprynę.

— Ja chanowi przyrzekł dziś nocleg w zamku! — wył z rozpaczy.

Na to Kułak:

— Co ty chanowi przyrzekał, to twoja głowa! Ty jej pilnuj, by ci z karku nie spadła... ale do szturmu nas nie pchaj, rabów bożych nie gub! Wałami Lachów otocz, szańce każ sypać pod puszki—inaczej hore tobi.

— Hore tobi!—powtórzyły ponure głosy.

— Hore wam!—odrzekł Chmielnicki.

I tak oni rozmawiali groźnie jak grzmoty... Wreszcie Chmielnicki zatoczył się i rzucił na pęki owczych skór, pokrytych dywanami, w rogu namiotu.

Pułkownicy stali nad nim ze zwieszonemi głowami, i długi czas trwało milczenie; nakoniec hetman podniósł głowę i zakrzyknął chrapliwie:

— Horyłki!...

— Nie będziesz pił — warknął Wyhowski. — Chan przyśle po ciebie.

Tymczasem chan siedział o milę drogi od pola bitwy, nie wiedząc, co się na placu dzieje. Noc była spokojna i ciepła, więc siedział pod namiotem wśród mułłów i agów — i w oczekiwaniu na nowiny, pożywał daktyle ze srebrnej misy, obok stojącej, czasem zaś poglądał na wyiskrzone niebo, mrucząc:

— Mahomet Rossullah!

Wtem, na spienionym koniu, przypadł zadyszany, okryty krwią, Subagazi; zeskoczył z siodła i zbliżywszy się szybko, począł bić pokłony, czekając na zapytanie.

— Mów!—rzekł chan ustami pełnemi daktylów.

Subagaziemu słowa paliły płomieniem wargi, ale nie śmiał przemówić bez zwykłych tytułów, rozpoczął więc, bijąc ciągle czołem, w następny sposób:

— Najpotężniejszy chanie wszystkich ord, wnuku Mahometa, samodzielny monarcho, panie mądry, panie szczęśliwy, panie drzewa zaleconego od wschodu do zachodu, panie drzewa kwitnącego...

Tu chan skinął ręką i przerwał. Widząc na twarzy Subagaziego krew, a w oczach ból, żal i rozpacz, wypluł niedojedzone daktyle na rękę, następnie oddał je jednemu z mułłów, który przyjął je z oznakami czci nadzwyczajnej i zaraz spożywać począł — chan rzekł:

— Mów prędko, Subagazi, i mądrze: azali obóz niewiernych wzięty?

— Bóg nie dał!

— Lachy?

— Zwyciężcy.

— Chmielnicki?

— Pobity.

— Tuhaj-bej?

— Ranny.

— Bóg jeden!—rzekł chan.—Ilu wiernych poszło do raju?

Subagazi wzniósł oczy w górę i wskazał krwawą ręką wyiskrzone niebo.

— Ile tych świateł u stóp Ałłaha—odrzekł uroczyście.

Tłusta twarz chanowa poczerwieniała, gniew chwytał go za piersi.

— Gdzie ten pies—pytał—który mi obiecał, że dziś w zamku będziemy spali? Gdzie ten wąż jadowity, którego Bóg zdepcze moją nogą? Niech się stawi i zda sprawę ze swych obmierzłych obietnic!

Kilku murzów ruszyło natychmiast po Chmielnickiego, chan zaś uspokajał się zwolna, nakoniec rzekł:

— Bóg jeden!

Potem zwrócił się do Subagaziego.

— Subagazi! — rzekł — krew jest na twojej twarzy.

— To krew niewiernych — odparł wojownik.

— Mów, jak ją rozlałeś i uciesz nasze uszy męstwem wiernych.

Tu Subagazi począł opowiadać obszernie o całej bitwie, wychwalając męstwo Tuhaj-beja, Gałgi i Nuradyna; nie zmilczał także i o Chmielnickim, owszem, wysławiał go na równi z innymi, wolę Bożą jedynie i wściekłość niewiernych za przyczynę klęski podając. Jeden szczegół uderzył chana w jego opowiadaniu, mianowicie, że do Tatarów nie strzelano wcale z początku bitwy i że jazda książęca uderzyła na nich dopiero wtedy, gdy jej zastąpili pole.

— Ałłah!... nie chcieli ze mną wojny — rzekł chan — ale teraz za późno...

Tak było w istocie. Książę Jeremi z początku bitwy zabronił strzelać do Tatarów, chcąc wpoić w żołnierzy przekonanie, że układy z chanem już rozpoczęte i że ordy pozornie tylko stają po stronie czerni. Później dopiero siłą rzeczy przyszło do spotkania i z Tatarami.

Chan kiwał głową, namyślał się w tej chwili, czyby jeszcze nie lepiej było zwrócić oręż przeciw Chmielnickiemu, gdy nagle sam hetman stanął przed nim. Chmielnicki był już spokojny i zbliżył się z podniesioną głową, śmiało patrząc w oczy chanowi; na twarzy malowała mu się chytrość i odwaga.

— Zbliż się, zdrajco — rzekł chan.

— Zbliża się hetman kozacki i nie zdrajca, ale wierny sojusznik, któremuś pomoc nietylko w szczęściu obiecał — odrzekł Chmielnicki.

— Idź, nocuj w zamku! idź, wyciągnij za łeb Lachów z okopu, jakeś mi obiecywał!

— Wielki chanie wszystkich ord! — odrzekł silnym głosem Chmielnicki. — Jesteś potężny i obok sułtana najpotężniejszy na ziemi; jesteś mądry i silny, ale czy możesz wypuścić strzałę z łuku aż pod gwiazdy, albo zmierzyć głębokość morza?

Chan spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Nie możesz — mówił coraz silniej Chmielnicki, — tak i ja nie mogłem zmiarkować całej pychy i zuchwalstwa Jaremy. Zali mogłem pomyśleć, że nie ulęknie się ciebie, chanie, że nie upokorzy się na twój widok, nie uderzy czołem przed tobą, ale wzniesie rękę zuchwałą na ciebie samego, przeleje krew twoich wojowników i będzie ci urągał, potężny monarcho, jak ostatniemu z twoich murzów? Gdybym ja tak śmiał myśleć — ciebiebym znieważył, którego czczę i miłuję.

— Ałłah! — rzekł chan, coraz bardziej zdziwiony.

— Lecz to ci powiem — mówił dalej Chmielnicki z coraz większą pewnością w głosie i postawie, — jesteś wielki i potężny; od wschodu aż do zachodu narody biją ci czołem i lwem zowią. Jeden Jarema nie pada na twarz przed twoją brodą; więc jeżeli go nie zetrzesz, jeżeli karku mu nie ugniesz i po jego grzbiecie nie będziesz na koń siadał, za nic twoja potęga, za nic twoja sława, bo powiedzą, że jeden kniaź lacki pohańbił krymskiego carza i kary nie odebrał — że on większy, że potężniejszy od ciebie.

Nastało głuche milczenie, murzowie, agowie i mułłowie patrzali jak w słońce w twarz chana, tamując oddech w piersiach, a on oczy miał zamknięte i myślał...

Chmielnicki wsparł się buławą i czekał śmiało.

— Rzekłeś — przemówił w końcu chan — zegnę kark Jaremy, po jego grzbiecie na koń będę siadał, ażeby nie mówiono od wschodu do zachodu, że jeden pies niewierny mnie pohańbił.

— Bóg jest wielki! — zawołali wielkim głosem murzowie.

Chmielnickiemu zaś radość strzeliła z oczu: za jedną drogą odwrócił zgubę wiszącą nad swoją głową i sprzymierzeńca wątpliwego w najwierniejszego zmienił.

Ten lew umiał w każdej chwili w węża się przedzierzgnąć.

Oba obozy huczały do późna w noc, jak huczą pszczoły na wyroju przygrzane słońcem wiosennem, a tymczasem na pobojowisku spali snem nieprzebudzonym i wiecznym rycerze, pobodzeni włóczniami, pocięci mieczem, poprzeszywani przez strzały i kule. Księżyc zeszedł i rozpoczął wędrówkę po tem polu śmierci: więc odbijał się w kałużach skrzepłej krwi, wydobywał z pomroki coraz nowe stosy poległych, schodził z jednych ciał, wchodził cicho na drugie, przeglądał się w otwartych martwych źrenicach, oświecał sine twarze, szczątki potrzaskanej broni, trupy końskie — i promienie jego bladły coraz bardziej, jakby przerażone tem, co widziały. Po polu biegały gdzieniegdzie pojedynczo i gromadkami jakieś złowrogie postacie: to czeladź i ciury przyszli odzierać pobitych, jak szakale przychodzą po lwach... Lecz jakaś zabobonna bojaźń spędziła ich w końcu z pobojowiska. Było coś straszliwego, coś tajemniczego w tem polu, pokrytem trupami, w tym spokoju i nieruchomości żywych niedawno kształtów ludzkich, w tej cichej zgodzie, w jakiej leżeli obok siebie Polacy, Turcy, Tatarzy i kozacy. Wiatr niekiedy zaszumiał w zaroślach, rosnących na pobojowisku, a żołnierzom czuwającym w okopie wydało się, że to dusze ludzkie kołują tak nad ciałami. Jakoż i mówiono, że gdy północ wybiła w Zbarażu, na całem polu, od okopu aż do taboru, zerwały się z szumem jakoby niezmierne stada ptactwa. Słyszano jakieś rozpłakane głosy powietrzne, jakieś ogromne westchnienia, od których włosy stawały na głowie, i jakieś jęki. Ci, co mieli jeszcze ledz w tej walce i których uszy otwartsze były na zaziemskie wołania, słyszeli wyraźnie, jak dusze polskie odlatując, wołały: „Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!“— a zaś kozackie jęczały: „Chryste! Chryste, pomiłuj!“ — bo jako w bratobójczej wojnie poległe, nie mogły wprost do wiekuistej światłości ulecieć, ale przeznaczone im było lecieć gdzieś w dal ciemną i razem z wichrem krążyć nad padołem łez, i płakać, i jęczeć po nocach, dopóki odpuszczenia wspólnych win, i zapomnienia, i zgody u nóg Chrystusowych nie wyżebrzą...

Ale wówczas zatwardziły się jeszcze bardziej serca ludzkie i żaden anioł zgody nie przelatywał nad pobojowiskiem.

ROZDZIAŁ XXV.

Nazajutrz, nim słońce rozlało złote blaski na niebie, stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przyjemskim postanowili zamknąć wojska do ciaśniejszych okopów. Pracowano nad tem gwałtownie całą noc, a husarya narówni ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu, ale też spali wszyscy, oprócz straży kamiennym snem, bo i nieprzyjaciel pracował także w nocy, a następnie nie poruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba, siedząc w namiocie, spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami sera — rozmawiali o trudach ubiegłej nocy z tem zadowoleniem, z jakiem żołnierze rozmawiają o świeżem zwycięstwie.

— Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju, a wstawać o rannym, jak czynili starożytni — mówił pan Zagłoba — ale na wojnie trudno! Śpisz, kiedy możesz, wstajesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa, że dla takiego tałałajstwa musimy się inkomodować. Ale trudno, takie czasy. Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechciałoby się im nas budzić.

— Nie wiesz waćpan, czy siła naszych poległa? — pytał Podbipięta.

— I! niewielu; jak to zawsze bywa, że oblegających zawsze więcej ginie, niż oblężonych. Waćpan się na tem nie znasz tak, jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my starzy praktycy nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować.

— Przyuczę się i ja przy waćpanach — rzekł ze słodyczą pan Longinus.

— Pewnie, że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopisze, czego się niebardzo spodziewam.

— Daj-że waćpan spokój — ozwał się Skrzetuski.—Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podbipięty, a daj Boże najlepszym rycerzom tak stawać, jak on wczoraj.

— Robiło się, co mogło — odrzekł Litwin, — nie tyle, ileby się chciało.

— Owszem! owszem! wcale nieźle waćpan stawałeś — mówił protekcyonalnie Zagłoba, — a że cię inni przewyższyli (tu począł wąsa podkręcać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczonemi oczyma i westchnął, marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł raźno pan Michał, wesoły jak szczygieł w pogodny ranek.

— No! tośmy w kupie! — zawołał pan Zagłoba. — Dajcie-że mu piwa.

Mały rycerz uścisnął ręce trzem towarzyszom i rzekł:

— Żebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imaginacyę! Nie przejdziesz, żebyś się nie potknął.

— Widziałem i ja to — odrzekł Zagłoba,— bom też wstawszy, przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata kury w całym powiecie Lwowskim tyle jaj nie naznoszą. Ej, gdyby to były jaja, dopierobyśmy używali jajecznicy. A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicy największy specyał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Żjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików, piecuchów, co nieculki ulęgałek nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

— No! aleś się waćpan wczoraj z Burłajem popisał — rzekł mały rycerz.— Burłaja tak ściąć — ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Turecczyznę.

— Co? ha! — rzekł z zadowoleniem Zagłoba — nie pierwszyzna mi to, nie pierwszyzna, panie Michale.— Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt, choćby na Stambuł. Bo uważcie tylko: pan Skrzetuski zabił Bardabuta, a wczoraj Tuhaj-beja.

— Tuhaj-bej nie zabit — przerwał porucznik — sam czułem, że mi się ostrze zwinęło, później też zaraz nas rozdzielili.

— Wszystko jedno — rzekł Zagłoba — nie przerywaj, panie Janie. Pan Michał usiekł w Warszawie Bohuna, jakeśmy to mówili...

— Lepiejbyś waść nie wspominał — rzekł Litwin.

— Co się wymówiło, to się wymówiło — odparł Zagłoba,— choć wolałbym nie wspominać, ale idę dalej; otóż pan Podbipięta z Mysikiszek zdusił owego Pułjana, a ja Burłaja. Nie zamilczę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich za jednego Burłaja i że pono najcięższą miałem robotę. Dyabeł to był, nie kozak, co? Żebym tak miał synów, legitime natos, pięknebym im imię zostawił. Ciekawym tylko, co Król Jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej, niż czem innem, żywimy.

— Był większy od nas wszystkich rycerz — rzekł pan Longinus,— a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta.

— A to ciekawym kto taki? chyba w starożytności? — rzekł urażony Zagłoba.

— Nie w starożytności, ale, brateńku, ten, który Gustawa Adolfa pod Trzcianną razem z koniem obalił i w jasyr wziął — rzekł Litwin.

— A ja słyszałem, że było to pod Puckiem — wtrącił pan Michał.

— Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł—rzekł Skrzetuski.

— Tak jest! Wiem ja coś o tem — mówił, przymykając oko pan Zagłoba,— bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego, służył — wiem ja coś o tem! Modestya to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska, i dlatego nikt go nie wie. Chociaż, wierzcie w to, co powiem: Gustaw Adolf wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedynczem spotkaniu z Burłajem cięższa była robota—ja wam to mówię!

— To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa?– pytał pan Wołodyjowski.

— Albożem ci się pochwalił, panie Michale?... niech tam to już zostanie w niepamięci — mam ja się i dziś z czem pochwalić, co będę dawne czasy wspominał! Strasznie to piwsko burczy w żywocie — a im więcej w niem sera, tem więcej burczy. Wolę winną polewkę — choć chwała Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy. Ksiądz Żabkowski mnie mówił, że ponoś wiwendy skąpo, a on się tem bardzo niepokoi, bo ma brzuch, jak gumno. Setny to Bernardyn! okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza, niż mnicha. Kiedyby kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

— Ale! — rzekł mały rycerz — nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynał sobie tej nocy ksiądz Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży, po prawej stronie zamku — i patrzał na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki strzela. Powiada tedy do Żabkowskiego: „Nie będę do kozaków strzelał, bo zawsze to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta czynią, ale do Tatarów (powiada) nie wytrzymam!“— i jak jął dmuchać, tak ich podobno coś półkopy przez całą bitwę popsował.

— Żeby to wszystko duchowieństwo było takie! — westchnął Zagłoba, — ale nasz Muchowiecki, to jeno ręce ku niebu wznosi a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje.

— Daj waść pokój—rzekł poważnie Skrzetuski. — Ksiądz Muchowiecki święty ksiądz, i w tem masz najlepszy dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zacnością schylają.

— Nietylko ja też nie neguję jego świątobliwości — odparł Zagłoba — ale myślę, że i samego chana potrafiłby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierdzić, aż wszy na nim koziołki ze strachu przewracają! Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojadę i ja z komisarzami. Znamy się zdawna i niegdyś wielce mnie miłował. Może też sobie przypomni.

— Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku, tak jak po polsku, mówi—rzekł Skrzetuski.

— I ja tak samo, a z murzami znamy się, jak łyse konie. Córki mi swoje w Krymie chcieli oddawać, żeby się potomstwa pięknego doczekać, a żem był młody i pactów conventów nie zawierałem

ze swoją niewinnością, jako imć Podbipięta z Mysikiszek, więcem tam siła figlów napłatał.

— Słuchać hadko!—rzekł pan Longinus, spuszczając oczy.

— A waćpan to jako szpak wyuczony jedno w kółko powtarzasz. Widać, że bocwinkowie mowy ludzkiej dobrze jeszcze nie umieją.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar, wychodzący z zewnątrz namiotu—więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje. Mnóstwo żołnierzy stało na okopie, spoglądając na okolicę, która w ciągu nocy zmieniła się znacznie i jeszcze w oczach się zmieniała. Kozacy również nie próżnowali od czasu ostatniego szturmu, ale sypali szańce, zaciągali na nie działa, tak długie i donośne, jakich nie było w polskim obozie, porozpoczynali poprzeczne, wężowato idące fosy, aprosze; zdaleka wydawały się te nasypy, jak tysiące olbrzymich kretowisk. Cała pochyła równina była nimi pokryta, świeżo skopana ziemia czerniła się wszędzie między zielonością—i wszędy mrowiło się od pracującego ludu. Na pierwszych wałach migotały także krasne czapki mołojców.

Książę stał na okopie w towarzystwie starosty krasnostawskiego i pana Przyjemskiego. Poniżej kasztelan bełski poglądał przez perspektywę na roboty kozackie i mówił do podczaszego koronnego:

— Nieprzyjaciel rozpoczyna regularne oblężenie. Widzę, że trzeba nam będzie obrony w okopie poniechać i do zamku się przenieść.

Usłyszał te słowa książę Jeremi i rzekł, pochylając się z góry ku kasztelanowi:

— Niechże nas Bóg od tego broni, bo dobrowolnie jakoby w potrzaskbyśmy wleźli. Tu nam żyć albo umierać.

— Takie i moje zdanie, choćbym miał codzień jednego Burłaja zabić—wtrącił pan Zagłoba.—Protestuję imieniem całego wojska przeciw zdaniu jaśnie wielmożnego kasztelana bełskiego.

— To do waści nie należy!—rzekł książę.

— Cicho waść!—szepnął Wołodyjowski, ciągnąc szlachcica za rękaw.

— Wygnieciemy ich w tych zakrywkach, jako krety— mówił Zagłoba — a ja waszą książęcą mość proszę, aby mnie pierwszemu pozwolił iść z wycieczką. Znają oni mnie już dobrze, poznają jeszcze lepiej.

— Z wycieczką?— rzekł książę i zmarszczył brwi — czekaj-no waść... noce z wieczora bywają ciemne...

Tu zwrócił się do starosty krasnostawskiego, do pana Przyjemskiego i do regimentarzy.

— Proszę W. M. panów na radę—rzekł.

I zstąpił z okopu, a za nim udała się i cała starszyzna.

— Na miłość Boską, co waćpan czynisz?—mówił Wołodyjowski do Zagłoby—cóż to? służby i dyscypliny nie znasz, że do rozmowy starszych się mieszasz? Książę łaskawy pan, ale w czasie wojny niema z nim żartów.

— Nic to, panie Michale— odrzekł Zagłoba. — Pan Koniecpolski ojciec srogi był lew, a na moich radach siła polegał, i niech mnie dziś wilcy zjedzą, jeżeli nie dlatego podwakroć pogromił Gustawa Adolfa. Umiem ja z panami gadać! Albo i teraz! zauważyłeś jak książę obstupuit, gdym mu wycieczkę doradził? Jeżeli Bóg da wiktoryę, czyja będzie zasługa—co?—twoja?

W tej chwili zbliżył się Zaćwilichowski.

— A co? ryją! ryją, jak świnie!—rzekł, wskazując pole.

— Wolałbym, żeby to były świnie—odpowiedział Zagłoba- bo kiełbasyby nam tanio wypadły, a ich padło i dla psów się nie przygodzi. Dziś już musieli żołnierze kopać studnie w kwaterach pana Firleja, gdyż we wschodnim stawie od trupów wody nie znać. Nad ranem żółć w psubratach popękała i wszyscy spłynęli. Jak przyjdzie piątek, nie będzie można ryb jeść, bo mięsem karmione.

— Prawda jest—rzecze Zaćwilichowski;—starym żołnierz, a tyle trupa dawnom nie widział, chyba pod Chocimem przy szturmach janczarskich na nasz obóz.

— Zobaczysz go waszmość jeszcze więcej — ja to waszmości mówię.

— Myślę, że dziś wieczorem, albo jeszcze i przed wieczorem, znowu do szturmu ruszą.

— A ja powiadam, że do jutra zostawią nas w pokoju.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy na szańcach wykwitły długie białe dymy i kule z szumem przeleciały nad okopem.

— Masz waść!—rzekł Zaćwilichowski.

— Ba! sztuki wojennej nie znają!—odparł Zagłoba.

Stary Zaćwilichowski miał jednak słuszność. Chmielnicki rozpoczął regularne oblężenie, poprzecinał wszystkie drogi, wyjścia, odjął paszę, sypał aprosze i szańce, podkopywał się wężownicami pod obóz, ale szturmów nie poniechał. Postanowił on nie dać spokoju oblężonym, nużyć ich, straszyć, trzymać w ustawicznej bezsenności i nękać dopóty, dopóki broń nie wypadnie z ich rąk zesztywniałych. Więc wieczorem znowu uderzył na kwatery Wiśniowieckiego, z nielepszym niż poprzedniego dnia skutkiem, tembardziej, że i mołojcy nie szli już z taką ochotą. Następnego dnia ogień nie ustawał ani na chwilę. Wężownice tak już były blizkie, że i ręczna strzelba donosiła do wałów; przykrywki ziemne dymiły, jak małe wulkany, od rana do wieczora. Nie była to walna bitwa, ale nieustająca strzelanina. Oblężeni wypadali niekiedy z wałów, a wówczas przychodziło do szabel, cepów, kos i włóczni. Ale zaledwie wybito jednych mołojców, natychmiast przykrywki napełniały się nowym ludem. Żołnierz przez cały dzień nie miał ani chwili odpoczynku, a gdy nadszedł upragniony zachód słońca, rozpoczął się nowy szturm generalny—o wycieczce nie było co i myśleć.

W nocy, 16 lipca, uderzyli dwaj dzielni pułkownicy, Hładki i Nebaba. na kwatery książęce i ponieśli znów straszną klęskę.

Trzy tysiące najdzielniejszych mołojców legły na placu, reszta goniona przez starostę krasnostawskiego, uciekła w największym popłochu do taboru, rzucając broń i rogi z prochem. Również niefortunny koniec spotkał i Fedorenkę, który korzystając z gęstej mgły, o mało na świtaniu nie wziął miasta. Odparł go pan Korf, na czele Niemców, a pan starosta krasnostawski i pan chorąży Koniecpolski wybili prawie do szczętu w ucieczce.

Lecz nic to było wszystko w porównaniu z okropną nawałą, jaka dnia 19 lipca rozpoczęła się nad okopem. Uprzedniej nocy wysypali kozacy naprzeciw kwater Wiśniowieckiego wysoki wał, z którego armaty wielkiego kalibru ziały nieustannym ogniem, gdy zaś dzień minął i pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, dziesiątki tysięcy ludzi ruszyły do ataku. Jednocześnie w dali ukazało się kilkadziesiąt straszliwych machin, podobnych do wież, które toczyły się zwolna ku okopowi. Po bokach ich wznosiły się, nakształt potwornych skrzydeł, mosty, które przez fosy miano przerzucać— a szczyty dymiły, świeciły i huczały wystrzałami lekkich działek, rusznic i samopałów. Szły te wieże między mrowiem głów, jakby olbrzymi pułkownicy — to czerwieniąc się w ogniu armat, to niknąc w dymie i ciemności. Żołnierze ukazywali je sobie zdaleka, szepcąc:

— To hulaj-horodyny! Nas to Chmielnicki będzie mełł w tych wiatrakach.

— Patrzcie, jak się toczą z hukiem, rzekłbyś: grzmoty!

— Z armat do nich! z armat!—wołali inni.

Jakoż puszkarze książęcy posyłali kulę za kulą, granat za granatem, ku straszliwym machinom, ale że widać je było wówczas tylko, gdy wystrzały rozdarły ciemność, więc kule je mijały najczęściej.

Tymczasem zbita masa kozactwa napływała coraz bliżej, jak czarna fala, płynąca nocą z dalekiej morskiej przestrzeni.

— Uf!—mówił pan Zagłoba, stojąc razem z jazdą przy Skrzetuskim—gorąco mi, jak nigdy w życiu! Noc taka parna, że suchej nitki na mnie niema. Dyabli nadali te machiny! Sprawże Boże, żeby się ziemia pod niemi rozstąpiła, bo już mi kością w gardle stoją te łajdaki—amen! Ni zjeść, ni się wyspać— psi w lepszych kondycyach od nas żyją! Uf! jak parno!

Rzeczywiście powietrze było ciężkie i parne, a do tego przesycone wyziewami trupów, gnijących od kilku dni na całem pobojowisku. Niebo przysłoniło się czarną i nizką oponą chmur. Burza wisiała nad Zbarażem. Żołnierzom pod zbrojami pot oblewał ciało, a piersi oddychały z wysileniem.

W tej chwili bębny poczęły warczeć w ciemnościach.

— Już zaraz uderzą! — rzekł Skrzetuski. — Słyszysz waść? bębnią.

— Słyszę.—Żeby w nich dyabli bębnili! Czysta desperacya.

— Koli! koli!–wrzasnęły tłumy, rzucając się ku okopom.

Bitwa zawrzała na całej długości okopu. Uderzono jednocześnie na Wiśniowieckiego, na Lanckorońskiego, na Firleja i Ostro-

roga, aby jeden drugiemu nie mógł przychodzić z pomocą. Kozactwo, spojone gorzałką, szło jeszcze zacieklej, niż w czasie poprzednich szturmów, ale tem dzielniejszy napotykało opór. Duch bohaterski wodza ożywiał żołnierzy; groźne piechoty kwarciane, złożone z chłopów mazurskich, zbiły się tak z kozactwem, że pomieszały się z niem zupełnie. Bitwa na całej linii stawała się coraz zażartszą. Rury muszkietów paliły ręce żołnierzy, tchu im brakło, starszyznie głos zamarł w gardzieli od wrzasków komend. Starosta krasnostawski i Skrzetuski wpadli znów z jazdą i zajeżdżali z boku kozaków, tratując całe pułki i pławiąc się we krwi.

Godzina upływała za godziną i szturm nie ustawał, bo straszliwe luki w szeregach kozackich Chmielnicki w jednem mgnieniu oka zapełniał nowemi siłami. Tatarzy dopomagali wrzaskiem, puszczając zarazem chmary strzał na broniących się żołnierzy; niektórzy stojąc w tyle czerni, zaganiali ją do szturmu batami z byczego surowca. Wściekłość walczyła ze wściekłością, pierś uderzała o pierś — mąż wiązał się w uścisku śmiertelnym z mężem...

I tak walczyli, jak walczą rozhukane fale morskie z wyspą skalistą.

Nagle ziemia zatrzęsła się pod nogami wojowników, a całe niebo stanęło w sinym ogniu, jakoby już Bóg nie mógł dłużej patrzeć na okropności ludzkie. Łoskot straszliwy zgłuszył wrzaski ludzkie i huk armat. To artylerya niebieska rozpoczęła teraz straszną kanonadę. Grzmoty roztaczały się od wschodu na zachód. Zdawało się, że to niebo razem z chmurami pękło i wali się na głowy walczących. Chwilami świat cały wyglądał jak jeden płomień, chwilami ślepło wszystko od ciemności i znów czerwone zygzaki gromów rozdzierały czarną oponę. Wicher uderzył raz i drugi, zerwał tysiące czapek, proporców, chorągwi i rozmiótł je w mgnieniu oka po pojowisku. Pioruny poczęły walić jeden po drugim — potem nastąpił chaos grzmotów, błyskawic, wichru, ognia i ciemności—niebo się wściekło, jak ludzie.

Niepamiętna burza rozszalała się nad miastem, zamkiem, okopami i taborem. Bitwa została przerwana. Nakoniec upusty niebieskie rozwarły się, i nie strugi ale potoki dżdżu poczęły lać na ziemię. Fala przysłoniła świat; o krok naprzód nie było nic widać. Trupy w fosie spłynęły. Pułki kozackie, porzuciwszy szturm, biegły jedne za drugimi ku taborowi, szły na oślep, spotykały się z sobą i sądząc, że to nieprzyjaciel je goni, rozpraszały się w ciemności; za nimi, topiąc się i przewracając, umykały armaty, amunicye, wozy. Woda porozrywała roboty ziemne kozackie, szumiała w rowach i wężownicach, wciskała się w nakrywki ziemne, lubo ubezpieczono je rowami, i biegła z szumem po równinie, jakby goniąc uciekających mołojców.

Deszcz walił coraz większy. Piechoty w okopie umknęły z wałów, szukając pod namiotami schronienia, tylko dla jazdy starosty krasnostawskiego i Skrzetuskiego nie przychodził rozkaz odwrotu. Stali więc jeden przy drugim jakoby w jeziorze, strząsając z siebie wodę. Tymczasem burza poczęła zwolna przechodzić. Po pół-

nocy deszcz wreszcie ustał. Między przerwami chmur tu i owdzie zabłysły gwiazdy. Upłynęła jeszcze godzina—i woda trochę spadła. Wówczas przed chorągwią Skrzetuskiego ukazał się niespodzianie sam książę.

— Mości panowie—spytał—a ładownice wam nie zmokły?

— Suche, mości książę!—odpowiedział Skrzetuski.

— To dobrze! zsiąść mi z koni, ruszyć przez wodę ku onym belluardom, podsypać je prochem i zapalić. A cicho mi iść! Pan starosta krasnostawski pójdzie z wami.

— Wedle rozkazu!—odpowiedział Skrzetuski.

Wtem książę dojrzał mokrego pana Zagłobę.

— Waść się prosiłeś na wycieczkę; ruszaj-że teraz—rzekł.

— Masz dyable kubrak!—mruknął pan Zagłoba. — Tego jeszcze brakowało.

W pół godziny potem dwa oddziały rycerzy, po dwieście pięćdziesiąt ludzi, brodząc po pas w wodzie, biegły z szablami w ręku ku owym straszliwym „hulaj-horodynom“ kozackim, stojącym o pół staja od okopu. Jeden oddział wiódł „lew nad lwy,“ pan starosta krasnostawski, Marek Sobieski, który ani chciał słyszeć o pozostaniu w okopie—drugi Skrzetuski. Czeladź niosła za rycerzami maźnice ze smołą, suche pochodnie i prochy, a oni szli cicho, jak wilcy, skradający się ciemną nocą ku owczarni.

Mały rycerz przyłączył się na ochotnika do Skrzetuskiego, bo kochał pan Michał takie wyprawy nad życie—dreptał więc teraz po wodzie, mając radość w sercu, a szablę w dłoni; obok postępował pan Podbipięta z gołym zerwikapturem, widny między wszystkimi, bo o dwie głowy od najwyższych wyższy; a między nimi nadążał, sapiąc, pan Zagłoba i mruczał z nieukontentowaniem, przedrzeźniając słowa książęce:

— Chciało ci się wycieczki—ruszaj teraz.—Dobrze! Psuby się nie chciało iść na wesele przez taką wodę. Jeżelim doradzał wycieczkę w taki czas, to niech nigdy w życiu nic prócz wody nie piję. Ja nie kaczka, a mój brzuch nie czółno. Zawsze miałem abominacyę do wody, a cóż dopiero do takiej, w której chłopska padlina moknie.

— Cicho waść—rzekł pan Michał.

— Waść sam cicho! Nie większyś od kiełbia i umiesz pływać, to ci łatwo. Powiem nawet, że niewdzięcznie ze strony księcia, żeby mi jeszcze po zabiciu Burłaja nie dać spokoju. Dość już Zagłoba zrobił, niech jeno każdy tyle zrobi, a Zagłobie dajcie spokój, bo pięknie będziecie wyglądali, jak go nie stanie. Na Boga! jeżeli wpadnę w jaką dziurę, wyciągnijcie-że mnie waćpanowie za uszy, bo się zaraz zaleję.

— Cicho waść!—rzekł Skrzetuski.—Kozacy tam siedzą w tych ciemnych zakrywach, jeszcze cię usłyszą.

— Gdzie? co waćpan gadasz?

— A tam, w onych kopcach, pod darnią.

— Tego jeszcze brakowało! Niechże to jasne pioruny zatrzasną!

Resztę słów stłumił pan Michał, położywszy Zagłobie dłoń na ustach, bo zakrywki były już ledwie o pięćdziesiąt kroków odległe. Szli wprawdzie cicho rycerze, ale woda chlupotała im pod nogami; szczęściem, deszcz znowu zaczął padać i szum jego głuszył stąpania.

Straży przy nakrywkach nie było. Któż bowiem spodziewałby się wycieczki po szturmie i po takiej burzy, która jakby jeziorem rozdzieliła walczących?

Pan Michał z panem Longinem skoczyli naprzód i pierwsi doszli do kopca. Mały rycerz puścił szablę na sznurek, złożył dłonie do ust i począł wołać.

— Hej ludy!

— A szczo?—ozwały się ze środka głosy mołojców, widocznie przekonanych, że ktoś od taborów kozackich przychodzi.

— Sława Bohu! — odrzekł Wołodyjowski—a puśćcie-no!

— A to nie wiesz jak wejść?

— Wiem już—odrzekł Wołodyjowski — i zmacawszy wejście, skoczył do środka; pan Longinus z kilku innymi sunął za nim.

W tej chwili wnętrze pokrywki zabrzmiało przeraźliwem wyciem ludzkiem—jednocześnie rycerstwo, wydawszy okrzyk, rzuciło się ku innym kopcom. W ciemności rozległy się jęki, szczęk żelaza, gdzieniegdzie przebiegały jakieś ciemne postacie, inne padały na ziemię, czasem huknął wystrzał — ale wszystko razem nie trwało dłużej, niż kwadrans. Mołojcy, zaskoczeni po największej części w śnie głębokim, nie bronili się nawet—i wygnieciono ich wszystkich, nim zdołali za broń chwycić.

— Do hulaj-grodów! do hulaj-grodów! — rozległ się głos starosty krasnostawskiego.

Rycerstwo rzuciło się ku wieżom.

— Palić od środka, bo z wierzchu mokre! — zagrzmiał Skrzetuski.

Ale rozkaz nie łatwy był do wykonania. W wieżach budowanych z bierwion sosnowych nie było ani drzwi, ani żadnego otworu. Strzelcy kozaccy wchodzili na nie po drabinach, działa zaś, ponieważ mogły się mieścić tylko mniejsze, wciągano na powrozach. Rycerze biegali więc czas jakiś naokoło, próżno siekąc szablami belki, lub szarpiąc rękoma za węgły.

Na szczęście, czeladź miała siekiery; poczęto rąbać. Starosta krasnostawski kazał też podkładać puszki z prochem, umyślnie na ten cel przygotowane. Pozapalano maźnice ze smołą, tudzież pochodnie—i płomień począł lizać mokre, lecz przesiąkłe żywicą bierwiona.

Nim jednakże zajęły się bierwiona, nim prochy wybuchły, pan Longinus schylił się i podniósł ogromny głaz, wydobyty z ziemi przez kozaków.

Czterech najtęższych z ludu mocarzy nie ruszyłoby go z miejsca, lecz on kołysał nim w potężnych ręku, i tylko przy świetle maźnic widać było, że krew wystąpiła mu na twarz. Rycerze oniemieli z podziwu.

— To Herkules! niechże go kule biją!—wołali, wznosząc ręce do góry.

Tymczasem pan Longinus zbliżył się do niepodpalonej jeszcze belluardy, przechylił się w tył i puścił kamień w sam środek ściany.

Obecni aż pochylili głowy, tak głaz huczał. Pękły od ciosu zaraz spojenia; rozległ się trzask, wieża roztwarła się, jak złamane podwoje i runęła z łoskotem.

Stos drzewa polano smołą i podpalono w jednej chwili.

Po niejakim czasie kilkadziesiąt olbrzymich płomieni oświeciło całą równinę. Deszcz padał ciągle, ale ogień przemógł go — i „paliły się te belluardy, z podziwem obu wojsk, jako że w dzień tak mokry.“

Skoczyli na pomoc z kozackiego taboru Stepka, Kułak i Mrozowicki, każdy na czele kilku tysięcy mołojców, i próbowali gasić — próżno! Słupy ognia i czerwonego dymu strzelały coraz potężniej ku niebu, odbijając się w jeziorach i kałużach, których burza naczyniła na pobojowisku.

Tymczasem rycerze wracali w ściśniętych szeregach do okopu, gdzie zdaleka witano ich radosnymi okrzykami.

Nagle Skrzetuski obejrzał się naokoło, rzucił okiem w głąb szeregu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Stój!

Pana Longina i małego rycerza nie było między wracającymi.

Widocznie uniesieni zapałem, zbyt długo zabawili się przy ostatniej belluardzie; a może odnaleźli gdzie zatajonych jeszcze mołojców, dość, iż widocznie nie spostrzegli odwrotu.

— Naprzód! — skomenderował Skrzetuski.

Starosta krasnostawski, idąc na drugim końcu szeregu, nie rozumiał co zaszło i biegł pytać — gdy w tejże chwili obaj pożądani rycerze ukazali się, jakby z pod ziemi wyrośli, na pół drogi między belluardami a rycerstwem.

Pan Longinus z błyszczącym zerwikapturem w ręku stąpał olbrzymiemi krokami, a przy nim biegł kłusem pan Michał. Obaj głowy mieli zwrócone ku goniącym ich, nakształt zgrai psów, mołojcom.

Przy czerwonej łunie pożaru widać było całą gonitwę doskonale. Rzekłbyś: olbrzymia łosza uchodzi przed gromadą strzelców ze swojem małem, gotowa w każdej chwili rzucić się na napastników.

— Zginął na miłosierdzie Boskie, prędzej — krzyczał rozdzierającym głosem pan Zagłoba,— ustrzelą ich z łuków, albo piszczeli! Na rany Chrystusa, prędzej!

I nie bacząc na to, że nowa bitwa może się za chwilę zawiązać, leciał z szablą w ręku razem ze Skrzetuskim i innymi na pomoc, utykał, i przewracał się, podnosił, sapał, krzyczał, trząsł się i cały gnał resztkami nóg i tchu.

Jednakże mołojcy nie strzelali, bo samopały zamokły, a cięciwy łuków rozmiękły — więc nacierali jeno coraz bliżej. Kilku-

nastu ich wysforowało się naprzód i już, już mieli dobiedz, ale wówczas obaj rycerze zwrócili się ku nim, jak odyńce, i wydawszy krzyk okropny, wznieśli szable do góry. Kozacy stanęli w miejscu.

Pan Longinus ze swym olbrzymim mieczem wydawał im się jakąś nadprzyrodzoną istotą.

I jako dwa bure wilki, zbyt napierane przez ogary, odwrócą się i błysną białymi kłami, a psiarnia, skomląc zdala, nie śmie się na nie rzucić, tak i oni odwracali się po kilkakroć, i za każdym razem biegnący na przedzie stawali na miejscu. Raz tylko puścił się ku nim jeden, widocznie śmielszej natury, z kosą w ręku, ale pan Michał skoczył jak żbik ku niemu i ukąsił go na śmierć. Reszta czekała na innych, którzy nadchodzili biegiem, gęstą ławą.

Lecz i szereg rycerzy był coraz bliższy, a pan Zagłoba leciał z szablą nad głową, krzycząc nieludzkim głosem:

— Bij! morduj!

Wtem huknęło z okopów, i granat, chychocząc jak puszczyk, zakreślił czerwony łuk na niebie i upadł w ściśniętą ławicę; za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Zdawało się, że bitwa rozpoczyna się na nowo.

Kozakom, aż do oblężenia Zbaraża, nieznane były tego rodzaju pociski i po trzeźwemu bali się ich najwięcej, widząc w nich czary „Jaremy“— więc ławica wstrzymała się w jednej chwili, potem pękła na dwoje, a razem pękły i granaty, roznosząc postrach, śmierć i zniszczenie.

— Spasajtes! spasajtes! — rozległy się przerażone głosy.

I pierzchło wszystko, a tymczasem pan Longinus i mały rycerz wpadli w zbawczy szereg husarzy.

Zagłoba rzucał się to jednemu, to drugiemu na szyję, całował ich po policzkach i oczach. Radość dławiła go, a on ją tłumił, nie chcąc miękkiego serca okazać — i wołał:

— Ha, skurczybyki! Nie powiem, żebym was miłował, ale się o was bałem! Bodaj was byli usiekli! Tak to służbę znacie, że na tyłach zostajecie? Wartoby was końmi po majdanie za nogi powlec! Pierwszy powiem księciu, by wam poenam obmyślił. Chodźmy teraz spać. Chwała Bogu i za to! Szczęście tych psubratów, że przed granatami uciekli, bo byłbym ich naszatkował, jak kapusty. Wolę się bić, niż patrzeć spokojnie, jak znajomi giną. Musimy dzisiaj podpić! Chwała Bogu i za to! Już myślałem, że requiem jutro zaśpiewamy. Ale żałuję, że spotkania nie było, bo mnie ręka okrutnie świerzbi, choć w nakrywkach dałem im bobu z cebulą.

ROZDZIAŁ XXVI.

Jednakże znowu wypadło zatoczyć nowe wały i ująć obozu, aby udaremnić wykonane już prace ziemne kozackie i uszczuplonym siłom ułatwić obronę. Kopano tedy po szturmie całą noc. A i kozacy nie próżnowali także. Podszedłszy cicho ciemnej nocy z wtorku na środę, rzucili naokoło obozu drugi wał, o wiele wyższy. Stąd na zorzy, ozwawszy się wszyscy głosem, poczęli zaraz strzelać i całe cztery dni i cztery noce strzelali. Czyniono sobie wzajem wiele szkód, albowiem z obu stron najlepsi strzelcy szli w zawody.

Kiedy niekiedy zrywały się masy kozactwa i czerni do szturmu, ale nie dochodziły do wałów, tylko strzelanina stawała się coraz gorętszą. Nieprzyjaciel, mając potężne siły, zmieniał walczące oddziały, prowadząc jedne na spoczynek, drugie do boju. Ale w obozie nie było żołnierza do zastępstwa, bo wciąż ci sami ludzie musieli strzelać, zrywać się co chwila do obrony pod groźbą szturmów, grzebać zabitych, kopać studnie i podsypywać wyżej wały, aby lepszą dawały zasłonę. Sypiano a raczej drzemano u wałów, wśród ognia i kul lecących tak gęsto, że każdego ranka można je było zmiatać bezpiecznie z majdanu. Przez cztery dni nikt nie zrzucił z siebie odzieży, która mokła na deszczu, schła na słońcu, paliła w dzień, ziębiła w nocy—przez cztery dni nikt nie miał w ustach nic ciepłego. Pito gorzałkę, domieszywając do niej prochu dla większej tęgości; gryziono suchary i rwano zębami wyschłe wędzone mięsiwo, a wszystko wśród dymu, wystrzałów, świstu kul i huku armat.

I „nic to było wziąć po łbie, albo po boku.“ Żołnierz obwiązywał brudną szmatą krwawy łeb i bił się dalej. Dziwni to byli ludzie: w podartych koletach i zardzewiałych zbrojach, z potrzaskanemi rusznicami w ręku, z czerwonemi od bezsenności oczyma, a wiecznie czujni, zawsze ochoczy, dzień czy noc, deszcz czy pogodą, zawsze gotowi do boju.

Żołnierz rozkochał się w swym wodzu, w niebezpieczeństwach, w szturmach, w ranach i śmierci. Jakaś egzaltacya bohaterska ogarnęła dusze, serca stały się harde, umysły „zatwardziły się.“ Okropność stała się dla nich rozkoszą. Rozmaite chorągwie prześcigały się wzajem w służbie, w wytrwałości na głód, bezsenność, pracę, w męstwie i zaciekłości. Przyszło do tego, że trudno było żołnierzy utrzymać na wałach, bo nie poprzestając na obronie, darli się do nieprzyjaciela, jak rozwścieczeni z głodu wilcy do owczarni. We wszystkich pułkach panowała jakaś dzika wesołość. Ktoby wspomniał o poddaniu, rozerwanoby go w mgnieniu oka na sztuki. „Tu umierać chcemy!“—powtarzały wszystkie usta.

Każdy rozkaz wodza spełniano z błyskawiczną szybkością. Raz zdarzyło się, iż książę przy objeździe wieczornym wałów, dosłyszawszy, że ogień chorągwi kwarcianej imienia Leszczyńskich słabnie, przyjechał przed żołnierzy i spytał:

— A czemu to nie strzelacie?

— Prochy nam wyszły; posłaliśmy na zamek po nowe.

— Tam macie bliżej!—rzekł książę, ukazując szańce nieprzyjaciela.

Zaledwie skończył, a cała chorągiew skoczyła z wałów, rzuciła się biegiem ku nieprzyjacielowi i wpadła, jak orkan, na szańce. Wybito kozaków ośnikami, drągami, kolbami muszkietów, zagwożdżono cztery działa i po upływie pół godziny, żołnierze zdziesiątkowani, ale zwycięzcy, wrócili ze znacznym zapasem prochu w beczułkach i rogach myśliwskich.

Dzień upływał za dniem. Aprosze kozackie coraz ciaśniejszym pierścieniem obejmowały okop i wpierały się weń, jak kliny w drzewo. Strzelano już z tak blizka, że nie licząc szturmów, dziesięciu ludzi z pod każdej chorągwi padało dziennie; księża nie mogli dochodzić z Sakramentami. Oblężeni zasłaniali się wozami, namiotami, skórami, rozwieszoną odzieżą; w nocy chowano zabitych, gdzie który legł, ale żywi bili się tem zacięciej na mogiłach wczorajszych towarzyszów. Chmielnicki szafował krwią swych ludzi bez miary, ale każdy szturm nowe tylko, coraz większe przynosił mu straty. Sam on był zdumiony oporem; liczył jeno na to, że czas zwątli serca i siły oblężonych—jakoż czas płynął, ale oni coraz większą okazywali pogardę śmierci.

Wodzowie dawali przykład żołnierzom. Książę Jeremi sypiał na gołej ziemi u wału; pił gorzałkę i jadł wędzone końskie mięso, cierpiąc trudy i zmiany pogody „nad pański swój stan.“ Chorąży koronny Koniecpolski i starosta krasnostawski osobiście wiedli pułki na wycieczki; w czasie szturmów stawali bez zbroi w najgęstszym gradzie kul. Nawet ci wodze, którym jak Ostrorogowi brakło wojennego doświadczenia i na których żołnierz nauczył się patrzeć bez ufności, teraz pod ręką Jeremiego zdawali się w innych zmieniać ludzi. Stary Firlej i Lanckoroński sypiali również u wałów, a pan Przyjemski w dzień ustawiał działa, w nocy rył pod ziemią jak kret, kopiąc pod kozackiemi minami kontrminy, wysadzając aprosze, lub otwierając drogi podziemne, któremi żołnierze dostawali się jak duchy śmierci między uspione kozactwo.

Nakoniec Chmielnicki postanowił spróbować układów, mając tę myśl uboczną, że przez ten czas podstępem będzie mógł czegoś dokonać. Pod wieczór 24 lipca poczęli kozacy wołać z szańców na żołnierzy, aby zaprzestali strzelać. Wysłany zaporożec oznajmił, iż hetman życzy sobie widzieć starego Zaćwilichowskiego. Po krótkiej naradzie regimentarze zgodzili się na propozycyę i starzec wyjechał z okopu.

Zdala widziało rycerstwo, jak mu czapkowano w szańcach kozackich, gdyż Zaćwilichowski przez krótki czas swego komisar-

stwa, zdołał sobie zjednać szacunek dzikiego Zaporoża — i sam Chmielnicki go szanował. Strzelanina wtedy ustała. Kozacy aproszami zbliżali się do samego wału: rycerstwo schodziło ku nim. Obie strony miały się na ostrożności, ale nie było nic nieprzyjaznego w tych spotkaniach. Szlachta wyżej ceniła zawsze kozaków od pospolitej czerni, a teraz ceniąc ich męstwo i uporność w boju, rozmawiała z nimi na równej stopie, jak kawalerowie z kawalerami: kozacy z podziwem patrzali zblizka na to niedostępne lwie gniazdo, które wstrzymało całą ich i chanową potęgę. Więc poczęli się zbliżać, gwarzyć a narzekać, że tyle krwi chrześcijańskiej się leje; pod koniec częstowano się tabaką i gorzałką.

— Ej, panowie łycari! — mówili starzy zaporożcy — żeby wy tak zawsze stawali, nie byłoby Żółtych Wód, i Korsunia, i Piławiec. Czorty wy chyba, nie ludzie. Takich my jeszcze na świecie nie widzieli.

— Przyjdźcie jutro i pojutrze, zawsze nas takich znajdziecie.

— No, tak i przyjdziemy, a tymczasem sława Bohu „za oddech. Siła się krwi chrześcijańskiej leje. Ale i tak was głód zmoże.

— Prędzej przyjdzie król, niż głód; dopierośmy gęby obtarli po smacznej strawie.

— A zbraknie nam wiwendy, to w waszych taborach poszukamy—mówił, biorąc się w boki, Zagłoba.

— Daj Bóg, żeby bat'ko Zaćwilichowski wskórał co u naszego hetmana, bo jak nie wskóra, to wieczorem do szturmu pójdziemy.

— Nam też już tęskno.

— Chan wam obiecał, że wszyscy będziecie „kęsim."

— A nasz książę obiecał chanowi, że go za brodę do ogona swemu koniowi przywiąże.

— Czarownik on, ale ne zderżyt.

— Lepiejby wy z naszym kniaziem na pogan poszli, niż przeciw zwierzchności rękę podnosili.

— Z waszym kniaziem... Hm! dobrzeby było.

— A to czemu się buntujecie? Przyjdzie król, bójcie się króla. Kniaź Jarema także był wam jak ojciec...

— Taki on ojciec, jak śmierć matka. Dżuma tylu dobrych mołojców nie wybiła.

— Gorszy on będzie: jeszcze wy go nie poznali.

— My i nie chcemy go znać. Starzy u nas mówią, że który kozak jego na oczy dojrzy, temu już śmierć pisana.

— Będzie tak i z Chmielnickim.

— Boh znaje szczo bude. To pewno, że im dwom nie żyć na świecie, na białym. Nasz bat'ko też mówi, że gdyby wy jemu tylko Jaremę wydali, toby was zdrowych puścił i królowiby się z nami wszystkimi pokłonił.

Tu żołnierze poczęli sapać, marszczyć brwi i zgrzytać.

— Zamilczeć, bo się do szabel weźmiem.

— Serdyty Lachy!—mówili kozacy—ale będzie wam „kęsim."

I tak oni rozmawiali, czasem przyjaźnie, a czasem z groźbami, które mimo ich woli odzywały się jak grzmoty. Po południu przyjechał z powrotem do obozu pan Zaćwilichowski. Układów nie było, a zawieszenie broni nie doszło do skutku. Stawiał Chmielnicki powtórne żądania, aby wydano mu księcia i chorążego Koniecpolskiego. W końcu wyliczył krzywdy wojsk zaporoskich i jął namawiać pana Zaćwilichowskiego, by z nim na zawsze pozostał. Na to spłonął stary rycerz, zerwał się i odjechał. Wieczorem nastąpił szturm krwawo odparty. Cały obóz przez dwie godziny był w ogniu. Kozaków nie tylko odrzucono od wałów, ale piechoty zdobyły pierwsze szańce, porozkopywały strzelnice, zakrywki i spaliły znowu czternaście hulaj-grodów. Chmielnicki zaprzysiągł tej nocy chanowi, że nie odstąpi, dopóki jeden żywy człowiek pozostanie w okopie.

Nazajutrz o zorzy nowa strzelanina, wkopywanie się w wały — i całodzienna bitwa na cepy, kosy, ośniki, szable, kamienie i bryły ziemi. Przyjazne uczucia wczorajsze i ubolewanie nad przelewaniem krwi chrześcijańskiej ustąpiły większej jeszcze zaciętości. Deszcz popadywał od rana. Tegoż dnia wydano żołnierzom po pół racyi, na co mruczał mocno pan Zagłoba, ale wogóle puste brzuchy zdwoiły jeszcze zaciekłość rycerstwa. Przysięgano sobie wzajem paść jeden na drugim, a nie poddać się do ostatniego tchnienia. Wieczór przyniósł nowe szturmy kozaków, poprzebieranych za Turków, krócej wszelako trwające. Nastała noc pełna hałasów i krzyków, „wielce swarliwa.“ Strzelanie nie ustawało ani na chwilę. Wyzywano się wzajemnie; bito się kupami i pojedynczo. Wychodził na harc pan Longinus, lecz nikt przeciw niemu nie chciał stanąć — strzelano tylko do niego zdaleka. Natomiast wielką sławą okrył się pan Skrzetuski i pan Wołodyjowski, który w pojedynczem spotkaniu usiekł sławnego zagończyka Dudara.

Wychodził nakoniec i pan Zagłoba, ale tylko na szermierkę językową. „Po zabiciu Burłaja (mówił) nie mogę się z lada chmyzem pospolitować!“ Natomiast w walce na języki nie znalazł równego sobie między kozactwem — i do desperacyi ich przyprowadzał, gdy okryty dobrze darniną, wołał, jakoby z pod ziemi, stentorowym głosem:

— Siedźcie tu chamy pod Zbarażem, a tam wojsko litewskie idzie w dół Dnieprem. Żonom waszym, mołodyciom się pokłonią. Na przyszłą wiosnę siła małych boćwinków po chałupach znajdziecie!

Była to prawda: wojsko litewskie szło istotnie pod Radziwiłłem w dół Dniepru, paląc i niszcząc, ziemię i wodę zostawując. Wiedzieli o tem kozacy, więc wpadali we wściekłość i w odpowiedzi posyłali panu Zagłobie grad kul, jakby kto gruszki sypał. Ale pan Zagłoba pilnował dobrze głowy za darniną i krzyczał znowu:

— Chybiliście, pieskie dusze, a jam Burłaja nie chybił. Sam tu! Na pojedynkę ze mną! Znacie mnie! Na tu, na! chamy, strzelajcie, póki macie folgę, bo na zimę będziecie Tatarzęta w Krymie iskać, albo groble na Dnieprze sypać. Bywajcie! bywajcie! Grosz

za głowę waszego Chmiela! Daj mu który odemnie w pysk — od Zagłoby! słyszycie? A co, gnojki? mało to już waszego ścierwa na polu leży? Zdechłymi psami was czuć! Kazała wam się zaraza kłaniać! A do wideł, do pługów, łajdaki, do dumbasów! Wiśnie i sól pod wodę wozić, nie nam tu wstręty czynić.

Natrząsali się też kozacy z „panów, których trzech na jeden suchar wypada;“ pytali, czemu to czynszu i dziesięciny nie każą oni panowie poddanym wypłacać, ale przecie Zagłoba bywał w sporach górą. I tak brzmiały te rozmowy, przerywane przekleństwami i dzikimi wybuchami śmiechu, po całych nocach, wśród strzałów i mniejszych lub większych walk. Wyjeżdżał potem pan Janicki układać się z chanem, który mu znowu powtarzał, że wszyscy będą „kęsim,“ aż zniecierpliwiony poseł powiedział:—„Już nam dawno to obiecujecie, a nic nam dotąd! Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie!“ Wymagał chan, żeby książę Jeremi zjechał się z jego wezyrem w polu, ale była to prosta zdrada, którą wykryto— i układy ostatecznie zostały zerwane. Przez cały ich czas zresztą nie było przestanku w walce. Wieczorem szturmy, w dzień strzelania z armat, z organków, z samopałów i piszczeli—wypadanie z wałów, szarpanina, mieszanie się chorągwi, szalone ataki jazdy, klęski i rozlew krwi coraz większy.

Żołnierzy podtrzymywała jakaś dzika żądza walki, krwi i niebezpieczeństw. Szli do bitwy ze śpiewaniem, jak na wesele. Tak się już zresztą wzwyczaili do huku i hałasów, że te oddziały, które komenderowano do spoczynku, spały wśród ognia i padających gęsto kul nieprzebudzonym snem. Żywności było coraz mniej, bo regimentarze nie opatrzyli dostatecznie obozu przed przybyciem księcia. Nastała wielka drożyzna, ale kto miał pieniądze i kupował gorzałkę lub chleb, ten dzielił się wesoło z innymi. Wszyscy zaś nie dbali o jutro, wiedząc, że jedna z dwóch rzeczy ich nie minie: odsiecz ze strony królewskiej, albo śmierć. Na obie byli równie gotowi, a najbardziej gotowi na bitwę. Niesłychanym w historyi przykładem, dziesiątki potykały się przeciw tysiącom z takim uporem, z taką zaciekłością, że każdy szturm był nową klęską kozacką. Prócz tego, nie było dnia, żeby po kilkakroć nie wypadali z obozu i nie napadali nieprzyjaciela w jego własnych szańcach. Wieczorami, gdy Chmielnicki myślał, że już znużenie powinno było obalić najwytrwalszych, i cicho gotował szturmy, naraz wesołe śpiewy dolatywały jego uszu. Wtedy uderzał się dłonią po udach z wielkiego zdziwienia i naprawdę myślał, że Jeremi jest chyba czarownikiem możniejszym od tych wszystkich, którzy byli w kozackim taborze. Więc wściekał się i zrywał do boju, i wylewał morze krwi, bo i to spostrzegł, że jego gwiazda przy gwieździe straszliwego kniazia blednąć zaczyna.

W obozie kozackim śpiewano pieśni o Jaremie, lub cichym głosem opowiadano sobie o nim rzeczy, od których włosy wstawały na głowie mołojcom. Mówiono, że czasem zjawia się nocą na okopie i rośnie w oczach, aż głową wyżej wież zbaraskich sięga, że oczy ma wtedy jakby dwa miesiące, a miecz w jego ręku jest jako ta gwiazda złowroga, którą Bóg czasem ludziom na pohybel, na niebo wysyła.

Mówiono także, że gdy krzyknie, polegli w boju rycerze wstają z chrzęstem zbroi i szykują się razem z żywymi w szeregi. Jeremi był na wszystkich ustach: śpiewali o nim i didy-lirnicy, rozmawiali i starzy zaporożcy, i czerń ciemna, i Tatarzy. A w tych rozmowach, w tej nienawiści, w tym zabobonnym przestrachu tkwiła jakby jakaś dzika miłość, którą ten lud stepowy ukochał swego krwawego niszczyciela. Tak jest! Chmielnicki bladł przy nim nietylko w oczach chana i Tatarów, ale nawet w oczach własnego ludu, i widział, że musi Zbaraż zdobyć, albo urok jego rozwieje się, jak pomroka przed zorzą poranną, musi zdeptać tego lwa, albo sam zginie.

Zaś lew nietylko się bronił, ale każdego dnia sam wypadał, coraz straszliwszy, z komyszy. Nie pomagały podstępy, zdrady, ani otwarta przemoc. Tymczasem czerń i kozacy poczynali szemrać. I im ciężko było siedzieć w dymie, ogniu, w gradzie kul, w trupim zapachu, na deszczu, upałach i w obliczu śmierci. Zresztą nie trudów bali się dzielni mołojcy, nie niewywczasów, nie szturmów i ognia, i krwi i śmierci—oni się bali „Jaremy."

ROZDZIAŁ XXVII.

Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z nimi w paragon. Noc to była posępna, ciemna i wilgotna; żołnierz znużony czuwaniem u wałów, drzemał oparty na broni. Po nowych dziesięciu dniach strzelaniny i szturmów, pierwszy to raz nastała cisza i spokój. Z blizkich, bo zaledwie o trzydzieści kroków stojących szańców kozackich, nie słychać było wywoływań, klątw i zwykłych hałasów. Zdawało się, że nieprzyjaciel, chcąc znużyć, sam się znużył nareszcie. Gdzieniegdzie tylko błyszczało tam mdłe światełko ognia, ukrywanego pod darniną; z jednego miejsca dochodził słodki przyciszony głos liry, na której grał jakiś kozak; daleko w koszu tatarskim konie rżały—na wałach rozlegały się niekiedy głosy straży.

Chorągwie pancerne książęce były tej nocy na pieszej służbie w obozie, więc pan Skrzetuski, pan Podbipięta, mały rycerz i pan Zagłoba, na okopie szepcząc z sobą z cicha, w przerwach rozmowy wsłuchiwali się w szum deszczu, padającego w fosę. Skrzetuski mówił:

— Dziwny mi jest ten spokój. Uszy tak przywykły do huku i hałasów, że cisza w nich dzwoni. Aby się tylko jaka zdrada in hoc silentio nie ukrywała.

— Od czasu jak jestem na pół racyi, wszystko mi jedno! — mruczał posępnie Zagłoba. — Trzech rzeczy potrzebuje moja odwaga, a to: jeść dobrze, pić dobrze i wyspać się. Najlepszy rzemień nie smarowany zeschnie i popęka. Cóż dopiero, jeżeli w dodatku moknie, jak konopie w wodzie? Deszcz nas moczy, a kozacy mię-dlą: jakże się z nas paździerze nie mają sypać? Miłe kondycye: bułka już florena kosztuje, a kwaterka gorzałki pięć. Tej śmier-dzącej wody piesby w gębę nie chciał wziąć, bo już i studnie tru-pem nasiąknęły, a mnie się tak pić chce, jak i moim butom, które tak pyski pootwierały, jak ryby.

— Ale waścine buty i wodę piją, nie przebredzając — rzekł pan Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale! Nie większyś od sikory, to się ziarnkiem prosa pożywisz, a z naparstka napijesz. Ale ja Bogu dziękuję, że nie jestem taki misterny, i że mnie, kura z piasku nie wygrzebała nogą, ale niewiasta urodziła; dlatego potrzebuję jeść i pić, jako człowiek, nie jak chrabąszcz, a żem od południa nic prócz śliny w gębie nie miał, dlatego mi i twoje żarty nie w smak.

Tu pan Zagłoba począł sapać gniewnie, a pan Michał wziął się za bok i tak mówił:

— Mam ja tu na udzie manierzynę, com ją dziś kozakowi wydarł, ale kiedy mnie kura z piasku wygrzebała, to już myślę, że i gorzałka tak nikczemnej persony nie będzie waści smaczna. W twoje ręce, Janie! — rzekł, zwracając się do Skrzetuskiego.

— Daj, bo mi zimno! — rzekł Skrzetuski.

— Pij do pana Longina.

— Przechera z ciebie, panie Michale — rzekł Zagłoba, — aleś chłop setny i to masz do siebie, że sobie odejmiesz, a drugiemu oddasz. Niechby się święciły te kury, coby takich żołnierzów, jak ty, z piasku wygrzebywały, ale ich na świecie pono niemasz, i nie o tobie myślałem.

— To weź waćpan od pana Podbipięty, nie chcę cię krzywdzić — rzekł pan Michał.

— Co waćpan robisz, zostaw-że i mnię! — wołał z przestrachem Zagłoba, spoglądając na pijącego Litwina,— czego tak głowę zadzierasz? Bodaj ci tak już została! Za długie masz kiszki, nie-łatwo je nalejesz. Leje, jak w spróchniałą sosnę. Żeby cię usiekli!

— Ledwiem co przechylił — rzekł pan Longinus, oddając ma-nierkę.

Pan Zagłoba przechylił lepiej i wypił do reszty; poczem parsk-nął i tak mówił:

— Cała to pociecha, że jeżeli się skończy nasza mizerya, a Bóg pozwoli zdrowo wynieść głowę z tych terminów, to sobie we wszystkiem wynagrodzimy. Już-ci nam jakoweś chleby obmy-ślą. Ksiądz Żabkowski umie dobrze zjeść, ale go w kozi róg za-pędzę.

— A co to za verba veritatis usłyszeliście dziś z księ-dzem Żabkowskim od Muchowieckiego? — pytał pan Michał.

— Cicho! — rzekł Skrzetuski — ktoś tu się z majdanu zbliża.

Umilkli, wtem jakaś ciemna postać stanęła około nich i przyciszony głos spytał:

— A czuwacie?

— Czuwamy, mości książę! — rzekł, prostując się, Skrzetuski.

— Pilno dawać baczność. Źle wróży ten spokój.

I książę przeszedł dalej, patrząc czy gdzie sen nie przemógł utrudzonych żołnierzy. Pan Longinus ręce złożył.

— Co to za wódz! co to za wojownik!

— Mniej od nas spoczywa — rzekł Skrzetuski.— Tak całe wały sam co noc obchodzi, aż het, do drugiego stawu.

— Dajże mu Boże zdrowie!

— Amen.

Nastało milczenie. Wszyscy wpatrywali się wytężonemi oczyma w ciemność, ale nic nie było widać — szańce kozackie były spokojne. Ostatnie światła na nich pogasły.

— Możnaby ich zjeść, jak susłów, we śnie — mruknął Wołodyjowski.

— Kto wie? — odrzekł Skrzetuski.

— Sen mnie tak morzy — mówił Zagłoba, — że aż mi oczy pod wierzch głowy uciekają, a spać nie wolno. Ciekawym, kiedy będzie wolno? Czy strzelają, czy nie strzelają, ty stój pod bronią i kiwaj się od fatygi, jak Żyd na szabasie. Psia służba! Sam nie wiem, co mnie tak rozbiera, czy gorzałka, czy rannа irytacya za ów impet, któryśmy niesłusznie obaj z księdzem Żabkowskim wytrzymać musieli.

— Jakże to było? — pytał pan Longinus. — Zacząłeś waspan mówić i nie skończyłeś.

— To teraz opowiem, może się jakoś ze snu wybijemy. Poszliśmy rano z księdzem Żabkowskim na zamek w tej myśli, żeby to co do przegryzienia znaleźć. Chodzimy, chodzimy, zaglądamy wszędzie — niema nic; wracamy źli. Aż na podwórzu spotykamy ministra kalwińskiego, który kapitana Szenberka na śmierć gotował, tego, co go wczoraj postrzelili pod chorągwią pana Firleja. Ja mu tedy mówię: „Będziesz się tu, szołdro, włóczył i dyzgusta Bogu czynił? jeszcze niebłogosławieństwo na nas ściągniesz!“ A on, widać dufając w protekcyę pana bełskiego, rzecze: „Taka dobra nasza wiara, jak i wasza, albo lepsza!“ Jak to powiedział, ażeśmy skamienieli ze zgrozy. Ale ja nic! Myślę sobie: jest ksiądz Żabkowski, niechże będzie dysputa. A mój ksiądz Żabkowski aż parska i zaraz argumentami zmacał go pod żebro, on zaś nic na tę pierwszą racyę nie odrzekł, bo jak się wziął toczyć, tak aż o ścianę się oparł. Wtem nadszedł książę z księdzem Muchowieckim i na nas! że to hałasy i swary wszczynamy, że to nie czas, nie miejsce i nie argumenta. Zmyli nam głowy, jak żakom — a bodaj czy słusznie, bo utinam sim falsus vates, ale te ministry pana Firleja ściągną jeszcze na nas jakie nieszczęście...

— A ów-że kapitan Szenberk nie rewokował? — pytał pan Michał.

— Gdzie tam! umarł w bezecności, jak żył

— Że też to ludzie wolą się zbawienia wyrzec, niż swego uporu! — westchnął pan Longinus.

— Bóg nas od przemocy i od czarów kozackich broni — mówił dalej Zagłoba — a oni Go jeszcze obrażają. Czy waściom wiadomo, że wczoraj z tego tam ot szańca, kłębkami nici na majdan strzelano? Żołnierze powiadali, że zaraz w tem miejscu, gdzie kłębki padły, ziemia jakoby trądem się pokryła...

— Wiadoma rzecz, że przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą — rzekł, żegnając się Litwin.

— Czarownice sam widziałem — dodał Skrzetuski — i powiem waszmościom...

Dalsze słowa przerwał pan Wołodyjowski, który ścisnął nagle ramię Skrzetuskiego i szepnął:

— Cicho-no!...

Poczem skoczył na sam brzeg okopu i słuchał pilnie.

— Nic nie słyszę — rzekł Zagłoba.

— Ts!... deszcz zagłusza! — odpowiedział Skrzetuski.

Pan Michał począł kiwać ręką, aby mu nie przeszkadzano i czas jakiś słuchał pilno, nakoniec zbliżył się do towarzyszów.

— Idą! — szepnął.

— Daj znać księciu! poszedł ku kwaterom Ostroroga — odszepnął Skrzetuski — my zaś pobieżemy ostrzedz żołnierzy.

I zaraz z miejsca puścili się wzdłuż okopu, zatrzymując się co chwila i szepcząc wszędy po drodze czuwającym żołnierzom:

— Idą! idą!...

Słowa przeleciały, jakby cichą błyskawicą z ust do ust. Po kwadransie przyjechał książę już na koniu i wydał rozkazy oficerom. Ponieważ nieprzyjaciel chciał widocznie zaskoczyć obóz we śnie i nieczujności, więc książę polecił utrzymać go w błędzie. Żołnierze mieli się zachować jak najciszej i dopuścić szturmujących aż na same wały, poczem dopiero, gdy wystrzał z działa da znak, uderzyć na nich niespodzianie.

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury muszkietów pochyliły się bez szelestu, i zapadło głuche milczenie. Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszeli obok siebie, a i pan Zagłoba został z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najwięcej kul pada na środek majdanu — a na wale, przy takich trzech szablach, najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł. Nieco z boku przykląkł pan Podbipięta z zerwikapturem w ręku, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w ucho:

— Idą napewno...

— Krok pod miarę.

— To nie czerń, ani Tatarzy.

— Piechota zaporoska.

— Albo janczary; oni dobrze maszerują. Z konia możnaby ich więcej naciąć!

— Dziś ciemno na jazdę.

— Słyszysz teraz?

— Ts! ts!...

Obóz zdawał się być pogrążony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła — wszędy najgłębsze milczenie, przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito dżdżu. Zwolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; nakoniec, o kilkanaście kroków od fosy, zjawiła się jakaś wydłużona, zbita masa o tyle widoczna, o ile czarniejsza od ciemności — i zatrzymała się na miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosy i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili je ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło — i cisza nastała śmiertelna.

Tu i owdzie, mimo całej ostrożności wstępujących, szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczeć...

— Dadzą wam bobu! — myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść zerwikaptura i wytężył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszy uderzyć.

Wtem trzy pary rąk zjawiły się na krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za niemi poczęły się zwolna i ostrożnie podnosić trzy szpice od misiurek... wyżej i wyżej...

— To Turcy! — pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno, jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza.

Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi, i był jakby w niebo wzięty, i walczył jak we śnie, i cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie — że taki był z Zerwikapturów-Podbipiętów żyjący ostatni.

Szturm ten, w którym ze strony nieprzyjaciela posiłkowe hufce Turków urumelskich, sylistryjskich i gwardya chanowa janczarów brały przeważny udział, krwawiej od innych był odparty i ściągnął straszliwą burzę na głowę Chmielnickiego. Zaręczał on bowiem poprzednio, że Polacy mniej zaciekle z Turkami będą walczyli, i byle mu tych rot pozwolono, obóz zdobędzie. Musiał więc teraz łagodzić chana i rozwścieczonych murzów, oraz podarkami ich zniewalać.

Chanowi pozwolił dziesięć tysięcy talarów, zaś Tuhaj-bejowi, Korz-Adze, Subagaziemu, Nuradynowi i Gałdze po dwa. Tymczasem w obozie czeladź wyciągała trupy z fosy, w czem nie przeszkadzano jej strzelaniem z szańców. Żołnierze spoczywali aż do rana, bo było już pewne, że szturm się nie powtórzy. Spali tedy wszyscy snem nieprzebudzonym, prócz chorągwi strażowych i prócz pana Longina Podbipięty, który noc całą krzyżem na mieczu leżał, dziękując Bogu, iż mu pozwolił ślub spełnić i taką wielką chwałą się okryć, że imię jego przechodziło z ust do ust w obozie i w mieście. Nazajutrz wezwał go do siebie książę-wojewoda i chwalił wielce, a żołnierze przychodzili tłumami cały dzień winszować i oglądać trzy głowy, które czeladź przyniosła mu przed namiot, a które już czerniały na powietrzu. Było tedy podziwu i zazdrości niemało, a niektórzy wierzyć oczom nie chcieli, bo tak były równo ścięte razem ze stalowemi czepcami od misiurek, jakby kto nożycami odkroił.

— Straszliwy z waści sartor—mówiła szlachta.—Wiedzieliśmy o tobie, żeś dobry kawaler, ale takiego ciosu mogliby i starożytni pozazdrościć, bo i najgrzeczniejszy kat lepiej nie potrafi.

— Wiatr tak czapek nie zdejmie, jako te głowy są zdjęte!—mówili inni.

I wszyscy ściskali dłonie pana Longina, a on stał ze spuszczonemi oczyma, promienny, słodki—zawstydzony, jak panna przed ślubem, i mówił, jakby się tłómacząc:

— Ustawili się dobrze...

Próbowano następnie i miecza, ale że to był krzyżacki, dwuręczny koncerz, nikt nie mógł nim swobodnie poruszać, nie wyjmując nawet księdza Żabkowskiego, choć on podkowę jak trzcinę przełamywał.

Koło namiotu robiło się coraz gwarniej, a pan Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski czynili honory przybywającym, częstując ich opowiadaniem, bo nie było czem innem, jako że ostatnich już prawie sucharów dogryzano w obozie, a mięsa innego prócz wędzonej koniny, dawno nie stawało. Ale przecie duch starczył za jadło i napitek. Pod koniec, gdy inni zaczęli się już rozchodzić, nadszedł pan Marek Sobieski, starosta krasnostawski, ze swoim porucznikiem Stępowskim. Pan Longinus wybiegł na jego spotkanie, on zaś powitał go wdzięcznie i rzekł:

— Tu u waści dziś święto?

— Pewnie, że święto—odparł Zagłoba—bo nasz przyjaciel ślub spełnił.

— Chwała Panu Bogu! — odparł starosta — to już niezadługo, braciszku, powitamy was kosmatą ręką. A macie co upatrzonego?

Pan Podbipięta zmieszał się nadzwyczajnie i zaczerwienił aż do uszu, a starosta mówił dalej:

— Po konfuzyi miarkuję, że tak jest. Święty to wasz obowiązek pamiętać, aby taki ród nie zaginął. Daj Boże, żeby się na kamieniu rodzili podobni żołnierze, jak waszmościowie we czterech jesteście.

To rzekłszy, począł ściskać rękę pana Longina, Skrzetuskiego, Zagłoby i małego rycerza, a oni uradowali się w sercach, że z takich ust pochwałę słyszą, bo pan starosta krasnostawski był zwierciadłem męstwa, honoru i wszystkich cnót rycerskich. Był to wcielony Mars; zlały się na niego wszystkie dary Boże w obfitości, gdyż nadzwyczajną pięknością, nawet młodszego brata Jana, późniejszego króla, przewyższał, fortuną i imieniem najpierwszym wyrównywał, a jego zdolności wojenne sam wielki Jeremi pod niebiosa wynosił. Nadzwyczajna też byłaby to gwiazda na niebie Rzeczypospolitej, lecz ze zrządzenia Bożego blask jej wziął w siebie młodszy Jan, a ona zgasła przedwcześnie w dniu klęski.

Atoli rycerze nasi uradowali się wielce pochwałą bohatera, ten zaś wcale na niej nie poprzestał i tak dalej mówił:

— Siła ja o waszmościach od samego księcia wojewody słyszałem, który nad innych was miłuje. Nie dziwię się też, że mu służycie, nie oglądając się na promocye, któreby w królewskich chorągwiach łatwiej przyjść mogły.

Na to odrzekł Skrzetuski:

— Wszyscy my w królewskiej właśnie, usarskiej chorągwi jesteśmy pod znak zapisani, z wyjątkiem pana Zagłoby, który, jako wolentarz, z wrodzonej rezolucyi staje. A że pod księciem wojewodą służymy, to w pierwszym rzędzie z miłości dla jego osoby, a powtóre chcieliśmy wojny jak najwięcej zażywać.

— Jeżeliście taką mieli chęć, to słusznie czynicie. Pewnieby pan Podbipięta pod niczyją chorągwią tak łatwo swoich głów nie znalazł — odrzekł starosta. — Ale co do wojny, to w tych czasach wszyscy jej mamy do sytu.

— Więcej niźli czego innego—odparł Zagłoba.—Przychodzili tu do nas od rana z pochwałami, ale żeby nas kto na przekąskę i łyk gorzałki poprosił, tenby nas najwdzięczniej uczęstował.

To powiedziawszy, pan Zagłoba pilno patrzał w oczy staroście krasnostawskiemu i mrugał niespokojnie. Starosta zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Od wczorajszego południa nic w gębę nie wziąłem, ale łyk gorzałki może się w jakim sepeciku znajdzie. Służę waszmościom.

Lecz Skrzetuski, pan Longinus i mały rycerz poczęli się opierać i gromić pana Zagłobę, który się wykręcał jak mógł i tłómaczył jak umiał.

— Nie przymawiałem się—mówił—bo ambicya moja w tem, że wolę swoje oddać, byle cudzego nie ruszyć, ale gdy tak zacna persona prosi, toż grubianitas byłoby odmawiać.

— Już też pójdźcie — mówił starosta. — I mnie miło w dobrej kompanii posiedzieć, a póki nie strzelają, mamy czas. Na jadło was nie proszę, bo i o koninę już trudno, a co nam konia na majdanie ubiją, to sto rąk po niego się wyciąga, wszelako gorzałki jest ze dwie flasze, których dla siebie samego pewnie nie będę chował.

Tamci jeszcze się opierali i nie chcieli, ale gdy bardzo nastawał, poszli, a przodem pobiegł pan Stępowski i tak się uwinął, że kil-

ka sucharów i kilka kawałów koniny znalazło się do przegryzienia po wódce. Pan Zagłoba zaraz nabrał lepszej myśli i mówił:

— Da Bóg, że jak król Jegomość nas wyzwoli z tego oblężenia, to się zaraz pospolitemu ruszeniu do wozów dobierzemy. Oj, siła oni specyałów zawsze z sobą wożą i brzucha każdy lepiej strzeże, niż Rzeczypospolitej. Wolę z nimi jeść niż wojować, ale że to pod okiem królewskiem, to może będą nieźle stawali.

Starosta spoważniał.

—Jakośmy sobie zaprzysięgli — rzekł — że jeden na drugim padnie, a nie poddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie niema, a co gorsza to i prochy się kończą. Innym jabym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niezadługo jeno zaciekłość w sercach i szable w ręku nam pozostaną—i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj Boże króla jak najprędzej — bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan! Pewnieby fatygi, i zdrowia, i gardła nie żałował, byle nas wyzwolić—ale za małe ma siły i musi czekać, a waszmościowie wiecie, jak pospolite ruszenie powoli się ściąga. I zresztą skąd król Jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu kondycyach się bronimy i że już okruchów dojadamy?

— My już siebie ofiarowali—rzekł Skrzetuski.

— A żeby tak dać znać?—pytał Zagłoba.

— Żeby się znalazł kto taki cnotliwy—rzekł starosta—ktoby się przekraść podjął, tenby nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, tenby był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskęby odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama blizkość króla zdołałaby bunt rozproszyć. Ale kto pójdzie? ktc się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przeciśnie z okopu? Jawna i oczywista tc śmierć taka impreza.

— A od czego fortele? — rzekł Zagłoba — jeden mi do głowy przychodzi.

— Jaki? jaki?—pytał starosta.

— A owo codzień bierzemy po garści jeńców. Żeby tak którego przekupić? niechby udał, że od nas uciekł, a potem ruszył do króla.

— Muszę o tem z księciem pomówić—rzekł starosta.

Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się brózdami, i cały czas siedział milczący — nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Ja się podejmę przekraść przez kozaków.

Rycerze, usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski począł ruszać wąsikami raz po razu, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył po aksamicie i zakrzyknął:

— Waćpan podjąłbyś się tego dokonać?

— Czyś waść rozważył, co mówisz?—rzekł Skrzetuski.

— Dawno rozważyłem—rzekł Litwin—bo już nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi Jegomości o na-

szem położeniu. A ja, słysząc to, myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zarazbym poszedł. Ja lichy człek, co ja znaczę? co mnie będzie za szkoda, chociaż usieką po drodze?

— Ale usieką bez pochyby! — zawołał Zagłoba. — Słyszałeś waść, co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?

— Tak i co z tego, brateńku?—rzekł pan Longinus.—Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

— Ale pierwej cię pochwycą, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku, czyś rozum stracił?—mówił Zagłoba.

— A taki pójdę, brateńku—odparł ze słodyczą Litwin.

— Ptakby nie przeleciał, bo z łukuby go ustrzelili. Okopali nas naokoło, jako jaźwca w jamie.

— A taki pójdę!—powtórzył Litwin.—Ja Bogu wdzięczność winien, że mnie ślub spełnić pozwolił.

— No, widzicie go! patrzcie się na niego!—wołał zdesperowany Zagłoba.—To lepiej każ sobie odrazu głowę uciąć i z armaty na tabór wystrzelić, bo w ten tylko sposób mógłbyś się między nimi przecisnąć.

— Już pozwólcie, dobrodzieje!—rzekł Litwin, składając ręce.

— O nie, nie pójdziesz sam, bo i ja pójdę z tobą—rzekł Skrzetuski.

— I ja z wami! — dodał Wołodyjowski, uderzając się po szabelce.

— A niech-że was kule biją!—zawołał, porwawszy się za głowę, Zagłoba—niech-że was kule biją z waszem „i ja, i ja!“ z waszą determinacyą! Mało im jeszcze krwi, mało zaguby, mało kul! Niedość im tego, co się tu dzieje, chcą pewniej szyje pokręcić! Idźcież do kaduka i dajcie mnie pokój. Bodaj was usiekli...

To rzekłszy, począł się kręcić po namiocie, jak błędny.

— Bóg mnie karze—wołał — żem się z wichrami wdawał, zamiast żyć w zacnej kompanii statecznych ludzi. Dobrze mi tak!

Przez chwilę chodził jeszcze po namiocie gorączkowym krokiem, nakoniec zatrzymał się przed Skrzetuskim, założył ręce w tył i patrząc mu w oczy, począł sapać groźnie.

— Com ja waćpanom takiego uczynił, że mnie prześladujecie?

— Uchowaj-że nas Boże!—odrzekł rycerz.—Jak to?

— Bo że pan Podbipięta takowe rzeczy wymyśla, nie dziwię się. Zawsze miał dowcip w pięści, a od czasu, jak ściął największych trzech kpów między Turkami, sam czwartym został...

— Słuchać hadko!—przerwał Litwin.

— I jemu się nie dziwię—mówił dalej Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego. — On kozakowi za cholewkę wskoczy, albo mu się hajdawerów, jak rzep psiego ogona uczepi i najprędzej z nas wszystkich się przedostanie. Ich obudwóch Duch Święty nie oświecił—ale że waćpan, zamiast ich od szaleństwa powściągnąć, jeszcze im bodźca dodajesz, że sam idziesz, że wszystkich nas czterech na pewną śmierć i męki chcesz wydać—to już... ostatnia rzecz! Tfu, do

licha, nie spodziewałem się tego po oficerze, którego sam książę za statecznego kawalera uważał.

— Jakto? czterech?—rzekł zdziwiony Skrzetuski.—Chciałżebyś i waćpan?...

— Tak jest!—krzyczał, bijąc się pięściami po piersi, Zagłoba—pójdę i ja! Jeżeli który z was się ruszy, albo wszyscy w kupie, pójdę i ja. Niech moja krew spadnie na wasze głowy. Będę miał na drugi raz naukę, z kim się wdawać.

— A bodajże waści!—rzekł Skrzetuski.

Trzej rycerze poczęli go brać w ramiona, ale on naprawdę się gniewał, i sapał, i odpychał ich łokciami, mówiąc:

— Idźcie do kaduka! nie potrzeba mi waszych judaszowskich pocałunków!

Wtem na wałach ozwały się strzały armatnie i muszkietowe. Zagłoba zatrzymał się i rzekł:

— Macie! macie! idźcie!

— To zwykła strzelanina—zauważył Skrzetuski.

— Zwykła strzelanina! — rzekł, przedrzeźniając szlachcic. — A no, to proszę! Mało im tego. Połowa wojska od zwykłej strzelaniny stopniała, a oni już na nią nosem kręcą.

— Bądź waćpan dobrej myśli—rzekł pan Podbipięta.

— Milczałbyś, boćwino! — huknął Zagłoba — boś najwinniejszy. Waćpan to wymyślił tę imprezę, która jeśli nie jest głupia, to ja głupi!

— A taki pójdę, brateńku!—rzekł pan Longinus.

— Pójdziesz! pójdziesz! i wiem dlaczego! Waćpan się za bohatera nie podawaj, bo cię znają. Czystość masz na zbyciu i pilno ci ją z okopu wynieść. Najgorszyś między rycerstwem, nie najlepszy; poprostu gamratka z waszmości, która cnotą handluje! Tfu! obraza boska! Otóż to! Nie do króla ci pilno, ale radbyś rżał po wsiach, jak koń na błoni. Oto rycerz — patrzcie, co niewinność ma na sprzedaż! Zgorszenie, czyste zgorszenie, jak mi Bóg miły!

— Słuchać hadko!—wołał, zatykając uszy pan Longinus.

— Dajcie pokój swarom!—rzekł poważnie Skrzetuski.— Lepiej o sprawie myślmy.

— Na Boga!—rzekł starosta krasnostawski, który dotychczas ze zdumieniem słuchał pana Zagłoby—wielka to jest rzecz, ale bez księcia nie możemy nic stanowić. Tu nie ma się co spierać. Waćpanowie w służbie jesteście i ordynansów słuchać musicie. Książę musi być u siebie. Pójdźmyż do niego, co on na ochotę waszmościów powie.

— To co i ja!—rzekł Zagłoba, i nadzieja wypogodziła mu oblicze.—Pójdźmy coprędzej.

Wyszli i szli przez majdan, na który już kule padały z szańców kozackich. Wojska były u wałów, które zdala wyglądały jak budy jarmarczne, tyle na nich nawieszano starej, pstrej odzieży, kożuchów, tyle nastawiano wozów, szczątków namiotów i wszelkiego rodzaju rzeczy, mogących stanowić zasłonę od strzałów, które czasem po całych tygodniach nie ustawały we dnie i w nocy. Jakoż

i teraz nad owymi porozwieszanymi łachmanami ciągnęła się długa błękitnawa smuga dymu, a przed nimi widać było leżące szeregi czerwonych i żółtych żołnierzy, pracujących ciężko przeciw najbliższym szańcom nieprzyjacielskim. Sam majdan wyglądał jak jedno rumowisko; równina podarta rydlami, lub stratowana przez konie, nie zieleniła się ani jednem źdźbłem trawy. Gdzieniegdzie sterczały kopce wydobytej świeżo przy kopaniu studni i mogił ziemi, gdzieniegdzie leżały szczątki potrzaskanych wozów, armat, beczek, lub stosy ogryzionych i zbielałych na słońcu kości. Trupa końskiego nie dojrzałeś nigdzie, bo każdy zabierano natychmiast na żywność dla żołnierzy, natomiast wszędy widać było gromady żelaznych, po większej części zrudziałych już od rdzy kul armatnich, któremi codziennie zasypywano ten szmat ziemi. Ciężka wojna i głód widne były na każdym kroku. Idąc spotykali rycerze nasi większe i mniejsze kupy żołnierzy, to odnoszące rannych i zabitych, to śpieszące ku wałom z pomocą zbyt strudzonym towarzyszom— a wszystkie twarze zczerniałe, zapadłe, zarosłe— a srogie oczy rozpalone, odzież wypłowiała, podarta, na głowach często szmaty brudne, zamiast czapek i hełmów, broń połamana. I mimo woli przychodziło na myśl pytanie: co się stanie z tą garstką dotychczasowych zwycięzców, gdy jeszcze upłynie tydzień, dwa?...

— Patrzcie waszmościowie — mówił starosta — czas, czas dać znać królowi.

— Nędza już szczerzy zęby, jak pies — odpowiedział mały rycerz.

— A co będzie gdy konie zjemy?—spytał Skrzetuski.

Tak rozmawiając, doszli do namiotów książęcych, stojących z prawej strony wału, przed którymi widać było kilkunastu jeźdźców służbowych, przeznaczonych do rozwożenia rozkazów po obozie. Konie ich, karmione śrutowanem i wędzonem mięsem końskiem, a stąd trawione ustawicznym ogniem, rzucały się w szalonych podskokach, nie chcąc żadną miarą ustać na miejscu. Tak już było z końmi wszystkiej jazdy, która gdy szła teraz na nieprzyjaciela, zdawało się, że to stado gryfów lub hipocentaurów sadzi przez pola, więcej pędząc powietrzem, niż ziemią!

— Czy jest książę w namiocie? — spytał starosta jednego z jeźdźców.

— Jest z panem Przyjemskim—odpowiedział pocztowy.

Starosta wszedł pierwszy, nie oznajmując się—czterej zaś rycerze zatrzymali się przed namiotem.

Ale po chwili płótno uchyliło się, i pan Przyjemski wysadził głowę:

— Książę chce widzieć pilno waszmościów—rzekł.

Pan Zagłoba wszedł do namiotu z dobrą myślą, miał bowiem nadzieję, że książę nie będzie chciał najlepszych swych rycerzy na pewną zgubę narażać, omylił się jednak, bo jeszcze nie zdążył mu się pokłonić, gdy rzekł:

— Powiadał mi pan starosta o gotowości waszej wyjścia z obozu, a ja dobre chęci wasze przyjmuję. Ojczyźnie nie można nadto ofiarować.

— Przyszliśmy jeno o pozwolenie pytać—odrzekł Skrzetuski—gdyż wasza książęca mość jesteś szafarzem krwi naszej.

— Więc to we czterech chcecie wyjść?

— Wasza książęca mość!—rzekł Zagłoba.—Oni to chcą wyjść, a ja nie; Bóg mi świadek, nie przyszedłem się tu chwalić, ani swych zasług przypominać, i jeżeli o nich wspomnę, to jeno dlatego, żeby nie było supozycyi, że mnie tchórz oblatuje. Wielcy to są kawalerowie pan Skrzetuski, Wołodyjowski i pan Podbipięta z Myszykiszek, ale i Burłaj, który legł z mej ręki (że o innych przewagach zamilczę), także był wielki żołnierz, wart Burdabuta, Bohuna i trzech głów janczarskich — mniemam przeto, że w dziele rycerskiem nie jestem gorszy od innych. Jednakże co innego jest męstwo, a co innego szaleństwo. Skrzydeł nie mamy, a ziemią się nie przedostaniem—to pewna.

— Więc waść nie idziesz?—pytał książę.

— Powiedziałem, że iść nie chcę, ale nie powiedziałem, że nie idę. Kiedy mnie Bóg raz pokarał ich kompanią, to już do śmierci muszę w niej wytrwać. Jeżeli nam będzie ciasno, szabla Zagłoby przyda się jeszcze, nie wiem tylko, nacoby się przydała śmierć nas czterech, i ufam, że wasza książęca mość zechce ją od nas odwrócić, nie dając pozwolenia na szalone przedsięwzięcie.

— Dobry z waści kompan—odpowiedział książę — i zacnie to z twojej strony, że przyjaciół opuszczać nie chcesz, aleś się w swojej ufności we mnie pomylił, bo ja ofiarę waszą przyjmuję.

— Zdechł pies! — mruknął Zagłoba, i ręce opadły mu zupełnie.

W tej chwili kasztelan bełski, Firlej, wszedł do namiotu.

— Mości książę—rzekł—ludzie moi złapali kozaka, który powiada, że na dzisiejszą noc szturm się gotuje.

— Miałem i ja już wiadomość — odpowiedział książę. — Wszystko w pogotowiu; niech się tylko z sypaniem tych wałów śpieszą!

— Już prawie skończone.

— To dobrze!—rzekł książę—do wieczora się przeniesiemy.

Potem zwrócił się do czterech rycerzy:

— Po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna, najlepsza pora do wyjścia.

— Jak to? — rzekł kasztelan bełski — mości książę, gotujesz wycieczkę?

— Wycieczka swoją drogą pójdzie—rzekł książę—ja sam poprowadzę, ale teraz mówimy o czem innem. Łchmościowie podejmują się przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o naszem położeniu.

Kasztelan zdumiał się, oczy otworzył i spoglądał kolejno na rycerzy.

Książę uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał tę próżność, że lubił, by podziwiano jego żołnierzy.

— Na Boga!–rzekł kasztelan — więc są jeszcze takie serca na świecie? Na Boga! nie będę ja waszmościów od tego hazardu odwodził...

Pan Zagłoba zaczerwienił się ze złości — ale już nic nie rzekł, sapał tylko, jak niedźwiedź, książę zaś zamyślił się przez chwilę i w następujące ozwał się słowa:

— Nie chcę ja jednak nadarmo krwią waszmościów szafować i na to się nie zgadzam, abyście wszyscy czterej razem wychodzili. Pójdzie naprzód jeden; jeśli go zabiją, to się tem pochwalić nie omieszkają, jako się już raz pochwalili śmiercią tego mego sługi, którego aż pode Lwowem schwytali. Jeżeli tedy pierwszego zabiją, pójdzie drugi, potem w razie potrzeby trzeci i czwarty. Ale być może, że pierwszy przejdzie szczęśliwie—w takim razie nie chcę innych na próżną śmierć narażać.

— Mości książę...—przerwał Skrzetuski.

— Taka moja wola i rozkaz—rzekł z naciskiem Jeremi. — By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

— To ja!—rzekł pan Longinus z promienną twarzą.

— Dziś wieczorem, po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna—dodał książę.—Listów żadnych do króla nie dam; co waść widzisz, to opowiesz—weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu—ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał, czas jakiś, a potem pocałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak mi blizki jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu Boży. Amen!

— Amen!—powtórzyli starosta krasnostawski, pan Przyjemski i kasztelan bełski.

Książę miał łzy w oczach — bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa — inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsał dreszcz zapału — i płomień chodził mu po kościach, i radowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna, a bohaterska, nadzieją blizkiej ofiary.

— Historya o waszmości pisać będzie!—wykrzyknął kasztelan bełski.

— Non nobis, non nobis, sed nomini Tuo, Domine, da gloriam—rzekł książę.

Rycerze wyszli z namiotu.

— Tfu, coś mnie za grzdykę ułapiło i trzyma, a w gębie tak gorzko, jak po piołunie— mówił Zagłoba.— A tamci ciągle strzelają... żeby was pioruny wystrzelały!—rzekł, ukazując dymiące szańce kozackie.—Oj, ciężko żyć na świecie! Panie Longinie, czy to już koniecznie waćpan wyjdziesz... Niechże cię anieli ustrzegą... Żeby to zaraza to chamstwo wydusiła!

— Muszę waszmościów pożegnać—rzekł pan Longinus.

— Jak to? dokąd idziesz?—pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciaszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy, pan Longinus poszedł śpiesznie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli, pan Zagłoba zaś mówił:

— Ciągle mnie coś za grzdykę trzyma. Nie spodziewałem się, że mi będzie taki żal, ale najcnotliwszy to człowiek na świecie!.. niech mi kto zaprzeczy, to mu dam w pysk. O Boże! Boże! myślałem, że kasztelan bełski będzie hamował, a on jeszcze bębenka podbijał. Kaduk przyniósł tego heretyka! „Historya (mówi) o waszmości pisać będzie!“ Niech o nim samym pisze, ale nie na skórze pana Longina. A czemu to on sam nie wyjdzie? Po sześć ma palców u nóg, jako kalwinista, to mu i chodzić łatwiej. Mówię waszmościom, że coraz gorzej na świecie, i pewnie prawda, co ksiądz Żabkowski prorokuje, że koniec świata blizki. Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć.

Ale pan Podbipięta, po spowiedzi i komunii, cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem, na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskiemi, że swoi swoich odróżnić nie mogli—i trzy razy tak wiązali się z sobą. Chmielnicki wytężył wszystkie siły, bo mu i chan i właśni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm. i że odtąd głodem tylko będą nękali oblężonych. Ale po trzech godzinach, wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznemi stratami, że były później wieści, jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia—i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzestannej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony Jeremi, natychmiast po szturmie, prowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół — potem dopiero cisza ukoiła tabór i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

— Pistolety dobrze osłoń—szeptał Skrzetuski—żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczymy na ratunek.

— Ciemno, choć oko wykol! — szepnął Zagłoba

— To lepiej — odrzekł pan Longinus.

— Cicho-no! — przerwał Wołodyjowski — coś słyszę.

— To jakiś konający chrapie — nic to!...

— Byleś się do dębiny dostał...

— O Boże! Boże! — westchnął Zagłoba, trzęsąc się, jak w febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem.— Idź z Bogiem!

— Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie, bracia, zdrowi, a przebaczcie, jeżelim któremu w czem zawinił.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko Longinus był spokojny, choć wzruszony.

— Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu — raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom — i znikł w ciemności.

Między drogą do Załościc a gościńcem z Wiśniowca, rosła dąbrowa, przerywana wązkiemi wpoprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Załościce — tam to postanowił dostać się pan Podbipięta.

Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru przez całą noc kręciło się najwięcej ludzi i straże najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzane były strażami, które objeżdżali ustawicznie esaułowie, setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nietylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w który z dołów lub rowów, pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko, skopane polskiemi i kozackiemi rękoma.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono — i przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom i aproszom kozackim. Stanął i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich mołojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Niekiedy słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, sypanego jeszcze przez regimentarzy, również była pokry-

ta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej, zaś co kilkadziesiąt kroków stały owe zakrywki ziemne, podobne w ciemności do stogów. Lecz i zakrywki były puste. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka — nikogo na całym dawnym majdanie, prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłych i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż nakoniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było świateł, jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkryją, to przysłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu? — pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go, jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży owo światełko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie, książę Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki — tam go kochają i radziby go obronić — a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła w nim się wahać.

Nadleciał do niego w ciemności blady niepokój i począł szeptać mu do ucha: „Nie przejdziesz, to niepodobieństwo! wróć się, jeszcze, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek... Przez te tabory, przez tę dzicz, nie przejdzie nikt.“

Ów obóz ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły — a oni sami już nie pójdą, ani nikogo nie wyślą — i będą czekali dalej Bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus.— Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta.

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię zhańbić — wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy!

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciężyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bli-

źnich; nakoniec, jakby odpowiadając groźbie, dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

— A taki pójdę!

Po pewnym czasie znalazł się na owem pobojowisku, na którem w dniu pierwszego szturmu jazda księcia rozbiła kozaków i janczarów. Droga tu już była równiejsza, mniej rowów, dołów, nakrywek i nic prawie ciał, bo co w dawniejszych walkach poległo, to kozacy już uprzątnęli. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi — ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim stawem a taborem.

Szedł teraz szybko, bez przeszkód, i już zdawało mu się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

— Straże kozackie! — pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu, więc rzucił się co duchu w bok i zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się bez ruchu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

— Im ciężko, ale i nam ciężko — mówił senny jakiś głos. — A ilu to dobrych mołojców ziemię gryzie!

— Hospody! — rzekł drugi głos. — Mówią, że korol niedaleko... co z nami będzie?

— Chan rozgniewał się na naszego bat'ka, a Tatary grożą, że nas w łyka wezmą, jeżeli nie będzie kogo.

— I na pastwiskach się z naszymi biją. Bat'ko zakazał chodzić do kosza, bo kto tam pójdzie, przepadnie.

— Mówią, że między bazarnikami są przebrane Lachy. Bodaj tej wojny nie bywało!

— Gorzej nam teraz, niż przedtem.

— Korol niedaleko z lacką potęgą — to najgorzej!

— Hej! na Siczy tyby teraz spał, a tu tłucz się po ciemku, jak siromacha.

— Muszą tu się i siromachy włóczyć, bo konie chrapią.

Głosy oddalały się stopniowo i nakoniec umilkły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej.

Deszcz, tak drobny jak mgła począł mżyć. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Po lewej stronie pana Longina zabłysło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie, trzecie, dziesiąte. Teraz już był pewien, że znajduje się na linii taboru.

Światła były rzadkie i mdłe; widać, spali tam już wszyscy i tylko gdzieniegdzie może pito, lub gotowano strawę na jutro.

— Dzięki Bogu, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus.— Znużeni muszą być śmiertelnie.

Zaledwie to pomyślał, gdy zdala usłyszał znów tupot koński — jechała druga straż.

Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany, więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blizko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem, konie przywykłe przechodzić koło leżących ciał, nie zestraszyły się. Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznem było, że cały krąg, objęty taborem, strzeżony był, jak źrenica oka; pan Longinus cieszył się tylko w duchu, że nie napotyka pieszych placówek, które stawiano zwykle przed taborami, aby podawały wiadomości konnym strażom.

Ale radość jego niedługo trwała. Zaledwie uszedł znowu staje drogi, gdy jakaś czarna postać zamajaczyła przed nim, nie dalej niż na dziesięć kroków. Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony, poczuł jakoby lekki dreszcz w krzyżach. Cofać się i obchodzić było za późno. Postać poruszyła się, widocznie go spostrzegła.

Nastąpiła chwila wahania się, krótka, jak mgnienie oka. Nagle ozwał się przyciszony głos:

— Wasyl, to ty?

— Ja — rzekł cicho pan Longinus.

— A gorzałkę masz?

— Mam.

— Dawaj.

Pan Longinus zbliżył się.

— A co ty taki wysoki? — powtórzył ten sam głos tonem przestrachu.

Coś zakotłowało się w ciemności. Krótki, zduszony w tej samej chwili wykrzyk: „Hosp...!“ wyrwał się z ust strażnika—potem dał się słyszeć jakby trzask łamanych kości, ciężkie chrapanie — i jedna postać upadła cicho na ziemię.

Pan Longinus szedł dalej.

Ale nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek — więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet i szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę.

Konne oddziały straży nie miały tu co robić.

Po chwili pokazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Za to tabor nie był dalej, niż dwa strzelenia z łuku—i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równolegle od szeregów wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i owdzie ogniskach, widać było siedzące postacie. W jednem miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak, że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Zdaleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których rzeźnicy zdzierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha

rzeźnikom na piszczałkach. Była to ta część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru, oświecona mdłemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się, co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać.

Położenie pana Longina było straszne. Miał do wyboru: albo przemknąć się między wozami albo szukać innego wyjścia między kozactwem a koszem. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolisku—chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacyi, dla wolnej drogi potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Blaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i kozaków, gdy tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy.

Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i z duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nietylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł; czerniały też przed nim chrósty i gąszcze, za któremi rosła dębina, za dębiną bór, aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie i sława, i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Czemże było ścięcie trzech głów wobec tego czynu, do którego coś więcej, prócz żelaznej ręki, trzeba było posiadać?

Pan Longinus sam czuł tę różnicę — ale nie wezbrało pychą to czyste serce — tylko jak serce dziecka rozpłynęło się w łzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było, albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach, i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym, depcąc krze — co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej—i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nimi taka czarna, jak w podziemiu Ale to i lepiej. Wstał lekki wiatr, więc dęby szumią zlekka, rzekłbyś mruczą pacierz: „Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchroń że tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę!“

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzednie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściły mocniej jakby chciały rzec: „Zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas!“ — ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, z pod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

— Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały, nakrycia głowy jakieś śpiczaste—to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia— i chwyciło go żylastemi rękoma, lecz on wstrząsnął się, i wszyscy zapaśnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Potem straszliwy zerwikaptur zazgrzytał w pochwie i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania na ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych, rżenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza— i ciął straszliwie. Trupy zaczerniły mu się pod nogami — inni cofnęli się, zdjęci paniczną trwogą.

— Diw! diw!—rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny, i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnymi. Biegli kozacy i Tatarzy, z kosami, z drągami, z łukami—ze szczapami palącego się łuczywa. Gorączkowe pytania poczęły się krzyżować i przelatywać. z ust: Co to jest, co się stało? — Diw! — odpowiadali koniuchowie.— Diw!—powtarzały tłumy.—Lach! Diw! Ubij! Żywcem bierz, żywcem!

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu—olbrzymi, oparty o drzewo, i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiał głos komendy:

— Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem—jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestrachu wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili.

Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał drgających jeszcze w agonii.

— Sznurów, sznurów!—zabrzmiał jakiś głos.

Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa.

Ale pan Longinus ciął mieczem — i chłopi z obu stron padali na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy.

Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie wzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych nohajców, chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda, ale on podarł ich, jak odyniec rozdziera zajadłe kundle. Dąb, zrosły z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza—z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł, nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Widząc to, rozwścieczona orda spędziła kozaków — i naokół rozległy się dzikie wołania:

— Uk! uk!...

Wówczas, na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi, poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanię do Naświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Panno wsławiona!“—i utkwiła mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna!“ już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez mgłę łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... nakoniec ukląkł.

Potem, nawpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: „Królowo Anielska!“—i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłę jasną, u nóg „Królowej Anielskiej.“

ROZDZIAŁ XXVIII.

Pan Wołodyjowski i Zagłoba stali następnego rana na wałach między żołnierstwem, spoglądając pilno ku taborowi, od którego strony zbliżały się masy chłopstwa. Skrzetuski był na radzie u księcia, oni zaś korzystając z chwili spokoju, rozmawiali o dniu wczorajszym i o tym ruchu w taborze nieprzyjacielskim.

— Nic nam to dobrego nie wróży—rzekł Zagłoba, ukazując czarne masy, idące nakształt olbrzymiej chmury.—Pewno do szturmu znów ruszą, a tu już ręce nie chcą chodzić w stawach.

— Gdzieby tam zaś miał być szturm, przy dniu jasnym, o tej porze!—rzekł mały rycerz.—Nie uczynią nic więcej, jeno zajmą nasz wczorajszy wał i znów wkopywać się będą do nowego i strzelać przytem od rana do wieczora.

— Możnaby ich dobrze z armat przepłoszyć.

Wołodyjowski zniżył głos:

— Prochów skąpo—rzekł.—Przy takim ekspensie podobno już i na sześć dni nie starczy. Ale w tym czasie pewnie król nadciągnie.

— Niech-że się już dzieje, co chce, aby nasz pan Longin, niebożątko, przedostał się szczęśliwie. Przez całą noc spać nie mogłem, tylko o nim myślałem, a com się zdrzemnął, tom go w opresyi widział, i taki mnie żal brał, że aż poty na mnie biły. Najlepszy to człowiek, jakiego w Rzeczypospolitej możesz znaleźć, z latarnią przez trzy roki i sześć niedziel chodząc.

— A czemuś to waćpan zawsze z niego dworował?

— Bo gęba we mnie paskudniejsza od serca. Ale już mi go, panie Michale, nie zakrwawiaj wspomnieniem, gdy i tak wyrzuty sobie czynię, a broń Boże jakiego przypadku na pana Longina, tobym do śmierci chyba nie miał spokoju.

— Już też tak dalece się waćpan nie gryź. Nie miał on nigdy do waści żadnego rankoru i słyszałem jak sam mówił: „Gęba hadka, serce złote.“

— Dajże mu Boże zdrowie, przyjacielowi zacnemu! Nigdy on po ludzku nie umiał mówić, ale setnie takowe niedostatki wielkiemi cnotami nagradzał. Co myślisz, panie Michale? zali przeszedł szczęśliwie?

— Noc była ciemna, a chłopi po klęsce straszliwie fatigati. U nas dobrych straży nie było, a cóż dopiero u nich.

— To chwała Bogu! Zalecałem też panu Longinowi, żeby się o naszą niebogę kniaziównę pilno dopytywał, azali gdzie jej nie widzieli, bo tak myślę, że Rzędzian musiał się do wojsk królewskich przedostawać. Pan Longinus pewnie na odpoczynek nie pójdzie, tyl-

ko z królem tu przyciągnie. W takim razie mielibyśmy niezadługo o niej wiadomość.

— Ufam ja w dowcip tego pachołka, że ją tam jakoś ocalił. Jużbym nie zaznał uciechy, żeby ją zguba spotkała. Krótkom ją znał, ale w to wierzę, że gdybym siostrę miał, toby mi nie była milszą.

— Dla ciebie siostra, a dla mnie córuchna. Od tych trosk chyba mi broda do reszty zbieleje, a serce od żalu pęknie. Co kogo pokochasz—raz, dwa, trzy — i już go niema, a ty siedź, troskaj się, martw, gryź, rozmyślaj, mając w dodatku brzuch pusty i dziury w czapczynie, przez które, jak przez złą strzechę, woda na łysinę leci. Psom teraz w Rzeczypospolitej lepiej niż szlachcie, a nam czterem to już ze wszystkich najgorzej. Czasby już chyba do lepszego świata się wybrać, panie Michale, albo co?

— Nieraz myślałem, czyby nie lepiej powiedzieć Skrzetuskiemu o wszystkiem, ale to mnie wstrzymuje, że sam on nigdy o niej jednem słowem nie wspomniał, a bywało, jak kto wymówi, to się tylko wzdrygnie, jakby go w sercu ukłuło.

— Gadajże mu, rozdzieraj rany w ogniu tej wojny przyschłe, a ją tam może już jaki Tatarzyn przez Perekop za warkocz prowadzi. Świece jarzące mi w oczach stają, gdy sobie taki termin pomyślę. Czas już umierać, nie może być inaczej, bo na świecie męka tylko i nic więcej. Żeby choć pan Longinus przemknął się szczęśliwie!

— Musi on mieć większe w niebie łaski, niż inni, bo cnotliwy. Ale patrz-no waćpan, co tam hultajstwo robi.

— Taki dziś blask od słońca, że nic nie widzę.

- Wał nasz wczorajszy rozkopują.

— A mówiłem, że będzie szturm. Chodźmy stąd, panie Michale, dość już tego stania.

— Nie dla tego to oni kopią, żeby koniecznie do szturmu iść, ale muszą mieć otwartą drogę do odwrotu, i przytem pewno będą tamtędy machiny wprowadzać, w których strzelcy siedzą. Patrz-no waść, aż łopaty warczą! już na jakie czterdzieści kroków zarównali.

— Teraz widzę, ale okrutny dziś blask.

Pan Zagłoba nakrył oczy ręką i patrzał. W tej chwili przez rozkopany w wale wycinek rzuciła się rzeka czerni i rozlała w mgnieniu oka po pustej między wałami przestrzeni. Jedni zaczęli zaraz strzelać; inni, ryjąc ziemię łopatami, poczęli wznosić nowy nasyp i szańce, które trzecim z kolei pierścieniem miały zamknąć polski obóz.

— Oho! — zawołał Wołodyjowski — nie mówiłem? Już i machiny wtaczają.

— No to szturm będzie jako żywo. Chodźmy stąd — rzekł Zagłoba.

— Nie, to inne belluardy!—odpowiedział mały rycerz.

Istotnie, machiny, które ukazały się w otworze, inaczej były budowane od zwykłych hulaj-grodów; ściany ich bowiem składały

się z zestosowanych skoblami drabin, pokrytych odzieżą i skórami, z poza których najcelniejsi strzelcy, siedzący od połowy wysokości machiny, aż do jej szczytu razili nieprzyjaciela.

— Pójdźmy, niech ich tam psi pozagryzają! — powtórzył Zagłoba.

— Czekaj waść!—odpowiedział Wołodyjowski.

I poczęli liczyć machiny, w miarę jak coraz nowe ukazywały się w otworze.

— Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć—idą coraz wyższe... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie, bo tam muszą być strzelcy exquisitissimi—dziewięć, dziesięć—widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada—jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

— Co to jest?—spytał dziwnym głosem.

— Gdzie?

— Tam, na najwyższej... człowiek wisi!

Zagłoba wytężył wzrok: istotnie na najwyższej machinie słońce oświeciło nagi trup ludzki, kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem belluardy, nakształt olbrzymiego wahadła.

— Prawda—rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Boże wszechmogący! to Podbipięta!

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatknął dłońmi oczy i szeptał zsiniałemi wargami, jęcząc:

— Jezus Marya! Jezus Marya!...

Wtem szmer zmienił sie w szum zmieszanych słów, a potem w huk, jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko, stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy—poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek: strach było na niego patrzeć; na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

— Krwi! krwi!—ryknął tak strasznym głosem, że aż dreszcz przeszedł blizko stojących.

I skoczył w fosę. Za nim rzucił się kto żyw na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy księcia, nie zdołałyby powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fosy wydobywali się jedni po ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu—a kto wyskoczył, biegł na oślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Belluardy zadymiły jak smolarnie i wstrząsnęły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Dopieroż kozacy skoczyli także z cepami, z kosami, na napastników, i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły się z łoskotem. Lecz syte brytany nie mogą się bronić długo głodnym i wście-

kłym wilkom. Wyparci z miejsca, cięci szablami, darci zębami, bici i gnieceni, kozacy nie wytrzymali furyi—i wnet zaczęli się mieszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucał się w największy tłum, jak lwica, której zabrano lwięta; rzęził, chrapał, ciął, mordował—deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł, jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski, podobny do rannego rysia.

Strzelców ukrytych w belluardach wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Potem żołnierze weszli na belluardę i odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte centkami od ran, przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały, prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropel krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladem obliczu uśmiech pogodny, i gdyby nie chłód śmierci w rysach—zdawaćby się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stanęło wszystko duchowieństwo ze Zbaraża, prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, blizkim był śmierci; przyszedł książę, zdawszy dowództwo staroście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży nowogrodzki i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiaździsta, pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniósł rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem utkwił oczy w gwiaździstych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

— „Co to tam za stukanie słyszę po nocy, w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając. — Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbipięta.

„Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtyana inkomodować? Jakiem-że to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury, jeszcze same przez się, wol-

nego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

„Ach! otwórz, święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł kommiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł nagi, jako Łazarz, przyszedł, jako święty Sebastyan, strzałami pogańskiemi podarty, jak Hiob biedny, jako dzieweczka, która męża nie znała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

„Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogoż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?

„Puść-że go, święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...“

W taki-to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przewyższał. Bili się tedy w piersi wszyscy, i coraz większa ogarniała ich żałość i coraz wyraźniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozpłakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: „Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancyi odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryę i opresyę — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!“

Płakali za zacnym księdzem wszyscy, i książę i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy Requiem aeternam dona ei Domine! — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat, albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: Anima ejus — zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami—i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

Trzej przyjaciele wracali z miasta na majdan, z którego ustawicznie dochodził odgłos strzałów. Szli w milczeniu, gdyż żaden z nich nie chciał pierwszego słowa przemówić—lecz inne gromadki

rycerstwa gwarzyły między sobą o nieboszczyku, sławiąc go zgodnie.

— Pogrzeb miał tak foremny — mówił jakiś oficer, przechodząc obok Skrzetuskiego — że i panu pisarzowi Sierakowskiemu lepszego nie sprawili.

— Bo też nań zasłużył—odpowiedział drugi oficer.—Ktoby to inny podjął się przedrzeć do króla?

— A ja słyszałem — dodał trzeci —że między wiśniowieccykami było kilku ochotników, ale po tak strasznym przykładzie pewnie już wszystkich ochota odeszła.

— Bo też to i niepodobna. Wąż się nie prześliźnie.

— Jako żywo, czysteby to było szaleństwo!

Oficerowie przeszli. Nastała znów chwila milczenia Nagle Wołodyjowski rzekł:

— Słyszałeś, Janie?

— Słyszałem — odpowiedział Skrzetuski. — Moja dziś kolej.

— Janie!—rzekł poważnie Wołodyjowski—znasz mnie oddawna i wiesz, że się przed hazardem nierad cofam, ale co innego hazard, a co innego proste samobójstwo.

— I tyż to mówisz, Michale?

— Ja, bom ci przyjaciel.

— I jam ci przyjaciel; dajże mnie kawalerski parol, że nie pójdziesz trzeci, jeżeli ja zginę.

— O! nie może być! — zakrzyknął Wołodyjowski,

— A widzisz, Michale! Jakże to możesz ode mnie wymagać tego, czegobyś sam nie uczynił? Niechże się dzieje wola Boża!

— To pozwól mi iść razem.

— Książę zabrania, nie ja — a tyś żołnierz i słuchać musisz.

Pan Michał zamilkł, bo istotnie żołnierz to był przedewszystkiem, więc począł tylko wąsikami ruszać gwałtownie przy księżycu, nakoniec rzekł:

— Noc bardzo widna; nie idź dzisiaj.

— Wolałbym, żeby była ciemniejsza — odrzekł Skrzetuski — ale zwłoka niepodobna. Pogoda, jako widzisz, uczyniła się na długo, a tu prochy się kończą, żywność się kończy. Żołnierze, już na majdanie kopią, korzonków szukając; innym dziąsła gniją od paskudztwa, które jedzą. Dziś pójdę, zaraz; jużem się z księciem pożegnał.

— To widzę, żeś poprostu desperat.

Skrzetuski uśmiechnął się smutno.

— Bodajże cię, Michale! Pewnie, że w rozkoszach nie opływam, ale dobrowolnie śmierci nie będę szukał, boć to i grzech, a zresztą nie o to chodzi, żeby zginąć, jeno o to, żeby wyjść, i dojść do króla, i obóz zbawić.

Wołodyjowskiego porwała nagle taka chęć powiedzieć Skrzetuskiemu wszystko o kniaziównie, że prawie już usta otwierał, ale pomyślał sobie: „Od nowiny w głowie mu się pomiesza i tem łatwiej go schwytają“ — więc ugryzł się w język i milczał, a natomiast spytał:

— Którędy pójdziesz?

— Mówiłem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Książę powiedział, że to lepsza droga niż inna.

— Niema, jak widzę, rady — odrzekł Wołodyjowski. — Raz człeku śmierć przeznaczona, a lepsza na polu chwały, niż na łożu. Bóg cię prowadź! Bóg cię prowadź, Janie! Jeżeli nie zobaczymy się na tym świecie, to na tamtym, a ja ci serca pewnie dochowam.

— Jako i ja tobie. Bóg ci zapłać za wszystko dobre. A słuchaj, Michale, jeżeli zginę, oni mnie może nie sprezentują, jako pana Longina, bo zbyt srogą naukę dostali, ale się pewnie i tak jakowymś sposobem pochwalą: niechże w takim razie stary Zaćwilichowski pojedzie do Chmielnickiego po moje ciało, bo nie chciałbym, aby mnie psi po ich taborze włóczyli.

— Bądź pewien — odrzekł Wołodyjowski.

Pan Zagłoba, który z początku nawpół przytomnie rozmowy słuchał, zrozumiał wreszcie o co idzie, ale nie znalazł w sobie już dość siły, aby wstrzymywać lub odmawiać, tylko począł jęczeć głucho:

— Wczoraj tamten, dziś ten... Boże! Boże! Boże!

— Ufaj waćpan! — rzekł Wołodyjowski.

— Panie Janie!... — zaczął Zagłoba.

I nie mógł nic więcej powiedzieć, jeno siwą, strapioną głowę wsparł na piersi rycerza i tak tulił się do niego, jak niedołężne dziecko.

W godzinę później Skrzetuski pogrążył się w wody zachodniego stawu.

Noc była bardzo jasna, i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porosły był gęsto sitowiem, trzciną i bucianem; dalej pomiędzy rzadszą trzciną rosły w obfitości grążele, rdest wodny i rośleże. Cała ta mieszanina szerokich i wązkich liści, oślizgłych łodyg, wężowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utrudniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw, aż do bagienka, leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie, albo tatarskie, ale za to rósł cały las trzcin, którego brzegi były tylko wycięte na szałasy dla czerni. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chybaby topielisko okazało się zbyt głębokie. Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, taiło się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnóstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego, mimo całej powolności jego ruchów, tworzyły się koła fal, biegnące coraz dalej od środka aż na niezarosłą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie

deszczu byłby poprostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej wpół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Całe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniając liście grążel w srebrne tarcze, a pióra trzcin w srebrne kity. Wiatr nie wiał — na szczęście grzechot wystrzałów głuszył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze. Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jednę więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzcin i utworzywszy kłąb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach, kłując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszyma żałosne swe nieszpory. Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie łudził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej strachów. Wszelka głębina wód, choćby najlepiej znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem—i mimowoli napędza pytanie: co tam jest na dnie? A ten staw zbaraski był poprostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody— i wydawała zaduch trupi. Bo też gniły w niej setki kozaków i Tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów, ale iluż ich mogło być ukrytych wśród trzcin, rdestu i gęstej uszycy? Skrzetuskiego obejmował chłód fali — a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś oślizgłe ramiona uchwycą go nagle, albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego z pod bucianów. Długie łodygi grzebienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby nie puścić więcej. „Jezus, Marya! Jezus Marya!“—szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego, doznawał pewnej ulgi. „Jest Bóg!“— powtarzał sobie półgłosem, tak, aby się sam mógł dosłyszeć. Czasem spoglądał na brzeg, i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, bladych świateł księżycowych, duchów i trupów i nocy, spoglądał na Bożą zwykłą ziemię—i tęsknota porywała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzcin wychodzić.

Lecz posuwał się ciągle brzegiem—i oddalił się już tak od obozu, że na tej Bożej ziemi dostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Tatara — więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która, miarkując z jej jednostajnych ruchów ku szyi końskiej, zdawała się być uśpioną.

Był to dziwny widok. Tatar kiwał się ciągle, jakby kłaniał się w milczeniu Skrzetuskiemu, a ten oczu z niego nie spuszczał. Było w tem coś strasznego, lecz Skrzetuski odetchnął z satysfakcyą, bo wobec tego rzeczywistego strachu pierzchły stokroć do zniesienia cięższe, urojone. Świat duchów odleciał gdzieś, i rycerzowi wróciła odrazu zimna krew; do głowy poczęły się cisnąć takie tylko pytania, jak: śpi, czy nie śpi? mam iść dalej, czy czekać?

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej, niż na początku podróży. Był już na pół drogi do bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew lekkiego wiatru. Zakoły-

sały się wnet trzciny i wydały, trącając jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo mimo całej ostrożności, mimo, iż czasem po kilka minut nad postawieniem stopy tracił, mimowolny ruch, potknięcie się, plusk, mogły go zdradzić. Teraz szedł śmielej wśród głośnego rozhoworu trzcin, którym zaszumiał cały staw — i wszystko zagadało do koła, woda nawet na brzegach poczęła bełkotać rozkołysaną falą.

Lecz ten ruch rozbudził widocznie nietylko zarośla brzegowe, bo zaraz jakiś czarniawy przedmiot zjawił się przed Skrzetuskim i począł chybotać się ku niemu, jak gdyby rozmachując się do skoku. Skrzetuski omal w pierwszej chwili nie krzyknął; strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło.

Ale po chwili, gdy pierwsza myśl, że to może być topielec, umyślnie zastępujący drogę, przeszła, pozostało tylko obrzydzenie— i rycerz ruszył dalej. Rozhowor trzcin trwał ciągle i wzmagał się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę tatarską. Minął je, minął i czwartą. „Już z pół stawu musiałem okrążyć“ — pomyślał i podniósł się trochę z trzcin, aby rozpoznać, w którem miejscu się znajduje— wtem coś go trąciło w nogi, obejrzał się i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

— To już drugi—pomyślał.

Tym razem nie przeraził się, bo ten drugi trup leżał na wznak i nie miał w swej bezwładności pozorów życia i ruchu. Skrzetuski przyśpieszył tylko kroku, by nie dostać zawrotu głowy. Trzciny zaczynały być coraz gęstsze—co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak utrudniało niezmiernie pochód. Upłynęło jeszcze półgodziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzieniegdzie za to zapadał niemal po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota. Pot zalewał mu czoło, a jednocześnie co czas jakiś przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

— Co to jest?—myślał ze strachem w sercu — czy mnie delirium nie chwyta? Bagienka jakoś niema; nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzcin i ominę?

Byłoto straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógłby krążyć całą noc naokoło stawu i z rana znaleźć się w tem samem miejscu, z którego wyszedł, lub wpaść na innem w ręce kozackie.

— Złą drogę obrałem—myślał, upadając w duchu—przez stawy nie można, wrócę się jutro i pójdę, jak pan Longinus—do jutra mógłbym odpocząć.

Lecz szedł naprzód, bo poznawał, że obiecując sobie wrócić i ruszyć po odpoczynku, sam siebie oszukuje; przychodziło mu także do głowy, że idąc tak wolno i zatrzymując się co chwila, nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na błocie, by choć odetchnąć. Bił się tak z własnemi myślami, a jedno-

cześnie modlił się. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskich otrzeźwiał go, ale czuł, że i głowa męczy mu się jak ciało, i że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny — bagienko nie ukazywało się jeszcze.

Natomiast ciała utopionych trafiały się coraz częściej. Noc, strach, trupy, szum trzcin, trud i bezsenność zmąciły mu myśli. Poczęły nań nadlatywać wizye. Oto Helena jest w Kudaku, a on płynie z Rzędzianem na dumbasie z biegiem dnieprowym. Trzciny szumią—on słyszy pieśń: „Ej to ne pili pililí!... ne tumany ustawały.“ Ksiądz Muchowiecki czeka ze stułą, a pan Krysztof Grodzicki ojca zastąpi... Dziewczyna tam codzień patrzy na rzekę z murów — rychło patrzeć, jak w ręce zaklaszcze i krzyknie: „Jedzie! jedzie!“

— Jegomość! — mówi Rzędzian, ciągnąc go za rękaw — panna stoi...

Skrzetuski budzi się. To splątane trzciny zatrzymały go po drodze! Wizya ulatuje. Przytomność wraca. Teraz nie czuje już takiego zmęczenia, bo mu gorączka sił dodaje.

Hej, czy to jeszcze nie bagienko?

Ale na okół trzciny takie same, jakby z miejsca nie ruszył. Przy rzece powinna być woda otwarta, więc to jeszcze nie bagienko.

Rycerz idzie dalej, ale myśl wraca z nieubłaganym uporem do lubej wizyi. Próżno Skrzetuski się broni, próżno poczyna mówić: „O gospodzie uwielbiona,“ próżno stara się zachować całą przytomność—znowu nadpływa Dniepr, dumbasy, czajki—Kudak, Sicz—tylko tym razem wizya bezładniejsza, mnóstwo w niej osób: obok Heleny i książę, i Chmielnicki, i ataman koszowy, i pan Longinus, i Zagłoba, i Bohun, i Wołodyjowski — wszyscy przybrani odświętnie na jego ślub, ale gdzie ma być ten ślub? Są w jakiemś miejscu nieznanem, ni to Łubnie, ni Rozłogi, ni Sicz, ni Kudak... wody jakieś, po nich ciała pływają...

Skrzetuski budzi się po raz drugi, a raczej budzi go mocny szelest, dochodzący ze strony, w którą idzie — więc zatrzymuje się i słucha.

Szelest zbliża się, słychać jakieś chrobotanie i plusk — to czółno.

Widać je już przez trzciny. Siedzi w niem dwóch mołojców— jeden popycha wiosłem, drugi trzyma w ręku długą tyczkę, świecącą zdala jak srebro, i rozgarnia nią wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się aż po szyję w wodę, tak, że głowa tylko wystawała mu po nad sitowie, i patrzał.

— Jest-li to zwykła straż, czy są już na tropie? — pomyślał.

Ale wnet doszedł po spokojnych i niedbałych ruchach mołojców, że to musi być zwyczajna straż. Czółen na stawie musiało

być więcej niż jedno—i gdyby kozacy byli na tropie, pewnoby zgromadziło się kilkanaście łódek i kupa ludzi.

Tymczasem przejechali mimo — szum trzcin głuszył słowa; Skrzetuski złowił uchem tylko następujący urywek rozmowy:

— Czort-by ich pobraw, i cei smerdiaczoi wody kazały pylnowaty!

I czółno zasunęło się na kępy trzcin — tylko stojący na przedzie kozak uderzał ciągle miarowym ruchem tyczką w zarośla wodne, jakby chciał ryby straszyć.

Skrzetuski ruszył dalej.

Po niejakim czasie znów ujrzał placówkę tatarską, stojącą tuż nad brzegiem. Światło księżyca padało wprost na twarz nohajca, podobną do psiej mordy. Ale Skrzetuski mniej się już obawiał tych straży, niż utraty przytomności. Natężył więc całą wolę, by sobie jasno zdawać sprawę, gdzie jest i dokąd idzie. Ale ta walka powiększyła tylko jego znużenie, i wnet dostrzegł, że mu się dwoi i troi w oczach, że chwilami wydaje mu się staw obozowym majdanem, a kępy trzcin namiotami. Wówczas chciał wołać na Wołodyjowskiego, by szedł z nim razem, ale tyle miał jeszcze przytomności, iż się wstrzymał.

— Nie krzycz! nie krzycz!—powtarzał sobie—to zguba.

Lecz owa walka z samym sobą coraz była trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękany głodem i straszną bezsennością, od której umierali tam już żołnierze. Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błądzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin, osłabiły go do reszty. Dołączyło się i rozdrażnienie strachu i ból od ukąszeń komarów, które pokłuły mu tak twarz, że cała była krwią oblana—więc czuł, że jeżeli prędko nie dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, by go prędzej spotkało, co ma spotkać, lub padnie wśród tych trzcin i utopi się.

Owo bagienko i ujście rzeki wydawało mu się portem zbawienia, choć poprawdzie zaczynały się tam nowe trudności i niebezpieczeństwa.

Bronił się gorączce i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. W jej szumie słyszał Skrzetuski głosy ludzkie, rozmowy; zdawało mu się, że to o nim tak rozmawia ten staw. Dojdzie-li do bagienka, czy nie dojdzie? wylezie, czy nie wylezie? Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawała się głębsza — wkrótce doszła mu do pasa, a potem do piersi. Więc pomyślał, że jeśli płynąć przyjdzie, to się w tej zbitej tkaninie zaplącze i utonie.

I znowu porwała go niepowstrzymana, nieprzeparta chęć wezwania Wołodyjowskiego, i już ręce złożył koło ust, by zakrzyknąć:

— Michale! Michale!

Na szczęście jakaś miłosierna trzcina uderzyła go zroszoną, mokrą kiścią w twarz. Oprzytomniał i ujrzał przed sobą, ale nieco ku prawej stronie, mdłe światełko.

Teraz patrzał już ciągle w to światło i czas jakiś szedł wytrwale ku niemu.

Nagle zatrzymał się, spostrzegłszy pas czystej wody, leżącej w poprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko.

— To już przestanę krążyć brzegiem i zapuszczę się w ten klin—pomyślał.

Z obu stron klinu ciągnęły się dwie smugi trzcin— rycerz zapuścił się tą, do której doszedł. Po chwili poznał, że jest na dobrej drodze. Obejrzał się: staw był już za nim, a on postępował teraz wzdłuż wązkiej taśmy, która nie mogła być czem innem tylko rzeką. Woda też tu była zimniejsza.

Lecz po niejakim czasie owładnęło nim straszne znużenie. Nogi trzęsły mu się, a przed oczyma stawał jakoby tuman czarny. „Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się— myślał—nie pójdę dalej, odpocznę.“

Wtem upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porosłą mchami. Była to jakoby wysepka wśród sitowia.

Siadł na niej i począł wycierać rękoma zakrwawioną twarz i przytem oddychać mocno.

Po chwili, do jego nozdrzy doszedł zapach dymu. Odwróciwszy się ku brzegowi, dojrzał o sto kroków od brzegu ogień, a naokoło niego kupkę ludzi.

Był zupełnie nawprost tego ognia, i w chwilach gdy wiatr rozginał trzciny, mógł widzieć wszystko doskonale. Od pierwszego rzutu oka poznał koniuchów tatarskich, którzy siedzieli przy ognisku i jedli.

Wówczas odezwał się w nim straszny głód. Ostatniego rana zjadł kawałek koniny, którym nie nasyciłoby się i dwumiesięczne szczenię wilcze—od tego czasu nie miał nic w ustach.

Więc począł zrywać rosnące obok okrągłe łodygi grążeli i wysysał je chciwie. Gasił niemi zarówno głód, jak i pragnienie, bo i pragnienie go trawiło.

Przytem ciągle wpatrywał się w ognisko, które bladło coraz bardziej i mdlało. Ludzie przy niem przesłaniali się jakoby mgłą i zdawali się oddalać.

— Aha! sen mnie morzy! Tu usnę, na tej kępie — pomyślał rycerz.

Lecz przy ognisku uczynił się ruch. Koniuchowie wstali. Wkrótce do uszu Skrzetuskiego doszły wołania: „Łosz! łosz!“ Odpowiedziało im krótkie rżenie. Ognisko opustoszało i przygasło. Po chwili jeszcze rycerz usłyszał gwizdanie i głuchy tupot kopyt po wilgotnej łące.

Skrzetuski nie mógł zrozumieć, czemu to koniuchowie odjeżdżają. Wtem spostrzegł, że kiście trzcin i tarcze grzybienia są jakieś bladawe—woda świeci się inaczej, niż od księżyca, a powietrze przesłania się lekką mgłą.

Obejrzał się—dniało.

Cała noc zeszła mu na okrążaniu stawu, nim doszedł do rzeki i bagienka.

Był zaledwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostawać się przez tabory za dnia.

Powietrze nasycało się coraz więcej światłem brzasku. Na wschodzie niebo przybrało barwę bladego seledynu.

Skrzetuski spuścił się na nowo z kępy w bagno i dotarłszy po krótkiej przerwie do brzegu, wysadził głowę z trzcin.

W odległości pięciuset może kroków widać było jedną placówkę tatarską, zresztą łąka była pusta, tylko ognisko świeciło opodal na suchem miejscu dogasającym żarem; rycerz postanowił czołgnąć się ku niemu wśród wysokich traw, przerosłych jeszcze tu i owdzie sitowiem.

Doczołgawszy się, szukał pilnie, czy nie znajdzie jakich resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo ogryzione kości baranie, ze szczątkami żył, tłuszczu, oraz kilka sztuk pieczonej rzepy, porzuconych w ciepłym popiele — jął więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza i jadł, póki nie spostrzegł, że placówki porozstawiane na drodze, którą przebył, wracając tą samą łąką ku taborowi, zbliżają się ku niemu.

Wówczas rozpoczął odwrót i po kilku minutach znikł w ścianie trzcin. Odnalazłszy swą kępkę, położył się na niej bez szelestu. Straże tymczasem przejechały. Skrzetuski wziął się natychmiast do kości, które zabrał z sobą—a które poczęły teraz trzaskać w jego potężnych szczękach, jak w wilczych. Ogryzł tłuszcz i żyły, wyssał szpik, zżuł massę kostną—zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczty nie miał oddawna w Zbarażu.

Uczuł się teraz silniejszym. Pokrzepiło go zarówno pożywienie, jak i wstający dzień. Robiło się coraz widniej; wschodnia strona nieba z zielonawej stawała się różową i złotą, chłód poranny dokuczał wprawdzie mocno rycerzowi, ale pocieszała go myśl, że wkrótce słońce rozgrzeje jego strudzone ciało. Rozejrzał się dokładnie, gdzie jest. Kępa była dosyć duża, trochę krótka, bo okrągława, ale za to szeroka, że dwóch ludzi mogło się na niej z łatwością położyć. Trzciny otaczały ją naokół, jakby murem, zakrywając zupełnie przed ludzkiemi oczyma.

— Nie znajdą mnie tu—myślał Skrzetuski — chybaby za rybami chcieli po trzcinach chodzić, a ryb niema, bo od zgnilizny pozdychały. Tu sobie wypocznę i rozmyślę, co dalej czynić.

I począł myśleć, czy ma iść dalej rzeką, czy nie, nakoniec postanowił iść, jeżeli wstanie wiatr i będzie trzciny kołysał; w przeciwnym razie ruch i szelest mogłyby go zdradzić, zwłaszcza, że przyjdzie mu prawdopodobnie przechodzić blizko taboru.

— Dzięki ci, Boże, żem żyw dotąd!—szepnął zcicha.

I wzniósł oczy ku niebu, następnie myślą uleciał do polskich okopów. Zamek widać było z owej kępy doskonale, zwłaszcza, że ozłociły go pierwsze promienie wschodzącego słońca. Może tam z wieży spogląda kto na stawy i trzciny przez perspektywę, a już

tam Wołodyjowski i Zagłoba pewno cały dzień będą wypatrywali z wałów, czy nie ujrzą wiszącego na jakiej belluardzie.

— Otóż nie ujrzą!—pomyślał Skrzetuski, i pierś napełniła mu się błogiem uczuciem ocalenia. — Nie ujrzą, nie ujrzą! — powtórzył kilkakrotnie.—Mało zrobiłem drogi, ale trzeba ją było zrobić. Bóg mi pomoże i dalej.

Tu zobaczył się już oczyma imaginacyi za taborami—w lasach, za którymi stoją wojska królewskie: pospolite ruszenie całego kraju, husarye, piechoty, regimenta cudzoziemskie — ziemia aż jęczy pod ciężarem ludzi, koni i armat, a między tem mrowiem sam król Jegomość...

Potem ujrzał bitwę niezmierną, rozbite tabory—księcia z całą jazdą, lecącego po stosach trupów, powitanie się wojsk...

Oczy bolące i popuchłe przymykały mu się pod nadmiarem myśli. Poczynała go ogarniać jakaś błoga niemoc, wreszcie wyciągnął się całą swą długością i usnął.

Trzciny szumiały. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo i ogrzewało gorącem spojrzeniem rycerza, suszyło na nim ubiór — on spał twardo bez ruchu. Ktoby go spostrzegł tak leżącego na kępie, z okrwawioną twarzą, tenby sądził, że to leży trup, który wyrzuciła woda. Mijały godziny, on spał ciągle. Słońce dobiegło zenitu i poczęło schodzić na drugą stronę nieba, on spał jeszcze. Rozbudził go dopiero kwik przeraźliwy koni, gryzących się na łące, i głośne wołanie koniuchów, smagających batami tabunne ogiery.

Przetarł oczy, spojrzał, przypomniał sobie gdzie jest. Spojrzał w górę: na czerwonem od niedogasłych blasków zachodu niebie migotały gwiazdy—przespał cały dzień.

Skrzetuski nie czuł się wypoczętym, ani silniejszym, owszem, bolały go wszystkie kości. Lecz pomyślał, że właśnie nowy trud przywróci mu rzeźkość ciała—i spuściwszy nogi w wodę, niezwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Szedł teraz tuż przy trzcinach, czystą wodą, by szelestem nie zwrócić uwagi pasących na brzegach koniuchów. Ostatnie blaski zgasły i było dość ciemno, bo księżyc jeszcze się nie ukazał z poza lasów. Woda była tak głęboka, że Skrzetuski tracił miejscami grunt pod nogami i musiał płynąć, co przychodziło mu ciężko, bo był w ubraniu i płynął pod bieg, który jakkolwiek leniwy, pchał go jednak nazad ku stawom. Ale za to najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzedz tej głowy, posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin. Posuwał się więc dość śmiało, chwilami płynąc, a po większej części brodząc po pas i po pachy, aż wreszcie dotarł do miejsca, z którego oczy jego ujrzały po obu stronach rzeki tysiące i tysiące światełek.

— To tabory—pomyślał—teraz Boże dopomóż.

I słuchał.

Gwar zmieszanych głosów dochodził jego uszu. Tak, były to tabory. Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze swoimi tysiącami wozów, namiotów — po prawym

kosz tatarski; oba gwarne, hałaśliwe, pełne ludzkiego rozhoworu, dzikich dźwięków bębnów i piszczałek, ryku bydła, wielbłądów, rżenia koni, okrzyków. Rzeka przedzielała je, stanowiąc zarazem przeszkodę dla kłótni i zabójstw, bo Tatarzy nie mogli spokojnie stać obok kozaków. Była też w tem miejscu szersza, a może rozkopano ją umyślnie. Ale z jednej strony wozy, z drugiej trzcinowe szałasy dochodziły, miarkując po ogniach, o kilkadziesiąt kroków od brzegów—nad samą zaś wodą stały zapewne straże.

Trzcina i sitowia rzedły—widocznie naprzeciw obozowisk były szczyrkowate brzegi. Skrzetuski posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków—i zatrzymał się. Jakaś potęga i groza szły ku niemu od tych mrowisk.

W tej chwili wydało mu się, że cała czujność i zaciekłość tych tysięcy istot ludzkich zwrócona jest ku niemu i czuł wobec nich zupełną niemoc, zupełną bezbronność. Był sam jeden.

— Nikt tędy nie przejdzie!—pomyślał.

Lecz posunął się jeszcze naprzód, bo ciągnęła go jakaś niepohamowana, bolesna ciekawość. Chciał bliżej spojrzeć na tę straszliwą potęgę.

Nagle stanął. Las trzcin kończył się jakby nożem ucięty. Może też i wycięto je na szałasy. Dalej czysta fala czerwieniała krwawo od przeglądających się w niej ognisk.

Dwa wielkie i jasne płomienie paliły się tuż nad brzegami. Przy jednym stał Tatar na koniu, przy drugim mołojec z długą spisą w ręku. Oba patrzali na siebie i na wodę. W dali widać było innych, tak samo stojących na straży i patrzących.

Blaski płomieni rzucały jakoby ognisty most przez rzekę. Pod brzegami widać było szeregi małych łódek, używanych do straży na stawie.

— Niepodobieństwo!—mruknął Skrzetuski.

I nagle chwyciła go rozpacz. Ani iść naprzód, ani się wracać! Oto doba ubiegła, jak tłukł się po błotach i bajorach, oddychał zgniłem powietrzem i mokł w wodzie na to tylko, by dotarłszy do tych właśnie taborów, przez które przejść się podjął, poznać, że to jest niepodobieństwem.

Lecz i powrót był niepodobieństwem; rycerz wiedział, że może znajdzie dość sił, by wlec się naprzód — nie znajdzie, by się cofać. W rozpaczy jego była zarazem głucha wściekłość; w pierwszej chwili chciał wyjść z wody, zdławić straż, potem rzucić się na tłumy i zginąć.

Wiatr znowu zaszumiał dziwnym szeptem po trzcinach, przynosząc zarazem głos dzwonu ze Zbaraża. Skrzetuski począł modlić się żarliwie i bił się w piersi, i wzywał ratunku Niebios z siłą i rozpaczliwą wiarą tonącego;—on modlił się, a kosz i tabor huczały złowrogo, jakby w odpowiedzi na modlitwę — czarne i czerwone od ognia postacie snuły się, jak stada czortów po piekle—straże stały nieruchomie—rzeka płynęła krwawą wodą.

— Ognie pogaszą, gdy noc głucha nastanie—rzekł sobie Skrzetuski i czekał.

Upłynęła jedna godzina i druga. Gwar zmniejszał się, ogniska istotnie poczęły zwolna przygasać—prócz dwóch strażniczych, które płonęły coraz silniej.

Straże zmieniały się—i widocznem było, że tak będą stały aż do rana.

Skrzetuskiemu przeszło przez myśl, że może zdoła łatwiej w dzień się prześliznąć — lecz wnet rozstał się z tą myślą. W dzień brano wodę, pojono bydło, kąpano się — rzeka musiała być pełna ludzi.

Nagle wzrok Skrzetuskiego padł na czółna. Po obu brzegach stało ich po kilkadziesiąt w szeregu, a ze strony tatarskiej sitowia dochodziły aż do pierwszych.

Skrzetuski zanurzył się po szyję w wodę i począł posuwać się zwolna ku nim, mając oczy utkwione, jak w tęczę, w tatarskiego strażnika.

Po upływie pół godziny był tuż, tuż pierwszej łódki. Plan jego był prosty. Zadarte tyły czółen wznosiły się nad wodę tworząc nad nią rodzaj sklepienia, przez które głowa ludzka mogła się z łatwością przecisnąć. Jeżeli wszystkie czółna stały bokiem do boku tuż obok siebie, strażnik tatarski nie mógł zobaczyć przesuwającej się pod niemi głowy; więcej niebezpieczny był kozacki—ale i ten mógł nie dojrzeć, bo pod czółnami, mimo przeciwległego ognia panował mrok. Zresztą nie było innej drogi.

Skrzetuski nie wahał się dłużej i wkrótce znalazł się pod tyłami czółen.

Lazł na czworakach, a raczej czołgał się, bo woda była płytka. Był tak blizko stojącego na brzegu Tatara, że słyszał parskanie jego konia. Zatrzymał się przez chwilę i słuchał. Czółna na szczęście były zestosowane bokami. Oczy miał teraz utkwione w kozackiego strażnika, którego widział, jak na dłoni, ale ten patrzał w kosz tatarski. Rycerz minął z piętnaście czółen, gdy nagle usłyszał tuż nad brzegiem kroki i głosy ludzkie. Przyczaił się natychmiast i słuchał. W podróżach do Krymu nauczył się po tatarsku—i teraz dreszcz przebiegł go po całem ciele, gdy usłyszał słowa rozkazu:

— Siadać i jechać!

Skrzetuskiemu zrobiło się gorąco, chociaż był w wodzie. Jeżeli jadący siądą w to czółno, pod którem w tej chwili się ukrywa, to zginął, jeżeli siądą w które ze stojących na przedzie, to także zginął, bo pozostanie puste, oświecone miejsce.

Każda sekunda wydała mu się godziną. Wtem kroki zadudniały w deski—Tatarzy siedli w czwarte lub piąte czółno tuż za nim—zepchnęli je i poczęli płynąć w kierunku stawu.

Lecz czynność ta zwróciła na czółna oczy kozackiego strażnika. Skrzetuski przez jakie pół godziny ani drgnął. Dopiero gdy straż zmieniono, począł posuwać się dalej.

W ten sposób dotarł do końca czółen. Za ostatniem zaczynały się znów sitowia, a dalej trzciny. Dostawszy się do nich, ry-

cerz, zziajany, spotniały, padł na kolana i dziękował Bogu całem sercem.

Posuwał się teraz nieco śmielej, korzystając ze wszystkich powiewów, które napełniały szumem brzegi. Kiedy niekiedy oglądał się za siebie. Ognie strażnicze zaczęły się oddalać, przesłaniać, migotać, słabnąć. Smugi trzcin i sitowia stawały się coraz czarniejsze, gęstsze, bo brzegi były bagnistsze. Straże nie mogły stać blizko—gwar obozowiska słabnął. Jakaś nadludzka siła skrzepiła członki rycerza. Darł się przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się, płynął i podnosił się znowu. Nie śmiał jeszcze wyjść na brzeg—ale prawie czuł się już ocalony. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo tak szedł, brnął, ale gdy znów obejrzał się—ognie strażnicze wydawały się jakby punkciki świecące w dali. Po kilkuset krokach znikły zupełnie. Księżyc wzeszedł; naokoło była cisza. Wtem szum się ozwał większy i poważniejszy, niż szum trzcin. Skrzetuski omal nie krzyknął z radości: las był z obu stron rzeki.

Wówczas skierował się ku brzegom i wychynął z trzcin. Bór sosnowy zaczynał się tuż za sitowiem i trzcinami. Zapach żywicy doszedł do jego nozdrzy. Gdzieniegdzie w czarnych głębiach świeciły jak srebro paprocie.

Rycerz po raz drugi upadł na kolana i ziemię całował w modlitwie.

Był ocalony.

Potem zagłębił się w ciemność leśną, pytając samego siebie: dokąd ma iść? dokąd go zaprowadzą te lasy, gdzie jest król i wojsko?

Droga nie była skończona—nie była łatwa, ani bezpieczna—ale gdy pomyślał, że wydostał się ze Zbaraża, że przekradł się przez straże, błota, i tabory, i pół milionowe blizko zastępy nieprzyjaciół—wtedy wydawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa przeminęły—że ten bór, to gościniec jasny, który poprowadzi go wprost do królewskiego majestatu.

I szedł ten nędzarz zgłodniały, zziębły, mokry, uwalany we własnej krwi, w czerwonej rudzie i czarnem błocie — z radością w sercu, z nadzieją, że wkrótce inaczej, potężniej wróci do Zbaraża.

— Już nie zostaniecie w głodzie i bez nadziei—myślał o druhach w Zbarażu—bo króla sprowadzę!

I cieszyło się to serce rycerskie blizkim ratunkiem dla księcia, dla regimentarzy, dla wojska, dla Wołodyjowskiego, i Zagłoby, i wszystkich tych bohaterów, zamkniętych w zbaraskim okopie.

Głębie leśne otwierały się przed nim i osłaniały go cieniem.

ROZDZIAŁ XXIX.

We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym mapami, przedstawiającemi okolicę, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka i para łosiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę, z długimi lokami, spadającymi na plecy i ramiona. Rzadki, czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś, razem z brodą, wystawała silnie naprzód, nadając całej fizyognomii charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną martwotą i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości i gniewu mogły rzucać błyskawice, które nie każdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atłasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcyę tej niezwykłej postaci. Wogóle, mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w niej coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie.

Nieco zanim, w półcieniu, siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek nizki, gruby, rumiany, z tłustą i bezczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko, za stołem, trzeci pan, wsparty na łokciu, patrzał na mapy przedstawiające okolicę, podnosząc kiedy niekiedy wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochół nad czołem dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześnie zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześnie wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową, w obecnej chwili blizką ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo, z wyjątkiem Rzeczypospolitej, do bezpiecznej przystani, pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego naprzykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki, nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania—choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem—i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teoryi zbawienna, może w obec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.

Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nietylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundyom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwaliły się klęski Żółtych Wód, Korsunia i Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogą, krymską potęgą. Grom padał za gromem — pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by módz w przyszłości z niego korzystać — a kanclerz, zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył — i wierzył jeszcze — nawet Chmielnickiemu!

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorye; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwne — aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale kto z obawy, by skała, leżąca na skłonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzy się z siłami, ten przyśpieszy tylko jej upadek. Kanc-

lerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych — wzajem i na niego zwracały się wszystkich oczy, jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tembardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu — obwiniał i jego samego na równi z kanclerzem.

Siedzieli więc w Toporowie strapieni i smutni, nie wiedząc dobrze, co im począć należy, bo przy królu było tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Wici rozesłano za późno i zaledwie część pospolitego ruszenia ściągnęła do tego czasu. Kto był przyczyną tej zwłoki i czy nie była ona jednym więcej błędem upartej polityki kanclerza — tajemnica zginęła między królem i ministrem; dość, że w tej chwili czuli się obaj bezbronni wobec potęgi Chmielnickiego.

Co ważniejsza jeszcze: nie mieli dokładnych o nim wieści. W obozie królewskim nie wiedziano dotąd, czy chan z całą potęgą znajduje się przy Chmielnickim, czy też towarzyszy tylko kozakom Tuhaj-bej z kilku tysiącami ordy. Było to pytanie tak ważne, jak śmierć lub życie. Z samym Chmielnickim mógłby w ostateczności król popróbować szczęścia, choć i buntowniczy hetman dziesięć razy większą siłą rozporządzał. Urok imienia królewskiego znaczył dla kozaków wiele — więcej może, niż tłumy pospolitego ruszenia niesfornej i niewyćwiczonej szlachty — ale jeżeli i chan był obecny, mierzyć się z taką przemocą było niepodobieństwem.

Tymczasem były najrozmaitsze o tem wieści, ale nikt nic nie wiedział dokładnie. Przezorny Chmielnicki skupił się, nie wypuścił ani jednego oddziału mołojców, ani zagonika Tatarów, umyślnie, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman inny miał zamiar — oto zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a sam zjawiłby się niespodzianie, z całą potęgą tatarską i kozacką, przed królem — otoczył go razem z wojskiem i wydał w ręce chana.

Więc nie bez powodu chmura okryła teraz twarz królewską, bo niemasz większej dla majestatu boleści, niż poczucie niemocy. Jan Kazimierz wsparł się bezwładnie o grzbiet krzesła, rękę rzucił na stół i rzekł, ukazując na mapy:

— Na nic to, na nic! Języków mi dostańcie.

— Niczego i ja więcej sobie nie życzę — odparł Ossoliński.

— Czy podjazdy wróciły?

— Wróciły, ale nic nie przywiodły.

— Ani jednego jeńca?

— Tylko chłopów okolicznych, którzy nic nie wiedzą.

— A pan Pełka wrócił? To przecie sławny zagończyk.

— Miłościwy królu! — ozwał się z za krzesła starosta łomżyński,— pan Pełka nie wrócił i nie wróci, bo poległ.

Nastała chwila milczenia. Król utkwił posępny wzrok w płonące świece i począł bębnić palcami po stole.

— Nie macie-że żadnej rady? — rzekł wreszcie.

— Czekać! — rzekł poważnie kanclerz.

Czoło Jana Kazimierza pokryło się zmarszczkami.

— Czekać? — powtórzył — a tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem!

— Jeszcze czas jakiś wytrzymają — rzekł niedbale Radziejowski.

— Milczałbyś, mości starosto, gdy nie masz nic dobrego do powiedzenia.

— Właśnie, Miłościwy Panie, że mam radę.

— Jaką?

— Posłać kogo, niby dla układów z Chmielnickim, pod Zbaraż. Poseł przekona się, czy chan jest własną osobą i z powrotem powie.

— Nie może być — rzekł król. — Teraz, gdyśmy Chmielnickiego za buntownika ogłosili, i cenę nałożyli na jego głowę i buławę nad Zaporożem Zabuskiemu oddali, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania.

— To do chana wysłać — odrzekł starosta.

Król zwrócił pytający wzrok na kanclerza, który podniósł nań swe błękitne, surowe źrenice i po chwili namysłu ozwał się:

— Rada byłaby dobra, ale Chmielnicki bez żadnej wątpliwości posła zatrzyma — i dlatego na nic się to nie przydało.

Jan Kazimierz machnął ręką.

— Widzimy — rzekł zwolna,— że nie macie żadnego sposobu; tedy ja wam mój powiem. Oto każę trąbić wsiadanego i ruszę z całem wojskiem pod Zbaraż. Niech-że się dzieje wola Boża! Tam się dowiemy, czy chan jest, czy go niema.

Kanclerz znał niczem niepowstrzymaną odwagę króla i nie wątpił, że to uczynić gotów. Z drugiej strony wiedział z doświadczenia, iż gdy król coś zamierzy i zatnie się w przedsięwzięciu, tedy żadne odmowy nie pomogą. Więc nie sprzeciwiał się odrazu, pochwalił nawet myśl, ale odradzał pośpiech; przekładał królowi, że można to uczynić jutro lub pojutrze — a tymczasem mogą nadejść pomyślne nowiny. Każdy dzień będzie powiększał rozprzężenie między czernią, znękaną klęskami pod Zbarażem i wieścią o zbliżaniu się królewskiem. Bunt może stopnieć od promieni majestatu, jak śnieg od promieni słonecznych, ale trzeba mu dać czas. Król zaś nosi w sobie ocalenie całej Rzeczypospolitej i pod odpowiedzialnością wobec Boga i potomności nie powinien się narażać, tem bardziej, że w razie nieszczęścia, wojska zbaraskie byłyby właśnie zgubione bez ratunku.

— Róbcie, co chcecie, bylem miał języka na jutro.

I znów nastała chwila milczenia. W oknie stanął ogromny złoty księżyc, ale w komnacie pociemniało, bo grzyby urosły na płomieniach świec.

— Która godzina? — pytał król.

— Północ blizko — odrzekł Radziejowski.

— Nie będę spał tej nocy. Obóz objadę, a wy jedźcie ze mną. Gdzie Ubald i Arciszewski?

— W obozie. Pójdę rzec, by konie podano — odpowiedział starosta.

I zbliżył się ku drzwiom; w tem w sieni uczynił się jakiś ruch, słychać było przez chwilę żywą rozmowę, odgłos pośpiesznych kroków, wreszcie drzwi otworzyły się na roścież i wpadł zdyszany Tyzenhauz, rękodajny dworzanin królewski.

— Miłościwy królu! — zawołał — przybył towarzysz ze Zbaraża!

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również i obudwom wyrwał się z ust okrzyk:

— Nie może być!

— Tak jest! stoi w sieniach.

— Dawaj go sam! — zawołał król, klasnąwszy w dłonie. — Niech umorzy frasunek. Dawaj go sam na Matkę Najświętszą!

Tyzenhauz zniknął we drzwiach i po chwili, zamiast niego, zjawiła się jakaś wysoka, nieznana postać.

— Bliżej, mości panie! — wołał król — bliżej! Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu i na jego widok król, kanclerz i starosta łomżyński cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo; łachmany, podarte na strzępki, zaledwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną błotem i krwią, oczy płonące gorączkowem światłem; czarna rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzali na niego szeroko otworzonemi oczyma. W tej chwili drzwi otworzyły się i weszła hurma dygnitarzy wojskowych i cywilnych: generałowie Ubald i Arciszewski, podkanclerzy litewski Sapieha, starosta rzeczycki, pan sandomierski. Wszyscy stanąwszy za królem, patrzali na przybysza, król zaś rzekł:

— Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale kurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać i zdołał wyszeptać tylko:

— Ze... Zbaraża!

— Wina mu dajcie! — rzekł jakiś głos.

Podano w mgnieniu oka napełniony kubek, przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas kanclerz zrzucił z siebie delią i okrył nią jego ramiona.

— Możesz teraz mówić? — pytał po niejakim czasie król.

— Mogę — odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

— Ktoś jest?

— Jan Skrzetuski... porucznik husarski.

— W czyjej służbie?

— Wojewody ruskiego.

Szmer rozszedł się po sali.

— Co słychać u was? co słychać? — pytał gorączkowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.

— Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! — mówił cichym głosem.

Po chwili znów spytał:

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjaciel w wałach...

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkiemi ordami.

— Chan jest?

— Tak...

Nastało głuche milczenie. Obecni spoglądali po sobie; niepewność odmalowała się na wszystkich twarzach.

— Jakżeście mogli wytrzymać? — spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, jakby nowa wstąpiła weń siła, błyskawica dumy przebiegła mu przez twarz i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

— Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedemdziesiąt pięć wycieczek...

I znowu nastało milczenie.

W tem król wyprostował się, wstrząsnął peruką, jak lew grzywą, na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy płomieniały.

— Na Boga! — krzyknął — dość mi tych rad, tego stania, tej zwłoki! Jest chan, czy go niema, przyszło pospolite ruszenie, czy nie przyszło — na Boga! dosyć mi tego! Dziś jeszcze ruszamy pod Zbaraż!

— Pod Zbaraż! pod Zbaraż! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się, jak zorza.

— Miłościwy królu i panie! — rzekł — przy tobie żyć i umierać!...

Na te słowa szlachetne serce królewskie zmiękło jak wosk, i nie zważając na wstrętną postać rycerza, pan ścisnął mu głowę rękoma i rzekł:

— Milszyś mi, niżeli inni w atłasach. Na Matkę Najświętszą, mniejszych starostwami nagradzają — jakoż nie będzie to bez nagrody, coś uczynił! Nie przecz! dłużnikiem ci jestem!

A inni zaraz poczęli wykrzykiwać za królem:

— Nie było jeszcze większego rycerza!

— Ten jest i między zbaraskimi najprzedniejszy!

— Nieśmiertelną chwałę pozyskał!

— Jakżeś to się przez kozaków i Tatarów przedarł?...

— W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błądziłem... nie jadłem.

— Jeść mu dajcie! — krzyknął król.

— Jeść! — powtórzyli inni.

— Okryć go!

— Niech ci jutro konia i szaty dadzą — rzekł znowu król.— Na niczem ci zbywać nie będzie.

Wszyscy prześcigali się, za przykładem króla, w pochwałach dla rycerza. Wnet poczęto go znowu zarzucać pytaniami, na które z największą trudnością odpowiadał, bo osłabienie ogarniało go coraz większe, i ledwie już nawpół był przytomny. Wtem przyniesiono posiłek, a zarazem wszedł ksiądz Cieciszowski, kaznodzieja królewski.

Rozstąpili mu się dygnitarze, bo był to ksiądz wielce uczony, poważany, i słowo jego prawie więcej jeszcze znaczyło u króla, niż kanclerskie, a z ambony wypowiadał, bywało, takie rzeczy, których i na sejmie niebardzo kto śmiał poruszyć. Otoczono go tedy i poczęto rozpowiadać, że oto przyszedł towarzysz ze Zbaraża, że tam książę, lubo o głodzie i mizeryi, gromi jeszcze chana, który jest obecny własną osobą, i Chmielnickiego, który przez cały zeszły rok tylu ludzi nie utracił, ilu pod Zbarażem — nakoniec, że król chce ruszać na odsiecz, choćby mu z całem wojskiem zgorzeć przyszło.

Ksiądz słuchał w milczeniu, poruszając wargami i spoglądając co chwila na wynędzniałego rycerza, który jadł przez ten czas, bo mu król nie kazał zważać na swą obecność i sam go jeszcze pilnował, a kiedyniekiedy przepijał do niego z małego srebrnego kusztyczka.

— A jakże się zowie ów towarzysz? — spytał wreszcie ksiądz.

— Skrzetuski.

— Czy pan Jan?

— Tak jest.

— Porucznik księcia wojewody ruskiego?

— Tak jest.

Ksiądz wzniósł pomarszczoną twarz w górę i znów modlić się począł, a potem rzekł:

— Chwalmy imię Pana, bo niezbadane są drogi, któremi człowieka do szczęśliwości i spokoju prowadzi, Amen. Ja tego towarzysza znam.

Skrzetuski dosłyszał i mimowoli zwrócił oczy na twarz księdza — ale twarz, postać i głos obce mu były zupełnie.

— Więc waszmość to jeden z całego wojska podjąłeś się przejść przez obozy nieprzyjacielskie? — spytał go ksiądz.

— Poszedł przede mną towarzysz zacny, ale zginął — odpowiedział Skrzetuski.

— Tem większa twoja zasługa, żeś się potem iść ważył. Miarkuję po twojej nędzy, że straszna to musiała być droga. Bóg wejrzał na twą ofiarę, na twą cnotę, na twoją młodość i przeprowadził cię.

Nagle ksiądz zwrócił się do Jana Kazimierza:

— Miłościwy królu — rzekł — więc to nieodmienne postanowienie W. Królewskiej Mości iść na ratunek księciu wojewodzie ruskiemu?

— Modlitwom waszym, ojcze — odpowiedział król — poruczam ojczyznę, wojsko i siebie, bo wiem, że straszna to impreza, ale już nie mogę pozwolić, aby książę wojewoda zgorzał w tym nieszczęsnym okopie z takiem rycerstwem, jak oto ten towarzysz, który tu jest przed nami.

— Bóg spuści wiktoryę! — zawołało kilkanaście głosów.

Ksiądz wzniósł ręce do góry i nastała cisza w sali.

— Benedico vos, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.

— Amen! — rzekł król.

— Amen! — powtórzyły wszystkie głosy.

Spokój rozlał się po stroskanej dotychczas twarzy Jana Kazimierza, i tylko oczy jego rzucały blask niezwykły. Między zgromadzonymi rozległ się szmer rozmowy o blizkiej wyprawie, bo wielu jeszcze wątpiło, by król mógł wyruszyć natychmiast, on zaś wziął ze stołu szpadę i skinął na Tyzenhauza, by mu ją przypiął.

— Kiedy wasza królewska mość chcesz ruszyć? — pytał kanclerz.

— Bóg zdarzył noc pogodną — odparł król,— konie się nie pogrzeją. Mości strażniku obozowy — dodał, zwracając się ku dygnitarzom — każ otrąbić wsiadanego!

Strażnik ruszył natychmiast z komnaty. Kanclerz Ossoliński ozwał się z cichą uwagą, że nie wszyscy gotowi, i że wozy nie będą mogły ruszyć przede dniem, ale król odparł natychmiast:

— Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, to niech zostanie.

Sala poczęła się wypróżniać. Każdy śpieszył do swej chorągwi, by ją „na nogi postawić“ i do pochodu sprawić. Zostali w komnacie tylko król, kanclerz, ksiądz i pan Skrzetuski z Tyzenhauzem.

— Miłościwy panie! — rzekł ksiądz — czegoście się mieli dowiedzieć od tego towarzysza, toście się już dowiedzieli. Trzeba mu też dać folgę, bo się ledwie trzyma na nogach. Pozwól-że mnie wasza królewska mość wziąć go do mojej kwatery i przenocować.

— Dobrze, ojcze! — odrzekł król.— Słuszne są żądania. Niech go Tyzenhauz i kto drugi odprowadzi, bo sam już pewnie nie zajdzie. Idź, idź, towarzyszu miły, nikt tu lepiej od ciebie na spokój nie zarobił. A pamiętaj, żem ci dłużnikiem. O sobie wprzód zapomnę, niż o tobie!

Tyzenhauz chwycił Skrzetuskiego pod ramię i wyszli. W sieniach spotkali starostę rzeczyckiego, który podparł z drugiej strony chwiejącego się rycerza; przodem szedł ksiądz, przed nim zaś pacholik z latarnią. Ale pacholik niepotrzebnie świecił, bo noc była widna, cicha, ciepła. Wielki, złoty księżyc płynął jak korab nad Toporowem. Z majdanu obozowego dochodziły gwar ludzki, skrzypienie wozów i odgłosy trąb, grających pobudkę. Zdala przed kościołem, oświeconym blaskiem miesiąca, widać już było gromady żołnierzy konnych i pieszych. We wsi konie rżały. Ze skrzy-

pieniem wozów łączył się dźwięk łańcuchów i głuchy turkot armat. Gwar wzmagał się coraz bardziej.

— Ruszają już! — rzekł ksiądz.

— Pod Zbaraż... na ratunek...— wyszeptał Skrzetuski.

I niewiadomo, czy z radości, czy z trudów przebytych, czy dla obojga razem, zesłabł tak, że Tyzenhauz i starosta rzeczycki prawie go wlec musieli.

Tymczasem, kierując się ku plebanii, weszli między żołnierzy, stojących przed kościołem. Były to chorągwie sapieżyńskie i piechota Arciszewskiego. Niesprawieni jeszcze do pochodu, stali żołnierze bezładnie, tłocząc się miejscami i zagradzając przejście.

— Z drogi! z drogi! — zawołał ksiądz.

— A kto tam szuka drogi?

— Towarzysz ze Zbaraża...

— Czołem mu! czołem! — wołały liczne głosy.

I rozstępowali się zaraz, ale inni tłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc widzieć bohatera. I patrzali zdumieni na tę nędzę, na tę twarz straszną, oświeconą blaskiem księżyca — i szeptali do siebie zdumieni:

— Ze Zbaraża... ze Zbaraża...

Z największym trudem doprowadził ksiądz Skrzetuskiego do plebanii. Tam go, wykąpanego, obmytego z błota i krwi, kazał złożyć na łóżku miejscowego plebana, a sam wyszedł natychmiast do wojsk, które ruszały w pochód.

Skrzetuski był nawpół przytomny, ale gorączka nie pozwalała mu usnąć zaraz. Nie wiedział już jednak gdzie jest i co się stało. Słyszał tylko gwar, tętent, skrzypienie wozów, grzmiący pochód piechoty, krzyki żołnierzy, odgłos trąb — i wszystko zlało się w jego uszach w jeden ogromny szum...

— Wojsko idzie — mruknął sam do siebie.

Tymczasem szum ów począł się oddalać, słabieć, niknąć, topnieć... aż wreszcie cisza objęła Toporów.

Wówczas zdawało się Skrzetuskiemu, że razem z łożem leci w jakąś przepaść bez dna...

ROZDZIAŁ XXX.

Spał dni kilka, a i po przebudzeniu nie opuszczała go zła gorączka — i długo jeszcze majaczył, gadał o Zbarażu, o księciu, o staroście krasnostawskim, rozmawiał z panem Michałem i z Zagłobą, krzyczał: „Nie tędy!“ na pana Longina Podbipiętę— o kniaziównie tylko ani razu nie wspomniał. Widać było, że ta siła nie-

zmierna, przez którą zamknął w sobie raz na zawsze pamięć o niej, nie opuszcza go nawet w osłabieniu i chorobie. Natomiast zdawało mu się, że widzi nad sobą pucołowatą twarz Rzędziana, zupełnie jak widział ją wówczas, kiedy to książę po konstantynowskiej bitwie wysłał go z chorągwiami pod Zasław, by tam wyścinał kupy swawolne, a Rzędzian zjawił się niespodzianie na noclegu. I ta twarz wprowadzała zamęt do jego myśli, bo mu się majaczyło, że czas stanął w swym biegu i że nic się od owej pory nie zmieniło. Oto jest znowu nad Chomorem i spi w chacie, a zbudziwszy się, ruszy do Tarnopola odprowadzić chorągwie... Krzywonos, pogromion pod Konstantynowem, uciekł do Chmielnickiego... Rzędzian nadjechał z Huszczy i siedzi nad nim... Skrzetuski chciałby przemówić, chciałby wydać polecenie pacholikowi, by kazał konie kulbaczyć, ale nie może... I znowu przychodzi mu do głowy, że nie jest nad Chomorem, że przecie od tego czasu było wzięcie Baru — tu pan Skrzetuski zacina się w bólu, i nieszczęsna jego głowa znowu pogrąża się w ciemności. Nic już nie wie, nic nie widzi — lecz po chwili z tej nocy, z tego chaosu, wyłania się Zbaraż... oblężenie... Więc nie jest nad Chomorem? A jednak Rzędzian siedzi nad nim, pochyla się ku niemu. Przez serca wycięte w okienkach wpada do izby wiązka jasnego światła i oświeca doskonale twarz pachołka, pełną troskliwości i współczucia...

— Rzędzian! — woła pan Skrzetuski.

— O mój jegomość! że też już jegomość mnie poznał! — wykrzykuje pachołek i przypada do nóg pańskich.— Myślałem, że już jegomość nigdy się nie rozbudzi...

Nastała chwila milczenia — słychać było tylko szlochanie pachołka, który wciąż ściskał nogi pańskie.

— Gdziem jest? — pyta pan Skrzetuski.

— W Toporowie... Jegomość ze Zbaraża do króla Jegomości przyszedł... Chwała Bogu! chwała Bogu!

— A król gdzie jest?

— Poszedł z wojskiem na ratunek księciu wojewodzie.

Nastała znów chwila milczenia. Łzy radości spływały ciągle po twarzy Rzędziana, który po chwili zaczął powtarzać wzruszonym głosem:

— Że też ja jegomościne ciało jeszcze oglądam...

Potem wstał i otworzył okiennicę, a z nią i okno.

Poranne świeże powietrze wpadło do izby, a z niem i jasne światło dzienne. Z tem światłem wróciła Skrzetuskiemu cała przytomność...

Rzędzian usiadł w nogach łóżka.

— Tom ja ze Zbaraża wyszedł? — pytał rycerz.

— Tak jest, mój jegomość... Nikt tego dokazać nie mógł, czego jegomość dokazał, i z jegomościnej przyczyny król na ratunek poszedł.

— Pan Podbipięta przede mną próbował, ale zginął...

— O dla Boga! Pan Podbipięta zginął? Taki hojny pan i cnotliwy!... Aż mi dech zaparło... Zali oni temu mocarzowi mogli dać rady...

— Z łuków go ustrzelili...

— A pan Wołodyjowski i pan Zagłoba?

— Zdrowi byli, jakem wychodził.

— To chwała Bogu. Wielcy to jegomości przyjaciele... Jeno mi ksiądz mówić zakazał...

Rzędzian umilkł i przez czas jakiś pracował głową. Zamyślenie odbiło się wyraźnie na jego pucołowatem obliczu. Po chwili ozwał się:

— Jegomość?

— A czego?

— A co się z fortuną pana Podbipięty stanie? Podobno to tam wsi i wszelakiej dobroci bez liku... Zali przyjaciołom czego nie zapisał, bo jak słyszałem, nie miał rodziny?

Skrzetuski nie odpowiedział nic, więc Rzędzian poznał, że mu nie w smak pytanie, i tak znów mówić począł:

— Ale chwalić Boga, że pan Zagłoba i pan Wołodyjowski zdrowi; myślałem, że ich Tatarzy ogarnęli... Siła my biedy razem przeszli... jeno mi ksiądz mówić zakazał... Ej, mój jegomość, myślałem, że już ich nigdy nie zobaczę, bo nas orda tak przycisnęła, że rady nijakiej nie było.

— Toś ty był z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą? nic mi o tem nie wspominali.

— Bo i oni nie wiedzieli, czym ocalał, czym zginął...

— A gdzie to was tak orda przycisnęła?

— A za Płoskirowem, w drodze do Zbaraża. Bo my, mój jegomość, daleko aż za Jampol jeździli... jeno ksiądz Cieciszowski mówić zakazał.

Nastała chwila ciszy.

— Niechże wam Bóg zapłaci za wasze chęci i trudy — rzekł Skrzetuski—bo już wiem, pocoście tam jeździli. Byłem i ja tam przed wami... napróżno...

— Ej, mój jegomość, żeby nie ten ksiądz... Ale to tak powiada: ja muszę z królem jegomością pod Zbaraż jechać, a ty (powiada do mnie) pana pilnuj, jeno mu nie mów nic, bo dusza z niego wyjdzie.

Skrzetuski tak dalece rozstał się oddawna ze wszelką nadzieją, że i te słowa Rzędziana nie wykrzesały w nim najmniejszej jej iskierki... Czas jakiś leżał nieruchomie, aż wreszcie począł pytać:

— Skądżeś ty tu się wziął przy księdzu Cieciszowskim i przy wojsku?

— Mnie pani kasztelanowa sandomierska, pani Witowska, wysłała z Zamościa z oznajmieniem do pana kasztelana, że się w Toporowie z nim połączy... Mężna to jest pani, mój jegomość, i chce koniecznie przy wojsku być, byle się z panem kasztelanem nie rozłączać... Więc ja do Toporowa przyjechałem na dzień przed jegomo-

ścią. Pani sandomierskiej rychło patrzeć... powinnaby już być... ale cóż, kiedy on znowu z królem odjechał!...

— Nie rozumiem, jakżeś ty mógł być w Zamościu, kiedyś z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą za Jampol jeździł. Czemuś to do Zbaraża z nimi nie przyjechał?

— Bo widzi jegomość, jak nas orda wsparła, tak już nie było żadnej rady; więc oni się we dwóch całemu czambułowi zastawili, a ja uciekłem i dopiero oparłem się w Zamościu!

— Szczęście, że nie zginęli—rzekł Skrzetuski— ale myślałem, żeś lepszy pachołek. Zali godziło ci się opuszczać ich w takiej opresyi?

— Ej, mój jegomość, żeby to my byli sami, we trzech, pewnobym ja ich nie opuścił, bo mi się serce krajało... aleśmy we czworo byli... więc oni rzucili się na ordę, a mnie sami kazali... ratować... Żebym to ja był pewien, że jegomości radość nie zabije... bo to my za Jampolem... znaleźli... ale że ksiądz...

Skrzetuski począł patrzeć na pachołka i mrugać oczyma, jak człowiek, który budzi się ze snu — nagle, rzekłbyś zerwało się coś w nim, bo pobladł strasznie, siadł na łożu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Kto z tobą był?

— Jegomość! hej jegomość! — wołał pachołek, rażony zmianą, jaka zaszła w twarzy rycerza.

— Kto z tobą był? — krzyczał Skrzetuski i chwyciwszy za ramiona Rzędziana, trząść nim począł i sam trząsł się jak w febrze, i gniótł pachołka w żelaznych ręku.

— To już powiem—wołał Rzędzian—niech ksiądz robi co chce: panna z nami była, a teraz jest przy pani Witowskiej.

Skrzetuski zesztywniał, zamknął oczy, i głowa jego opadła mocno na poduszki.

— Rety!—wołał Rzędzian.—Pewno jegomość ostatnią parę puścił. Rety, com ja uczynił! lepiej mi było milczeć. O dla Boga! jegomość najdroższy, niechno jegomość przemówi... Dla Boga! słusznie ksiądz zakazywał... jegomość! hej, jegomość!..

— Nic to!—ozwał się wreszcie Skrzetuski.—Gdzie ona jest?

— Chwała Bogu, że jegomość odżył!... Lepiej już nic nie powiem. Jest z panią kasztelanową sandomierską... rychło ich tu patrzeć... Chwała Bogu!... niech-no już jegomość nie umiera... rychło ich tu patrzeć... my do Zamościa uciekli... i tam ksiądz oddał pannę pani Witowskiej... dla przystojności... że to w wojsku swawolnicy bywają... Bohun ją uszanował, ale o przygodę nie trudno... Siła ja miałem kłopotów, tylko żem to żołnierzom mówił: „Księcia Jeremiego krewna!..“ więc szanowali... Wydałem też na drogę niemało...

Skrzetuski znowu leżał nieruchomie, ale oczy miał otwarte, do pułapu wzniesione, i twarz bardzo poważną—widać modlił się. Gdy skończył, zerwał się, siadł na łożu i rzekł:

— Szaty mi daj—i każ konia kulbaczyć.

— A dokąd to jegomość chce jechać?

— Szaty prędzej daj!

— Jakby jegomość wiedział, że wszelkiego ochędóstwa jest dosyć, bo i król przed odjazdem nadawał i różni panowie nadawali. I trzy koniki bardzo foremne w stajni... Żebym to choć jednego takiego miał... ale lepiej jeszcze jegomości poleżeć i wypocząć, bo siły w jegomości żadnej niema.

— Nic mi nie jest. Na konia mogę siadać. Na Boga żywego, pośpiesz się!

— Wiem ja to, że jegomościne ciało z żelaza—niechże i tak będzie. Tylko mnie jegomość przed księdzem Cieciszowskim obroni... Oto szaty tu leżą... lepszych i u bławatników ormiańskich nie dostanie... Niech się jegomość ubiera, a ja powiem, iżby polewki winnej przynieśli, bom też już sobie kazał księżemu słudze uwarzyć.

To rzekłszy, Rzędzian zakrzątnął się koło strawy, a Skrzetuski począł śpiesznie przywdziewać szaty, zostawione w darze przez króla i panów. Tylko razwraz chwytał pachołka w ramiona i cisnął go do wezbranej piersi, a zaś pachołek opowiadał mu wszystko ab ovo, jako Bohuna, posieczonego przez pana Michała, ale już podleczonego, we Włodawie spotkał i jako się od niego o kniaziównie wywiedział i piernacz uzyskał. Jak potem poszli z panem Michałem i panem Zagłobą do waładynieckich jarów i ubiwszy wiedźmę i Czeremisa. kniaziównę uwieźli, a wreszcie, jak wielkie spotykały ich niebezpieczeństwa, gdy przed wojskami Burłaja uciekali.

— Burłaja pan Zagłoba usiekł — wtrącił gorączkowo Skrzetuski.

— Bitny to jest mąż—odpowiedział Rzędzian; — jeszczem też takiego nie widział, bo to jeden bywa mężny, drugi mowny, trzeci frant, a w panu Zagłobie wszystko w kupie siedzi. Ale najgorzej to już nam było, mój jegomość, w tych lasach za Płoskirowem, gdy orda wsparła. Pan Michał z panem Zagłobą zostali, by ich na siebie ściągnąć i pogoń wstrzymać, ja zaś rzuciłem się w bok ku Konstantynowu, Zbaraż omijając, bo już takem myślał, że zabiwszy pana małego i pana Zagłobę, będą właśnie ku Zbarażowi za nami gnali. Jakoż nie wiem, jakim tam sposobem Bóg w miłosierdziu swojem wyratował pana małego i pana Zagłobę... Myślałem, że ich usieką. My tymczasem umykali z panną między Chmielnickim, który od Konstantynowa ciągnął, a Zbarażem, pod który Tatarzy poszli.

— Nie poszli oni tam zaraz, bo ich pan Kuszel wyparł. Ale mów prędzej!

— Żebym ja to był wiedział, alem nie wiedział, więceśmy przeciskali się z panną między Tatary i kozaki, jak wąwozem. Szczęściem kraj był pusty, tak, że nigdzieśmy żywego człeka nie spotkali: ni we wsiach, ni w miasteczkach, bo wszystko pouciekało, gdzie kto mógł, przed Tatarami. Ale dusza mi na ramieniu siedziała ze strachu, żeby to mnie nie ogarnęli, czegom też w końcu nie uniknął.

Skrzetuski przestał się ubierać i spytał:

— Jak to?

— A tak, mój jegomość: wpadłem na podjazd kozacki Dońca, brata owej Horpyny, u której panna w jarze siedziała. Szczęściem, znałem go dobrze, bo mnie przy Bohunie widywał. Pokłoniłem mu się od siostry, pokazałem piernacz Bohunów i opowiedziałem wszystko: jako mnie Bohun po pannę posłał i jako mnie czeka za Włodawą. A on, że to był Bohunowi przyjacielem i wiedział o tem, że siostra panny strzeże, więc uwierzył. Myślałem, że puści i jeszcze opatrzy na drogę: ale on powiada tak: „Tam (powiada) pospolite ruszenie się zbiera, jeszcze wpadniesz w ręce Lachom; zostań, powiada, ze mną, pojedziemy do Chmielnickiego; w obozie będzie dziewczynie najbezpieczniej, bo jej tam sam Chmielnicki będzie dla Bohuna strzegł.“ Jak mi to powiedział, ażem zmartwiał, bo co tu na to odrzec? Mówię tedy, że Bohun na nią czeka, i że szyja moja w tem, żebym ją zaraz odwiózł. A on na to: „To damy znać Bohunowi—a ty nie jedź, bo tam Lachy.“ Zacząłem się spierać, on też się spierał ze mną, że wreszcie rzecze: „Dziwno mi to, że się tak boisz między kozaków iść—ej! czyś nie zdrajca!“ Dopiero zobaczyłem, że niema innej rady, tylko nocą umykać, bo już zaczął mnie podejrzewać. Siódme poty na mnie biły, mój jegomość. Jużem tedy wszystko gotował do drogi, gdy pan Pełka od wojsk królewskich w nocy nadszedł.

— Pan Pełka?—rzekł, wstrzymując dech, Skrzetuski.

— A jakże, mój jegomość. Sławny to był zagończyk, pan Pełka, który niedawno poległ — Panie, świeć nad jego duszą! — Nie wiem, czyby kto lepiej potrafił od niego podjazd prowadzić i pod potęgą nieprzyjacielską się uwijać—chyba jeden pan Wołodyjowski. Owóż przyszedł pan Pełka, podjazd Dońcowy starł, że i noga nie uszła, a samego Dońca wziął do niewoli. Parę niedziel temu jak go na pal wołami nawlekli—dobrze mu tak! ale i z panem Pełką miałem biedy nie mało, bo to był człek okrutnie na cnotę zawzięty... Panie, świeć nad jego duszą! Jużem się bał, aby panna, uszedłszy krzywdy od kozaków, nie doznała gorszej od swoich... Dopierom powiedział panu Pełce, że to księcia naszego pana krewna. A on, trzeba jegomości wiedzieć, jak naszego księcia, bywało, wspominał, to czapkę zdejmował i na służbę się do niego zawsze wybierał... Więc zaraz zaczął pannę szanować i aż het do Zamościa, do króla nas odprowadził, a tam ksiądz Cieciszowski (bardzo to święty ksiądz, mój jegomość) w opiekę nas wziął i pani kasztelanowej Witowskiej pannę oddał.

Skrzetuski odetchnął głęboko, potem rzucił się na szyję Rzędziana.

— Przyjacielem mi będziesz, bratem, nie sługą—rzekł— ale teraz już jedźmy. Kiedy pani kasztelanowa miała tu stanąć?

— W tydzień po mnie—a już dziesięć dni jest... a ośm jegomość bez przytomności leżał.

— Jedźmy, jedźmy!— powtórzył Skrzetuski— bo mnie radość rozerwie.

Lecz nim skończył, dał się słyszeć tętent na podwórzu, i okna zaćmiły się nagle końmi i ludźmi. Przez szyby dojrzał pan Skrzetuski naprzód starego księdza Cieciszowskiego, a przy nim wychudzone twarze pana Zagłoby, Wołodyjowskiego, Kuszla i innych znajomych wśród czerwonych dragonów książęcych. Rozległ się wesoły okrzyk, a po chwili hurma rycerzy z księdzem na czele wpadła do izby.

— Pokój zawarty pod Zborowem; oblężenie zdjęte! — wołał ksiądz.

Lecz Skrzetuski domyślił się zaraz tego na sam widok towarzyszów zbaraskich, a teraz już był w objęciach Zagłoby i Wołodyjowskiego, którzy odbierali go sobie wzajemnie.

— Powiedzieli nam, żeś żyw—krzyczał Zagłoba—ale tem większa radość, że cię tak rychło i w zdrowiu oglądamy! Umyślnieśmy tu po ciebie przyjechali... Janie! ani wiesz, jakąś się sławą okrył i jaka cię nagroda czeka!

— Król nagrodził—rzekł ksiądz — ale król królów więcej obmyślił.

— Wiem już — odparł Skrzetuski. — Niech was Bóg nagrodzi! Rzędzian wszystko mi wyznał.

— Radość cię nie zadusiła? to i lepiej! Vivat Skrzetuski, vivat kniaziówna!—krzyczał Zagłoba.— A co, Janie! nie pisnęliśmy ci o niej ani słowa, bośmy nie wiedzieli, czy żywa. Ale pachołek gracko z nią umykał. O vulpes astuta! książę czeka na was oboje. Ha! aż pod Jahorlik jeździliśmy po nią. Zabiłem monstrum piekielne, które jej strzegło! Uciekało przed wami tych dwunastu chłopczysków, ale teraz ich dogonicie i przegonicie. Będę miał wnuki, mości panowie! Rzędzian, mów, zali wielkich przeszkód nie doznałeś? Imaginuj sobie, że całą ordę wstrzymaliśmy we dwóch z panem Michałem! Pierwszym się rzucił na cały czambuł. W wykroty się przed nami chowali, nic nie pomogło! Pan Michał też dobrze stawał... Gdzie moja córuchna? dajcie mi moją córuchnę!

— Niech ci Bóg szczęści, Janie! niech ci Bóg szczęści!— mówił mały rycerz, biorąc ponownie w ramiona Skrzetuskiego.

— Niech wam Bóg zapłaci za wszystko, coście dla mnie uczynili! Słów mi nie staje! Życiem, krwią wam nie nagrodzę! — odpowiedział Skrzetuski.

— Mniejsza z tem!—wołał Zagłoba, — Pokój zawarty! kiepski pokój, mości panowie, ale trudno! Dobrze, żeśmy ten zapowietrzony Zbaraż opuścili. Będzie teraz spokój, mości panowie. Nasza to praca i moja, bo gdyby Burłaj żył dotąd, na nicby się układy nie zdały. Na weselisko pojedziem. Dalej, Janie! Trzymaj się cstro! Ani się domyślasz, jaki książę pan ma dla ciebie prezent ślubny! Innym razem ci powiem, a teraz, gdzie moja córuchna u kaduka? dawajcie tu moją córuchnę! Już jej Bohun nie porwie, pierwej musiałby łyka porwać! Gdzie moja córuchna najmilsza?

— Właśniem na koń siadał, by jechać naprzeciw pani sandomierskiej — rzekł Skrzetuski; — jedźmy, jedźmy, bo rozum stracę!

— Hajda, mości panowie! Jedźmy z nim razem! Czasu nie tracić! Hajda!

— Pani sandomierska nie musi być daleko—rzekł ksiądz.

— Jazda!—dodał pan Michał.

Ale Skrzetuski już był za drzwiami i skoczył na konia tak lekko, jakby nie dopiero co z łoża boleści powstał. Rzędzian trzymał się jego boku, bo wolał z księdzem sam na sam nie zostawać. Pan Michał i Zagłoba przyłączyli się do nich i jechali co koń wyskoczy na czele gromady, a cała gromada szlachty i czerwonych dragonów leciała toporowską drogą, nakształt kraśnych płatków maku, które wiatr niesie.

— Hajda!—krzyczał Zagłoba, bijąc piętami konia.

I tak lecieli z dziesięć stajań, aż na skręcie gościńca ujrzeli tuż przed sobą szereg wozów i kolasek, otoczony przez kilkudziesięciu pajuków; kilku z nich, widząc naprzeciw zbrojnych ludzi, ruszyło zaraz z kopyta, pytać, coby byli za jedni.

— Swoi, od królewskiego wojska!—krzyknął pan Zagłoba.— A to kto jedzie?

— Pani kasztelanowa sandomierska!—brzmiała odpowiedź.

Skrzetuskiego tak przybiło wzruszenie, iż sam nie wiedząc co czyni, zsunął się z konia i stanął, chwiejąc się, na boku gościńca. Czapkę zdjął, a po skroniach spływał mu pot obfity, i drżał ten rycerz przed szczęściem na całem ciele. Pan Michał zeskoczył również z kulbaki i chwycił w ramiona osłabłego rycerza.

Za nimi stanęli wszyscy na boku gościńca z poodkrywanemi głowami, a tymczasem szereg wozów i kolasek nadciągnął i począł przechodzić mimo. Z panią Witowską jechało kilkanaście różnych pań, które patrzały ze zdziwieniem na rycerzy, nie rozumiejąc, co ma znaczyć ta żołnierska procesya przy gościńcu. Aż wreszcie w środku orszaku ukazała się kolaska zdobniejsza od innych; oczy rycerzy ujrzały przez jej otwarte okna poważne oblicze sędziwej damy, a obok niej słodką i śliczną twarz Kurcewiczówny.

— Córuchna!—wrzasnął Zagłoba, rzucając się naoślep ku karecie—córuchna! Skrzetuski jest z nami!... Córuchna!

W orszaku poczęto wołać: „Stój! stój!“—uczynił się ruch i zamieszanie, tymczasem Kuszel z Wołodyjowskim prowadzili, a raczej wlekli Skrzetuskiego do karety, on zaś osłabł zupełnie i ciężył im coraz bardziej. Głowa zwisła mu na piersi i nie mógł już iść i opadł na kolana przy stopniach kolaski.

Lecz w chwilę później, silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymały osłabłą i wynędzniałą głowę rycerza. Zagłoba zaś, widząc zdumienie pani sandomierskiej, wołał:

— To Skrzetuski, bohater ze Zbaraża! On to się przedarł przez nieprzyjaciół, on ocalił wojska księcia, całą Rzeczpospolitą! Niech im Bóg błogosławi i niech żyją!

— Niech żyją! Vivant! vivant!—wołała szlachta.

— Niech żyją!—powtórzyli książęcy dragoni, aż grzmot rozległ się po toporowskich polach...

— Do Tarnopola! do księcia! na wesele!—wykrzykiwał Zagłoba.—A co córuchna! skończona twoja niedola!... a dla Bohuna kat i miecz!

Ksiądz Cieciszowski oczy miał podniesione do nieba, a usta jego powtarzały cudne słowa natchnionego kaznodziei:

— Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu...

Usadzono Skrzetuskiego w karecie obok kniaziówny—i orszak ruszył dalej. Dzień był cudny, pogodny, dąbrowy i pola pławiły się w świetle słonecznem. Nizko, po ugorach i wyżej, nad ugorami i jeszcze wyżej, w błękitnem powietrzu, płynęły już tu i owdzie srebrne nitki pajęczyny, które późniejszą jesienią jakoby śniegiem pokrywają tamtejsze pola. I spokój był wielki naokoło, jeno konie parskały raźno w orszaku.

— Panie Michale — mówił Zagłoba, trącając strzemieniem w strzemię Wołodyjowskiego:-coś mnie znowu ułapiło za grzdykę i trzyma, jak to wówczas kiedy pan Podbipięta — wieczny mu odpoczynek!—wychodził ze Zbaraża; ale gdy pomyślę, że się tych dwoje wreszcie znalazło, to tak mi lekko na sercu, jakbym kwartę petercymentu duszkiem wypił. Jeśli ciebie małżeńska przygoda nie spotka, to na starość będziem ich dzieci hodowali. Każdy do czego innego się rodzi, panie Michale, a my dwaj lepsi chyba do wojny, niż do żeniaczki.

Mały rycerz nie odpowiedział nic, jeno począł wąsikami mocniej niż zwykle ruszać.

Jechali do Toporowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie się mieli z księciem Jeremim połączyć i razem z jego chorągwiami do Lwowa na wesele ruszyć. Przez drogę opowiadał Zagłoba pani sandomierskiej, co się w ostatnich czasach stało. Dowiedziała się więc, że król po nierozstrzygniętej, morderczej bitwie pod Zborowem, zawarł układ z chanem, niezbyt pomyślny, ale zapewniający przynajmniej spokój na czas jakiś Rzeczypospolitej. Chmielnicki na mocy układu pozostał nadal hetmanem i miał prawo z niezmiernych tłumów czerni wybrać sobie czterdzieści tysięcy regestrowych, a za to ustępstwo zaprzysiągł wierność i posłuszeństwo królowi i stanom.

— Niechybna to jest rzecz—mówił Zagłoba—że z Chmielnickim znowu przyjdzie do wojny, ale jeśli tylko buława naszego księcia nie minie, inaczej to wszystko pójdzie...

— Powiedz-że waćpan Skrzetuskiemu najważniejszą rzecz— rzekł, zataczając bliżej koniem, mały rycerz.

— Prawda—rzekł Zagłoba.—Chciałem zaraz od tego zacząć, aleśmy tchu dotąd złapać nie mogli. Nic nie wiesz, Janie, co się po twojem wyjściu stało: że Bohun jest u księcia w niewoli.

Skrzetuski i Kurcewiczówna zdumieli się na tę niespodziewaną wiadomość do tego stopnia, że słowa wyrzec nie mogli — tylko ona ręce otworzyła—i nastała chwila milczenia, poczem dopiero Skrzetuski spytał:

– Jak to? jakim sposobem?

— Palec w tem Boży—odpowiedział Zagłoba—nic innego, jeno palec Boży. Układ już był zawarty, i wychodziliśmy właśnie z tego zapowietrzonego Zbaraża, a książę wybiegł z jazdą na lewe skrzydło, pilnować, by orda na wojsko nie napadła... że to oni często układów nie dotrzymują... Wtem nagle wataha z trzystu koni rzuciła się na całą jazdę książęcą.

— Jeden Bohun mógł taką rzecz uczynić!—zawołał Skrzetuski.

— On też to był. Ale nie na zbaraskich żołnierzów kozakom się porywać. Pan Michał wnet otoczył ich i wysiekł do nogi, a Bohun dwa razy przez niego cięty, poszedł w łyka. Nie ma on szczęścia do pana Michała i sam się już musiał o tem przekonać, gdyż właśnie do trzech razy próbował. Ale on też nie czego innego, jeno śmierci szukał.

— Pokazało się—dorzucił pan Wołodyjowski — że chciał Bohun zdążyć koniecznie z pod Waładynki do Zbaraża, wszelako, że to droga długa, więc nie zdążył, i gdy się dowiedział, że już pokój zawarty, rozum mu się od wściekłości pomieszał i na nic już nie zważał.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, bo taka to już jest fortuny odmienność—rzekł Zagłoba. — To jest szalony kozak i tem szaleńszy, że desperat. Okrutna wrzawa podniosła się z jego powodu między nami i między hultajstwem. Myśleliśmy, że do wojny nanowo przyjdzie, bo książę pierwszy zakrzyknął, że układy złamali. Chmielnicki chciał było Bohuna ratować, ale chan się na niego zawziął, że to powiada: „Moje słowo i moją przysięgę na hańbę podał.“ I Chmielnickiemu chan wojną zagroził, a do naszego księcia przysłał czausa z oznajmieniem, że Bohun jest prywatny zbój—i z prośbą, żeby książę sprawy z tego nie czynił, a z Bohunem postąpił, jak ze zbójem. Podobno też i o to chodziło chanowi, żeby Tatarzy jasyr mogli spokojnie odprowadzić, którego tyle nabrali, że za dwa hutnale chłopa będzie można w Stambule kupić.

— Cóż książę uczynił z Bohunem?—pytał niespokojnie Skrzetuski.

— Kazał, było, książę zaraz palik dla niego zastrugać, ale się potem rozmyślił i tak powiada: „Skrzetuskiemu go daruję, niechże z nim czyni, co chce.“ Teraz w Tarnopolu kozaczysko w podziemiu siedzi; cyrulik mu łeb opatruje. Mój Boże, ileż to razy dusza już powinna była z niego uciec! Żadnemu wilkowi psi tak skóry nie natarmosili, jako my jemu. Sam pan Michał trzy razy go pokąsał. Ale twarda to sztuka, choć i prawdę rzekłszy, człek nieszczęsny. Niech mu tam kat świeci! Nie mam ja już do niego rankoru, pomimo, iż okrutnie na mnie nastawał, a niewinnie, bo pijałem z nim, pospolitowałem się jak z równym, póki na ciebie córuchno, ręki nie podniósł. Mogłem go też pchnąć w Rozłogach... Ale to już zdawna wiem, że nie masz żadnej wdzięczności na świecie i mało kto dobrem za dobre płaci. Niech go tam!...

Tu pan Zagłoba począł kiwać głową.

— A ty co z nim uczynisz, Janie?—spytał.—Żołnierze mówią, że forysia z niego zrobisz, bo chłop pokaźny, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś tak właśnie postąpił.

— Z pewnością tego nie uczynię—odrzekł Skrzetuski.—Wielkiej to fantazyi żołnierz, a że nieszczęsny, tembardziej go żadną chłopską funkcyą nie pohańbię.

— Niech mu Bóg wszystko odpuści!—rzekła kniaziówna.

— Amen!—dodał Zagłoba. — Prosi on śmierci jako matki, by go zabrała... i pewnie byłby ją znalazł, gdyby się był pod Zbaraż nie spóźnił.

Zamilkli wszyscy nad dziwnemi zmianami fortuny rozmyślając, aż w oddaleniu ukazała się Grabowa, w której zatrzymali się na pierwszy popas. Zastali tam huk żołnierzy, wracających ze Zborowa. Przyjechał i pan kasztelan sandomierski, Witowski, który szedł z pułkiem na spotkanie żony, i pan starosta krasnostawski, i pan Przyjemski — i moc szlachty z pospolitego ruszenia, której tędy droga do domostw wypadała. Dwór w Grabowej był spalony, również jak i wszystkie inne budynki, ale że dzień był cudny, cichy i ciepły, więc nie szukając dachu nad głową, wszyscy rozłożyli się w dąbrowie pod gołem niebem. Przywieziono też i znaczne zapasy jadła i napitków, więc czeladź zaraz wzięła się żywo do przyrządzenia wieczerzy. Pan sandomierski kazał rozbić namioty w dąbrowie dla niewiast i dygnitarzy, i stanął jakby obóz prawdziwy. Rycerstwo kupiło się przed namiotami, chcąc się na kniaziównę i Skrzetuskiego napatrzyć. Inni rozmawiali o minionej wojnie; ci, co nie byli pod Zbarażem, jeno pod Zborowem, wypytywali żołnierzy książęcych o szczegóły oblężenia — i gwarno było i wesoło, zwłaszcza, że Bóg zdarzył dzień tak piękny.

Wodził więc rej pan Zagłoba między szlachtą, opowiadając po raz tysiączny, jakto Burłaja zabił—a Rzędzian między czeladzią, która ucztę przygotowywała. Wszelako upatrzył zręczny pachołek stosowną chwilę i odciągnąwszy Skrzetuskiego kęs na stronę, schylił mu się do nóg pokornie.

— Mój jegomość — rzekł — chciałbym i ja o łaskę jegomości prosić.

— Trudnoby mi było odmówić ci czegokolwiek—odpowiedział pan Skrzetuski—gdyż przez ciebie wszystko co najlepsze się stało.

— Zaraz ja też myślałem — rzekł pachołek — że mi jegomość jakowąś nagrodę obmyśli.

— Mów, czego chcesz?

Pucołowata twarz Rzędziana pociemniała, a z oczu strzeliła mu nienawiść i zawziętość.

— Jednej łaski proszę, niczego więcej nie chcę—rzekł—niech mnie jegomość Bohuna daruje.

— Bohuna? — rzekł ze zdziwieniem pan Skrzetuski. — Cóż ty chcesz z nim uczynić?

— Już ja, mój jegomość, pomyślę, żeby moje nie przepadło i żeby mu z lichwą zapłacić za to, że mnie w Czechryniu pohańbił.

Wiem, że jegomość każe go pewnikiem zgładzić — niechże ja mu pierwej zapłacę!

Brwi Skrzetuskiego ściągnęły się.

— Nie może być!—rzekł stanowczo.

— O dla Boga! wolałbym był zginąć — zawołał żałośnie Rzędzian.—Na tożem wyżył, by hańba do mnie przyrosła!

— Żądaj czego chcesz—rzekł Skrzetuski—niczego ci nie odmówię, ale to nie może być. Wejdź w siebie, zapytaj ojców, jeśli nie grzeszniej będzie dotrzymać takowej obietnicy, niżeli jej poniechać. Do Boskiej karzącej ręki ty swojej nie przykładaj, aby się zaś i tobie nie dostało. Zawstydź się, Rzędzian! Ten człek i tak Boga o śmierć prosi—a przytem ranny i w łykach. Czemże mu chcesz być—katem? Będziesz-li związanego hańbił, albo rannego dobijał?—zaliś Tatar, czy rezun kozacki? Pókim żyw na to nie pozwolę, i nie wspominaj mi o tem.

W głosie pana Jana było tyle siły i woli, że pachołek odrazu stracił wszelką nadzieję, więc tylko rzekł płaczliwym głosem:

— Jak on zdrów, to on i dwóm takim jak ja dałby rady, a jak chory, to mi się mścić nie przystoi — kiedyż ja mu za swoje zapłacę?

— Zemstę zostaw Bogu—rzekł Skrzetuski.

Pachołek usta otworzył, chciał jeszcze coś mówić, o coś się pytać, ale pan Jan odwrócił się i poszedł ku namiotom, przed którymi liczne zebrało się towarzystwo. W środku siedziała pani Witowska, a obok niej kniaziówna, naokół zaś rycerze. Przed nimi nieco pan Zagłoba, stojąc bez czapki, opowiadał tym, którzy byli tylko pod Zborowem, oblężenie Zbaraża. Słuchali go wszyscy, dech w piersiach tamując—twarze mieniły się od wzruszenia i ci, co tam nie byli, z żalem myśleli o tem, że nie byli. Pan Jan siadł koło kniaziówny i wziąwszy jej rękę, do ust przycisnął. a potem wsparli się o siebie ramionami i siedzieli cicho. Słońce schodziło już z nieba—i zwolna czynił się wieczór. Skrzetuski zasłuchał się także, jakby czegoś nowego dla siebie słuchając. Pan Zagłoba obcierał czuprynę i głos jego rozbrzmiewał coraz silniej... Rycerzom świeża pamięć lub imaginacya przywodziła przed oczy te krwawe dzieje: więc widzieli okop, jakoby morzem otoczony i wściekłe szturmy; słyszeli wrzaski i wycia, i huk armat i samopałów, widzieli kniazia w srebrnych blachach na okopie—wśród gradu kul... Potem nędzę, głód, owe noce czerwone, w których śmierć krążyła jak złowrogi wielki ptak nad okopem... wyjście pana Podbipięty, Skrzetuskiego... I słuchali wszyscy, czasem oczy wznosząc do góry, lub za głownie szabel chwytając, a pan Zagłoba tak kończył:

— Jedna to teraz mogiła, jeden kopiec olbrzymi, a że pod nim nie leży sława Rzeczypospolitej, i kwiat rycerstwa, i książę wojewoda, i ja, i my wszyscy, których lwami zbaraskimi sami kozacy nazywają—on to sprawił!

To rzekłszy, pan Zagłoba wskazał Skrzetuskiego.

— Jako żywo, tak jest! — wykrzyknęli Marek Sobieski i pan Przyjemski.

— Sława mu! cześć! dziękowanie!—poczęły wołać silne głosy rycerskie. — Vivat Skrzetuski! Vivat młoda para! Niech żyje bohater!—wołano coraz silniej.

Uniesienie ogarnęło wszystkich zebranych. Jedni biegli po kielichy, drudzy rzucali czapki w górę. Żołnierze poczęli dźwięczeć szablami—i wkrótce uczynił się jeden ogólny gromki okrzyk:

— Sława! sława! niech żyje! niech żyje!

Skrzetuski, jak prawdziwy rycerz chrześciański spuścił pokornie głowę — ale kniaziówna wstała, strząsnęła warkocze, rumieńce biły jej na twarz, a z oczu strzelała duma, bo ten rycerz miał być jej mężem — a sława męża pada na żonę, jak światło słońca na ziemię.

Późną już nocą rozjechali się zgromadzeni we dwie strony. Państwo Witowscy, pan Przyjemski i starosta krasnostawski pociągnęli z pułkami w stronę Toporowa, a Skrzetuski z kniaziówną i chorągwią Wołodyjowskiego do Tarnopola. Noc była tak pogodna, jak i dzień. Roje gwiazd świeciły na niebie. Księżyc wzeszedł i oświecił pokryte pajęczyną pola. Żołnierze poczęli śpiewać; potem wstały białe opary z łąk i uczyniły z okolicy jedno olbrzymie jezioro, oświecone blaskiem księżyca.

W takąto noc wychodził niegdyś Skrzetuski ze Zbaraża i w taką noc teraz czuł bicie serca Kurcewiczówny przy swojem.

EPILOG.

Lecz tragedya dziejowa nie zakończyła się ani pod Zbarażem, ani pod Zborowem, a nawet nie zakończył się tam jej akt pierwszy. We dwa lata później zerwała się znów cała kozaczyzna do boju z Rzecząpospolitą. Wstał Chmielnicki, silniejszy niż kiedykolwiek, a z nim szedł chan wszystkich ord — ci sami wodze, którzy pod Zbarażem stawali: więc dziki Tuhaj-bej, i Urum-murza, i Artimgirej, i Nuradyn, i Gałga, i Amurad, i Subagazi. Słupy pożarów, jęki ludzkie szły przed nimi—tysiące wojowników pokrywały pola, napełniały lasy, pół miliona ust wydawało okrzyki wojenne—i zdawało się ludziom, że przyszedł ostatni kres na Rzeczpospolitą.

Lecz i Rzeczpospolita przebudziła się z odrętwienia, zerwała z dawną polityką kanclerza, z układami, z paktowaniem. Już było wiadomo, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może, więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty, prócz mrowia ciurów i czeladzi.

Nikogo nie brakło z osób, wchodzących do niniejszego opowiadania. Był książę Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizyą, w której po staremu służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli i obaj hetmani, Potocki i Kalinowski czasu tego już z niewoli tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarniecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca, i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski, i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III, i Ludwik Weyher, wojewoda pomorski, i Jakób wojewoda malborski, i chorąży Koniecpolski i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni, i senatorowie, cała Rzeczpospolita, z naczelnym wodzem królem.

Na polach Beresteczka spotkały się wreszcie owe krociowe zastępy i tam to stoczono jedną z największych bitew w dziejach świata, której odgłosem brzmiała cała ówczesna Europa.

Trwała ona trzy dni. Przez pierwsze dwa ważyły się losy — w trzecim przyszło do walnego boju, który przeważył zwycięstwo. Rozpoczął ów bój książę Jeremi.

I widziano go na czele całego lewego skrzydła, jak bez zbroi, z gołą głową, gnał jak wicher po polu na olbrzymie zastępy, złożone ze wszystkich konnych mołojców zaporoskich, ze wszystkich Tatarów krymskich, nohajskich, białogrodzkich, z Turków sylistryjskich i rumelskich, z urumbałów, janczarów, Serbów, Wołochów, peryerów i innych dzikich wojowników, zebranych od Uralu, morza Kaspijskiego i błot Meockich aż do Dunaju.

I jak rzeka ginie z oczu w spienionych nurtach morskich, tak zginęły z oczu pułki książęce w tem morzu nieprzyjaciół. Chmura kurzawy wstała na równinie, niby rozszalała trąba powietrzna, i zakryła walczących..

Patrzało na ten nadludzki bój całe wojsko—i król, a podkanclerzy Leszczyński wzniósł drzewo Krzyża Świętego i błogosławił niem ginących.

Tymczasem, z drugiego boku zachodził wojsku królewskiemu cały tabor kozacki, liczący dwieście tysięcy ludzi, najeżony armatami, ziejący ogniem, nakształt smoka, wysuwającego powoli z lasów olbrzymie swe kłęby.

Lecz nim wysunął się ich ogrom z owej kurzawy, w której zginęły pułki Wiśniowieckiego, poczęli wypadać jeźdźcy, potem ich dziesiątki, potem setki, potem tysiące, potem dziesiątki tysięcy — i pędzić ku wzgórzom, na których stał chan, otoczony przez wyborowe swe gwardye.

Dzikie tłumy uciekały w szalonym popłochu i bezładzie—pułki polskie gnały za nimi.

Tysiące mołojców i Tatarów zasłały pobojowisko, a między nimi leżał rozciągnięty koncerzem na dwoje zakamieniały wróg Lachów, a wierny kozaków sojusznik, dziki i mężny Tuhaj-bej.

Straszliwy książę tryumfował.

Lecz król spostrzegł okiem wodza tryumf książęcy i postanowił zgnieść ordy, nim tabor kozacki nadciągnie.

Ruszyły wszystkie wojska, huknęły wszystkie działa, roznosząc śmierć i zamieszanie; wnet brat chanowy, wspaniały Amurat, padł uderzony kulą w piersi. Zawrzały boleśnie ordy. Przerażony i ranny z samego początku bitwy, chan spojrzał na pole. Zdala, wśród dział i ognia, szedł pan Przyjemski i sam król z rajtaryą, a z boków huczała ziemia pod ciężarem biegnącej do boju jazdy.

Wówczas zadrżał Islam-Girej — i nie dotrzymał pola, i pierzchnął, a za nim pierzchnęły bezładnie wszystkie ordy, i Wołosza, i urumbałowie, i konni mołojcy zaporoscy i Turcy sylistryjscy i poturczeńcy, jako chmura pierzcha przed wichrem.

Uciekających dopędził zrozpaczony Chmielnicki, chcąc błagać chana, aby do bitwy powrócił — lecz chan ryknął na jego widok z gniewu, wreszcie kazał go Tatarom uchwycić, przywiązać do konia, i porwał z sobą.

Teraz pozostał tylko tabor.

Dowódca taboru, pułkownik kropiweński, Dziedziała, nie wiedział co się stało z Chmielnickim, lecz widząc klęskę i haniebną

ucieczkę wszystkich ord—wstrzymał pochód i cofnąwszy się z taborem, usadowił się w bagnistych widłach Pleszowy.

Tymczasem burza zerwała się na niebie i lunęły niezmierne potoki deszczu. „Bóg ziemię obmywał po sprawiedliwej bitwie.“

Dżdże trwały kilka dni i kilka dni odpoczywały królewskie wojska, zmęczone poprzedniemi bitwami; przez ten czas tabor opasywał się wałami i zmienił się w olbrzymią ruchomą fortecę.

Z powrotem pogody rozpoczęło się oblężenie — najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu widziano.

Sto tysięcy królewskiego wojska obległo dwukrocstotysięczną armię Dziedziały.

Królowi brakło armat, żywności, amunicyi—Dziedziała miał nieprzebrane zasoby prochów, wszelkich zapasów, a oprócz tego siedemdziesiąt cięższych i lżejszych armat.

Ale na czele królewskich wojsk stał król — kozakom brakło Chmielnickiego.

Wojska królewskie były ożywione świeżem zwycięstwem — kozacy zwątpili o sobie.

Minęło kilka dni — nadzieja powrotu Chmielnickiego i chana znikła.

Wówczas rozpoczęły się rokowania.

Przyszli do króla pułkownicy kozaccy i bili mu czołem prosząc zmiłowania, obchodzili namioty senatorów, czepiali się sukni, przyrzekając choćby z pod ziemi wydostać Chmielnickiego i oddać go królowi.

Serce Jana Kazimierza nie było obce litości — chciał puścić do domów czerń i wojsko, byle wydano mu wszystką starszyznę, którą postanowił zatrzymać, aż do chwili wydania Chmielnickiego.

Lecz taki właśnie układ nie był po myśli starszyznie, która za ogrom swych występków nie spodziewała się przebaczenia.

Więc w czasie układów trwały bitwy, rozpaczliwe wycieczki, i codziennie lała się obficie krew polska i kozacka.

Mołojcy w dzień walczyli z odwagą i zaciekłością rozpaczy, lecz nocą chmary ich całe wieszały się pod obozem królewskim, wyjąc ponuro o miłosierdzie.

Dziedziała skłaniał się do układów i sam chciał ponieść w ofierze głowę swą królowi, byle wykupić wojsko i lud.

Jednakże rozruchy powstały w kozackim obozie. Jedni chcieli się poddawać, inni bronić do śmierci; wszyscy zaś przemyśliwali, jakby się wymknąć z taboru.

Ale najodważniejszym wydawało się to niepodobieństwem.

Tabor otoczony był widłami rzeki i olbrzymiemi bagnami. Bronić się w nim można było całe lata, ale do odwrotu jedna tylko droga stała otworem—przez wojska królewskie.

O tej drodze nikt nie myślał w taborze.

Układy przerywane bitwami wlokły się leniwo; rozruchy w tłumach kozackich stawały się coraz częstsze. W jednym z takich rozruchów zrzucono z dowództwa Dziedziałę i obrano nowego wodza.

Nazwisko jego wlało nową odwagę w upadłe dusze kozacze— i odbiwszy się gromkiem echem w obozie królewskim, rozbudziło w kilku sercach rycerskich zatarte wspomnienia przebytych bólów i nieszczęść.

Nowy wódz zwał się Bohun.

Już poprzednio wysokie on zajmował stanowisko między kozactwem w radzie i boju. Głos powszechny wskazywał go, jako następcę Chmielnickiego.

Bohun, pierwszy z kozackich pułkowników, stanął razem z Tatarami pod Beresteczkiem na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Brał udział w trzechdniowej bitwie jeźdźców—i pogromiony razem z chanem i ordami przez Jeremiego, zdołał wyprowadzić z pogromu większą część swych sił i znaleźć schronienie w taborze. Teraz po Dziedziale, partya nieprzejednanych oddała mu naczelne dowództwo, ufając, że on jeden potrafi uratować tabor i wojsko.

I istotnie młody wódz ani chciał słyszeć o układach—pragnął bitwy i krwi przelewu, choćby w tej krwi i sam miał utonąć.

Lecz wkrótce przekonał się, że z tymi zastępami nie można było już myśleć o przejściu zbrojną ręką po trupach królewskiego wojska—więc chwycił się innego sposobu.

Historya zachowała pamięć tych bezprzykładnych usiłowań, które współczesnym wydawały się godnemi olbrzyma, które mogły były ocalić wojsko i czerń.

Bohun postanowił przejść przez bezdenne bagna Pleszowej, a raczej zbudować przez te bagna taki most, by po nim mogli przejść wszyscy oblężeni. Więc lasy całe poczęły padać pod siekierami kozaków i tonąć w błotach; rzucano w nie wozy, namioty, kożuchy, świty—i most przedłużał się z dniem każdym.

Zdawało się, że dla tego wodza niemasz nic niepodobnego.

Król zwłóczył szturm, nie chcąc przelewu krwi, lecz widząc te olbrzymie roboty, poznał, iż niema innej rady i kazał otrąbić w wojsku, by się na wieczór gotowano do ostatecznej rozprawy.

Nikt nie wiedział o tym zamiarze w taborze kozackim—most przedłużał się jeszcze całą noc poprzednią, rankiem zaś Bohun wyjechał na czele starszyzny obejrzeć roboty.

Było to w poniedziałek, siódmego lipca 1651 roku. Ranek dnia tego wstał blady, jakby przerażony, zorze na wschodzie były krwawe, słońce zeszło rude, chorobliwe, krwawy jakiś odblask oświecał wody i lasy.

Z obozu polskiego wyganiano konie na paszę; tabor kozacki szumiał głosami rozbudzonych ludzi. Porozpalano ogniska i gotowano strawę poranną. Wszyscy widzieli odjazd Bohuna, jego orszaku i idącej za nim jazdy, z pomocą której wódz chciał spędzić wojewodę bracławskiego, zajmującego tyły taboru i psującego z armat roboty kozackie.

Czerń patrzała na odjazd spokojnie, a nawet z otuchą w sercu. Tysiące oczu odprowadzały młodego wojownika, tysiące ust mówiły za nim:

— Boże cię błogosław, sokole!

Wódz, orszak i jazda, oddalając się zwolna, od taboru, doszli do brzegu lasu, mignęli jeszcze raz w porannem słońcu i poczęli się zasuwać za haszcze.

Wtem jakiś straszny, przeraźliwy głos zakrzyknął, a raczej zawył przy bramie taboru:

— Lude spasajtes!

— Starszyzna ucieka!—krzyknęło naraz kilkanaście głosów.

— Starszyzna ucieka!—powtórzyło setki i tysiące ludzi.

Szmer poszedł przez tłumy, jak kiedy wicher uderzy w bór— i naraz krzyk okropny, nieludzki, wyrwał się z dwukrocstotysięcznej gardzieli:

— Spasajtes! spasajtes! Lachy! Starszyzna ucieka!

Masy ludzkie wezbrały naraz, nakształt rozszalałego potoku. Zdeptano ogniska, poprzewracano wozy, namioty, rozerwano ostrokoły; ściskano się, duszono. Straszliwa panika poraziła obłędem wszystkie umysły. Góry ciał zatamowały wnet drogę — więc deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków. Tłumy wylały się z majdanu, wpadły na pomost, spychały się w bagna, tonący chwytali się w konwulsyjne uściski i wyjąc do nieba o miłosierdzie, zapadali się w chłodne, ruchome błota. Na pomoście wszczęła się bitwa i rzeź o miejsca. Wody Pleszowej zapełniły się ciałami. Nemezys dziejowa spłacała straszliwie za Piławce Beresteczkiem.

Wrzaski okropne doszły do uszu młodego wodza i wnet zrozumiał, co się stało. Lecz napróżno zawrócił w tej chwili do taboru, napróżno leciał naprzeciw tłumom ze wzniesionemi do nieba rękoma. Głos jego zginął w ryku tysiąców — straszliwa rzeka uciekających porwała go razem z koniem, orszakiem i całą jazdą — i niosła na zatracenie.

Wojska koronne zdumiały się na widok tego ruchu, który zrazu wielu za jakiś atak rozpaczliwy poczytało — lecz oczom trudno było nie uwierzyć.

W kilka chwil później, gdy zdziwienie przeszło, wszystkie chorągwie, nie czekając nawet rozkazów, ruszyły na nieprzyjaciela, a w przodzie szła, jak wicher, chorągiew dragońska, na której czele leciał mały pułkownik z szablą nad głową.

I nastał dzień gniewu, klęski i sądu... Kto nie był zduszon, lub się nie utopił, szedł pod miecz. Spłynęły krwią rzeki tak, że nie rozpoznałeś, czy krew, czy woda w nich płynie. Obłąkane tłumy jeszcze bezładniej zaczęły się dusić i spychać w wodę, topić... Mord napełnił te okropne lasy i zapanował w nich tem straszliwiej, że potężne watahy poczęły się bronić ze wściekłością. Toczyły się bitwy na błotach, w kniejach, na polu. Wojewoda bracławski przeciął odwrót uciekającym. Próżno król rozkazywał powstrzymać żołnierzy. Litość gasła—i rzeź trwała aż do nocy, rzeź taka, jakiej najstarsi nie pamiętali wojownicy, i na której wspomnienie włosy stawały im później na głowach.

Gdy wreszcie ciemności okryły ziemię, sami zwycięzcy byli przerażeni swem dziełem. Nie śpiewano „Te Deum“ i nie łzy ra-

dości, lecz łzy żalu i smutku płynęły z dostojnych oczu królewskich.

Tak rozegrał się akt pierwszy dramatu, którego autorem był Chmielnicki.

Lecz Bohun nie złożył razem z innymi głowy w tym dniu straszliwym. Jedni mówili, że spostrzegłszy klęskę, pierwszy ratował się ucieczką; inni, że ocalił go pewien rycerz znajomy. Prawdy nikt nie mógł dociec.

To tylko pewne, że w następnych wojnach częstokroć wypływało jego nazwisko między nazwiskami najsłynniejszych wodzów kozackich. Postrzał z jakiejś mściwej ręki dosięgnął go w kilka lat później, lecz i wówczas nie przyszedł na niego kres ostatni. Po śmierci księcia Wiśniowieckiego, który z trudów wojennych umarł, gdy państwo łubniańskie odpadło od Rzeczypospolitej, Bohun zawładnął większą częścią jego obszarów. Mówiono, że w końcu i Chmielnickiego nie chciał nad sobą uznawać. Sam Chmielnicki złamany, przeklinany przez własny lud, szukał protekcyi postronnych, dumny zaś Bohun odrzucał wszelką opiekę i gotów był szablą swobody swej kozaczej bronić.

Mówiono także, że uśmiech nie postał nigdy na ustach tego szczególnego człowieka. Mieszkał nie w Łubniach, ale w wiosce, którą z popiołów odbudował i która zwała się Rozłogi. Tam też podobno umarł.

Wojny domowe przeżyły go i ciągnęły się jeszcze długo. Przyszła potem zaraza i Szwedzi. Tatarzy stale prawie gościli na Ukrainie, zagarniając tłumy ludu w niewolę. Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą.
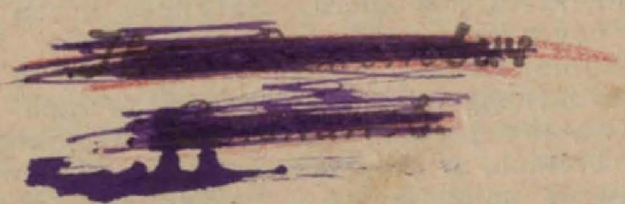
KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.